

aga
kalicka

Festo

ZAPRZYSIĘŻONY, W KRWI ZATRACONY,
PO KRĘS ZWIĄZANY PRZYSIĘGĄ

seria mano d'onore #1



Spis treści

- [ROZDZIAŁ 1](#)
- [ROZDZIAŁ 2](#)
- [ROZDZIAŁ 3](#)
- [ROZDZIAŁ 4](#)
- [ROZDZIAŁ 5](#)
- [ROZDZIAŁ 6](#)
- [ROZDZIAŁ 7](#)
- [ROZDZIAŁ 8](#)
- [ROZDZIAŁ 9](#)
- [ROZDZIAŁ 10](#)
- [ROZDZIAŁ 11](#)
- [ROZDZIAŁ 12](#)
- [ROZDZIAŁ 13](#)
- [ROZDZIAŁ 14](#)

ROZDZIAŁ 1

– Wyśpiewaj, kto wyjadł wszystkie czerwone landrynki albo pożałujesz – syczę, przyciskając do kolan głowę mojej siostry Almy. Pocieram jej włosy rękawem wełnianego swetra, a ona drze się i piszczy.

– Nino, na pomoc!

Mój ochroniarz wzdycha przeciągle i zerka w lusterko, więc szczerzę się do niego. Na pewno zbyt szeroko, bo gdy auto podskakuje na wybojach, wszystkie zdobyte w boju cukierki wypadają mi z ust, lądując we włosach Almy.

– To jednak byłam ja. – Śmieję się, a siostra odciąga moje ręce. Wyswobadza się, robi zamach i uderza mnie w głowę trzymaną w rękach książką. Wiele razy, bo i landrynek, których musi teraz szukać w swoich kudłach, jest kilka. Ząb za ząb.

– Nino, Etna na mnie zwymiotowała! – wrzeszczy i stara się znaleźć między włosami ukryte skarby.

– Nino, ona mnie uderzyła! – przedrzeźniam ją.

– Powiem Efestowi, co napisałaś w pamiętniku! – grozi Alma.

– Tylko spróbuj, a ogolę cię na łyso!

Rzucam się na nią. Zaczynamy kotłować się na kanapie. Oplata mnie nogami i wbija palce między żebra. Szarpię ją za włosy. Syczy z bólu.

– No dobra, przepraszam – wyrażam skruchę. – Proszę, nie mów mu. Błagam. W zamian zdradzę ci, co robię, gdy wszyscy

myślą, że chodzę na lekcje hiszpańskiego – proponuję zdesperowana.

Na jej twarzy widoczne jest zainteresowanie i czuję, że dojdziemy do porozumienia. Wrażenie to trwa jednak zbyt krótko, żebym mogła się nim nacieszyć. Auto gwałtownie hamuje i obie lecimy do przodu. Nino klnie pod nosem i wysiada. Otwiera bagażnik. Słyszę, że coś w nim przerzuca, a potem wywleka mnie z samochodu. Wpycha mi w usta kawałek materiału i przewiązuje go dookoła głowy tak, że nie mogę ruszyć językiem.

– Nie paplaj tyle – syczy mi do ucha. – Po prostu milcz.

Skuwa moje nadgarstki kajdankami, a następnie chwyta za ramiona i wpycha z powrotem na tylne siedzenie. Robi to tak sprawnie, jakbym nic nie ważyła.

– Idiotki – warczy, gdy ponownie zajmuje miejsce kierowcy.

Jęczę i kopię siostrę w stopę, chcąc jej w ten sposób przekazać, żeby rozwiązała węzeł. Zerka na mnie, uśmiecha się przebiegle, a następnie zapala lampkę i wsadza nos w książkę. Patrzą w lusterko, żeby wychwycić spojrzenie Nina i tak też się dzieje. Kręci głową z dezaprobatą. Wyładowuję wściekłość, waląc nogami w oparcie fotela.

Żałuję, że ojciec kazał jechać mi właśnie z nią. Mimo że jest młodsza ode mnie o rok, to uważa się za najmądrzejszą na świecie. Zarozumiała nudziara, która czyta cudze pamiętniki!

Zerkam na siostrę akurat, gdy kładzie dłoń na dekolcie i gdybym tylko mogła, w tej chwili uśmiechnęłabym się szeroko. Czytając, lubi obracać w palcach zawieszkę swojego wisiorka. To ją relaksuje lub pozwala skupić się na fabule, a przynajmniej tak mi się wydaje. Teraz jednak przesuwam dłoń po szyi, ale bez względu na to, jak długo będzie to robić i z jak wielkim zapalem,

fakt i tak jest jeden. Błyskotki nie ma. I jest mi z tego powodu bardzo, kurwa, przykro.

– Nino! – drze się. – Ta złodziejka ukradła mój wisiołek z pyłkiem! – Zerka na mnie i zaczyna szarpać moje ramię. – Oddawaj, kleptomanko – syczy, potrząsając mną wściekle.

– Odda, jak dojedziemy, a teraz zamknij jadaczkę – warczy Nino.

– Czyli mi wierzysz? – Jest zdziwiona. – Ona cały czas coś sobie przywłaszcza. Wiedziałaś o tym? – Nie dowierza. – Etna zawsze robi coś niewłaściwego. Zero zasad i inaczej niż wszyscy – oburza się i krzyżuje ręce na piersi.

Nino wzrusza ramionami i odpowiada:

– Z prądem płyną jedynie śmieci.

Alma prycha. Stuka palcem w czoło, sugerując, że jestem niespełna rozumu i z powrotem pogrąża się w lekturze. Oprócz niej mam jeszcze trzy siostry. Nasza rodzina należy do sycylijskiej organizacji zrzeszającej pięć najbardziej wpływowych rodzin ze wschodniego i zachodniego wybrzeża. Dziś swoje dwudzieste drugie urodziny obchodzi Efesto z rodziny Selvaggio. Ten, o którym *niby* napisałam w pamiętniku. Bzdura. Po co miałabym tracić czas na opisywanie uczuć do chłopaka, który nigdy nie obdarzył mnie dłuższym niż dwusekundowe spojrzeniem? Może i kartki moich *tajnych myśli* pachną perfumami, które ukradłam z jego sypialni, gdy byliśmy w ich letniej rezydencji ostatnim razem, poduszka i ubrania zresztą też, ale litości, to nie oznacza, że jestem beznadziejnie zadurzona. Tak czy siak, nie mogę doczekać się, aż w końcu dojedziemy na miejsce. I bynajmniej nie on jest powodem, lecz to, że jestem bardzo głodna.

– Dlaczego ja nie mam swojego ochroniarza, a Etna tak? – Alma zamyka książkę i zwraca się do Nina. – Dlatego, że jest najstarszą córką i przejmie interesy ojca? – dopytuje. – Słyszałam, jak mówił, że biada naszej rodzinie, gdy go zabraknie. – Zerka na mnie. – Jak to jest pracować dla *capofamiglia*¹ rodziny La Mantide, Nino? – Klepie go po ramieniu.

– Nie wiem – odpowiada.

– O, to chyba tu. Poznają te chaszczę. Nie pamiętam, czy Selvaggiowie mają bibliotekę. Mają, Nino?

– Nie wiem.

– Dlaczego nigdy nic nie wiesz? – pyta i od razu dodaje: – Nie mów. Wiem. Nie wiesz. – Przewraca oczami.

Nino jest w naszej rodzinie od dnia moich dwunastych urodzin, czyli od sześciu lat. Jestem pewna, że nikt nie wie na mój temat tyle, co on, bo spędzam z nim większość czasu. Niekiedy mówi, że zna mnie jak własną kieszeń, a potem uderza się w czoło i sprawdza jej zawartość. Okazuje się wtedy, że nie ma w niej tego, czego się spodziewa. Zabieranie rzeczy ludziom, których znam, nie jest dla mnie żadnym wyzwaniem, dlatego robię to tylko, gdy naprawdę się nudzę. Prawdziwą próbą sił jest dokonanie niemożliwego, poczucie dreszczyku niepewności, potrzeby, która przysłania zdrowy rozsądek, uderzenia adrenaliny. Nino twierdzi, że jestem od niej uzależniona. Na jego twarzy pojawia się wtedy trudny do rozszyfrowania uśmiech.

Podjeżdżamy pod rezydencję. Lubię tu przyjeżdżać, bo jest ogrodzona tylko drewnianym płotem, a nie wysokim, kilkumetrowym murem. Z niczym nie da się porównać wolności, doświadczanej na otwartych przestrzeniach. Takiej, którą można

podelektować się, pod warunkiem, że nie ma się zdrętwiałego języka i ścierpniętych rąk. Zerkam przez szybę. Ogród, gdzie odbywa się przyjęcie, jest pięknie oświetlony, a w wazonach umieszczone są okazałe bukiety. Ludzie siedzący przy stołach i ci stojący skupieni w niewielkich grupkach, żywo gestykują. Jest ich tak wielu. Tyle osób, od których mogę *pożyczyć* to i owo. W odbiciu szyby niemal widzę, jak błyszczą mi oczy.

– Nawet o tym nie myśl. – Nino odwraca się i gromi mnie wzrokiem. – Pamiętaj o przykazaniach. Chyba że nie jesteś przywiązana do swoich dłoni – dodaje i wysiada z auta.

Zanim zdąży je okrążyć, drzwi z mojej strony zostają otwarte przez Nicola, najstarszego syna z rodziny Selvaggio. Przygląda mi się chwilę w ciszy, a potem mąci ją gromkim śmiechem.

– Etna wybuchła? – wypala i wita się z Ninem. – Wasi są już na miejscu. W sumie to przyjechaliście jako ostatni. Rozwiązałbym cię – zwraca się do mnie – ale nie jesteś moją sprawą. – Wzrusza ramionami. – Czekamy na was. – Klepie Nina po ramieniu. – Żelastwo składamy w depozycie. To ma być miła impreza. A teraz, idę pokazać sztywniakom, jak się tańczy. – Odwraca się i odchodzi, kręcąc biodrami.

Nino nachyla się, żeby mnie uwolnić. Gdy rozwiązuje opaskę, Alma pyta:

– Mogę już wyjść?

– A zadajesz mi to pytanie, bo...? – prychna Nino.

– No, przyjechałam tu z tobą.

– Na świecie jest tylko jedna osoba, za którą jestem odpowiedzialny – stwierdza. – Ty nią nie jesteś.

Siostra wyskakuje z auta i trzaska drzwiami.

– Wiesz, że gdy rozkujesz mi ręce, to zrobię ci krzywdę? – Nino patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Zaryzykuję.

Gdy wysiadam z samochodu, Almy już nie ma. Zapinam na szyi jej błyskotkę. Mały słoiczek z czarnym, wulkanicznym pyłkiem pasuje do mojej sukienki, na którą narzucony mam obszerny sweter z pojemnymi kieszeniami. Wyglądam jak własna ciotka, ale moje *hobby* wygrywa z dobrą prezencją. Staję przy Ninie i czekam, aż wyciągnie z bagażnika prezenty. Sięga po nie, więc rzucam mu się na plecy i podduszam ramieniem. Napina mięśnie, a po chwili zaczyna dygotać.

– Brak tlenu – szepczę mu do ucha. – Zaraz zobaczysz ciemność.

To było proste. Nie wiedziałam nawet, że tak potrafię. Cieszę się w duchu małym zwycięstwem, a potem w ułamku sekundy zostaję przerzucona przez jego bark i ląduję z impetem w bagażniku. Patrzę na niego zszokowana. Na jego mokre od łez, wywołanych zapewne śmiechem, a nie brakiem powietrza, policzki i jestem zde gustowana swoją nieudolnością.

– Brak tlenu – mówi. – Za chwilę zobaczysz ciemność.

Zanim klapa się zatrzaśnie, widzę jeszcze jego uśmiech. Zamknął mnie. Wpadam w panikę, gdy do mojej świadomości dociera ten niezaprzeczalny fakt. Nie lubię małych przestrzeni, zaraz się uduszę, a jestem taka młoda. Wierzgam nogami i piszczę. Zaczyna mi się kręcić w głowie. Żałuję, że tak postąpiłam i obiecuję niczego dziś nie podwędzić, jeśli tylko przeżyję.

– Na pomoc! Przepraszam za wszystko! – krzyczę zdesperowana. – Błagam!

Słyszę jedynie swój przyspieszony oddech, a chwilę później odgłos otwieranych drzwi.

– Już to przerabialiśmy. – Nino jest wyraźnie znudzony, ale świadomość, że drzwi są uchylone, działa na mnie uspokajająco. – Weź się w garść i znajdź wyjście z sytuacji – instruuje. – Może ci się wydawać, że go nie ma, ale zawsze jakieś jest – wzdycha.

– Ja jestem jakby dzieckiem! Wypuść mnie. – Liczę na to, że się zlituje, ale odpowiada mi tylko śmiech.

– Ostatnim razem mówiłem ci, jakie masz wyjścia. Skorzystaj z najłatwiejszego rozwiązania, a jeśli się nie uda, rozważ inne – tłumaczy cierpliwie. – Do zobaczenia? – rzuca lekko i zatrząskuje drzwiami.

Panika narasta. Wmawiam sobie, że Nino stoi przy aucie, więc jeśli zauważy, że temat mnie przerasta, otworzy klapę. Nie pozwoli mi zginąć. To sprawia, że skupiam się na zadaniu, rozważam opcje, szukam wyjścia. Najprostszym wydaje się złożenie siedzeń. Sprawdzam, czy z boku kanapy znajduje się przesuwka, a gdy ją wyczuwam, schodzi ze mnie całe napięcie. Mocuję się z nią, dłużej niż bym chciała, aż w końcu popycham oparcie i oddycham z ulgą.

Wyjdę bez problemu, ale przyznam, że chciałabym zobaczyć minę Nina, gdy zaniepokojony brakiem jakichkolwiek prób z mojej strony, otworzy w końcu bagażnik. Przymykam oczy i czekam, aż to nastąpi. To będzie bezcenny widok.

Nie wiem, ile mija czasu, ale zdążyłam już przekonać się, że Nino nie ma dla mnie litości. Zero zainteresowania. Pewnie już obmyśla, jak pozbyć się moich zwłok. Wypycham siedzenie do

przodu, żeby w końcu wyjść, a gdy z impetem otwieram drzwi, słyszę beznamiętne:

– Brawo.

Nikt jednak na mnie nie patrzy. Niccolo i Nino opierają się o maskę i w najlepsze objadają tortem.

– No i wiesz, mówimy do niego, że własna matka go nie pozna, a on na to, że on też jej nie zna. – Niccolo opowiada z pełnymi ustami. – I jakieś tam: „Nie, proszę, błagam”. Poziom: desperat.

– I co dalej? – pyta Nino, w ogóle nie zważając na to, że już się wydostałam, że stoję tuż za nimi i czekam!

– Nic. Przyszedł Efesto i jak zwykle zjebał zabawę.

– Przykro mi.

– Nie tak jak mnie. Tyle czasu starałem się wytworzyć odpowiednie napięcie, a ten przylazł i po robocie. – Przejeżdża łyżeczką po talerzyku, a w odpowiedzi na ten dźwięk włoski na moich rękach się jeżą.

Chrząkam. Nino zerka na zegarek i odwraca głowę w moją stronę.

– Musimy już iść.

– No raczej. – Niccolo klaszcze i odrywa się od maski. – Ciekawe, co tym razem nawywija – zwraca się do Nina. – Etna na imprezie to gwarantowane kłopoty. Etna gdziekolwiek to jeden wielki kłopot.

– Po czym wnosisz? – Wkurzam się.

– Etna La Mantide, lat dziesięć, spektakularna ucieczka ze ściśle chronionej rezydencji. Lat jedenaście, wycieczka w luku bagażowym statku płynącego na Galapagos. Postawienie na nogi całej organizacji i wielkie spazmy, bo ktoś postanowił ją odszukać,

a żeby było gorzej, znaleźć. Lat dwanaście, Etna ponownie na gigancie. – Niccolo chowa twarz w dłoniach. – Od sześciu lat dziwny spokój. – Przygląda mi się, mrużąc oczy.

Zerkamy na siebie z Ninem, bo dobrze wie, że spokój to ostatnie słowo, jakie opisywałoby naszą codzienność. Puszczą do mnie oczko, czochrając moje i tak już sterczące włosy. Jak już wspominałam, on wie, co w mojej głowie piszczy.

Wchodzimy na teren posesji. Nino wkłada broń do koszyka, a człowiek rodziny Selvaggio sprawdza, czy nie mam przy sobie niebezpiecznych przedmiotów.

– Dzień dobry – zwraca się do mnie i uśmiecha sztywno. – Czy tym razem przygotowałaś coś bombowego?

– Ha! Mówiłem, Etno, że twoja reputacja zawsze jest krok przed tobą. – Nicco unosi pięść w geście zwycięstwa. – Ja osobiście nie mogę się doczekać, uwielbiam kłopoty. – Zaciera ręce i uśmiecha się szeroko.

– Idź. – Nino mnie popycha. – Będę siedział przy tamtym stoliku. – Wskazuje głową na duży stół, który zajmują bliscy współpracownicy organizacji. – Baw się dobrze – szepcze mi do ucha, wciska w moją dłoń torebkę z prezentem i odchodzi.

Rozglądam się dookoła. Widzę najmłodsze siostry siedzące przy stole z innymi dziećmi i Almę robiącą maślane oczy do Serafina Bommarito. Że też wcześniej nie zauważyłam, że on się jej podoba. Teraz mam asa w rękawie i zamierzam go wykorzystać, gdy po raz kolejny będzie mi dogryzać. Podchodzę do stolika. Efesto i dwóch jego braci wstają, tylko Ferro pogrążony w rozmowie z Carlem, nie zauważa, że przybyłam. Jedyne wolne

miejsce jest między Almą a Efestem. Widząc, że zmierzam w jego stronę, odsuwa krzesło, na którym siadam.

– Cześć – mówię do ogółu.

Naprzeciwko siedzi Sophia z rodziny Mancini. Jest o trzy lata starsza ode mnie. Ma długie, czarne włosy i nieskazitelną cerę. Och, ile bym dała, żeby wyglądać tak jak ona. Wcisnęła się w sukienkę, która na pewno ogranicza zdolność zaczerpnięcia głębokiego oddechu, ale dzięki temu jej piersi zwracają uwagę. Nie tylko moją. Niestety.

– Ona jest mocną dziesiątką, a ty mocną jedynką – szepcze Alma, chcąc wbić mi szpilę i co tu dużo mówić, osiąga zamierzony efekt. Planuje jeszcze coś dodać, ale do stolika podchodzi don² Giorgio.

– Ferro – mówi, stając za nim, a jego syn zrywa się na równe nogi.

– Tak, ojczy?

Odpowiedzią jest uderzenie dłonią w policzek. Ferro robi się czerwony, a gdy nasze spojrzenia się krzyżują, na jego twarzy pojawia się zrozumienie.

Jego ojciec odchodzi, a on wyciąga do mnie rękę. Podaję mu dłoń, którą całuje i szepcze:

– Przepraszam, że nie wstałem, Etno.

Siada i kontynuuje rozmowę z Carlem. Kątem oka zerkam na Efesta. Wydaje się najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Ma ostre rysy twarzy, czarne włosy z krótko przystrzyżonymi bokami i równie ciemny zarost. Koszula opina jego ramiona, a gdy odwraca się, żeby zamienić słowo z Niccolem, widzę zarysowane mięśnie pleców. Mam ochotę ich dotknąć, żeby przekonać się, czy

są takie twarde, na jakie wyglądają. Samo siedzenie obok niego sprawia, że kręci mi się w głowie.

– Wytrzymaj ślinę z brody – chichocze Alma. – Zapomniałaś wręczyć prezent. Jesteś taka niewychowana – szepcze.

Ryzykuję omdleniem i kładę dłoń na plecach Efesty. Tak jak myślałam, puls niebezpiecznie przyspiesza i tylko ja wiem, ile bym dała, żeby wykazał jakiejkolwiek zainteresowanie moją osobą. Napina się pod wpływem tego dotyku i odwraca, a Niccolo śmieje się w głos i wykrzykuje:

– Zaczyna się! Co roku to samo. – Wszyscy potakują.

– Najpierw siedzi cicho – wtrąca Sophia. – A potem trzeba się ewakuować, bo coś odwala.

– Chyba ty. – Zakładam ręce na piersi.

– To nie ja odpaliłam w zeszłym roku fajerwerki w domu, to nie ja pochowałam broń wszystkich członków organizacji, mówiąc: „Zagrajmy w ciepło–zimno”. – Udaje mój głos.

Efesto przykłada palec do ust, dając jej tym samym do zrozumienia, żeby się zamknęła.

– Słucham – mówi.

Śledzi wzrokiem moją twarz i jestem pewna, że nigdy aż tak długo mi się nie przyglądał. Przypominam sobie o pryszczu na brodzie.

– Chcę dać ci prezent. I złożyć życzenia – mówię na bezdechu.

– Zgoda.

Wstaje, więc i ja to robię. Wolałabym po prostu wręczyć podarunek, siedząc, bąknąć coś pod nosem i tyle. A teraz spojrzenia wszystkich zgromadzonych przy stole skierowane są na nas. Alma zaciera ręce, dlatego że jest szurnięta, a Niccolo ma

taki wyraz twarzy, jakby sądził, że w torbie prezentowej znajduje się coś, co wywoła efekt „wow”.

Stoję naprzeciwko Efešta. Czuję się przy nim jak mała, szara mysz. Góruje nade mną nie tylko wzrostem. Roztacza wokół siebie aurę władzy, a gdy patrzy na mnie wyczekująco, do mojej świadomości dociera, że jestem tylko głupią, zadurzoną w nim nastolatką. To niefajne uczucie i często żałuję, że nie jestem starsza. Być może wtedy byłaby, mała, ale jednak szansa na to, że dostrzegłby we mnie kobietę. Taką, o której pocałowaniu by marzył. Taką, przy której jego serce biłoby mocniej.

– Mów, Etno.

– A więc to prezent dla ciebie. – Moja siostra prycha, gdy wręczam mu torebkę. – Taki od serca. – Przełykam ślinę. – I życzę ci uśmiechu na twarzy. – Kącik jego ust się unosi. – A także zdrowia i wszystkiego, o czym marzysz, a nawet więcej. – Ściągam ze swetra niewidoczne paprochy i przestępuję z nogi na nogę.

Teraz najgorszy moment, pocałunek w policzek w ramach podziękowania. Zaraz zemdleję. On jednak robi coś niespodziewanego, zdecydowanie gorszego. Bierze mnie w ramiona i mocno przytula. Bok mojej twarzy przyciśnięty do jego twardej klatki piersiowej. Ten moment jest tak wspaniały, że mam ochotę się rozpłakać i dziękować mu na kolanach za to, że dał mi takie wspomnienie. Jestem taka żalosna.

– Wzruszające. – Niccolo ociera niewidzialne łzy.

– Dziękuję – mówi Efešto, gdy siadamy na krzesłach.

– Możesz od razu zobaczyć – proponuję.

Zerka do torby prezentowej.

– Zrobiłaś dla mnie laurkę? – Wyciąga złożone na pół, papierowe serce.

– Co? – pytam, bo to jedyne, co przychodzi mi na myśl.

Niccolo staje za plecami brata i czyta na głos:

– „Marzę o tobie na jawie i we śnie, gdy jesteś obok, to cała drzę...”

– Kurwa, nie czytaj tego! – Zrywam się z miejsca i przykładam dłoń do jego ust. Alma śmieje się, więc zerkam na nią i wszystko staje się jasne. Zabiję ją.

– Ale obciach – komentuje Sophia.

– Może dla mnie też napiszesz taki wierszyk? – pyta Serafino.

Efesto odciąga moją dłoń od twarzy Niccola. Składa serce na pół i odkłada je na stolik. Przybliża twarz do mojej. Ma lodowate spojrzenie, a po przyjemnej chwili pozostało jedynie wspomnienie.

– Nie przeklinaj przy stole.

Potakuję na odczepnego i spieszę z wyjaśnieniami.

– To nie mój prezent. Kupiłam ci album ze zdjęciami różnych widoków – tłumaczę. – Nino może potwierdzić, bo był ze mną w sklepie. To nie ja napisałam i wcale tak nie jest, że drzę i w ogóle. To głupie – nawijam skrepowana. – Swojemu chłopakowi mogłabym tak napisać, ale wiadomo, że nie tobie. To Alma włożyła laurkę do torebki, żeby zrobić mi na złość.

– Jakiemu chłopakowi? – Wydaje się zdziwiony.

– Swojemu. Jemu bym mogła, ale tobie bym tak nie napisała.

Wierzysz mi?

– Nie mów, że masz chłopaka – wydusza z siebie i unosi głowę. Zerka na Nina.

– Dlaczego mówisz tak, jakby to było jakieś nierealne? Masz niezły tupet. – Marszczę brwi. – Wprawdzie nie mam chłopaka, ale...

– Czyli nie masz. – Rozsiada się wygodnie na krześle i wzdycha z ulgą.

– Ale mogłabym mieć. – Nie chcę, żeby miał co do tego wątpliwości.

– Powiedzmy.

– Mogłabym.

– Teoretycznie.

Pewnie długo sprzeczałibyśmy się ze sobą, ale w rozmowę wtrąca się Sophia.

– Jeszcze razem nie tańczyliśmy. – Przyciska piersi do stołu i wyciąga rękę do Efesta. – Nie daj się prosić – dodaje przesadnie słodkim tonem.

Efesto odwraca głowę w moją stronę i pyta:

– Chcesz ze mną zatańczyć?

Sophia prycha, a mnie na chwilę zostaje odebrana zdolność mowy. Patrzę na niego i mam nadzieję, że nie ruszam ustami jak ryba, bo w tej chwili czuję się jak morski okoń. Taki, który zaraz dokona żywota.

– Co? Nie.

Idiotka. Chciałabym! Bardzo bym chciała. To spełnienie tych moich pragnień, o których jeszcze nawet nie zdążyłam zamarzyć!

Efesto wstaje od stołu, okrąża go i wyciąga dłoń w stronę Sophii, która wolno podnosi się z krzesła i posyła mi triumfalny uśmiezek. Patrzenie, jak obiekt moich westchnień kładzie rękę w zagłębieniu jej pleców, boli. A gdy zaczynają tańczyć, niespiesznie

przestępując z nogi na nogę, gdy Sophia opiera się na jego ramieniu, mam ochotę się rozbeczeć.

– Idę do toalety – oświadcza Alma. – I zobaczę, czy mają w domu bibliotekę.

Patrzę na jej oddalającą się sylwetkę i korzystam z okazji. Nikt przy mnie nie siedzi, więc sięgam do kieszeni swetra i wyciągam z niej telefon Efesta. Zdobyłam go podczas przytulania. Nie chciałam tego zrobić. To wydarzyło się samo. Połączenie stresu, podekscytowania, jakiegoś niedowierzania i o, stało się. Jęczę w duchu, widząc, że ekran zabezpieczony jest hasłem. Spodziewałam się tego, ale jakaś część mnie naiwnie wierzyła, że będę mogła poczytać wiadomości, lub przejrzeć zdjęcia w galerii.

Piosenka się kończy, więc komórka z powrotem ląduje w kieszeni. W moją stronę zmierza ta piękna para. Sophia wachluje się dłonią i ma rozanieloną minę. Efesto siada na krześle i nalewa wodę do szklanki. Pije, nie spuszczając ze mnie wzroku. A gdy ją odstawia, pyta:

– Zablokowany?

– Słucham?

Słyszę bicie swojego serca. To niemożliwe, by mówił o telefonie. Gdy tak patrzy i mruży oczy, stwierdzam, że wolę te krótkie, dwusekundowe spojrzenia. Mam ochotę narzucić na jego głowę obrus i uciec.

– Modliszka.

– Wiem, jak brzmi nazwisko mojej rodziny. – Śmieję się nerwowo, bo nie potrafię rozszyfrować wyrazu jego twarzy.

– Takie jest hasło. Możesz wpisać i zaspokoić ciekawość – cedzi wolno słowa. – Albo... – Otwiera dłoń. Przyglądam się jej i kładę

na niej swoją, a on wzdycha przeciągle. – Nie o to mi chodziło.

– To nie wiem, o co.

– Policzę w myślach do trzech, a potem nie będzie miło.

Wyciągam z kieszeni telefon i zwracam mu go, starając się zamaskować zdenerwowanie.

– Skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem. Przypuszczałem. Nabrałem pewności, dopiero gdy się tobie przyjrzałem.

– Bez sensu – wzdycham.

– To akurat jedyne, co naprawdę ma sens – mówi tajemniczo.

Chowa komórkę. Łączy nasze dłonie i opiera je na udzie. Wstrzymuję powietrze. Chcę, żeby ta chwila trwała wiecznie. Ja go po prostu kocham. – O czym myślisz? – Patrzy mi w oczy, zatracam się w jego ciepłym spojrzeniu, przekonana, że moje policzki płoną żywym ogniem.

– Nie powiem – odpowiadam. – A ty?

– O tym, że jesteś dla mnie otwartą księgą.

Uciekam wzrokiem, a on się śmieje. Podbiega do nas Niccolo.

– Gotti, Bommarito i Mancini już się zbierają. Musisz ich pożegnać. – Zerka na brata. – No i dlaczego nic jeszcze nie odwaliłaś, Etno? – Marszczy brwi. – Ile mam czekać? – Teatralnym gestem wyrzuca dłonie w górę.

– Zaraz wracam – oznajmia Efesti i wskazuje na mnie palcem.

– Nie ruszaj się stąd – dodaje.

Gdy tak mówi, tym bardziej mam ochotę się ruszyć. Rozglądam się, ale nie widzę Nina. Alma jeszcze nie wróciła, więc pewnie w domu znajduje się biblioteka. Zamierzam ją odnaleźć.

Kieruję się do wejścia na tyłach domu, bo nie chcę natknąć się na ochroniarza. Muszę znaleźć siostrę i porozmawiać z nią w cztery oczy. Oddać wisiołek i przeprosić, że byłam dla niej niemiła. A wtedy ona zrobi tak samo. Zawsze tak jest. Przechodzę przez oświetlony lampkami salon i staram się rozeznąć w układzie pomieszczeń.

– Alma! – wołam.

– Tu jest! – Słyszę głos Serafina. Przypominam sobie, jak na niego patrzyła, gdy przybyłam na przyjęcie i nie podoba mi się, że spędza z nim czas. Nie ufam mu za grosz.

Uchylam drzwi, przez które sączy się jasna poświata, przekraczam próg i zamykam je za sobą. Rozglądam się, ale nie dostrzegam siostry. Widzę za to Serafina, który przejeżdża palcem po grzbietach poustawianych w rzędzie książek.

– Gdzie Alma?

Nie wiem, ile lat ma Serafino, ale zwykle się mówi, że jest zepsuty do szpiku kości. W naszym kręgu jest to komplement. Odwraca się w moją stronę. Wystarczy jedno krótkie spojrzenie w jego oczy, bym nabrała pewności, że Almy tu nie ma. Przełykam nerwowo ślinę. Żałuję, że dostałam się do domu tylnym wejściem. Postąpiłam nierozsądnie, nie informując nikogo, dokąd się wybieram. Nikt nie wie, że jestem sam na sam z Serafinem Bommaritem. Gdy to do mnie dociera, robi mi się niedobrze.

– Słyszałam, że już wychodzicie z przyjęcia. Widziałam, jak odjeżdżało auto twojego ojca. Wracasz z bratem?

Śmieje się rubasznie, lecz po chwili poważnieje.

– Nie. Mój brat tu zostaje. Poświęcenie dla wyższej sprawy, czy coś.

– Nie rozumiem.

– Zapytałem dziś twojego ojca, czy zgadza się, żebyś została moją żoną, gdy skończysz dziewiętnaście lat i wiesz, co mi odpowiedział? – Przeczę. – Zaśmiał mi się prosto w twarz, a Selvaggio mu wtórował. – Podchodzi do mnie, dzielą nas od siebie milimetry. – Poczułem się znieważony. Mój ojciec, który był świadkiem tej zniewagi, zacisnął mocno pięści, a wiesz co to oznacza w naszej rodzinie?

– Nie – mówię, mimo że wiem doskonale. Staram się go odepchnąć. Serafino przyciska coś zimnego do mojej szyi.

– To tylko nożyk do otwierania listów. – Śmieje się drwiąco. – Trzęsiesz się jak osika, a przecież masz zostać głową swojej rodziny, gdy odstrzelimy twojego starego. – Sapie w moją twarz. – Powiem ci, jaki jest plan, a jest on bardzo prosty. – Styka nasze czoła. Czuję ciepłą, spływającą po szyi krew. – Wyrzniemy was w pień, a wasze udziały w spółce solnej będą nasze.

– Oprócz naszych rodzin w organizacji są jeszcze trzy inne. Nie macie szans.

– Nie mają interesu w chronieniu was. Jesteście najniżej w hierarchii. Pięć głupich córek. Przestraszonych dziewczynek, które nic nie wiedzą o przykazaniach. Jeden z punktów głosi, że sprawy honorowe klany załatwiają między sobą. Słyszałaś o tym?

– Czego chcesz? Na pewno dogadasz się z moim ojcem.

– Chciałem ciebie. – Całuje mnie czule w czoło. – Sugerujesz, że popełnicie zbiorowe samobójstwo? Myślisz, że się dogadamy? – kpi. – Teraz tego właśnie chcę.

– Selvaggio nam pomogą – mówię pewnie.

– Czego nie zrozumiałaś w punkcie, który przytoczyłem? To będzie wojna między Bommarito i La Mantide. Nie jesteście sprawą rodziny Selvaggio.

– Co z Alną? – Próbuję opanować drzenie głosu, ale niespecjalnie mi to wychodzi.

– Z kim? – Marszczy brwi, jakby nie wiedział, o kogo pytam. – A, z nią – mamrocze pod nosem. – Będzie robić za materac dla moich żołnierzy.

Staram się go kopnąć, ale blokuje moją nogę.

– Na pomoc! – krzyczę, a Serafino zatyka mi usta dłonią, a potem szepcze: – Ty pożyczysz najdłużej. – Znowu całuje mnie w czoło. – Bo cię kocham. – Mruży oczy. – Albo raczej udział w spółce, które dostałabyś w posagu.

Odsuwa się ode mnie i podbiega do okna, przez które wyskakuje. Wybiegam z domu i wrzeszczę:

– Nino!

Dotykam szyi i patrzę na zakrwawioną rękę. Biegnę przez ogród. Potykam się o przeciągnięte na ziemi kable i upadam. Zauważam ojca rozmawiającego z don Giorgiem.

– Tato! – wołam. Gdy mnie zauważa, robi krok w przód i zerka w bok. Podążam za jego spojrzeniem.

Grupa ubranych na czarno facetów idzie równym krokiem w moją stronę. Sprawiają wrażenie żywej tarczy. Moje przypuszczenie jest słuszne, bo gdy się rozstępują, zauważam między nimi Efešta. Przeładowuje broń i patrzy na gościa, który wpuszczał nas na teren posesji. Ten bez słowa zaczyna zasuwac bramę. Ojciec cofa się o krok. Jednak nie to jest najgorsze. Na krześle przy bramie siedzi Nino. Obserwuje mnie, ale nie jestem

w stanie wyczytać z jego twarzy żadnej emocji. Gdy opiera łokcie na kolanach i chowa twarz w dłoniach, jest to jeszcze trudniejsze. Przy nim stoi Antonio, brat Serafina.

Otaczają mnie żołnierze rodziny Selvaggio, a Efesto pyta:

– Z kim byłaś?

– Poszłam szukać Almy. Powiedziała, że idzie do biblioteki...

Śmieje się gorzko. Zakłada ręce na piersi.

– Nie takie było pytanie – stwierdza beznamiętnym tonem. Rozgląda się, a następnie, wskazując palcem na Nina, mojego ojca i brata Serafina, mówi: – Do domu. Ty, ty i ty. – Zerka na mnie i dodaje przesadnie słodkim głosem: – I oczywiście ty.

Podnoszę się z ziemi i patrzę na otaczających mnie ludzi. Mimo że nie jestem dotykana nawet palcem, czuję się popychana przez ich spojrzenia. Zmierzam w stronę domu. Ojciec nie jest w stanie wydusić słowa, a przecież powinien. Zachowuje się nie jak szef rodziny La Mantide, lecz jak posłuszny pies. Idę za resztą, aż w końcu wchodzimy do przestronnego gabinetu. Mężczyźni, których wcześniej nie widziałam, w skupieniu oglądają nagranie z monitoringu biblioteki.

– Wycisz dźwięk. – Efesto wydaje polecenie, za które jestem wdzięczna, bo nie chcę ponownie przeżywać tej rozmowy. – Podejź do mnie, Antonio – zwraca się do brata Serafina. – A teraz ty, kochanie. – Patrzy na mnie i, mimo że ton jego głosu jest łagodny, nie dostrzegam w jego oczach niedawnej czułości. Dlatego nie ruszam się z miejsca. Efesto zaciska szczękę i doskakuje do mnie w dwóch krokach. Zaciska rękę na moim ramieniu i przeciąga do miejsca, w którym stoi Antonio. Bierze w garść moje włosy, odsłania kark i siłą obniża głowę. – Co widzisz, Antonio?

– Etna ma wytatuowany wasz herb. Drzewo z literą „E” – stwierdza. – Co?! Tato, o czym on mówi? – Nie dowierzam. – Okłamałeś mnie! – Doznaję olśnienia. – Wmawiałeś mi, że tradycją naszego rodu jest naznaczanie pierworodnych dzieci, a to znak rodziny Selvaggio! Oszust... – wyduszam zawiedzioną.

– Jak myślisz, Antonio, co w tym przypadku oznacza ta litera? – Znow ten miły ton.

– To pierwsza litera twojego imienia – odpowiada cicho Antonio. – Ja nie wiedziałem, co planuje Serafino. Naprawdę. Przecież mnie znasz. Wychowywaliśmy się razem, jesteśmy przyjaciółmi.

Na moim karku zostaje złożony pocałunek, a gdy Efesto mnie puszcza, zerkam na ojca. Nasze spojrzenia się krzyżują, ale on odwraca wzrok. Pocieram szyję, a Efesto siada przy okrągłym stole.

– Mogę usiąść? – pytam. Czuję, że nie ustoję dłużej.

Gabinet wypełnia się jego śmiechem.

– Gdzie?

Wskazuję palcem na krzesło. Efesto śmieje się jeszcze głośniejsze.

– Nie ma w tym pokoju nikogo, z kim chciałbym siedzieć przy jednym stole – odpowiada z irytacją. – Siadaj na dywanie.

Po moim trupie padnę u jego stóp, a i to niekoniecznie.

– Nie odzywaj się do niej w taki sposób. – Nino odzyskał głos.

Efesto obdarza go przelotnym spojrzeniem. Tak jakby nie zasługiwał na poświęcenie mu większej uwagi. W przeciwieństwie do Antonia, który, mimo że nie odzywa się słowem, wzbudza największe zainteresowanie.

– Antonio, podejdz do tej ściany. – Wskazuje na czarną, wyraźnie odznaczającą się w jasnym pomieszczeniu. – Stań przodem do mnie, spójrz mi w oczy i powiedz, co widzisz.

– A co to, jakaś magiczna ściana? – Antonio sili się na żart, ale podchodzi i staje tyłem do niej. Wpatruje się intensywnie w Efesta.

– I co widzisz w moich oczach?

– Kompletnie nic.

Słychać wystrzał. Antonio leci w tył, uderzając głową o ścianę. Piszczę i krzyczę. Patrzę z niedowierzaniem na Efesta, a potem podbiegam do drzwi i szarpnię za klamkę, ale nie ustępują.

– On chce nas zabić! – Walę w nie pięściami. – Na pomoc! – Odwracam się i podbiegam do Nina. – Zrób coś. – Łapię go za nadgarstki, ale nawet nie drgnie. – Tato! Alma została porwana, a rodzina Bommarito chce nas zabić! – Potrząsam jego ramionami, a gdy odpycha moje ręce, osuwam się na dywan i chowam twarz w dłoniach.

– Spróbuj poprosić o pomoc mnie – odzywa się Efesto. – Nie odmówię ci. Wiesz już, że jesteś moją sprawą – mówi z satysfakcją. – Możesz już iść, Alfredo – zwraca się do ojca. – Nino cię odprowadzi. Pożegnaj się, Etno.

– Co?!

Ojciec robi w końcu krok w moją stronę. Wstaję, a wtedy kładzie dłonie na moich ramionach. Patrzy mi w oczy i mówi powoli:

– Zostaniesz tu. Trochę wcześniej niż było zaplanowane, ale tak trzeba.

– Co znaczy „niż było zaplanowane”? Na pewno tu nie zostanę. Co za niedorzeczność.

– Gdy się urodziłaś, zgodziłem się przekazać cię rodzinie Selvaggio w zamian za udziały w spółce wydobywającej sól. – Zerka na Efesta. – Musiałem zabezpieczyć naszą rodzinę, mieć coś pewnego, legalnego. Myśleliśmy z matką, że urodzi nam się chłopiec. Z synem byłoby zupełnie inaczej – wzdycha.

Nie mogę w to uwierzyć. Wychwalałam go w myślach, gdy Serafino powiedział, że wyśmiał on jego prośbę, dotyczącą ślubu ze mną. Teraz wszystko jest jasne. Nie zrobił tego, bo chciał mi dać wybór, lecz dlatego, że już wcześniej postanowili za mnie.

– Jak mogłeś – szepczę. – Nie zgadzam się. Wytrę ten tatuaż choćby pumeksem! Nie należę do nikogo!

– Obowiązkiem naszej rodziny jest chronić cię do momentu zamążpójścia, ale jak widać, nie jesteśmy w stanie zapewnić ci należytej ochrony. Teraz, gdy Bommarito wypowiedzieli nam wojnę, a Alma została porwana, nie mogę ryzykować jeszcze zemsty rodziny Selvaggio. Ich odwet byłby nieunikniony, gdyby nie udało mi się utrzymać cię przy życiu do momentu przekazania – tłumaczy. – Dlatego proszę, żebyś tu została i nie narażała rodziny. Nie dokładaj nam problemów – mówi wprost.

– Ja chcę mieć wybór i będę go mieć! Jestem wolna! – Łzy zbierają mi się pod powiekami. To najgorszy dzień w moim życiu.

Efesto wstaje od stołu. Rzucam się na niego z pięściami, ale przytrzymuje mnie za ręce i przyszpila do ściany.

– Zatem chcesz mieć wybór – zauważa słusznie, patrząc mi w oczy. – Masz go. Możesz zostać tu, a ja sprawię, że włos ci z głowy nie spadnie. Możesz wyjść z ojcem i zadbać o siebie sama. Musisz

jednak wiedzieć, że jeśli Bommarito zdecydują się sprzątnąć tylko ciebie, to ja i tak zemszczę się na twojej rodzinie, bo nie dotrzymają danego mi słowa, czyli nie dostarczą cię pod moje drzwi w odpowiednim momencie. Finał będzie ten sam. Co wybierasz? – Przejeżdża palcem po rozcięciu na szyi. – Życie czy śmierć?

– Wychodzę.

– Czyli to drugie. – Cmoka.

– A jeśli zostanę, to zapewnicie ochronę mojej rodzinie? – Mogę poświęcić się tylko dla sióstr. – Pomożesz im z rodziną Bommarito?

– Oczywiście, że nie. – Uśmiecha się, ale jego oczy nie wyrażają radości. – Jaki miałbym w tym interes? – Stuka mnie palcem w nos. – To, że Bommarito załatwią twoją rodzinę i położą łapę na waszej części, jest mi na rękę, głuptasku.

– Nie masz serca.

– Nie ma szans, żebyście wyszli z tego cało. Proponuję ci życie pod moim dachem, a ty mówisz, że nie mam serca? Ono właśnie krwawi, Etno. – Przekrzywia głowę. – Nie mogę zatrzymać cię tu siłą. Formalnie należysz jeszcze do klanu La Mantide. Chciałem być po prostu miły. – Śmieje się w głos.

– Jakoś do tej pory przeżyłam bez twojej pomocy i ochrony. – Unoszę brodę. – Damy sobie radę. Niczego od ciebie nie chcę. Ni – cze – go – sylabizuję dobitnie.

– W porządku. W takim razie miło było cię poznać. – Robi smutną minę, ale jestem pewna, że jest ona wymuszona. – W przypadku, gdybyś postanowiła zbudować bunkier i ukrywać się przed rodziną Bommarito, to widzimy się za kilka miesięcy. Będę

czekać – zapewnia. – Przysięga jest świętością. – Schyla się i przejeżdża językiem po rozcięciu na mojej szyi. Nabieram powietrza, a moje spojrzenie krzyżuje się ze wzrokiem Nina. – Wkrótce inni też poznają smak tej krwi – szepcze mi do ucha Efesto. – Trochę mi z tego powodu smutno, a trochę nie.

– Przestań. – Nino kładzie dłoń na jego ramieniu.

Efesto cofa się o krok. Przez chwilę dostrzegam na jego twarzy ten smutek, o którym wspominał, ale trwa to ułamek sekundy, bo potem wrzeszczy:

– Zawołaj szefa! Niech słowu stanie się zadość. – Nie spuszcza mnie z oka. – A potem, Nino, usiądź przy stole – dodaje ciszej.

Mój ochroniarz wychodzi. Wraca po chwili z Giorgiem Selvaggiem. Efesto zwraca się do mnie:

– Powtarzaj za mną. Ja, Etna La Mantide, zrzekam się pomocy i ochrony Efesta Selvaggia. To moja świadoma decyzja. Jestem gotowa ponieść konsekwencje wynikające z dokonanego wyboru. – Akcentuje ostatnie słowo, a ja powtarzam tekst, marząc o tym, żeby już stąd wyjść.

– Zatwierdzam – odzywa się don Giorgio. – A teraz wypierdalać z mojego domu. Mam dość waszego syfu.

Wychodzi, trzaskając drzwiami.

– Chodź, Nino. Wracamy do domu. – Macham do niego, a Efesto znów się śmieje. Bardzo mnie tym denerwuje.

– Zrzekłaś się mojej ochrony, kochanie – stwierdza. – Chyba nie myślałaś, że twoja rodzina dysponuje człowiekiem tak skutecznym jak Nino? Do dwunastego roku życia twój ojciec nie potrafił utrzymać cię w ryzach i zapewnić bezpieczeństwa, więc wysłaliśmy do was Nina. To był mój prezent, wasza szansa, ale

powiedziałaś, że niczego ode mnie nie chcesz, a kimże bym był, gdybym na siłę starał się ciebie uszczęśliwić? – Robię wielkie oczy. – No już, idź budować ten bunkier. – Przegania mnie ręką, jak uprzykrzoną muchę.

Podbiegam do Nina. Wstaje, a wtedy go przytulam. Nie odwzajemnia tego uścisku, trzymając ręce w górze. Odsuwam się. Efesto stoi oparty o biurko. Nogi ma skrzyżowane w kostkach, a ręce założone na klacie. Zajmuję miejsce przy stole i patrzę na niego wyzywająco.

– Kurwa, kurwa, kurwa. - Siedzę przy stole i mówię: „Kurwa” – informuję go. – Mówię, bo mogę, bo jestem wolna! – wrzeszczę. – A teraz żegnam. A, i nie myśl sobie, że wkrótce się tu pojawię, bo tak trzeba! – Zrywam się na równe nogi, a wychodząc, potykam się o leżącego Antonia.

W korytarzu Niccolo tańczy ze swoim cieniem i nuci coś pod nosem. Gdy mnie zauważa, uśmiecha się szeroko.

– Nie zawiodłaś mnie, bratowo! Świetna impreza. – Unosi kciuk.

– Zamknij się! – Tupię nogą i wybiegam do ogrodu, w którym czekają rodzice i siostry.

Niccolo odprowadza nas, podśpiewując:

– Etna wybuchła. Będą trupki, będą trupki.

Ostatni raz odwracam się i spoglądam na posiadłość. W oknie widzę Efesta. Macha na pożegnanie.

Powalona rodzinka.

Gość, który nas wypuszcza, przechyla głowę i mówi: – Żegnaj, Etno.

Biegnę za ojcem. Wygląda jakby uszło z niego całe powietrze. Łapię go za ramię.

– Przyrzekam, że zrobię wszystko, żeby chronić naszą rodzinę. Popatrz na mnie! – Odpycha moją rękę. – Jestem twoją córką!

Odwraca się i syczy przez zaciśnięte zęby.

– Jesteś idiotką. Jesteś kłopotem. Tym dla mnie jesteś.

Przyspiesza kroku, więc i ja to robię. Wisiołek Almy uderza o mój dekolt. W momencie, w którym zaciskam na nim dłoń, słyszę wystrzał.

¹ *Capofamiglia* (wł.) – głowa rodziny, szef. Najwyższe stanowisko w strukturze mafijnego klanu.

² *Don* - tytuł grzecznościowy, używany m.in. w odniesieniu do głów włoskich rodzin mafijnych.

ROZDZIAŁ 2

Słyszę huk wystrzału, więc zerkam na Nina, który wybiega z gabinetu, żeby sprawdzić, kto nie pojawi się na kolejnym przyjęciu.

Korzystając z chwili samotności, nachyliłam się nad Antoniem. Patrzę na dziurę w jego czole. W głowie dudnią mi słowa: „Wychowywaliśmy się razem, jesteśmy przyjaciółmi”. I nic. Nic nie czuję. Ludzie w obliczu śmierci mówią różne rzeczy. Tylko po co?

Ach, już wiem.

Wybór. Od niego wszystko się zaczyna i na nim kończy. Mając go, ma się poczucie wolności. Walczy się o nią przez całe życie i w każdej sytuacji, a gdy jest się pewnym, że pojęło się jej istotę, jej sens, wychodzi na to, że jest uwarunkowana czymś więcej niż zwykłym chciejstwem. Ta mała, gorąca głowa myśli, że jest wolna, a jest po prostu głupia. Pewnie cieszy się, że zrzuciła w jej mniemaniu kajdany, o których aż do dziś nie wiedziała, a w istocie były jedynie cienką nitką. Nie jest świadoma, że w momencie opuszczenia naszej posesji, zamknięcia za nią bramy, została spętana od stóp do głów, a węzły z każdym jej ruchem będą zaciskać się coraz mocniej, powodując odrętwienie. Będzie czuć, że coś ciągnie ją w dół, że ciąży cholernie i tak będzie, bo odpowiedzialność to ciężka kula. A w naszym świecie za złe wybory płaci się najwyższą stawkę.

Przyglądam się piegom na połamanym wielokrotnie nosie Antonia.

– Konsekwencje – mówię, przymykając jego powieki. – Szliśmy przez lata tą samą drogą i było kurewsko sympatycznie, mimo że nieraz bolały nogi i ścieżka prowadziła nad przepaścią. Widziałeś, że z każdym stawianym przez nas krokiem stawała się coraz węższa i pewne było, że w końcu któryś z nas odpadnie. Trafiło na ciebie. Nadepnąłeś na ten przeklęty odcisk.

– Możesz przestać wygłaszać te swoje pożegnalne mowy? – Unoszę wzrok i widzę szczerzącego się Niccola. – To jest *creepy*. – Robi wielki krok, żeby przejść nad Antoniem i zakłada rękawiczki. Za nim wchodzi Nino. – A to niby ja jestem tym najbardziej pojebanym w rodzinie. – Rozkłada na podłodze worek. – Pomożesz go wturlać? – Prycham na tę niedorzeczność. – A ty? – zwraca się do Nina, ale on zdaje się nie słyszeć pytania. – Co z nim robimy?

– A co robi się z przyjaciółmi, gdy impreza się kończy? – pytam.

Oczy Niccola błyszczą, a ja się śmieję. Spoglądam na Nina, bo jego milczenie działa na mnie jak płachta na byka. Stoi przed oknem i mógłbym powiedzieć, że wypatruje chuj wie czego, ale wiem aż za dobrze, kogo chciałby ujrzeć. Jej wysokość królową Etnę.

– Etna śpi – stwierdza Niccolo, a Nino odwraca głowę w naszą stronę – ale czasem daje niezły popis. – Puszczą do mnie oczko. – Oczywiście mówię o wulkanie. – Zaciska usta, żeby nie parsknąć śmiechem i przygląda mi się dłużej, niż bym sobie tego życzył. – Twoja Etna ma się dobrze. Chyba chcieli ich tylko nastraszyć. Szyba w aucie do wymiany – informuje.

– Jeszcze.

– To wszystko, co wiem – dodaje Niccolo.

– Jeszcze ma się dobrze, jeszcze żyje, o to mu chodziło – wtrąca się Nino i przejeżdża dłonią po włosach.

– Nie będę się kłócił. – Brat wzrusza ramionami. – Zgadzam się – stwierdza sucho, a potem wybucha śmiechem. – Nino, wiesz, co znaczy imię Efestos?

– Tak, Hefajstos.

– No i on pracował w Etnie, nie? – Uderzam go ręką w głowę. – Spokojnie. – Podnosi się i zaczyna biegać po gabinecie, myśląc zapewne, że będę go gonił. – Jest minimalna, ale jednak szansa, że będziesz miał kiedyś okazję popracować w Etnie. – Unosi palec, oczekując uwagi. – Wymyśliłem to na poczekaniu. Taka gra słów – dodaje.

Nino chowa twarz w dłoniach, a ja patrzę na mojego brata pajaca, a potem na nadgarstek, na którym mam zegarek. A raczej powinienem mieć. Zapomniałem, że mała kleptomanka ściągnęła mi go, gdy przyciskałem ją do ściany. Nie wiem, czy często to praktykuje i jak przedstawiają się jej statystyki, ale jeśli świetnie, to więcej niż pewne, że ofiarą padają jedynie sparaliżowani. Nie da się nie wyczuć dotyku jej natrętnych palców. Ewentualny sukces w tej dziedzinie mógłbym zrzucić na dziewczęcy urok, ale tego ewidentnie brak. Tylko z nazwiska jest kuszącą swym wdziękiem modliszką. Myśli może, że ma farta, ale nawet największy nie wystarczy, żeby uniknąć serii z pistoletu maszynowego. Trochę mi z tego powodu smutno, a trochę nie.

– Co to? Też to słyszycie? – pyta Nino, a Niccolo zatyka uszy.

– To ojciec – wyjaśnia. – Co roku, w rocznicę śmierci naszej matki, słucha arii z opery Ruggera Leoncavalla *Pajace*. – Chrząka

i dodaje: – „Śmieję się, pajacu, choć bolejesz niezmiernie. Śmieję się, choć ból rozrywa twe serce”³ – cytuję i patrzy na mnie sugestywnie, a gdy nie odwracam wzroku, sam to robi.

– Pora spać – mówię. – Dopilnuj, żeby to – wskazuję na Antonia – zniknęło, a potem zajmij pokój gościnny – zwracam się do Nina. – Jutro po mojej oficjalnej przysiędze będę miał dla ciebie niespodziankę.

Widzę, jak drga mu krtań, gdy przełyka ślinę.

– Nie żebym je lubił – mamrocze pod nosem.

Wzruszam jedynie ramionami i wychodzę z gabinetu, a za mną idzie Nicco.

Siedzący na kanapie w salonie ojciec odwraca głowę, gdy stawiam stopę na pierwszym stopniu schodów prowadzących na górę.

– Jutro ważny dzień – informuje, przypatrując mi się intensywnie. – Z samego rana kowal dostarczy zegadło – wzdycha i dodaje: – Jeśli podtrzymujesz swoje zdanie.

– Dlaczego bym nie miał?

Śmieje się drwiąco, a ja, znudzony niemającą końca zabawą w „kto jest najmądrzejszy w rodzinie”, czekam, aż przestanie.

– Jutro masz zostać moim zastępcą, a ty pytasz dlaczego? – Jeszcze donośniejszy śmiech. – Może dlatego, że szansa na dostarczenie tej dziewczyny pod nasze drzwi jest zerowa? – Ojciec ustawia ponowne odtwarzanie muzyki, zerka na Nina i Bernarda, którzy wynoszą ciało z gabinetu, i kontynuuje: – Wiesz, co powiedział ten żaloszny Canio z opery *Pajace*, gdy wypuścił z dłoni zakrwawiony sztylet?

– Komedia się skończyła – zgaduję. Ojciec znów się śmieje, więc patrzę na niego pytająco.

– „Kto za to płaci, ten śmiać się prawo ma. Chociaż ci dziś porwali Colombineę, śmieję się, pajacu, a tłum oklaski da”⁴ – przytacza słowa opery.

– Jeszcze wcześniej było „wdziej maskę, błażnie, za rumieniec weź szminkę”⁵ – wtrąca Niccolo.

– A więc komedia się skończyła, ale przedstawienie wciąż trwa – rzuca surowo ojciec i patrzy przy tym prosto w moje oczy. Jest jedyną osobą, z którą nigdy nie wygrałem walki na spojrzenia, ale i nie przegrałem, bo sam nie uciekam wzrokiem.

Macha ręką w geście nakazującym zejść mu z oczu. Wzdycham z ulgą, bo nie przepadam za jego ekscentrycznymi gadkami, a w dniu takim jak ten szczególnie. Staram się nie skupiać na sensie wypowiedzianych przez niego słów, nie analizować, bo nie chcę zaśmiecać głowy. Rozpraszenie myśli to ostatnie, na co mogę sobie pozwolić.

Idziemy na górę. Słyszę tupot małych stóp, a po chwili, z szybkością tasmańskiego diabła przebiega między nami nasza ośmioletnia siostra Chiara. Zerka na mnie przelotem, potyka się, otwiera buzię i leci. Łapię ją w pasie i przerzucam przez ramię. Wierzga nogami i piszczy.

– Ty to masz refleks. – Niccolo przewraca oczami. – I po co? – Macha rękami. – Jestem za naturalną eliminacją gap.

– Niccolo, a co to znaczy eliminacja? – pyta Chiara.

– Usuwanie.

– To ja cię wyeliminowałam. – Śmieje się. – Z rodzinnego zdjęcia, które stoi na kominku. Z innej fotografii pożyczyłam

twarz Efesta i przykleiłam ją na twoją szyję – tłumaczy, a Niccolo patrzy na mnie i kręci palcem przy skroni, sugerując, że nasza siostra jest szurnięta. – Dzięki temu Efesto jest podwójny. Jego kocham najmocniej. – Wtula się we mnie. – Jest miły, kochany i dobry – wymienia, a Niccolo wykonuje gest podrzynania gardła, potem składa dłoń imitując pistolet i strzela na niby. – I jest najlepszym człowiekiem na całym świecie. – Brat udaje, że skręca sobie kark.

– Masz rację – odpowiada jej. – Cały on. – Uśmiecha się pod nosem. – Kropka w kropkę, kurwa.

Chiara zasłania uszy, ale Niccolo więcej nie przeklina. Gdy przechodzimy obok pokoju Ferra, puka do drzwi. Czekamy na niego. Po chwili wychodzi z poduszką pod pachą i wielką kosmetyczką w ręce.

– Już prawie zasnąłem i to bez nitkowania zębów. – Ma przerażony wyraz twarzy. – Wziąłem szczoteczkę manualną, żeby was nie budzić warczeniem elektrycznej.

Ferro ma dziewiętnaście lat i jest maniakiem czystości. Nie tylko osobistej. Nidzie nie rusza się bez żelu antybakteryjnego, chusteczek nawilżanych i szczoteczki do zębów. Pamiętam, że kiedyś był normalny. Teraz jest po prostu zjebany. Nieustannie boi się, że zostawi na czymś odciski palców. Zawsze związuje włosy w ciasną kitkę i dostaje kurwicy, gdy któryś z kosmyków nie poddaje się jego woli. Mówimy na niego „dentysta”. Bynajmniej nie dlatego, że tak dobrze dba o swoje zęby. On perfekcyjnie wyrywa cudze.

Po drodze musimy jeszcze zgarnąć Ivo. Podpiera ścianę i czeka, aż się z nim zrównamy. Ma minę, jakby szykował się na ścięcie.

Wiecznie znudzony, zblazowany wyraz twarzy. Jest rok młodszy od Ferra i za wszystko przeprasza. O nim jestem w stanie powiedzieć najmniej, bo rzadko kłapie jadaczką. To akurat zaleta. Nie uśmiecha się, nie złości. Czasem wyczuwam jego obecność, ale go nie widzę. Zapewne dlatego, że wszędzie montuje kamery. Śledzi każdy ruch. Chuj wie, kto mieszka w tym ciele. Rozwodziłbym się nad tym, gdybym odczuwał potrzebę. W innym przypadku nie chcę tego robić. Odrywa się od ściany i idzie za nami.

– Bardzo chce mi się spać – odzywa się Chiara.

– A zęby umyłaś? – pyta Ferro.

– Tak, wczoraj.

Krzywi się i patrzy na naszą siostrę, jakby była największą, najobrzydliwszą bakterią. Gdy stajemy przed drzwiami mojego pokoju, bracia odwracają się tyłem, bo muszę wpisać kod.

– Już – mówię.

– Obawiasz się zdradzić PIN od zewnętrznego panelu, bo sądzisz, że pod twoją nieobecność będziemy podbierać ci koszule? – pyta głupio Niccolo. Nie odpowiadam, więc kwituje: – A chuj – Chiara znów zakrywa uszy – kiedyś zemdlejesz i zanim zdetonujemy te pancerne wrota, kipniesz.

– Ale wróżba. – Ferro zgrzyta zębami.

– Przepraszam, czy mogę wejść pierwszy? – pyta Ivo, a gdy wzruszam ramionami, przekracza próg. Niccolo znów kręci palcem przy skroni, a Ferro przejeżdża językiem po zębach.

– O, wszędzie jej szukam! – wykrzykuje Letizia, opiekunka Chiary. Zmierza w naszą stronę i zabiera siostrę z moich rąk.

Mała protestuje i obdarza mnie błagalnym spojrzeniem. Krzywię się, bo nie lubię, gdy to robi. Naprawdę tego nie znoszę.

– Ciekawe, czy ciebie ktoś będzie szukał. – Niccolo zastanawia się głośno i patrzy na Letizję, mrużąc oczy.

– Przekonamy się, gdy jeszcze raz spuści młodą z oczu – dodaje Ferro i zerka na zegarek. – Idź już – zwraca się do niej.

Letizia kręci głową, bierze Chiarę za rękę i oddalają się od nas szybkim krokiem.

Wchodzimy do środka. Zatrzasnę za nami drzwi. Rozlega się sygnał blokowania zamka, a po chwili drugi - aktywowania zewnętrznego czujnika. Od tej chwili z pokoju mogą wyjść tylko ci, którzy znają kod dezaktywacji alarmu od wewnątrz. Czyli nie ja. Mają go jedynie moi bracia. Jest ich asekuracją, wyjściem awaryjnym, ostatecznym ratunkiem w beznadziei, która może pochłonąć nas wszystkich. PIN umożliwiający otworenie drzwi od zewnątrz poza mną zna tylko dwóch zaufanych ludzi. Łączę się z jednym z nich, gdy chcę opuścić pokój. Wszystko po to, by historia nie zatoczyła koła. Żeby drzemający we mnie potwór, balansując na granicy snu i jawy, spadając w przepaść, nie pociągnął za sobą niewinnych, nieświadomych zagrożenia osób. Stosowane środki bezpieczeństwa nie są fanaberią. Są koniecznością. To coś, kołysane w matczyńskich ramionach, mieszkające w mojej głowie... jest naprawdę groźne. I złe. Bardzo, kurwa, złe.

Raz w roku, w moje urodziny, a jednocześnie w rocznicę śmierci naszej matki, jestem wolny. Zrzucam wtedy kajdany, które jak zimne, nieczułe ręce obejmują mnie co noc. A kiedy próbuję wyrwać się z chłodnych macek i przejąć kontrolę, ranią, barwiąc pościel czerwienią. Ślady na nadgarstkach są jak piętno, jak cień,

którego pozbyć się można tylko w jeden sposób. Są ceną, którą płacę za bycie zabójcą. Od kilku lat bracia dają mi ten sam prezent. Jest nim ich obecność tu, ze mną. To akt odwagi albo głupoty. Skłaniam się ku temu drugiemu. Muszą mi naprawdę ufać, wierzyć, że nie mam ukrytej żadnej broni, której bez zawahania mógłbym użyć przeciwko nim, gdy *ona* zbudzi mnie ze snu.

Kładę się na łóżku i opieram głowę o zagłówek. Ferro przegląda zawartość kosmetyczki i wyciąga z niej ochraniacz na zęby.

– Co? Dziwne? – Zerka na mnie i kręci głową. – Śpij już. Miejmy to za sobą – dodaje.

– Dobranoc – mówi Niccolo, a ja parskam wymuszonym śmiechem.

– Dobranoc? Serio? – wtrąca Ferro. – Co niby masz na myśli, życząc mu dobrej nocy? A może to nie było do niego, tylko życzysz jej nam? Bardziej by, kurwa, pasowało.

– Tak się po prostu mówi, idioto. Są jego urodziny. Bądź miły. – Niccolo się szczyrzy. – A ty co tam robisz? – Staje za plecami Ivo, a ten szybko przymyka klapkę laptopa. – Książkę piszesz?

Ferro uderza dłońmi w uda i zanosi się śmiechem.

– Kurwa, nawet wiem jaką! Już widzę ten tytuł. – Unosi ręce i przesuwają nimi w powietrzu. – *Savoir-vivre według Ivo Sellvagia. Kolejność użycia sztuców podczas egzekucji* albo *Jak kulturalnie zabić człowieka*. Albo *Przepraszam, chcesz wpierdol? Świat według Ivo*.

Niccolo przybija mu piątkę. Sam mam ochotę to zrobić, ale nie chce mi się wstawać. Człowiek zagadka patrzy na nas, ale nie

wiem, czy jest rozbawiony, czy wkurwiony. Wiecznie ten sam wyraz twarzy. Mimo to czasem dostrzegam w jego oczach coś, czego nie potrafię do końca zdefiniować. Coś, co wydaje mi się znane, a jednocześnie obce. Być może widzę w nich swoje odbicie. A może nie.

Przymykam powieki. Nie przypinam rąk do ramy łóżka, licząc na to, że bracia poradzą sobie ze mną, gdy jawa zmiesza się ze snem. Świadomość, że czekają aż zasnę, doprowadza do tego, że ta prosta czynność, z którą inni ludzie nie mają zwykle problemów, sprawia mi trudność. Gdyby ktoś zapytał mnie, kiedy wypoczywam, odpowiedziałbym: „Nigdy”.

„Nigdy nie mów nigdy”, to było ulubione powiedzonko naszej matki. Ale ona była mądra.

A zaraz po nim: „Nigdy nie żałuj tego, co zrobiłeś, jeśli robiąc to, byłeś szczęśliwy”. Nie zdążyłem zapytać, czy jeśli robiąc coś, nie jestem szczęśliwy, lecz, gdy już to zrobię, to jestem, to dobrze czy źle? A szkoda, bo ona była taka, kurwa, mądra.

Wybucham niekontrolowanym śmiechem, bo tak mnie to bawi. Otwieram oczy. Niccolo i Ferro odpadli, zanim zawody rozpoczęły się na dobre. Marne z nich niańki. Ivo siedzi rozkraczony na krześle. Śledzi każdy mój ruch. Pilnuje, myśląc zapewne, że jest w stanie w pojedynkę ujarzmić drzemiącą we mnie bestię, gdy ta obudzi się ze snu. Wstaje. Bierze ze stolika laptop i podchodzi do łóżka. I znów się gapi. Unoszę pytająco brew, a on przekręca czapeczkę na głowie.

– Mam dla ciebie prezent. – Potrząsa laptopem. Nie odzywam się, więc dodaje: – Nie żebym bardzo się starał, żeby sprawić ci przyjemność. Pięć minut roboty.

– Kurwa, kolejny – jęczę.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. – Zaciska palce na obudowie.

– Zrobiłeś dla mnie laurkę?

Milczy. Kładzie laptop na narzucie, najeżdża kursorem myszki na okienko, powiększa obraz i wraca na krzesło. Mija chwila, zanim orientuję się, na co patrzę, na kogo.

– To w czasie rzeczywistym – mówi. – Obraz zniknie, jeśli zamknie się klapkę laptopa – tłumaczy. – Może to ci pomoże.

– Niby w czym? – drażnę temat, a Ivo wzrusza ramionami. – Jak to zrobiłeś?

– A ty jak to robisz, że potrafisz tak pokierować rozmową, że zawsze uzyskujesz to, czego pragniesz? – pyta beznamiętnym tonem.

Przysuwam laptop bliżej i kładę się, podpierając głowę ręką. Obserwuję tego wyszczekanego lenia, który zamiast budować bunkier, śpi w najlepsze. Tylko głupia osoba jest w stanie spać, gdy kat ostrzy siekiere. Z drugiej strony umrzeć głupim czy mądrym, jeden chuj. Patrzę na śpiącą Etnę. Kosmyk czarnych włosów opada jej na powiekę, więc odruchowo dotykam ekranu. Dociera do mnie, że nie jestem w pokoju sam. O ile dwóch moich braci kpi z niebezpieczeństwa, to jest jeszcze Ivo. Świadomy zagrożenia, najdzielniejszy strażnik.

– Idź spać – rzucam krótko.

– Nie mogę – odpowiada.

Podsuwam się bliżej zagłówka i zaciskam kajdanki na nadgarstkach.

– Teraz już możesz.

Wzdycha i naciąga daszek czapeczki na twarz. Po raz kolejny zerkam na ekran laptopa i wstrzymuję oddech. Etna patrzy prosto na mnie. Ma wielkie, brązowe oczy, które teraz niebezpiecznie błyszczą. Przez chwilę czuję się nieswojo, bo mam wrażenie, że nie dzieli nas żadna bariera. Zatracam się w przepelnionym strachem spojrzeniu. Nie bój się, nigdy nie jestem bardziej bezbronny niż w nocy. Drżącą dłonią ociera mokre od łez policzki. Ma powody do płaczu. Etna. Zero energii, żaru, niepokoju. Co będzie, gdy w końcu wybuchnie? Nic, bo to się nie stanie. Trochę mi z tego powodu smutno, a trochę nie. Nie kłamałem, gdy mówiłem, że jest jak otwarta księga. Na jej twarzy widoczne są wszystkie emocje. Dezorientacja aż razi w oczy. Krzywię się. Mdli mnie. To w chuj niestrawny prezent. Ucieszyłbym się, gdybym zobaczył determinację, ale dezorientację? Fuj.

Amok. Pot spływa mi po skroniach. Pędzę przez hol, podążając za jej głosem.

– Tu jestem! – nawołuje.

Głos odbija się echem od białych ścian, na których wiszą zdjęcia członków naszej rodziny. Biegnę. Pot szczypie w oczy. Wpadam na Carina, naszego ochroniarza. Zderzam się z jego szerokimi plecami, a gdy się odwraca, przecieram oczy. Ma jej twarz. Oblicze mojej matki.

– Pamiętaj – mówi nauczycielskim tonem. – Zabiorę ci to, co kochasz najbardziej.

Śmieję się. Tak bardzo, że sam już nie wiem, czy ścieram rękawem pot czy łyżę rozbawienia. A wtedy ona zbliża się do mnie i cytuje tekst z opery „Pajace”:

– Śmieję się, choć serce twoje pławi się we krwi.

A ona jest wszędzie. Krew. Na podłodze, meblach, spływa po zdjęciu Chiary. Naciskam spust i wszystko się zmienia. Wszystko się zmienia.

– Trzymaj go, do cholery!

Słyszę głos Niccola i czuję ciężar na piersi. Otwieram oczy i patrzę zdezorientowany na przyciskających mnie do materaca braci.

– Zabiłem Carina – stwierdzam.

– No, stało się, ale to było wieki temu – sapie Ferro.

– On miał twarz matki. – Przymykam oczy. – Dlatego go zabiłem.

– Młody, leć po wodę. – Niccolo wydaje instrukcję. – On jeszcze się nie obudził.

Chwilę później zostaję nią polany. Pomału odzyskuję świadomość. Zbaczam z urojonej ścieżki, czując spływający po skroniach pot. A może to jednak krew? Carino. Lubiałem go. A mimo to, błądząc w sennej mgle, odebrałem mu życie. Nieodpowiednie miejsce i czas, przerwa w dostawie prądu, rozbrojenie alarmu. Więcej nie trzeba, by uwolnić bestię. Gdybym w tamtym okresie przypinał się kajdankami do ramy łóżka, miałbym na sumieniu jedno życie mniej. A raczej dwa, bo uśmierciłem też Lorenza, z tą różnicą, że nie byłem do niego szczególnie przywiązany. Dlatego teraz mimo instalacji awaryjnego źródła zasilania, zabezpieczam się podwójnie. Spanie kojarzy mi się z kajdankami, ograniczeniem, śmiercią. Nic przyjemnego. Wyższa konieczność.

– Poduszki we krwi, no kurwa, miał spać dzisiaj nieprzypięty!

– wrzeszczy Niccolo. – A my mieliśmy nie zasypiać i go pilnować. –

Sprawia wrażenie zakłopotanego. – Wszystko na opak.

– Co ty nie powiesz – burczy Ferro. – Dostałem w zęby! – Wsadza palec do gęby i sprawdza, czy wszystkie są na swoim miejscu. – Za rok się na to nie piszę. Chyba że nogi też będą przypięte – sepleni, bo wciąż trzyma palec w ustach.

– Idźcie stąd – mówię.

– To jakieś powalone. – Niccolo przygląda mi się wnikliwie, nie zważając na moje polecenie. – Te twoje sny.

– No, geniusz z ciebie. – Ferro przewraca oczami. – Jakby nie były i by się tak nie zachowywał, to chyba nie musielibyśmy barykadować się w nocy, żeby nas nie dopadł? Nie bez powodu przykuwa się do łóżka, co? – Uderza Niccola w głowę.

– Ja wiem, że widziałeś, jak ktoś zabija naszą matkę i to w chuj przykre, ale weź się ogarnij. – Nicco przeczesuje włosy palcami. – Już dwóch ludzi straciliśmy, bo mieli jej twarz, a nie byli tego, kurwa, świadomi i postanowili pospacerować w nocy po domu. Zrozumiałbym, jakby mieli mordę kogoś, kogo szczerze nie trawisz, ale naszej matki? Chyba słyszysz jak to brzmi?

Zadaje pytanie, na które nie zamierzam odpowiadać. Dla mnie to brzmi normalnie. Patrzą na Ivo. Nie zwróciłbym na to uwagi, jeśli dotyczyłoby to kogoś innego, ale w jego przypadku mimika jest mocno ograniczona. Gdy słowa: „kogo szczerze nie trawisz” opuściły usta Nicca, mięsień przy powiece Ivo drgnął, a to oznacza, że muszę mieć go na oku.

– Rozpiąć cię teraz, czy rano połączysz się z ochroną? – pyta Ferro i zerka na przycisk interkomu ulokowany nad zagłówkiem.

– To pierwsze i wyjdźcie już.

Rozpina mi kajdanki, a Nicco w tym czasie rozbraja alarm. Wychodząc, nie zamykają za sobą drzwi. Nie zamierzam już się kłaść. Mój organizm przyzwyczaił się do niewielkiej dawki odpoczynku, chociaż chciałbym wrócić do czasów, gdy przesypiałem całą noc i miałem pewność, że nie będę adresatem czyjś *ostatniego spojrzenia*. Teraz nie mogę dać takiej gwarancji. Podobno potwory nie odczuwają strachu. To bujda. Ja boję się spać. Obawiam się tego stanu zawieszenia między jawą a snem. Tego jak działa mój umysł. Swojej nieobliczalności, niepoczytalności. A najbardziej tego, że lewitując w błędnym stanie świadomości, zabiję kogoś, kogo kocham najbardziej.

Szykuję ubrania, które założę na przysięgę i uroczystość oficjalnego przyjęcia do klanu. Jutro formalnie stanę się zastępcą ojca, prawą ręką. Nie jestem najstarszym synem, więc jego wybór jest zagadką. Wierzę, że kieruje się właściwymi pobudkami i powierzy mi tę funkcję, bo stanowią najlepszą z możliwych opcji, a nie z powodu łączącej nas tajemnicy. Nie musi się obawiać. Nigdy jej nie zdradzę. Dobro rodzeństwa jest dla mnie priorytetem. Nie wyjawię sekretu, nawet jeśli byłby to jedyny sposób na to, bym w końcu mógł się wyspać. Niektóre historie nie zasługują na opowiedzenie. Po prostu.

Z szuflady biurka wyciągam tekst przysięgi. Wypowiem ją, gdy na mojej piersi, w miejscu, w którym bicie serca jest najbardziej wyczuwalne, zostanie wypalony herb rodziny La Mantide. Tylko szalenieliby się na takie naznaczenie, nie mając pewności, że danemu lata temu słowu stanie się zadość. Jestem nim. Jestem szalony. Zbyt wiele znaków wskazuje na to, że to nie skończy się dobrze. Jej herb, amarylis belladonna, piękny, ale trujący kwiat w

połączeniu z nazwiskiem, jest jawną przestrogą. To się jednak już stało. Zatrula mój umysł, równie dobrze mogę stracić głowę. Dla niej.

Nad ranem biorę szybki prysznic i wychodzę. Po drodze mijam pokój Chiary, więc uchylam drzwi i zaglądam do środka. Gdy mnie zauważa, mrugam do niej, a ona unosi kciuk.

W kuchni zastaję Letizję. Jest zwrócona do mnie plecami. Staję za nią, a gdy moje usta znajdują się na wysokości jej ucha, szepczę:

– Gdzie ona jest?

Dziewczyna podskakuje w przestrachu i strąca kubek z blatu. Odwraca się w moją stronę i zaczyna paplać, wycierając płamę rękawem szlafroka. Kto tak robi?

– Już to sprzątam. Przepraszam. Zeszłam tylko po coś do picia i już do niej wracam.

– Czyli gdzie?

– Gdzie jest? W pokoju. Bawi się, bo nie mogła już spać.

– W porządku. – Uśmiecham się. – W takim razie chodźmy. – Wskazuję ręką, żeby szła przede mną.

– Ale dokąd?

– Czy ja mówię w innym języku niż ty? – Przyglądam się jej i jestem pewny, że nie ma pojęcia, gdzie jest Chiara. Widzę tę wątpliwość. – Co zrobimy, gdy nie będzie jej tam, dokąd mnie zaprowadzisz? – Przeczesałem włosy palcami.

Na jej twarzy pojawia się zrozumienie, a potem znikają z niej wszystkie kolory. Och, kurwa, jakie to proste, więc trochę nudne.

– To już się więcej nie powtórzy, przyrzekam. Wiem, że już jej tam nie ma. – Drży jej głos. – Proszę o jeszcze jedną szansę.

Opiera się o stół. Śmieję się.

– Problem w tym, że nie lubię dawać kolejnych szans. –
Wzruszam ramionami. – Męczy mnie to ciągle liczenie. Temu tyle,
tamtemu tyle. Potem się myślę i komuś daję więcej. To
sprawiedliwe? – Przeczy. – No właśnie, a sprawiedliwość to ważna
rzecz, wiesz?

– Ja naprawdę się staram.

– A jej naprawdę tam nie ma.

Zaciska powieki i nabiera powietrza.

– Zrobię wszystko – wydusza.

– Nie interesuje mnie twoje wszystko. Interesuje mnie moje
wszystko, które zgubiłaś.

– Ja...

Kładę palec na ustach, chcąc dać jej do zrozumienia, żeby
zamilkła.

– Czy zrobiłem dla ciebie coś miłego? – Potakuje. – A ty dla
mnie?

– Ja naprawdę nie spuszczę jej już nigdy z oka. – Składa ręce
jak do modlitwy i przyciska je do ust. – Oddam przysługę.

Przekonała mnie. Tak bardzo w to wierzę, że aż coś ściska
mnie w serduszku i niemal zbliżam się do granicy wzruszenia.

– Nie przejmuj się. – Pocieszam ją. Wzdycha z ulgą. – Jeśli nie
ty, ktoś inny odda to, co mi się należy, bo należy się, prawda?
Może twój brat będzie bardziej słowny od ciebie.

– Nie – wydusza. – Proszę.

Słowa mają to do siebie, że czasem powie się o jedno za dużo.
Trzeba ich używać umiejętnie, ważyć i oszczędzać. Najważniejsze
to wiedzieć, czego się chce, a potem tak pokierować rozmową, by

to uzyskać. Niekiedy wypowie się słowo, które wszystko psuje. Może się wydawać, że idealnie pasuje do okoliczności, ale niestety tak nie jest. Przykre jest to, że nie da się go wepchnąć z powrotem do gardła. Tak, jak nie da się „odzobaczyć” tego, co już się ujrzało. A dostrzegłem je. To błagalne spojrzenie.

To wszystko zmienia.

Zmienia, bo go nie lubię. Nie znoszę wręcz.

– Masz pięć minut, żeby znaleźć Chiare – mówię. – Policzę w myślach.

Letizia już szykuje się do sprintu. Bawi mnie to. Chociaż bardzo chciałbym zrozumieć, to w życiu nie pojmę, jak ktoś może być taki głupi, żeby myśleć, że tak wielki błąd można naprawić w tak krótkim czasie. Śmieję się w głos. Przygląda mi się zdezorientowana, a przecież to jest jasne. To wszystko.

– O co chodzi? – pyta.

– O wszystko. Cały czas o tym rozmawiamy.

Do kuchni wchodzi Alessandro. Jeden z naszych kapitanów. Patrzy na nas, a potem zaczyna się wycofywać, unosząc ręce. Za późno.

– Mam do ciebie prośbę – mówię do niego.

– Wiadomo – odpowiada.

– Odwieź tę damę – wskazuję na opiekunkę – do domu.

– Ja nie chcę do domu – panikuje. Rzuca się na kolana i łapie mnie za nogawkę. – Nie chcę! Proszę.

– Tylko tyle? – dziwi się Alessandro.

– Zrobimy małą rozradę. – Podciągam Letizię za rękę. – Sprowadź jej brata.

– Sprawdzę go.

– Już to zrobiłem. Po prostu go przywieź.

– Specjalnie ukryłeś siostrę, żeby to zrobić! – Letizia wyswobadza się z mojego uścisku. – Żeby wyszło, że sobie nie radzę! – Robi się czerwona. – Ty po prostu nie masz serca!

– Ale ty jesteś mądra. – Poklepuję ją po głowie. – A wiesz, jak kończą tacy ludzie? – Zbliżam się do jej twarzy.

– Niby jak?

– Czasem dobrze. Czasem źle.

Wybucham śmiechem. Ile to się trzeba nagłówkować, żeby zwolnić kogoś z pracy. Patrzę na Alessandra.

– Co to znaczy? Widziałam, jak na niego spojrzełaś!

– Mruganie to odruch bezwarunkowy, ale pewnie to wiesz... – uśmiecham się – ...bo jesteś bardzo mądra.

Alessandro chwytą ją za łokieć i wyprowadza z kuchni. Przygotowuję kawę i zmierzam do pokoju Chiary. Oczywiście w nim jest i, co pewne, bo widzę, bawi się w najlepsze. Tak jak wspominałem. Słowa. One mają wielką moc. Dlaczego niektórzy wierzą w to, co słyszą? A bo ja wiem?

Rozsiadam się w fotelu, a siostra wskakuje mi na kolana.

– Gdzie Letizia?

Wpatruje się we mnie swoimi wielkimi brązowymi oczami i bawi się guzikiem mojej koszuli.

– Musiała wrócić do domu. Przez pewien czas zajmie się tobą Maria. – Potakuje. – Będziecie piec ciasteczka.

– Lubiłam Letizję. – Robi smutną minę. – Opowiadała mi o swoim bracie, bo też go ma. Tak samo jak ja. – Uśmiecha się szeroko. – Fajnie? I mówiła, że bardzo go kocha i zrobiłaby dla niego wszystko. Fajnie?

– Wiem, słyszałem. – Odwzajemniam uśmiech. – I tak, fajnie. Nawet bardzo.

– Moja lalka właśnie wyszła za mąż. I w domku trwa przyjęcie – ekscytuje się mała. – A jakiego ja będę mieć męża?

Wzruszam ramionami.

– Skąd mam to wiedzieć? Jakiego wybierzesz, takiego będziesz mieć.

– Myślałam, że ktoś wybierze dla mnie, tak jak ja dla lalki.

– W naszej rodzinie nie ma aż takich desperatów. – Prycham, a w wyobraźni widzę ojca Etny. Najgorszy rodzaj desperacji kojarzy mi się właśnie z nim. I z naszą matką.

– A kto to desperat?

– Wyobraź sobie taką sytuację. – Chiara się skupia. – W łódce są córka z ojcem. Oboje nie potrafią pływać. Facet wypada za burtę. Dziewczynka rzuca mu koło ratunkowe, linę, kapok, podaje wiosło, ale jej stary, przepraszam, tatuś, nie korzysta z żadnej z dostępnych opcji. W końcu wyciąga do niego dłoń, którą on łapie. A ponieważ jest cięższy, dziewczynka wpada do wody. Ojciec wykorzystuje ją, żeby dostać się na pokład. Przez chwilę nie jest jego kochaną córeczką, tylko szansą na ocalenie własnego tyłka. Gdy wspina się po niej, dzieciak zanurza się i już nie wypływa. To najprostszy przykład desperacji.

– A są też inne?

– Pewnie, desperacja ma różne oblicza. Wszystko zależy od motywacji, ale zawsze, totalnie zawsze ponosi się konsekwencje. Bez względu na to, co tobą w danej chwili kieruje.

– A ty byłeś kiedyś naprawdę zdesperowany?

– Raz.

– Opowiesz?

Śmieję się.

– Nie jestem aż tak zdesperowany. – Pstrykam ją w nos. Kładzie głowę na mojej piersi.

– Twoje serce bije powolutku – szepcze.

Przymykam oczy i uśmiecham się błogo. Słyszę dźwięk, którego nie da się pomylić z żadnym innym. Wystrzał ze snajperki. Pieprzony Nino.

– A teraz bije szybko – stwierdza.

– Zostań tu, zaraz ktoś do ciebie przyjdzie. – Wstaję. – Zobaczymy się później.

Wychodzę szybko z pokoju. W korytarzu wpadam na Bernarda.

– Słyszałeś coś?

Przechy. Daję mu znak, żeby zajrzał do małej. Idę do gabinetu. Wyciągam z szafy snajperkę i udaję się do pokoju Ferra.

Brat leży na łóżku i szczotkuje zęby.

– Nie mów, że usłyszałeś ten dźwięk, będąc w drugim skrzydle domu. – Kręci głową. Z jego pokoju jest najlepszy widok na naszą strzelnicę. – Jaka mina. – Przygląda mi się, ślina cieknie mu po brodzie. – Czeka, wypłuczę usta i wracam. Lubię tę zabawę.

Ja też. Mam jedynie nadzieję, że Nino nie zapomniał jej zasad, bo jeśli tak, to więcej niż pewne, że Ferro i ja będziemy jedynymi, którzy będą bawić się świetnie.

Uchylam okno i rozkładam sprzęt.

– Dasz radę samodzielnie ustalić współrzędne? – Patrę na niego jak na idiotę. – Dobra, nie było pytania.

Wyciąga z szafki lornetkę i laser.

– Na trzy czy na pięć?

– To pierwsze.

Przytulam policzek do broni i zerkam przez lunetę. Nino podnosi się z ziemi, otrzepuje spodnie i wyciąga z kieszeni paczkę fajek. Ustawia ją na belce. A gdy odwraca się, żeby podejść do stanowiska strzelniczego, Ferro zadaje kolejne głupie pytanie:

– Wiesz, że jeśli się zagapi lub nie ogarnie, co się dzieje, to po nim?

– Yhm – mruczę pod nosem.

– Aha – odpowiada. – Już dawać znak?

– Nie.

– Wyceluj w paczkę, a nie w niego. Tak będzie lepiej. Jezu, ręce mi się spociły – nawija. – Postraszysz go i tyle. Dobra? Co ty na to? – Sto pytań.

– Oceń, w co trafi pocisk, gdy naciśnę na spust, po wykonaniu przez niego dwunastu kroków.

Odsuwam się, żeby Ferro mógł spojrzeć przez lunetę.

– No, w jego twarz, może w czoło.

– A jak się uchyli?

– To w literę „O” na plandece za nim. Jezu, to jednak nie celujesz w paczkę?

– Celuję. Pytałem z ciekawości.

³ Ruggiero Leoncavallo, Śmieję się, pajacu [w:] Pajace, tłum. Stanisław Przesmycki [online]. Dostępny w Internecie: https://staremelodie.pl/piosenka/2697/Smiej_sie_pajacu_Leoncavallo_Przesmycki [dostęp: 03.12.2019].

⁴ Tamże.

⁵ Tamże.

ROZDZIAŁ 3

Bycie gościem rodziny Selvaggio ma swoje plusy. Na pewno. Tylko za nic nie potrafię ich dostrzec. Po długim namyśle znalazłem jeden na siłę, mianowicie taki, że posiadają strzelnicę. Cieszę się z tego faktu do czasu, aż zauważam na ziemi, tuż przed stopami migające światło lasera. Jeden, dwa, trzy.

Nie unoszę wzroku. Gdybym to zrobił, umknęłyby mi kolejne sygnały. Byłbym trupem. Nie być może, prawdopodobnie czy chyba. Na pewno, bo wiem, kto wziął mnie na muszkę. Pieprzony Efesto, pomysłodawca tej świetnej zabawy. I nie mam wątpliwości, że celuje prosto w moje czoło. Nie w tym przypadku. Słowo *zabawa* nie oznacza dla niego tego, co dla innych ludzi. Dla niego jest ona wtedy, gdy on bawi się dobrze. Sam.

Czekam na kolejne znaki. Znów będą trzy, bo tyle było za pierwszym razem. I będzie to ostatnie ostrzeżenie. Od momentu pojawienia się na ziemi ostatniej wiązki lasera, będę miał trzy sekundy na to, żeby się uchylić. Efesto rzadko kiedy wybiera drugą wersję tej wątpliwej rozrywki, czyli „na pięć”. Dodatkowy czas to prezent, na który zasługują tylko nieliczni. Nie ja. Nie, bo spuściłem Etnę z oczu. To, że nie jest to zabawa „na jeden”, świadczy tylko o tym, że jestem mu jeszcze potrzebny. Tak to właśnie działa.

Stawiam kolejny krok, zauważam przed sobą migający trzykrotnie laser. Pot spływa mi po skroni. Liczę w myślach:

„Jeden, dwa”... – rzucam się na ziemię i zakrywam uszy rękami – „trzy”. Słyszę charakterystyczny świst.

Selvaggio i ich pieprzona gościnność.

Po pewnym czasie podnoszę się, otrzepuję spodnie i ściągam bluzę. Mam zamiar wrócić do pokoju, bo chęć urozmaicenia spędzanego tu czasu wyparowała, jednak zza rogu budynku wybiega Ferro. Zmierza w moją stronę, a za nim powolnym krokiem idzie Efesto.

– No i trafił w „O”! – drze się ten pierwszy, gdy podbiega do plandeki, którą zabezpieczony jest teren strzelnicy. – Wiedziałem, Nino, że nie można mu ufać – nawija. – Posrałeś się? – pyta bez ogródek.

Lubię go. Z całej ich rodziny wydaje się mieć najprostszy styl bycia. Mówi wszystko, o czym pomyśli, nawet to, czego nie powinien, ale przez to wydaje się szczery. Efesto zbliża się do nas.

– No patrz, trafiłem w „O”, a celowałem w paczkę fajek.

Wydaje się zawiedziony, ale to tylko pozory. Przez kilka miesięcy, jakie spędziłem w ich domu, zanim zostałem wysłany, by chronić Etnę, trochę go poznałem. Już wtedy, mimo że miał nieco ponad szesnaście lat, wiedziałem, że jest na dobrej drodze, żeby zostać *capo*. A później, gdy spotykaliśmy się z ich rodziną przy różnych okazjach, tylko się w tym utwierdzałem.

Efesto jest manipulantem. Najgorszym z możliwych. I strategiem. Najlepszym z możliwych. To pierwsze, bo opanował tę sztukę do perfekcji, a wypracowanie jakiegokolwiek relacji z takim człowiekiem mija się z celem. Nigdy nie wie się, co planuje i czy nie jest się środkiem do osiągnięcia jego zamierzeń. To drugie, bo ma genialny umysł. W sytuacjach, w których inni okazują emocje i

miotają się jak złapane w pułapkę lisy, on przymyka na moment powieki. Jak jakiś samozwańczy prorok. Zrobił tak, gdy szukaliśmy Etny i Bernardo pokazał mu na ekranie obraz z biblioteki. Nie wiem, co w tym czasie działo się w jego głowie, ale sądząc po tym, co wydarzyło się później, właśnie w tej krótkiej chwili obmyślił strategię. Wszystko inne nagiął do swoich potrzeb. Mogę dać sobie rękę odciąć za to, że wie, co zrobić w następnej kolejności i jak osiągnąć to, czego pragnie. Tak właśnie go postrzegam. A może on właśnie tego chce? Może zostałem zmanipulowany i wcale o tym nie wiem. O tym właśnie mówię. W tym ten jebany sęk.

– Przewidujecie jeszcze jakieś atrakcje dla gości? – pytam pół żartem, pół serio.

Efesto patrzy na mnie, mrużąc oczy i mówi:

– Mam do ciebie jedno pytanie.

– Zaczyna się – jęczy Ferro.

– Słucham – rzucam krótko, jednocześnie zastanawiając się, w co on znów pogrywa.

– Pamiętasz, jak się tu znalazłeś? – Potakuję. – I pewnie wiesz też, co zrobiłeś, żeby chronić to, na czym zależało ci najbardziej na świecie?

– To już dwa pytania – wtrąca Ferro, a Efesto przymyka na moment oczy.

– Na oba pytania tak – odpowiadam.

Efesto przejeżdża dłonią po włosach i patrzy na brata. Rejestruję jedynie szybki ruch gałkami. Tyle wystarczy, żeby Ferro zostawił nas samych.

– Myślałem ostatnio o kilku rzeczach... – przerywa, by po chwili podjąć wątek: – i wiesz, do jakich wniosków doszedłem? Że nie potraktowałaś tak do końca serio mojej prośby, Nino.

– Jak to?

– Usiądźmy.

Wskazuje ławkę, którą zajmujemy. Zerkam na niego kątem oka. Chciałbym powiedzieć, że wiem, do czego zmierza, ale nie mam pojęcia. Cieszę się jednak, może na wyrost, że siedzimy. Dla postronnych to nic nietypowego, ale mnie napawa ulgą. Wiele można powiedzieć o rodzinie Selvaggio, ale nie to, że nie mają zasad. Efesto nigdy nie strzela w plecy. Zawsze patrząc prosto w oczy i, kurwa, cieszę się, że teraz spogląda na rozpościerający się przed nim widok. I że nie stoimy naprzeciwko siebie.

– Pamiętam, jakby to było wczoraj – zaczyna. – Gdy wyszedłeś z odwyku i byłeś już w stanie oddać nam przysługę, mój ojciec zapytał mnie, czego pragnę najbardziej na świecie. Pamiętasz? – Kiwam głową. – Byłem smutny i roztrzęsiony, bo kilka dni wcześniej zginęła moja matka i ten prezent sprawił, że przez moment poczułem, jakby ktoś ściągnął mi coś ciężkiego z piersi.

– Inaczej to zapamiętałem – przyznaję, chociaż pewnie powinienem ugryźć się w język. Posyła mi pytające spojrzenie. – Tę część ze smutnym i roztrzęsionym. Nie zauważyłem tego.

– Nie wierzysz mi? – Uśmiecha się szeroko. Tego właśnie w nim nie rozumiem. Te jego gesty, reakcje zupełnie nieadekwatne do sytuacji. Dezorientujące. – To, że czegoś nie widać, nie znaczy, że nie istnieje.

Muszę się z tym zgodzić. Moja matka przez lata tuszowała ślady pobicia, a codziennie dostawała ostry wpierdol. Były na jej

ciele. Zakryte grubymi warstwami ubrań i kosmetyków, ale były.

– I w tamtej chwili, wiedząc doskonale, z jaką determinacją i jakimi środkami ochroniłeś swoje *wszystko*, byłem pewny, że z taką samą pasją ochronisz moje. – Ziewa przeciągle, jakby był najbardziej zmęczonym człowiekiem na świecie, a przecież jest rano. – Pomyliłem się.

Przed oczami widzę roztrzaskaną czaszkę mojego ojca, domowego kata. Te wszystkie długie lata, kiedy musieliśmy znosić jego tyranię. I siebie, przegranego, duszącego się własnymi wymiocinami. Marzącego tylko o tym, żeby wtoczyć w żyłę kolejną dawkę taniego szajsu, który sprawi, że życie będzie prostsze, bardziej znośne. Mam wrażenie, że gdybym wyciągnął dłoń, dotknąłbym tego dna, na którym wtedy się znajdowałem. Widzę twarz matki, na której malowała się ulga. Strach i przerażenie, gdy minęło to chwilowe poczucie zdobytej siłą, splamionej krwią wolności.

– Nie pomyliłeś się – mówię pewnie. – Przez tych sześć lat robiłem wszystko, co konieczne, żeby chronić Etnę. Chyba w to nie wątpisz?

Efesto się śmieje.

– Nie potraktowałeś mnie serio, Nino. I bardzo mi się to nie podoba. – Cmoka z niezadowoleniem. – Dajmy sobie pięć minut. – Zerka na nadgarstek, ale nie ma na nim zegarka. Wzdycha i dodaje: – No nic, policzę w myślach. – Przymyka powieki.

Jestem zdezorientowany.

– Na co te pięć minut?

– To wystarczający czas, żebyś zorientował się, że powinieneś mi wierzyć. I traktować serio to, co mówię. Bardzo serio. – Wciąż

ma zamknięte oczy. Wydaje się zrelaksowany, a ja wręcz przeciwnie. Nie wiem, o co mu chodzi. – Już doliczyłem do sześćdziesięciu. Mogę dać ci podpowiedź.

– To daj.

– Nie za darmo. – Uśmiecha się pod nosem. – Będzie kosztować cię to aż dwie minuty. Na ten moment doliczyłem już do stu dwudziestu. Jeśli się zgodzisz, zostanie ci czterdzieści sekund, a więc jak?

Zastanawiam się.

– Trzydzieści – odlicza Efesto.

– Dobra, mów.

– Przypomnij sobie, co szepnąłem ci do ucha, gdy uścisnąłeś moją dłoń, przyjmując warunki oddania przysługi.

Znów uśmiecha się pod nosem, a ja już wiem, niemal znów go słyszę. Zdeterminowany głos szesnastolatka, który ścisnął moją rękę tak mocno, jakby od tego uścisku zależało jego być albo nie być.

– Chronj ją tak, jak ochroniłeś swoje *wszystko*. Przed każdym. Przede mną. Przede mną przede wszystkim.

– Presja czasu to jednak najlepsza metoda – stwierdza beznamiętnym tonem. – Zapomniałeś o tym, co? A ja nie i muszę ci powiedzieć, że byłem bardzo zdziwiony, gdy zobaczyłem, że siedzisz na krześle przy bramie, podczas gdy Etna leżała na ziemi. Widziałeś ten strach w jej oczach? – Zasysa powietrze. – Bardzo mi się to nie spodobało.

– Powiedziałeś, że mam siedzieć na dupie – przypominam.

Efesto wstaje i zapina marynarkę.

– Czy uważasz, że oddałeś nam przysługę, czy nie do końca?

– Uważam, że tak.

– W porządku. W takim razie zapraszam cię na moją przysięgę.

Nie potrafię ukryć zdziwienia, bo ludzie, którzy znaczą w hierarchii tyle co ja, czyli niewiele, nigdy w niej nie uczestniczą.

– I co dalej?

– Po niej uściśniemy sobie dłonie i wyjdiesz z mojego domu.

– I to wszystko? Czemu ma służyć moja obecność podczas tej uroczystości?

– Przekonasz się, dlaczego to, co mi obiecałeś, jest tak ważne. Dowiesz się, że jeśli coś mówię, to po coś, że słowa mają wielką moc. A te, których się nie dotrzymuje, szczególnie. – Mówiąc to ma zacięty wyraz twarzy. – Konsekwencje, Nino. Za niedotrzymane słowo ktoś musi zapłacić. Zawsze. I wiesz, co jeszcze ci powiem?

– Że trochę ci z tego powodu smutno, a trochę nie?

Wzrusza ramionami i odchodzi, pozostawiając w moim mózgu wielką dziurę. Nie wpakował mi kulki w łeb, ale czuję, jakby tak właśnie było. To, że nie rozumiem, jest niedopowiedzeniem. Dla mnie to, co mówi ten człowiek, to jedna, wielka zagadka. Etna zrzekła się ochrony rodziny Selvaggio, do tego zostało to przypieczętowane słowem samego *capofamiglia*. Nie jestem w stanie oddać tej przysługi, nawet jeśli mam wątpliwość, czy rzeczywiście ją spełniłem. A im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że jednak nie do końca. Nigdy też nie pojąłem, dlaczego mam ją chronić przed nim. Jęczę sfrustrowany i przecieram twarz rękami.

Wstaję i zmierzam w stronę wejścia do domu. W holu niemal zderzam się z Chiarą. Ucieka przed leciwą kucharką, Marią, która zasapana krzyczy:

– Oddaj tę zapalniczkę, dziecko!

– Jak bardzo jesteś zdesperowana, żeby dostać to, czego pragniesz?! – Mała chichocze i wbiega po schodach.

Desperacja to podstępna suka. Znam różne jej odcienie. Byłem nią przepełniony od pięt do czubka głowy, gdy dusiłem ojca gołymi rękami. Przepływała przez moje żyły, gdy rozłupywałem jego czaszkę. I nie tylko ona. W krwiobiegu było pełno dodających odwagi, otępiających zmysły używek. I sprzeczności. Same sprzeczności. Wolność, bo zabiłem potwora. Jej brak, bo byłem spętany uzależnieniem. I wiszące nad moją głową widmo konsekwencji.

Kieruję się na górę. W korytarzu zauważam Ivo, który nie zaszczyca mnie ani jednym spojrzeniem. Trudno powiedzieć, co robi. Na moje oko liczy kroki.

– Raz, dwa, trzy – mamrocze pod nosem.

Wyciąga z przedniej kieszeni kartkę i poklepuje się po tylnych, zapewne poszukując długopisu, który leży tuż przy jego stopach. Podnoszę go i mu wręczam. Ujmuje go koniuszkami palców, tak jakby był umazany czymś obrzydliwym.

– Dziękuję – mówi. – Możesz już odejść.

Yyy, co? Już kiedyś przyrzekłem sobie, że nie będę się starał zrozumieć ludzi należących do tej rodziny. To bezcelowe. Totalnie bez sensu. Pierwsze, co przyszło mi na myśl, gdy odbierał ode mnie długopis to, że celowo go upuścił i że zaraz, gdy zniknie za drzwiami swojego pokoju, będzie ściągał z niego moje odciski

palców. Tak jak mówiłem, lepiej nie pochylać się nad tą studnią, bo jest głęboka. Studnia bez dna. Wzruszam ramionami i idę do pokoju gościnnego.

Rzucam się na łóżko i odpływam.

Budzi mnie walenie w drzwi. Rozglądam się. Za oknem panuje półmrok. Mija chwila, zanim orientuję się, gdzie jestem. Otwieram. W progu stoi Bernardo.

– Podobno jesteś zaproszony na przysięgę. – Marszczy brwi. – Za kwadrans w piwnicy.

Patrzę na jego oddalającą się sylwetkę i podbiegam do okna, słysząc dobrze znany mi głos. Ojciec Etny. U jego boku idzie szef rodziny Bommarito. Kiedyś, zanim pojąłem zasady rządzące tym światem, zanim zorientowałem się, co scala wszystkie familie należące do organizacji, nie mogłem się nadziwić, że osobiste porachunki schodzą na drugi plan, gdy na stole pojawia się karta o nazwie *tradycja*. Nie potrafiłbym tak żyć. Wiem, że nie dałbym rady iść ramię w ramię z wrogiem, z człowiekiem, który wypowiedział mi wojnę. Zwłaszcza że tylko nieliczni mogą wyjść z niej na własnych nogach. Z osobą, od której łaski lub niełaski zależy los mojej córki. A tu się to dzieje. Ma to miejsce, bo trudno przeciąć te więzy. Cementują je pieniądze i przemoc. Nie dostrzegam szefów rodzin Gottich i Mancini. Być może są już na miejscu, a może jeszcze nie dojechali. Wycieram o spodnie spocone dłonie, poprawiam krawat. Zerkam na księżyc i przypatruję mu się dłużej niż zazwyczaj. Nie wypowiadam myśli na głos, bo wtedy marzenie się nie spełni. A mam jedno: „Chcę zobaczyć słońce. Jutro”.

Nabieram powietrza i wychodzę z pokoju. Zbiegam po schodach. A gdy jestem w holu na parterze, Bernardo wskazuje ręką, gdzie mam kierować się dalej. Rozsuwam ciężką, granatową kotarę, za którą znajdują się mosiężne drzwi. Przechodzę słabo oświetlonym długim korytarzem, aż dochodzę do krętych schodów prowadzących najpewniej do piwnicy. Bez broni, której od wczoraj nie odzyskałem, jestem jak owieczka idąca na rzeź. W towarzystwie, w którym sprawy załatwia się jednym naciśnięciem na spust, umiejętność walki wręcz na niewiele się zdaje. Podążam za coraz donośniejszymi głosami. Wnętrze, w którym odbędzie się ceremonia zaprzysiężenia, jest oświetlone przymocowanymi do ściany pochodniami i ogniem buchającym z kominka. Kamienne mury przywodzą na myśl zamczysko, a patrząc na twarze obecnych tu osób, stwierdzam, że są idealnym dopełnieniem tego ponurego wyobrażenia. Podchodzę do stojących w rzędzie ludzi, ale nie wyciągam do nich ręki. I tak nie odwzajemnię uścisku. Chyba że...

– To mój przyjaciel. – Efesto poklepuje mnie po ramieniu. Wystawiam dłoń, żeby przywitać się z reprezentantami poszczególnych rodzin. Witam się też z Ferrem i Ivo.

Określenie *przyjaciel* nie sprawia, że czuję się tu pewniej. Pamiętam, jak skończył ten najlepszy. Rozglądam się po pomieszczeniu. Mój wzrok ląduje na metalowym pręcie włożonym do kominkowego paleniska. Efesto stoi zwrócony plecami do nas. Patrzy w ogień. Do piwnicy wchodzi don Giorgio wraz z Niccolem. Robi się tak cicho, że słyszeć tylko strzelające w kominku drewno.

Ojciec Efesta zbliża się do niego i ujmuje jego dłoń. Unosi ją, przygląda się palcom, a następnie podchodzi do stołu. Odsłania

przykryte atlasowym materiałem, wykonane z białego złota rodzinne sygnety. W każdym osadzony jest inny kamień. To, jaki przypadnie jego synowi, nie jest kwestią przypadku. Dostanie sygnet z kamieniem, który najbardziej go charakteryzuje.

– A on co tu robi?! – Niccolo podchodzi do mnie i patrzy zdezorientowany na swojego ojca, który nawet nie odwrócił się, żeby zobaczyć, co się dzieje. – Myślałem, że to kameralna uroczystość.

– Przede wszystkim to moja uroczystość – stwierdza Efesto, wciąż zwrócony w stronę kominka. Ogień go fascynuje, hipnotyzuje. Pieprzony Hefajstos. – Zaprosiłem go.

– To wbrew tradycji. Wypad stąd, Nino. – Niccolo mnie popycha. Zataczam się lekko. Zerkam na Efesta. Czekam na sygnał, nakazujący mi wyjść. Znak, który, prawdę mówiąc, przyjąłbym z ulgą, ale on jedynie odwraca głowę i pyta:

– Co robisz, Nicco?

Zerkam na resztę. Stoją niewzruszenie, jakby to, co się dzieje, miało miejsce w zupełnie innym pomieszczeniu. Selvaggio przegląda błyskotki. Co jakiś czas chucha w pierścienie i pociera nimi o spodnie.

– Wypraszam go, a niby co? Na co ci to wygląda? – prycha Niccolo.

Efesto wzdycha przeciągle i rozpina marynarkę. Nie jestem zdziwiony. Krótka chwila, a mam wrażenie, że zrobiło się tu bardzo ciasno. Tak jakby ściany przybliżyły się do siebie.

– Co ty robisz... – szepcze i wyciąga broń, którą odkłada na półkę znajdującą się nad kominkiem.

Widzę przemykającą przez twarz Niccola dezorientację, gdy brat się z nim zrównuje i przykłada dłoń do ucha, jakby oczekiwał słów wyjaśnień, które nie nadchodzą. Ułamek sekundy, mrugnięcie, jedno pełne zacięcia spojrzenie. Tyle wystarczy, by Nicco zderzył się ze ścianą. Drugie tyle, by został zwrócony do niej przodem.

– Ty chory pojebie! – wydziera się, gdy brat pociera jego twarzą o kamienną ścianę. Samo patrzenie na to cholernie boli.

– Nigdy nie podważaj moich słów – syczy Efesto. – Nigdy. Przenigdy i w życiu. Rozumiesz? – Przekręca głowę brata w taki sposób, że trze o ścianę jego czołem. Krew barwi kamień.

Trwa to zdecydowanie zbyt długo. Niccolo odwraca się i odruchowo rozchyła poły marynarki, zapominając zapewne, że nie ma przy sobie broni. Skóra na jego czole jest całkowicie zdarta, krew spływa mu do oczu. Trzęsie się, cały drży. Efesto stoi naprzeciwko niego i przymyka na moment oczy. Nicco sapie, nie jest w stanie poradzić sobie z zalewającą go czerwienią. Jest jej naprawdę dużo.

Jeden brat uchyla powieki, drugi zaciska usta.

– Stań tam i przestań czekać. – Efesto wskazuje ruchem głowy miejsce w rzędzie.

Nicco idzie w stronę drzwi. Kładzie dłoń na klamce, a wtedy jego ojciec mówi ledwo słyszalnie, wciąż polerując kamienie:

– Nie waż się stąd wyjść.

Nicco ani drgnie. Widać, że walczy ze sobą, że targają nim sprzeczne uczucia. Toczy wewnętrzną walkę między tym, co powinien, a tym, czego by chciał. Nie ma szans, żeby wyszedł z tego z twarzą. W tym przypadku dosłownie ją stracił.

Staje przy mnie i trąca łokciem. Nie wiem, czy zrobił to specjalnie, czy ma zaburzoną percepcję przestrzenną przez tą wszechobecną czerwień.

– Witajcie, moi przyjaciele. – Giorgio Selvaggio zaczyna przemowę. – Nie wiem, czy to ja powinienem dziękować wam, że zechcieliście przybyć, czy wy mnie za to, że możecie być świadkami zaprzysiężenia mojej największej chluby. – Klepie syna po ramieniu.

Szef rodziny Mancini unosi rękę, a Selvaggio udziela mu głosu.

– Pozostańmy przy tym pierwszym, Giorgio. – Reszta mu potakuje. – Twoja chluba, nasza zguba. – Żartuje albo i nie. – Jestem za stary, żeby nie wiedzieć, jak to działa, ale kontynuujemy. – Kręci palcem. – Cieszymy się – mówi, ale nie wygląda na szczęśliwego. – Póki czas. – Śmieje się nerwowo.

– Zgodnie z tradycją naszego klanu, zapraszam was, moi przyjaciele, do tego suto zastawionego stołu. – Wskazuje na blat, na którym znajduje się sześć noży. Reprezentanci rodzin korzystają z gościnności. Smacznego, kurwa. Na stole zostaje ostatnia sztuka. Nikt po nią nie sięga. Kątem oka zerkam na Nicca, który ciężko dyszy. Wygląda jak Apacz, a nie jak Sycylijczyk.

– Podejź tu, synu. – Selvaggio zwraca się do Efesta, który staje naprzeciwko nas i wyciąga przed siebie dłoń.

Don Giorgio przejeżdża ostrzem noża po jego najmniejszym palcu.

– Możesz mieć wszystko, a mimo to, o czym marzysz najbardziej, synu?

– Chcę być jednym z was. Tego pragnę najbardziej, ojcze.

Do Efesta podchodzi szef rodziny Mancini. Nacina drugi palec, a Selvaggio zadaje kolejne pytanie:

– Czym jest dla ciebie moje słowo?

– Rozkazem, ojcze.

Następny w kolejce jest ojciec Etny, don Alfredo. Przejeżdża ostrzem wzdłuż środkowego palca. Selvaggio kontynuuje:

– Kogo wybierzesz, gdy przyjdzie dokonać wyboru? Żonę i dzieci czy klan?

– Zawsze klan, ojcze.

Przychodzi kolej na przedstawiciela rodziny Gottich, który nacina palec wskazujący.

– Co najcenniejszego jesteś w stanie oddać, żeby chronić nasze *wszystko*?

– Życie, ojcze.

Ostatni podchodzi Bommarito. Kaleczy kciuk Efesta.

– Na największy szacunek zasługuje...

– Żona.

– A jeśli zdradzi?

– Wtedy zasługuje na śmierć.

Efesto podchodzi do ściany, do której przypięta jest biała kartka. Rysuje na niej zakrwawionymi palcami. Nie wiem, co miałem niby pojąć i co ma na celu ta jego lekcja, ale mam wrażenie, że wyjdę z niej jeszcze głupszy. Ściska palce, bo widocznie w tej sali jest jeszcze za mało krwi, którą można by wykorzystać do tworzenia abstrakcyjnych dzieł. Chyba skończył, bo cofa się o krok i przygląda obrazkowi. Odwraca się w naszą stronę i wrzeszczy:

– Czego brakuje?! – Żyła na jego skroni pulsuje.

– Pnia! – krzyczą bracia. Nawet Nicco nie odpuszcza udziału w tej specyficznej zabawie.

– Czego brakuje?!

– Pnia! – Jeszcze raz to samo. Chyba ogłuchłem na lewe ucho.

Giorgio Selvaggio cieszy się jak dziecko. Ma obłąkańczy wyraz twarzy i podryguje, zacierając ręce.

– Kogo mianujesz swoją prawą ręką, synu?

Efesto bierze ze stołu ostatni z noży i wręcza go Niccolowi, który tnie mu wewnętrzną stronę dłoni, wykonując dwie, pionowe kreski. Gdy pojawia się krew, Efesto ponownie zbliża się ścianie i przyciska rękę do kartki. O kurwa, to ma sens. Drzewo. Malowidło wykonane krwią z palców to gałęzie, a podłużne nacięcia, jakie wykonał Nicco, po przyłożeniu do papieru utworzyły pień.

Niccolo podchodzi do Efesta i Ivo. Przejeżdża ostrzem po palcu każdego z nich. Nadchodzi kolej Ferra i zaczynają się schody. Szuka czegoś w kieszeniach, a Nicco jęczy. Widać, że ma już serdecznie dość tej imprezy. W końcu jego brat znajduje to, czego szukał. Spryskuje nóż przezroczystym preparatem i wyciera go ściereczką. Niccolo wykonuje nacięcie. Nie zapomina o sobie i ojcu. Poharatani, niewiarygodnie szczęśliwi, przyciskają palce do kartki. Kreatywne, rodzinne spędzanie czasu w tym przypadku nabiera nowego znaczenia. Wspólnie stworzyli małe dzieło sztuki. Ich herb. Drzewo z rozłożystymi gałęziami, o szerokim pniu, którego filarem są mocne korzenie. Oni.

Stoją zwrócenii przodem do obrazka i wygłaszają chórem:

Zaprzysiężony, we krwi zatracony, po kres związany przysięgą.

Mam jedną matkę. Jej imię brzmi Omerta.

Nie zawiodę cię, mamó, pó życia kres.

A gdybym zblądził, odbierz mi je.

Zaprzysiężony, we krwi zatracony, pó kres związany przysięgą.

Giorgio Selvaggio odczepia kartkę. Každy z jego synów odrywa z niej kawalek i wrzuca go do paleniska. Mimo że nie należę do rodziny, ta chwila wydaje mi się wyjątkowa, a łącząca ich więź niemal namacalna. Nie mam wątpliwości, że te więzy zaufania i sekretów są cholernie mocne.

Ferro i Ivo wracają do szeregu, a Niccolo nie rusza się z miejsca. Don Giorgio staje za Efestem, kładzie rękę na ramieniu syna, w ten sposób dając znak, że formalnie został jego następcą. Ten z kolei wyciąga dłoń w stronę Nicca. Jest zwrócona grzbietem do góry. Jeśli brat ją uściśnie, okaże w ten sposób swoją uległość. Ktoś musi być na dole, żeby inny mógł być na górze i na odwrót. Niccolo patrzy prosto w oczy Efesta. Wyczuwam to wibrujące w powietrzu napięcie. W końcu spuszcza głowę i ścisła rękę, stając się w ten sposób jej przedłużeniem. Szef, Efestó, i on stanowią teraz nierozzerwalny łańcuch. Mimo to Nicco na swoją przysięgę będzie musiał jeszcze poczekać. Trzeba na nią zasłużyć. Nie wiem, dlaczego Efestó już dostąpił tego zaszczytu. Niekoniecznie chcę wiedzieć. Jestem pewny, że nie chcę.

Niccolo nie wraca już do szeregu. Efestó rozpina guziki koszuli. Brat ściąga ją razem z marynarką. To może oznaczać tylko jedno, a mianowicie, że to jeszcze nie koniec.

– Po przysiędze krwi, pora na przysięgę miłości – mówi szef Selvaggio. – Jak już pewnie wiecie – patrzy na Bommarito – Etna, córka naszego przyjaciela Alfreda – zerka na ojca Etny – w dniu swoich dziewiętnastych urodzin dostąpi zaszczytu dołączenia do

mojej rodziny. Wszelkie waśnie i spory, których powodem do tego czasu by była, z dniem tym nie są już jej zmartwieniem. Są naszym. – Jego synowie potakują. – Kilka miesięcy. Tyle dzieli każdego z jej wrogów od gniewu mojego klanu.

Efesto uderza ręką w pierś. Niccolo wyciąga z kłapy jego marynarki kartkę. Podaje mu ją, a następnie schyla się, żeby wyciągnąć z ognia metalowy pręt. Żegadło. Przelykam ślinę. Tylko szaleniec zgodziłby się na coś takiego, tego rodzaju naznaczenie, nie mając pewności, że słowu stanie się zadość. Boli samo patrzenie na rozgrzaną do czerwoności pieczęć, która zostanie przyłożona do skóry Efesta. To herb rodziny La Mantide. Kwiat, w środku którego znajduje się litera „E”. Etna.

Nicco zerka na brata, który skinieniem głowy nakazuje mu zacząć. Niccolo przykłada rozgrzane żegadło do jego piersi, a Efesto czyta:

Moje serce skąpane jest we krwi.

I należy do Ciebie.

Krew spływa strużką, aż do łokcia i kapie, barwiąc wszystko czerwienią.

Trzymasz je w garści, ETNO.

Jeśli je upuścisz, zdepczesz lub zdradzisz, podając obcym na tacy, zabiję Cię.

Niewiele mogę Ci obiecać, ale to na pewno.

No to mamy problem. To znaczy Etna ma problem. Kłopot taki. Pocieram czoło, bo nagle zaczęło mnie mrowić. Efesto zgrzyta zębami. Wrzuca kartkę z przysięgą do ognia i opiera przedramiona na zamocowanej nad kominkiem półce. Oddycha ciężko, napinając mięśnie pleców. Zakłada ręce za głowę, a po

chwili je rozpościera. Trudno nie odnieść wrażenia, że robi to, żeby rozciągnąć skórę na torsie. Zaciska i poluzowuje pięści, po czym sięga po odłożoną wcześniej broń i wkłada ją za pasek. Odwraca się w naszą stronę. Nie potrafię rozszyfrować wyrazu jego twarzy, wychwycić jakiegokolwiek emocji. Nie jestem, kurwa, zdziwiony.

Ojciec unosi jego dłoń i nakłada na palec sygnet, który dla niego wybrał.

– Noś go z dumą. Zawsze z wysoko podniesioną głową. Rubin, król drogocennych kamieni. W kolorze krwi, w której jesteś skąpany. Od siedemdziesięciu pięciu lat żaden mężczyzna z naszej rodziny na niego nie zasłużył. Aż do dziś. Zdobił palec Cesarego Selvaggia, który zwykł mawiać, że gdy umieści się ten klejnot w wodzie, jego wewnętrzny ogień doprowadzi ją do wrzenia. – Przygląda się pierścieniowi, a potem unosi wzrok i mówi: – Ogień to ty, synu.

Do Efesta podchodzą przedstawiciele innych rodzin, gratulując mu oficjalnego wstąpienia do klanu. Nie umyka mojej uwadze, że podczas uścisku z Bommarito dłoń Efesta jest na wierzchu. Jak i fakt, że chwilę trwało, by znalazła się właśnie w takiej pozycji. Sądzę, że Efesto i władza to katastrofa. Lepiej nie być jego wrogiem, a najlepiej w ogóle go nie znać.

Wychodzimy z piwnicy. Efesto owija głowę brata swoją koszulą. Idę za nimi.

– Poczekaj na mnie w gabinecie – nakazuje, zerkając za siebie.

Długo wyczekiwany moment właśnie ma nadejść, a ja zastanawiam się, co zrobię, gdy po raz ostatni przejdę przez bramę ich posesji. Dokąd pójdę najpierw, kogo odwiedzę. Czy

będzie mi brakowało tego świata i jak wielką trudność sprawi odnalezienie się w tym, który na mnie czeka. Myślę o Etnie. O tej postrzelonej, nieznośnej dziewczynie, kiełkującej w niej potężnej osobowości. O kobiecie, którą być może nigdy nie będzie miała szansy się stać. Wiem, dlaczego jeszcze żyję. Powodem nie jest to, że wstawiłem się za nią w gabinecie, czy poświęciłem sześć lat życia, by ją chronić. Są nim moje umiejętności. Tylko dlatego mam ten cały pozorny wybór.

Po drodze zatrzymuje mnie Bernardo. Oddaje mi nóż. Na spluwę widocznie będę musiał jeszcze poczekać. Wchodzę do gabinetu i staję przy oknie. Znowu jest zbyt ciemno, żebym mógł zobaczyć Etnę. Mija kwadrans, zanim w końcu pojawia się Efesto. Ma świeżą, ale rozpiętą koszulę i zabezpieczone gazą oparzenie.

– Nie mam za wiele czasu. – Siada przy stole i wskazuje krzesło, które mam zająć. – Do sedna. Co planujesz dalej? – Zaskakuje mnie tym pytaniem. – Albo inaczej, jakie jest twoje największe marzenie, Nino? – Jeszcze większe zaskoczenie. Patrzę na niego zdezorientowany. Efesto zerka na pusty nadgarstek i klnie pod nosem. – Czy wspominałem już, że się spieszę?

– Chciałbym zrekompensować matce te pełne niepewności i stresu lata. Wiesz, te spędzone z moim ojcem. – Zastanawiam się. – To dla mnie najważniejsze, a nie miałem czasu o to zadbać. Moim marzeniem jest sprawić, żeby uwierzyła, że jest kobietą, która sobie radzi. Zależy mi na jej szczęściu. Po prostu. – Macham ręką. – E tam, nie zrozumiesz.

Efesto przekręca na palcu swój dopiero co otrzymany sygnet. Wychwytuje moje spojrzenie.

– Odkąd mam go na palcu, czuję się jak jakiś prorok. – Przygląda mu się. – Wyglądam jak wykurwiście skuteczny mag? – Śmieje się. Co z nim jest nie tak? – Już. – Pstryka palcami. – Mówisz i masz, a, i hokus–pokus, o tym zapomniałem. Pojedź do matki i zobacz, czy wydarzyła się magia. – Znów zerka na nadgarstek. To jakiś tik. – A o czym marzy Etna? – Wiedziałem, że to wszystko sprowadza się właśnie do niej. I kto tu jest prorokiem?

– O wolności na przykład – odpowiadam.

Efesto pociera sygnet, robi kwaśną minę, śmieje się jak szaleniec, którym jest i stwierdza:

– Popsuło się. – Rozkłada bezradnie ręce. – Ale to nic, bo obaj znamy sposób na to, żeby spełnić to dziewczynskie marzenie, prawda? Wstań.

– O nie, nie. – Wzbraniam się. – Powiedziałeś, że będę mógł wyjść po przysiędze – przypominam mu i odruchowo patrzę na ścianę, na której nie ma już śladu po Antoniu.

– Słowo to świętość, pamiętaj.

Wstaję niepewnie, a Efesto uśmiecha się pod nosem.

– Jak zdobywa się wolność, Nino? – Wzruszam ramionami i żałuję tego gestu w chwili wykonania.

Obrywam pięścią w twarz. Zataczam się, a wtedy uderza kolejny raz. Oddaję mu, skoro i tak mam stąd nie wyjść. Słowo, kurwa. Naciera na mnie jak wściekły byk, przyciska do ściany i poddusza przedramieniem. Wciskam kciuki w jego gałki oczne, a on śmieje się i nie poluzowuje uścisku. Wręcz przeciwnie. Najgorsze, że sam go tego nauczyłem. A najdziwniejsze, że to zupełnie nie ten styl walki, który on preferuje. I wtedy to do mnie

dociera. Każdy cios, jaki wyprowadził, jest kalką tego, od czego zaczynaliśmy treningi, gdy pomieszkiwałem u nich przed „misją Etna”.

- Jak zdobywa się wolność w naszym świecie, Nino? – syczy.
- Siłą – wyduszam.
- I czym jeszcze?!

Wiem czym. Uderzam go w klatkę. W miejsce, w którym ma świeżo wypalony ślad. To działa i zapewne kurewsko boli, bo od razu odskakuje. To właśnie spryt, albo i nie, bo Efesto wyje szaleńczo. Nie mam złudzeń. Zabawa właśnie się skończyła. Obniża barki i rusza do ataku, by po chwili złapać mnie za kolana. Upadam, a on razem ze mną. Zginam nogę, żeby wyciągnąć nóż zza paska na łydce, ale go tam nie ma. Pieprzony Efesto.

– Tego szukasz? – Siada mi na klacie, przyciskając nogę do mojej szyi. Obraca nóż między palcami. Gaza, którą osłonięta jest jego rana, przybiera barwę czerwieni. – Wolność zdobywa się siłą, Nino. – Zaraz zgniecie mi krtań. Uderzam rękami o dywan. – Siłą i sprytem.

Wbija nóż w podłogę. Tuż przy moim uchu. Schodzi ze mnie i odkleja od skóry opatrunek. Klnie i schyla się, opierając dłonie na kolanach. Widzę wystającą zza jego paska broń. Niemal słyszę, jak woła: „Weź mnie, weź mnie!”. Robię to. I kto tu jest sprytny?

– Czy mi się zdaje, czy właśnie straciłem spluwę? – Efesto prostuje się i syczy z bólu, przykładając dłoń do piersi. – Przechytryłeś mnie. – Unosi rękę.

To mnie w nim wkurza. On cały cholernie działa mi na nerwy. Te jego gierki. Oddaję mu broń.

– Nie zastrzelisz mnie? – pyta i unosi brwi, jakby naprawdę był zdziwiony.

– Ciężko kogoś zabić nienaładowaną bronią – pryham. – Zaplanowałeś to sobie. To wszystko. – Zataczam rękami krąg. – To, że Bernardo oddał mi nóż, zanim tu wszedłem, nie było przypadkiem i wszystko, co stało się do tej pory także. – Marszczę brwi. – Bawisz się ludźmi.

Kładzie palec na ustach.

– Morał z tego jest taki, że wykazałeś się sprytem, Nino. Przejrzałeś mnie.

– Nie wiem, jaki jest morał. Na pewno taki, jaki chcesz, żeby był. – Kręcę głową. – Pewnie od początku chodziło ci o to, żebym sądził, że jestem górą i uwierzył, że naprawdę mam łeb na karku. Chcesz, żebym głupio wierzył w to, że jestem w stanie ochronić Etnę. Dodatkowo nie dlatego, że muszę, tylko że niby bardzo tego chcę – burczę trochę urażony. – Może jeszcze ją lubię i jest mi jej żal, a weź. – Macham ręką. – Idę do domu.

– Jeśli okaże się, że twoje marzenie spełniło się, zanim zdążyłeś nawet je wymyślić, to co zrobisz, gdy będziesz się bardzo nudził? – Jęczę. Co za człowiek. Będzie wiercił mi dziurę w brzuchu jak najgorszy natręt. Idę w stronę drzwi. – Wiesz, że nie będę cię prosił. Daj znać, jak miewa się twoja matka! – krzyczy za mną. Zatrzymuję się. – I spędzaj z nią więcej czasu niż do tej pory. – Odwracam się. – Nigdy nie wiadomo, które spotkanie będzie ostatnim. – Rozkłada bezradnie ręce.

– Aż tak jesteś zdesperowany? Grozisz mi? – pytam wprost.

– Grozę? – Wybuchają śmiechem. – Namawiam cię, żebyś poświęcał czas swoim bliskim, a ty od razu: niedobry Efesto,

manipulator, nieobliczalny, mogący zabić czyjąś matkę i dodatkowo zdesperowany. Auć. – Kładzie dłoń na sercu. – To jakie masz plany na najbliższe kilka miesięcy?

– Ty tak serio?

– Ale co?

– Chcesz, żebym wrócił do Etny.

– Ja tak powiedziałem?

Nie wytrzymam z nim.

– Nie możesz jej dać ochrony, bo się jej oficjalnie zrzekła i chcesz, żebym wrócił tam z własnej woli, bo żaden z ich ludzi sobie z nią nie poradzi. I jeszcze, żebym wydobył na powierzchnię drzemiący w niej spryt i tajemne pokłady siły. – Sam nie wierzę w to, co mówię. – Ja nie uważam się za czarodzieja, tak jak ty.

– Niesamowita jest ta twoja wyobraźnia. – Patrzy na mnie zafascynowany. Świr. – Idąc za twoim przykładem, wyobraziłem sobie moją przyszłą żonę. Wiesz, jaka chciałbym, żeby była? – Ma rozmarzone spojrzenie.

– Jaka niby? – pytam z czystej ciekawości.

– W pierwszej wersji chciałem, żeby była gorąca jak wulkan, ale potem pomyślałem, że nie dość, że nieobliczalny desperat, manipulator i zabójca matek, to dodatkowo mający jakieś wyszukane wymagania. – Śmieje się.

– A w drugiej? – Nie wierzę, że prowadzimy tę rozmowę.

Efesto patrzy prosto w moje oczy i mówi poważnie:

– W tej okrojonej wystarczy, że będzie żywa.

ROZDZIAŁ 4

Boli mnie wszystko.

I będzie bolało, bo świat się zawalił, a ja znajduję się pod gruzami.

Nie zdążyłam osłonić twarzy. Ona boli mnie najbardziej. I duszy. A może ta jest sprytniejsza ode mnie i związała, bo czuję pustkę w środku?

„Jeszcze z tobą nie skończyłem”.

Poprzedniej nocy znów usłyszałam to zdanie. Ostatnim razem miało to miejsce sześć lat temu, gdy uciekłam z domu i zostałam znaleziona w łódce na wyspie Levanzo. Marna to była kryjówka, bo wybrana w pośpiechu, ale nie chciałam robić kłopotu Oscarowi i jego żonie. Ludziom, którzy udzielili mi schronienia. Tamtego dnia pobiłam swój rekord czasowy na wstrzymywanie oddechu pod wodą. Za każdym razem, gdy ojciec wyciągał z niej moją głowę, nie mógł się nadziwić, że jeszcze walczę. Dlatego zaciskał mocniej pięść na moich włosach i nie przestawał testować wytrzymałości. Przeżyłam. Wtedy myślałam, że dlatego, bo jestem twarda jak chłopak, syn, o którym zawsze marzył, a dziś wiem, że nie mogło być inaczej. On po prostu nie może mnie zabić. Wczoraj widziałam na jego twarzy przerażenie, gdy myślał, że przegiął, że wyprowadził o jeden cios za dużo. Był pewien, że przekroczył tę cienką linię, oddzielającą życie od niebytu. A moja śmierć to jego zgon. Zaśmiałam się, gdy sobie to uświadomiłam. A następnym razem oddam.

Nie jestem popychadłem. Pierdolcie się wszyscy. Zaskoczyć to mogę ja was, a nie wy mnie. Powtarzam to jak mantrę. Jeszcze kilka razy i może w to uwierzę. No może kilkanaście albo nawet kilkadziesiąt. Kilkaset? Będę szczerą. Coś tam potrafię. Nino zawsze się śmiał, kiedy powtarzałam ciosy, jakich uczył mnie potajemnie, pod przykrywką lekcji hiszpańskiego. Jest cię szansy, że z mojej miny lub sterczących włosów, a nie z braku umiejętności, ale biorę pod uwagę najgorszą wersję. Poradzę sobie ze wszystkim, obronię rodzinę, a potem ucieknę. Nie mam pewności, czy wymieniłam swoje cele we właściwej kolejności. Miałam być szczerą. Nie mam pojęcia, jak sobie poradzić i nie wiem, jak obronić bliskich. Wiem jedynie, jak uciec. Jestem w tym naprawdę dobra. Zawsze to jakiś atut. Solidny fundament, czy coś w tym stylu. Z tuzin razy zabiłam pająka, każde moje westchnienie do *jakiegoś tam chłopaka* zapisuję skrzątnie w pamiętniku, którego strony posypuję brokatem. Uważam, że małe kotki są urocze, lubię patrzeć w gwiazdy i pić ciepłe mleko przed snem, ale nie jestem popychadłem. Pierdolcie się wszyscy. Zaskoczyć to mogę ja was, a nie wy mnie.

Nabieram powietrza i chowam twarz w dłoniach. To panika. Ten potok myśli to jej skutek. Tak naprawdę jestem wściekła, zawiedziona, dezorientowana i, niestety, wciąż beznadziejnie zauroczona, ale w szczególności to pierwsze, drugie i trzecie. Ostatnie na pewno przejdzie z czasem.

Ale przede wszystkim się boję. Wielu rzeczy: bólu, śmierci, tego, że nie uda się odzyskać Almy, że już być może jest za późno. Staram się nie wyobrazać sobie, co mogą jej robić, ale to silniejsze

ode mnie. I to tak bardzo boli. Bardziej niż rany, które zadał mi ojciec.

Jest jeszcze Nino. A raczej go nie ma. To duży problem. Gdy nagle traci się swoją tarczę, jest się bardzo zdziwionym. Wystawionym na ciosy, nadchodzące ze strony, z której nigdy nie powinny. Odkąd pojawił się w naszym domu, nie czułam potrzeby ucieczki. Nie, bo stałam się wtedy niewidzialna dla ojca. Było tak, jakby już mnie odprawił. Byłam duchem. Wystarczyło pomyśleć. Połączyć fakty. Skoro obecność innych jego ludzi nigdy nie była skuteczną barierą między mną a nim, powinno mnie to zastanowić. Dopiero Nino. On był tą barykadą, tym murem, którego nikt nie miał odwagi zburzyć. A ja się go nieświadomie zrzekłam.

Sięgam po telefon. Nino dzwonił do mnie kilka razy, ale tylko wczoraj. Po kilku nieudanych próbach odpuścił. Nie oczekuję wielkich rzeczy, wiem, że nie może wrócić, skoro oficjalnie potwierdziłam, że nie chcę ochrony. Pragnę jedynie się spotkać. Na chwilę. Musi mi powiedzieć, co mam robić. Tylko tyle. Musi, bo nie wiem. Odblokowuję ekran i piszę do niego wiadomość:

Spotkamy się?

Czekając na odpowiedź, podchodzę do okna. Opieram dłonie o parapet i zastanawiam się, dlaczego ojciec tak długo nie wraca z przysięgi Efasta. W piersi kielkuje mi nadzieja, że być może szuka Almy albo że już ją znalazł, lub dogadał się z rodziną Bommarito. Ekran telefonu rozświecila się. Odpisał:

Yhm.

Wystukuję szybko kolejną wiadomość.

To kiedy i gdzie?

Tym razem nie muszę długo czekać.

Jutro. Cimitero di Gravina. O 13.

Myślałam raczej o jakiejś przepelnionej ludźmi kawiarni, a nie o cmentarzu. Do tego w miejscowości, w której mieszka rodzina Selvaggio, ale rozumiem. Nino pewnie spotka się ze mną w tajemnicy, więc musi być w pobliżu ich rezydencji w razie, gdyby musiał szybko wrócić.

Będę! – odpisuję.

O ile przeżyję do tego czasu.

Odpowiedź przychodzi po kilku sekundach.

No jasne, że tak.

To aż tak widać? To, że jestem zdesperowana?

Ojciec dał mi popalić – zwierzam się.

Jaśniej.

Nie wiem, czego on nie rozumie. Sam nieraz mówił, że damy komuś popalić, więc chyba wie, co miewa się wtedy na myśli. Wzdycham i odpisuję.

Pobił mnie... Ale to nic, następnym razem go zabiję.

Rety, nie to chciałam napisać! Zanim zdążę wystukać kolejną wiadomość, przychodzi SMS:

Ha, ha.

To takie zabawne? No nie wiem, może jego to śmieszy. Mnie nie jest do śmiechu. Odpisuję:

POBIJĘ miało być! Autokorekta!

Durny słownik.

Poproś o to mnie, nie odmówię ci.

O co niby mam go poprosić? Jeden dzień w domu Selvaggio i już wyprali mu mózg.

Proszę

Piszę i podskakuję w przestkach, bo stary zegar wybija dwudziestą trzecią. W ostatniej chwili łapię telefon, który niemal wyslizguje mi się z dłoni. Wiadomość zostaje wysłana, a nie zdążyłam dodać znaku zapytania! Piszę kolejną:

Jeszcze znak zapytania miał być w poprzednim SMS-ie!

Cieszę się, bo odpowiedź przychodzi natychmiast, ale nie od Nina, tylko od operatora.

Wiadomość zwrócona do nadawcy.

Ale jak to? Wybieram jego numer, bo pisanie jest do niczego. Z głośnika rozbrzmiewa komunikat: „Nie ma takiego numeru”. Jak nie ma, jak jest?! Ponawiam połączenie i po raz kolejny wysłuchuję komunikatu. Rzucam komórkę na łóżko. Byle do jutra. Dam radę. Muszę.

W łazience opłukuję twarz zimną wodą. Przyklejam nowy plaster nad łukiem brwiowym. Przyglądam się odbiciu w lustrze. Mam wzrok lisa złapanego w pułapkę. Próbuję zmienić wyraz twarzy i zrobić groźne spojrzenie. W wyobraźni, gdy takie robię, uzbrojeni po zęby faceci rzucają swoją broń na ziemię. Spokojnie, nie wszystko na raz.

Przechodzę przez pokój i pukam w drzwi. Cisza, a przecież wiem, że stoi przed nimi żołnierz ojca. Widzę go na ekranie monitoringu. Uderzam w nie pięścią. Słyszę przekręcanie klucza w zamku, a gdy w progu pojawia się Alessio, udaję, że słaniam się na nogach. Kładę rękę na czole, przymykam oczy i mówię słabym głosem:

– Wytlumacz ojcu, co mi jest. – Wskazuję na leżący na łóżku telefon. – Nie wierzy mi, że źle się czuję. Kazał, żeby potwierdził

to jego najlepszy człowiek. – Celowo używam dwóch ostatnich słów i zataczam się na ścianę. Alessio nawet się nie waha, podbiega do łóżka, a ja wybiegam i zamykam go w pokoju. Zaskoczyć to mogę ja was, a nie wy mnie.

To mój najstarszy numer. Oklepany i gdyby przed drzwiami stał ktoś, kto pracuje dla nas dłużej, musiałabym się bardziej postarać. Żeby dostać się do gabinetu ojca, muszę mieć pewność, że Stefano nie przebywa w tamtej części domu. Schodzę cicho po schodach i idę do kuchni. Wlewam do czajnika trochę wody. Niewiele, bo nie wiem, ile mam czasu. Ojciec może wrócić w każdej chwili. Stawiam czajnik na palniku i wracam do holu. Chowam się za filarem. Czekam. Już zapomniałam, jak lubię tę zabawę. Poziom adrenaliny zbliżony do tego, jaki towarzyszy mi podczas kradzieży. Rozlega się gwizd czajnika. Gwizdże i gwizdże. Stefano na pewno nie ma na tyle cierpliwości, żeby czekać, aż ktoś inny się tym zainteresuje. On z nich wszystkich ma jej najmniej. Nie mylę się. Przemierza hol, klnąc pod nosem i wchodzi do kuchni, więc korzystam z okazji i pędzę do gabinetu. Mam mało czasu, do tego szans na powrót tą samą drogą zero. Wiem na pewno, że w tym pomieszczeniu jest kilka sztuk broni, których ojciec na co dzień nie używa, więc jest jakaś tam szansa, że nie zorientuje się prędko, że coś zostało *pożyczone*. Odpuszczam przeszukiwanie biurka, to byłby błąd w sztuce, a te mi się nie zdarzają. Nie licząc najpewniej uzależnionego od telefonu Efešta, który tylko z tego powodu zbyt szybko uzmysłowił sobie, że coś stracił. Otwieram szuflady komody, do której ojciec rzadko zagląda. W ostatniej znajduję cudowną dziewiątkę, Berettę 92F. Sprawdzam, czy pistolet jest zabezpieczony oraz czy w

magazynku jest komplet naboí. Zamykam szufladę, chowam broń do kieszeni bluzy i podchodzę do biurka, żeby poczęstować się papierosem. Zgarniam zapalniczkę i wychodzę przez okno. Nie muszę pracować nad tym, by zlać się z tłem. Już kiedyś sprawdziłam, które punkty na naszej posesji znajdują się w martwej strefie, czyli tej będącej poza polem widzenia kamer systemu monitoringu. Zeskakuję na trawnik i odpalam papierosa. Kilka razy się nim zaciągam, licząc na to, że zaśmierdłam wystarczająco, by mieć mocne alibi. Rzucam peta w krzaki i wchodzę do domu. Nie jestem cicho. Cisza jest podejrzana. Tak mówił Nino. Trzeba starać się wypełnić pomieszczenie całą sobą, swoją osobowością, żeby odwrócić uwagę od tego, co chce się ukryć.

– Kurwa, aż zakrećilo mi się w głowie. – Wchodzę i trzaskam drzwiami. Tak jak myślałam, Alessio już się wydostał. Żaden wyczyn, zajęło mu to dłużej niż sześciu poprzednim żołnierzom, na których testowałam tę metodę. – O, już wyszedłeś? – Udaję zdziwioną. – Ojciec się nie mylił, mówiąc, że jesteś najlepszy. – Chichram się.

– Zamknęłaś go? – Stefano staje obok i patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Chciałam napić się herbaty. – Wzruszam ramionami. – Postawiłam czajnik na kuchence i poszłam zapalić.

– Coś kręcisz – mówi i podchodzi bliżej. Wącha moje włosy, a potem odsuwa się i krzywi. – Śmierdzisz jak popielniczka. I woda już się wygotowała. – Marszczy brwi. – Nie jestem tu od kucharzenia. – Celuje we mnie palcem.

– Jak coś, to możesz powiedzieć mojemu ojcu, że cię przechytryłam – zwracam się do Alessia. – Ciekawe, czy zdenerwowałby się na mnie czy na ciebie. – Wiem, że to pierwsze, ale chcę zasiać ziarnko niepewności w jego głowie i wiem, że moje słowa trafiły na żyzną glebę. To zawsze działa.

– Powiem następnym razem. Dam ci jeszcze szansę – stwierdza łaskawie i wzdycha przeciągle. Robi krok w tył i lustruje mnie od dołu do góry. Ma trudną do zidentyfikowania minę. – Ty to jednak masz coś z głową.

Stefano uderza go w ramię i wytrzeszcza oczy, syczy przez zaciśnięte zęby coś w stylu: „Zamknij się”.

– No i zrobiło mi się przykro. – Opuszczam ramiona. – Cześć.

Alessio pociera czoło, wyraźnie zakłopotany, a ja zmierzam do pokoju. Pierwsze, co robię, gdy przekraczam próg, to chowam pistolet pod łóżkiem. Później znajdę dla niego lepsze miejsce, bo właśnie sobie coś uświadomiłam. Mianowicie, że popełniłam błąd. Duży. Mocna dziesiątka w skali do dziesięciu, jakby określiła to Alma. Sięgam po telefon, który nie leży teraz na narzucie, lecz na szafce nocnej, z zamiarem wykasowania mojej korespondencji z Ninem. Świetnie. Wymyśliłam naprawdę genialny plan. Żołnierz ojca sam na sam z moim telefonem. Wiadomości z groźbą śmierci lub pobicia. Jutrzejsze tajne spotkanie. Idiotka! Opadam plecami na materac i unoszę komórkę, żeby usunąć SMS-y, ale ich nie ma. Siadam szybko na łóżku, czuję przyspieszone bicie serca. W głowie tysiąc myśli. Zrywam się i podbiegam do monitora. Alessio znów stoi przed drzwiami, więc w nie pukam.

Gdy otwiera, nie przekracza progu.

– Co znowu?

Przyglądam mu się. Nie sprawia wrażenia osoby, która wie o czymś, o czym nie powinna.

– Wiesz coś i komuś o tym powiesz? – pytam tajemniczo, a on patrzy na mnie, jakbym na serio miała coś z głową. – Przeglądałeś moje wiadomości w telefonie? Wykasowałeś je?

– Dlaczego miałbym to zrobić? – Unosi brew.

– Z ciekawości lub żeby mieć na mnie haka – tłumaczę. – Musisz być bardziej ogarnięty, bo ktoś może zamotać cię na tysiąc sposobów, a ty się nawet nie zorientujesz – udzielam mu porady, a on uśmiecha się z wdzięcznością. Gdy to robi, wydaje się całkiem sympatyczny.

– W porządku. Postaram się. Dzięki za rady.

Odwzajemniam uśmiech. Jest naprawdę miło. Do czasu, aż na dole rozlega się niezły rumor.

– Co to było?

Popycham go, ale ani drgnie. Łapie mnie za rękę, wpycha do pokoju i zatrzaskuje drzwi. Zerkam na ekran monitoringu i najeżdżam kursorem myszki na obraz nagrywany kamerą w holu. Widzę ochronę i ojca, który jedną rękę trzyma na głowie, a drugą wymachuje na lewo i prawo. Wygląda na wzburzonego, chociaż to akurat nie nowość. Tylko przy obcych trzyma nerwy na wodzy, czego przykładem było jego zachowanie w rezydencji Selvaggio. Dopiero po opuszczeniu ich domu ściągnął maskę, którą przywdział specjalnie na tę okoliczność, a skumulowane emocje i frustrację wyładował na nas. Patrzą w monitor. Po schodach zbiega mama, ale kieruje się od razu do kuchni. Nawet na moment nie przystaje w holu, żeby zorientować się w sytuacji. Codziennie obserwuję, jak niemal unosi się nad podłogą,

delikatnie odkłada talerze do zlewu, a susząc włosy w łazience zakrywa wywietrzniki w drzwiach ręcznikami, bo szum suszarki denerwuje ojca. A może ona jest jednak odważna? Ja w ogóle nie suszę włosów, gdy ojciec jest w domu. Czekam, aż same wyschną. Czasem zastanawiam się, o czym myśli, gdy przyłapuję ją na tym, że wpatruje się w tył jego głowy. Nie rozmawiamy za dużo. Trudno ubrać w słowa te emocje wielkiego kalibru. Wiem, że często głaszczę mnie po włosach, gdy myśli, że już śpię. Czuję wtedy, jak drży jej ręka. Naszej rodziny nie oplatają więzy braterstwa i jedności, tylko gruby sznur, pętla, która pozbawia tlenu. Skutecznie wyplątać się z niej można tylko w jeden sposób. Ten ostateczny. Dlatego nie mam do niej żalu. Jestem wdzięczna, że przy nas trwa, że nie wybiera łatwiejszych dróg: samobójstwa lub ucieczki. To drugie w moim przypadku zawsze kończyło się fiaskiem. Innych opcji nie ma.

Zerkam ponownie na monitor. Zmieniło się tylko tyle, że ojciec siedzi teraz na krześle i przykłada coś do głowy. Korzystam z prywatności i schylam się, żeby wyciągnąć spod łóżka pistolet. Muszę znaleźć inną, lepszą kryjówkę. Poleruję go bluzką, przewieszoną przez ramę łóżka. Nie chcę robić z niego użytku. Nie zamierzam nawet w nikogo celować, ale muszę go mieć. Nie potrafię wytłumaczyć tego fenomenu, ale sama świadomość, że go mam, sprawia, że jest mi lżej. Do czasu aż zaczyna ciążyć. Do momentu, w którym pragnę, żeby w magiczny sposób wyparował z moich rąk, bo otwierają się drzwi i bez uprzedzenia do pokoju wchodzi Alessio. Jak zwykle w stresujących sytuacjach moje serce rozpoczyna szaleńczy galop, ale nie jest on spowodowany tym rodzajem przyjemnego dreszczyku adrenaliny, który lubię. W tym

przypadku po prostu się boję. Chowam dłonie za plecami, a Alessio, który wszedł pewnie jak do siebie, zatrzymuje się w miejscu i mruży oczy.

– Co jest? – pyta.

„Wypełnij pomieszczenie swoją osobowością”.

– Ja, ja...

Świetna rada, Nino, dzięki.

– Co tam chowasz?

– Nikt cię nie nauczył, że trzeba pukać?! – naskakuję na niego.

– To pokój dziewczyny! – Zastanawiam się, czy tupnąć nogą, ale w końcu tego nie robię.

– I co ta dziewczyna chowa za plecami? – Robi krok w moją stronę, a ja się cofam. – Mam nadzieję, że nie to, co odznaczało się w kieszeni twojej bluzy w holu, gdy przyszłaś z *dymka*. – Robi cudzysłów w powietrzu, gdy wypowiada ostatnie słowo.

Jestem tak zaskoczona, że nie zdążam nawet otworzyć ust, a Alessio już jest przy mnie i wyciąga spluwę z moich rąk. Obraca ją w dłoni i sprawdza magazynek.

– Spocona Beretta 92F.

Automatycznie wycieram dłonie o spodnie, ale to i tak na nic. Zaciskam pięści i staram się uspokoić oddech. W wyobraźni widzę, jak stąd wychodzi i idzie po ojca. Muszę działać.

– Co chcesz w zamian za milczenie? – szepczę.

– A co masz? – Uśmiecha się pobłaźliwie.

– Czeka.

Rozpinam poszewkę, w którą obleczona jest poduszka. Staram się paznokciem zrobić dziurę w łączeniu szwów, ale bez skutku.

– Moment, bo zaszyłam profesjonalnie – tłumaczę i podbiegam do biurka, żeby wziąć z kubka nożyczki.

Wbijam je w poduszkę, a gdy materiał się rozpruwa, wkładam do niej rękę i lokalizuję ukryty skarb. Jest.

– Proszę. – Przekazuję mu *łapówkę*. – W piórach, bo był w poduszce.

Bierze zegarek, który należy... należał, do Efesta, strąca palcem kilka przyczepionych do niego piórek, przygląda mu się i wybucha najgłośniejszym śmiechem, jaki kiedykolwiek słyszałam. Patrzę na niego zdezorientowana.

– Zaczynam żałować, że dopiero teraz mnie do ciebie przydzielili. Serio, kurwa.

Nie przestaje się śmiać i zmierza w stronę wyjścia. Najgorzej. Nie jest dobrze. Kładzie zegarek i pistolet na komodzie, po czym opuszcza pokój.

– Dokąd idziesz?! – krzyczę, gdy drzwi się zatrzasną.

Zrywam się z łóżka i podbiegam do komody, z której biorę broń. Kręcę się dookoła własnej osi, nie wiedząc, co zrobić ze sobą, z tą spluwą i z całym swoim przekichanym życiem. Moje nogi trzęsą się tak bardzo, że kolana obijają się o siebie. Rozlega się pukanie, więc rzucam pistolet na łóżko i przykrywam go koszulką.

– Proszę! – Nie udaje mi się opanować drżenia głosu.

Do pokoju ponownie wchodzi Alessio. Bez ojca. No pewnie, on nie bawiłby się w pukanie, tylko od razu waliłby pięścią i to nie w drzwi, lecz w moją głowę. Patrzę na niego, zastanawiając się, czy to jakaś pułapka. Może najgorsze ma się dopiero zacząć.

– Masz być gotowa jutro o dwunastej – mówi jak gdyby nigdy nic. – Jedziemy na pogrzeb Antonia Bommarita. I zanim coś

powiesz, obecność jest obowiązkowa. Ceremonia rozpoczyna się o trzynastej.

Przypominam sobie o jutrzejszym spotkaniu z Ninem. To niewykonalne, żebym była w dwóch miejscach na raz.

– A gdzie odbędzie się ten pogrzeb?

– Cimitero di Gravina.

Teraz rozumiem, dlaczego Nino umówił się ze mną właśnie tam. To widocznie jedyna szansa na to, żebyśmy mogli się spotkać. Nie wiem, jak wyobraża sobie to, że porozmawiamy niezauważenie, ale liczę, że ma plan. On zawsze jakiś ma. Spotkanie z nim jest powodem, dla którego w ogóle rozważam pojawienie się na pogrzebie. Jasne. Jakbym miała wybór. Jedyne, na co mam wpływ to, jaki rodzaj płatków zjeść na śniadanie. Kreatorka swojego losu...

Alessio odwraca się, żeby wyjść, więc podbiegam do niego i kładę rękę na jego ramieniu.

– A powiesz, co stało się ojcu?

Staje ze mną twarzą w twarz.

– Dostał wpierdol.

– A.

– B. – Przewraca oczami. – Idź już spać.

– A przyjdzie tu? Wiesz, w związku z tym, no wiesz...

– Ja nic nie wiem.

Nic więcej nie mówi. Po prostu wychodzi. Nic z tego nie rozumiem, ale teraz jestem w stanie myśleć tylko o tym, czy to sprawka Nina, to całe pobicie. Decyduję się schować broń pod materacem przynajmniej na tę noc. Kładę się i przymykam oczy. Dobranoc, Almo, gdziekolwiek teraz jesteś. Jest mi ciężko, ale

mimo wszystko nieco lżej na sercu ze świadomością, że Nino usiłuje mnie chronić nawet na odległość. Na taki czyn może się zdobyć jedynie prawdziwy rycerz. Albo szaleniec.

Budzi mnie odgłos kroków w pokoju. Uchylam powieki i przyglądam się Robercie, naszej gosposi. Narzuca na lustro granatowy materiał i idzie do łazienki, a gdy z niej wychodzi, mówi:

– Wstawaj, dziecko. Pojedziesz z Alessiem, bo pan La Mantide wyruszył już na mszę. Pomóc ci przygotować odpowiedni strój? – Otwiera szafę.

– Nie, poradzę sobie – zapewniam. – No, nie patrz tak na mnie – fukam. – Już nigdy nie będę tak wyglądać. – Dotykam twarzy.

Nie wydaje się przekonana. Nie dziwię się, sama nie wierzę w to, co mówię. Chcę sprawdzić, jak dziś wygląda moja twarz, ale łazienkowe lustro też jest zasłonięte. Wmawiam sobie, że nie wierzę w przesady, ale jednocześnie nie mam odwagi odchylić nawet skrawka, by móc się przejrzeć. Nie sądzę, żeby Antonio zechciał nawiedzić akurat mnie, ale wolę nie ryzykować. Tradycja nakazuje zakryć wszystkie zwierciadła w dniu pogrzebu, żeby dusza zmarłego nie została zaklęta w nich na zawsze. Podczas ostatniego pożegnania mojego dziadka zrozpaczona, pogrążona w żalu babcia specjalnie siedziała przed odsłoniętym lustrem i intensywnie się w nie wpatrywała. Mocno wierzyła, że zobaczy duszę swojego męża. Przeżyli razem pół wieku, a ich małżeństwo było aranżowane. Gdyby ktoś dał mi słowo, że moje będzie takie udane, to... Nie, jednak nie. I tak bym nie uwierzyła. Efesto jest całkowitym przeciwieństwem mojego dziadka. On miał serce na dłoni. On. Miał. Serce.

Kwadrans. Tyle zajmuje mi wyszperanie ze sterty ciuchów tych odpowiednich. Zrobienie makijażu nie mając do dyspozycji lustra to ryzyko, ale pamiętam, jakie części twarzy wymagają szczególnego kamuflażu. Wybiegam z pokoju, na schodach mijam Robertę, która widząc mnie unosi oczy i robi na piersi znak krzyża. Wzruszam ramionami i wychodzę z domu.

Na podjeździe stoi czarne ferrari. Skradam się, żeby zerknąć przez szybę. Alessio rozmawia przez telefon. Podbiegam do drzwi od strony kierowcy i szarpnię za nie, a gdy się otwierają, krzyczę:

– Pali się! Ratuj wszystkich! – Kładę dłonie na policzkach, udając przerażenie. – Wyciągnij ich, szybko!

Alessio wyskakuje z auta, jakby to jego siedzenie płonęło. Bawi mnie to, że nie zna moich najbardziej oklepanych numerów. Przy nim znów czuję się jak małe dziecko, które całe dni obmyślało wielkie plany ucieczki. Odpycha mnie ręką i biegnie w stronę drzwi wejściowych.

– Jesteś najprzystojniejszym strażakiem w tym domu! – krzyczę za nim, a on odwraca się i marszczy brwi. – Normalnie aż cała płonę. – Chichoczę i wskakuję do auta.

Blokuję drzwi i wyciągam dłoń w stronę stacyjki. Rozlega się warkot silnika. No to w drogę! Podjeżdżam pod bramę i odwracam głowę. Widzę idącego za autem Alessia. Jest wkurzony i nie kłamałam, gdy mówiłam, że przystojny. I zapewne myśli, że nikt nie otworzy mi bramy. Trąbię kilkukrotnie i, niestety, też utwierdzam się w tym przekonaniu. Wyskakuję z samochodu, zanim Alessio zdąży do niego podejść, okrążam go i zajmuję miejsce pasażera. – Może w drodze powrotnej się uda – pocieszam się szeptem.

– Zaczynasz mnie wkurzać – warczy, gdy zajmuje swoje miejsce.

– Wiem, co czujesz – zapewniam go.

– Nie rób tak, bo jeśli rzeczywiście coś będzie ci grozić, to może się zdarzyć, że ci nie uwierzę.

– Powiedz to temu diabełkowi. – Poklepuję się po ramieniu. – Słyszysz, jak chichocze i widzisz, jak macha nóżkami?

Alessio w końcu się uśmiecha i sięga ręką do schowka. Wyciąga paczkę chusteczek i rzuca ją na moje uda.

– Pierwszy raz się malowałaś? Wiesz, że wyglądasz źle, a nawet bardzo źle? Zerknij w lusterko. – Wskazuje palcem. – A, zapomniałem, wy wierzycie w te zabobony. – Kręci głową i wzdycha. – Tu i tu za dużo jakiejś mazi. – Dotyka mojej skóry. – Dlatego myślałem, że jesteś okopcona dymem z tego całego pożaru. – Śmieje się w głos.

Przecieram twarz chusteczką we wskazanych miejscach.

– Lepiej?

Przygląda mi się wnikliwie.

– Sam nie wiem. – Zaciska usta. – Teraz widać fiolet na policzku, a na skroni zieleń. Do tego to twoje żółte ubranie... – jęczy. – Dobra, jedźmy, miejmy to już za sobą.

Podjeżdżamy pod cmentarz. Patrzą przez szybę, licząc, że zauważę Nina. Obok nas przejeżdża karawan.

– Idziemy? – Odwracam się w stronę Alessia. – Co ty wyprawiasz?! – piszczę, widząc, że trzyma rękę na swoim kroczu i mocno ją zaciska. Śmieje się i sięga po moją dłoń, którą kładzie na lewej piersi. Co za zbok!

– Jeśli nie chcesz, żeby spotkał cię ten sam los – wskazuje głową karawan – złap się za pierś lub klejnoty, gdy przejeżdża obok ciebie. – Puszczaj do mnie oczko. – A widzisz, tego nie znałaś!

Prawda. Wysiada z auta, więc też to robię. Nagle Alessio uderza rękami o dach.

– Kurwa, zapomniałem ze stołu złotych monet. Wskakuj z powrotem!

– Uroczystość zaczyna się za pięć minut, a spóźnienie też jest zniewagą – przypominam.

– Nie masz takich przy sobie? – pyta naiwnie.

– Mogę mieć. – Wzruszam ramionami.

Alessio wzdycha z ulgą i wyciąga do mnie dłoń.

– Dasz jedną? – Patrzy na mnie prosząco.

– Powiedziałam, że mogę mieć, a nie, że mam.

Podbiegam do zgromadzonych przed bramą cmentarza żałobników. Widzę Serafina i jego ojca. Waham się, bo powitanie z nimi, to ostatnie czego pragnę. Z drugiej strony chęć, by postawić ich w niezręcznej sytuacji, jest kusząca. Nie mieć złotej monety, żeby ukochany syn mógł opłacić swój kurs i przeprowić się na *drugą stronę*, to największa hańba w dniu takim jak ten. Czuję ten znajomy dreszczyk ekscytacji wymieszany z obrzydzeniem, jakie wywołuje patrzenie na ich gęby. Decyzja zostaje podjęta za mnie. Serafino mnie zauważa.

– Witaj, Etno. – Przeciska się między ludźmi, a gdy się ze mną zrównuje, łapie mnie znienacka za nadgarstek i przyciąga do siebie. – Jest mi tak smutno z powodu śmierci mojego brata. – Obejmuje mnie mocno ramionami. Kątem oka dostrzegam Alessia, który kręci głową. Niemal widzę wypisane na jego

twarży: „Nie, nie”, ale już za późno. Mam ją. – Ty będziesz ostatnia – szepcze mi do ucha Serafino, po czym wypuszcza z objęć i odchodzi. Jeśli miałam jakąś wątpliwość, opory, to już ich nie mam, wyparowały. Wokół mnie jest wielu ludzi, ale szukam wzrokiem tego jednego. Szefa Bommarito.

– Dzień dobry. – Podchodzę do niego. Uśmiecha się rubasznie.
– Proszę przyjąć moje kondolencje. Antonio był – przelykam ślinę – dobrym człowiekiem. – Bommarito rozpromienia się na te słowa i wyciąga do mnie dłoń, ale nie przytula. A musi, bo nie jestem magikiem! Wprawiam wargę w drzenie. – Tak bardzo nie lubię pogrzebów. Boję się śmierci! – Rzucam się w jego ramiona, wczepiam palce jednej ręki w marynarkę, pociągam obrzydliwie nosem, aż w końcu mnie odpycha i patrzy jak na najżałośniejszą osobę pod słońcem.

– Musimy już iść. – Jego żołnierz zwraca się do niego i wskazuje ręką na żelazną bramę.

Podskakuję energicznie i krzyczę do Alessia:

– Idziesz?!

Znów uderza dłonią w dach jak jakiś sfrustrowany człowiek. Tak, jakby miał powody, a przecież ich nie ma. Problem rozwiązany. Teraz niech martwią się inni. Gdy do mnie podchodzi, wtulam się w niego i wsadzam do kieszeni jego spodni monetę.

– Cześć, Etno. – Obok nas przechodzi Ferro. Szczerzy się od ucha do ucha i zmierza w stronę wejścia na cmentarz. Po chwili okręca się na pięcie i woła: – Idziecie?!

Podchodzimy do orszaku żałobnego. Alessio przeciska się między ludźmi, żeby dołączyć do naszych, do rodzin organizacji, i ciągnie mnie za rękę. Rozglądam się w poszukiwaniu Nina, ale

nigdzie go nie widzę. Przystajemy przy miejscu pochówku. Otwarta trumna z ciałem Antonia postawiona jest na podwyższeniu. Jego twarz okrywa biała, koronkowa serwetka. Jej lokalizacja nie jest przypadkowa. Oznacza, że odniósł rany głowy, co tłumaczy, dlaczego nie jest wystawiony na widok gapiów w całej okazałości. Ludzie ustawiają się po trzech stronach trumny. Czwarta jest miejscem, w którym stoi wielkie lustro. Teraz oczywiście przykryte granatowym sukniem. Zauważam ojca i jego żołnierzy, ale szybko odwracam wzrok. Alessio popycha mnie w stronę stojących w rzędzie członków rodziny Selvaggio. Nie opieram się, bo to szansa na szybsze zlokalizowanie Nina. Na szczęście nie ma tam Efešta. To dobry znak, bo on nie potrafi się zachować. Już raz stałam obok niego na pogrzebie krewniaka rodziny Mancini. Miałam wtedy trzynaście lat. Przez całą uroczystość ciągnął mnie za warkocz i wmawiał, że to nie on, tylko duch zmarłego. Nie mogłam spać przez miesiąc i kilka razy dziennie myłam włosy, żeby zmyć z nich trupi dotyk. Staję w szeregu przed jego braćmi. Po mojej prawej Alessio, a po lewej Bernardo.

– Dasz mi tę monetę? – pyta Alessio.

– Czary–mary i już jest. – Uśmiecham się pod nosem, bo przecież już dawno ma ją w kieszeni.

– Co za magia się tu odprawia?

Wzdrygam się i odwracam. Za mną stoi Efešto. Posyłam mu w moim mniemaniu groźne spojrzenie, a on obejmuje moją głowę rękami i przekręca ją, żebym patrzyła tam, gdzie trzeba.

Z głośników rozbrzmiewa spokojna muzyka. Mistrz ceremonii rozpoczyna przemowę, ale totalnie nie mogę się skupić na jego

słowach. Nie, kiedy Efesto jest obok. Sama świadomość, że jest tak blisko, powoduje, że miękną mi nogi. Jest w nim coś, co sprawia, że mam ochotę go udusić, a jednocześnie przytulić i nigdy się od niego nie odklejać. Marzę o nim, odkąd pamiętam. Teksty w moim pamiętniku to niemal psalmy pochwalne na jego cześć. Nawet dziś użyłam jego perfum i jestem na siebie zła z tego powodu, a jeszcze bardziej wkurza mnie to, że już się kończą. To żalosne, ale mam świadomość istnienia problemu, więc nie tragizujemy. W końcu mój mózg i zdradliwe ciało zaczną ze sobą współpracować. Dojdą do porozumienia i wyciągną wnioski. Wspólnie krzykną: „Wiejemy!”.

Rozglądam się na lewo, na prawo. Nie mam odwagi zerknąć za siebie, żeby sprawdzić, czy gdzieś tam stoi Nino. Wieje lekki, ciepły wiaterek, a materiał, którym przykryte jest lustro, delikatnie się unosi. Według mnie dusza Antonia nie musi obawiać się, że zostanie wciągnięta przez ciemne siły, czyhające po drugiej stronie. W końcu służył diabłu za życia.

Czuję dotyk na odsłoniętym karku. Nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, że to nie żaden duch. One pewnie nie mają takich ciepłych palców. Chcę strącić dłoń Efesta, ale przynosi to odwrotny skutek, bo jeszcze mocniej ją przyciska i przykładła usta do mojego ucha.

– W innych okolicznościach powiedziałbym, że widok mojego herbu na twoim karku bardzo mnie podnieca – szepcze.

Każdy włoszek na moim ciele się unosi. Co za człowiek. Przecież właśnie to powiedział, a okoliczności, jakie są, każdy widzi.

– Nasz ukochany brat Antonio spocznie u podnóża Etny. Tak jak jego przodkowie. – Mistrz ceremonii rozkłada ręce. –

Umożliwmy mu bezpieczną przeprawę do świata, w którym panuje radość i harmonia. Proszę, żeby każdy z was, jak nakazuje tradycja, złożył na poduszce – wskazuje czerwony przedmiot, leżący przy trumnie – złotą monetę wykutą przez boga ognia, Hefajstosa. Czyń honory – zwraca się do *capofamiglia* Bommarito. Patrzą kątem oka na Alessia. Jest blady. Chyba nie przepada za pogrzebami.

Bommarito zbliża się do poduszki i przeczesuje kieszenie. Muszę przyznać, że jest zawzięty i nie można odmówić mu zapалу. Sprawdza każdą po kilka razy i robi się coraz bardziej czerwony. W końcu zerka na Serafina, wysyłając mu błagalne spojrzenie. Ten również sprawdza swoje kieszenie, ludzie zaczynają szeptać między sobą i robi się gwar. Podchodzi do niego ojciec Efesty, wkłada mu w dłoń kilka monet i poklepuje go pokrępowo po ramieniu. Sam kładzie na poduszce swoją. To znak, że teraz rodzina Selvaggio będzie składać dar.

Efesto przeciska się między mną a Bernardem, a za nim idą jego bracia. Widzę, że mój ojciec ruszył z miejsca, więc dołączam do niego. Kładziemy swoje monety. Łapie mnie za dłoń, ale się wyswobadzam. Nie zamierzam stać obok niego. Chcę wrócić na swoje miejsce, ale zajęła je Sophia. Idę na koniec rzędu i wypatruję Nina. Bommarito z trzaskiem zamyka wieko trumny. Nie wiem, czy wzdrygam się z powodu gwałtowności jego ruchu, czy dlatego, że znów czuję sunące po moim karku palce.

Odwracam się.

– Po co tu przyszedłeś? – Efesto uśmiecha się pod nosem. Dzisiaj obrał sobie za cel działanie mi na nerwy. Na każde moje zakończenie nerwowe. – Możesz przestać?

– Nie.

Fukam i ponownie zmieniam miejsce. Staję przy lustrze, bo wiem, że nie można, więc Efesto za mną nie pójdzie. Zgromadzeni znów szepczą między sobą, zbliża się do mnie mistrz ceremonii, a ojciec zaciska usta i rozprostowuje palec przy udzie, jakby wydawał polecenie: „Do nogi!”

– Nie jestem psem! – krzyczę w jego stronę i tupię nogą. Niektórzy kładą dłonie na ustach. – Oj – dodaję, gdy materiał ześlizguje się z lustra. – Zahaczyłam butem – tłumaczę. – To nic. – Spanikowana podnoszę płótno.

– Alfredo, zrób z nią w końcu porządek! – wydziera się Bommarito.

– Ona nigdy nie umie się zachować. – Dociera do mnie czyjś szept.

– Nie patrzcie w lustro – dodaje inna osoba.

Ojciec już rusza z miejsca, ale podchodzi do mnie Efesto i mocno zaciska dłoń na moim ramieniu.

– Ja się nią zajmę. Nie fatyguj się – zwraca się do mojego ojca, a on potakuje. – Rusz się – syczy przez zaciśnięte zęby. Przeciskamy się przez tłum, który już zaczął się przerzedzać, bo ceremonia dobiega końca.

Stajemy między nagrobkami. Efesto zwalnia uścisk i zakłada ręce na piersi. Żadne z nas nic nie mówi. Toczymy walkę na spojrzenia, którą przegrywam. To cholernie trudne, wygrać z nim. Nie da się, gdy nie ma się pojęcia, o czym myśli i co planuje w następnej kolejności. Mam ochotę wszystko mu wygarnąć, zaskoczyć go, zanim on to zrobi.

– Śmiało – mówi. – Możesz mi opowiedzieć o wszystkim, co cię trapi. – Ma ciepłe spojrzenie, jakby rzeczywiście był osobą, której mogę powierzyć swoje największe sekrety. – A potem ja powiem ci, co mnie drażni. – I pstryk. Wyraz jego twarzy zmienia się w ułamku sekundy.

Nabieram powietrza, celuję w niego palcem i mówię:

– Po pierwsze zachowujesz się niestosownie.

Parska śmiechem. Mało trzeba, żeby go rozbawić.

– Ja? – Wskazuje na siebie. – Odsłoniłaś lustro na pogrzebie waszych wrogów. Biedny, zaklęty w zwierciadle Antonio.

– Nie możesz mnie dotykać. Przejeżdżać tak palcami po moim karku i w ogóle. – Patrzy na mnie, jakbym mówiła w innym języku.

– Dlaczego?

– Zapomniałeś już, co wydarzyło się na twoich urodzinach? – Przewracam oczami.

– Nie.

– No właśnie – pryham.

– To cię trapi? – Śmieje się w głos. Kilkoro ludzi odwraca się w naszą stronę. – Nie martw się, nie przeszkadza mi to, że jesteś nierozsądna. – Otwieram usta. – Akceptuję cię z twoimi wadami i zaletami.

– Masz niezły tupet.

– Każdy z nas coś ma – stwierdza. – Ja tupet, ty sińce na twarzy. – Kładzie dłoń na moim policzku i przymyka oczy. – Ja mam ciebie, a ty masz mnie. – Otwiera oczy i uśmiecha się szeroko.

– To nie mój wybór.

Efesto marszczy brwi i warczy:

– A mój?! – wykrzykuje nerwowo. – Dobra, spokojnie. – Chyba próbuje uspokoić sam siebie. – Myślałem, że wiesz o umowie między naszymi rodzinami. Nie opiszę ci, jak na mnie zawsze patrzyłaś, jak robisz to do tej pory, bo nie da się tego wyrazić słowami. Nie patrzy się w ten sposób na kogoś, kto nas obrzydza, więc przestań histeryzować – mówi surowo.

– Nie dogadamy się. – Macham ręką i próbuję go ominąć. Przesuwa się raz w lewo, raz w prawo i uniemożliwia mi przejście. – Przepuść mnie, jestem tu umówiona.

– Nie skończyliśmy jeszcze. Nie powiedziałem ci, co mnie drażni. – Przytrzymuje moją brodę i przechyla głowę, chcąc, żebym spojrzała mu w oczy. – To, że traktujesz mnie jak wroga. To, że przytulasz swoich ochroniarzy, a mówisz mi, że ja zachowuję się niestosownie, bo cię dotykam. – Unosi moją głowę jeszcze wyżej. – Próbowałem dostosować się do twojego poziomu ogarniania rzeczywistości, ale w chuj mi nie wychodzi, więc powiem wprost. Masz kilka miesięcy, żeby poukładać sobie to wszystko w głowie i ustalić priorytety. – Gładzi mnie kciukiem po policzku, nie puszczając brody. – Możesz być żoną, która idzie ze mną ramię w ramię albo pięć kroków za mną. Wybierz sobie, kurwa, skoro tak lubisz wybory. – Zwalnia uścisk i przeciera twarz ręką. – A teraz siadaj i powiedz, z kim niby jesteś umówiona. – Ciągnie mnie w stronę ławki, na której siadam.

– Nic ci nie powiem, bo jesteś – mrugam, bo czuję, że zaraz się rozplacę – niefajny.

Efesto jęczy, jakby coś go bolało.

– A kiedy będę fajny? Co mam zrobić, żeby takim być? No wymień, słucham. – Nie odzywam się, bo nie potrafię sprecyzować, o co mi chodzi. Chyba sama nie wiem. – Nie robię nic wbrew tobie, staram się być dla ciebie miły, czuły i ułatwiać ci życie. Nie patrzę nawet na inne dziewczyny. – Klęka przy moich nogach i chowa moje dłonie w swoich. – Powiedz, co mam zrobić, żeby być fajnym facetem, z którym będziesz chciała spędzić życie. Zrobię to. – Przechyla głowę, żeby spojrzeć mi w oczy. – Powiesz? – pyta cicho.

– Nie, nic nie powiem. – Zaciskam usta, a Efestu wzdycha. – Gdzie Nino? To z nim umówiłam się tu o trzynastą.

– Umówiłaś się ze mną i z nim o tej samej porze?

Jestem zdezorientowana.

– Z tobą się nie umawiałam. Nawet nie mam twojego numeru.

– Próbuję wyswobodzić dłonie z jego uścisku, ale mnie nie puszcza.

– A, teraz rozumiem, a skoro ty nie, to może i lepiej.

– Pisałam z nim – tłumaczę dalej. – Ale teraz ten numer jest nieaktywny. Dasz mi aktualny? – Efestu przygląda mi się wnikliwie.

– Mów, bo widzę, że coś jeszcze jest na rzeczy. – To prawda, że czyta z mojej twarzy jak z otwartej księgi.

Zastanawiam się, czy o to pytać, ale nie wiem już, kto mógłby pomóc, skoro ojciec przez tyle dni zajmuje się wszystkim, a nie tym, czym powinien w pierwszej kolejności. W końcu wyduszam:

– Pomożesz mi znaleźć Almę? – Zamykam oczy i najchętniej zasłoniłabym też uszy, żeby nie słyszeć śmiechu, którym zaraz wybuchnie. Nie mogę, bo wciąż mocno ściska moje dłonie. I nie

śmieje się. – Jeśli to zrobisz, to już teraz będę się cieszyć z tego, że będę twoja – dodaję, żeby w ten sposób go zachęcić.

Efesto wstaje i zaplata ręce na piersi.

– A co będę miał z tego, że dam ci numer tego całego Nina?

Unoszę głowę. I jestem pewna, że widzi te gromy, jakie w niego ciskam.

– Nie możesz nic zrobić bezinteresownie?! – wybucham i zaciskam palce na ławce.

Efesto mruga w ekspresowym tempie i śmieje się szyderczo. Rozglądam się, ale nikt nie zwraca na nas uwagi, bo ludzi coraz mniej. Praktycznie pozostały jedynie rodziny z organizacji.

– Podaj definicję tego słowa, bo go nie znam – stwierdza.

– Jesteś jakiś niedouczony – prychem. – To zrobienie czegoś, nie oczekując nic w zamian.

– A! – Uderza się dłonią w czoło. – Co ja bym bez ciebie zrobił, kochanie? – Uśmiecha się lekko. – To teraz jeszcze mi wytłumacz, jaka jesteś, skoro obiecujesz mi, że będziesz się cieszyć z tego, że jesteś moja, ale dopiero wtedy, gdy coś dla ciebie zrobię. Słucham. – Patrzy na mnie z góry. – Jakie jest przeciwieństwo tej całej bezinteresowności? Może wiesz?

– Nie rozmawiam z tobą, zawsze wszystko przekręcisz, żeby wyszło na twoje – wkurzam się. – To bez sensu.

Wstaję gwałtownie, bo słyszę, że mój ojciec coś wykrzykuje i widzę, że wymachuje rękami. Wydiera się coraz głośniej:

– To on! – Wskazuje kogoś ręką. – To ten, który na mnie napadł wczoraj! Gońcie go!

Zerkam w tamtą stronę. Zauważam młodego chłopaka z kwiatkami w ręce, który zapewne przyszedł, żeby złożyć je na

grobie bliskiej osoby. Wydaje się zdezorientowany.

– Serafino, ścigamy się?! – krzyczy Efesto. – Kto go złapie, ten mistrz! Jeszcze nigdy ze mną nie wygrałeś!

Serafino od razu rzuca się w pogoń. Chłopak, jakby wiedząc, co się święci, odrzuca bukiet i zaczyna uciekać między nagrobkami, kierując się do głównej bramy. Efesto też zaczyna biec. Jest naprawdę szybki. Zrównuje się z Serafinem, a potem potyka, jak ostatnia łamaga, i przewraca. Wstaje i rozkłada bezradnie ręce. Zarówno chłopaka, jak i Serafina nie ma już w zasięgu mojego wzroku.

– Na pewno go nie złapie! – woła Efesto, a Bommarito posyła mu poirytowane spojrzenie. – Skoro mnie się nie udało...

Wraca i otrzepuje ubranie. W ubrudzonych spodniach i marynarce wygląda jak siedem nieszczęść.

– Ale z ciebie niedorajda – stwierdzam fakt.

– Dla ciebie mogę być każdym. – Puszczą do mnie oczko. Kręcę z niedowierzaniem głową. Zauważam czerwoną plamę na jego koszuli. Podchodzę bliżej i kładę dłoń w miejscu serca. Przyciskam ją do jego klatki piersiowej. – Masz coś, co należy do mnie. – Oplata moją talię i przyciąga do siebie.

– Zegarek?

Idiotka! Efesto śmieje się i odsuwa moją rękę od swojej piersi. Przyglądam się palcom. Opuszki są czerwone.

– Serce. – Świdruje mnie wzrokiem. – Pamiętasz, jak powiedziałaś, że go nie mam? – Potakuję. – Miałaś rację. A wiesz, dlaczego? – Patrzy na moją dłoń ubrudzoną jego krwią. – Bo trzymasz je w garści, Etno.

ROZDZIAŁ 5

Przed erupcją wulkanu do atmosfery wyrzucane są tony popiołu i kłęby trujących gazów. Wie się wtedy, że trzeba mieć się na baczności i oczekiwać najgorszego, lub po prostu spierdalać. Wskazówka, akcja, reakcja, tak to działa, ale nie zawsze... Nie, gdy ma się do czynienia z kombinatorką. Nie, gdy opuszcza się gardę, nie oczekując nadejścia ciosu ze strony, z której nigdy nie powinien nadejść. Teraz zachodzę w głowę, czy przegapiłem etap pierwszy, czyli te całe wskazówki, czy w ogóle ich nie było i od razu z grubej rury nastąpiło drugie i trzecie.

A zanim to się stało, było naprawdę dobrze. Etna zachowywała się nie jak naburmuszony dzieciak, lecz jak dziewczyna będąca na miłosnym hajcu. No tak, to była ta wskazówka, której nie dostrzegłem, a nawet jeśli, nie zinterpretowałem jak trzeba. Byłem przekonany, że moje argumenty były na tyle silne i dobitnie przekazane, że pogodziła się z tym w chuj według niej niegodziwym losem i koniecznością związania z niedouczonej nedorajdą. I podobała mi się w tej wersji. Mało tego, mnie też udzielił się ten nastrój. Od czasu zobaczenia krwi na mojej koszuli, od momentu, w którym powiedziałem jej, że trzyma moje serce w garści, łasiła się i obdarzała tym swoim szczenięcym spojrzeniem.

A potem zrobiła mnie na szaro, delikatnie mówiąc.

W najprostszym, znanym od wieków stylu. Wykorzystała swoje atuty, żeby osiągnąć cel, ale popełniła jeden mały błąd. Na

moment straciła ostrość widzenia. Mimo że przyglądała się mojej twarzy i sunęła po niej dłonią, jakby starała się zapamiętać każdy jej detal, nie dostrzegła najważniejszego. Tego, że to ja. Tego, że stan pośredni to dla mnie totalna abstrakcja. Mogę ją kochać lub nienawidzić. Nie ma nic pośrodku. Musi wiedzieć, jak cholernie ważne jest to, żeby przyjrzeć się osobie, z którą się *tańczy*, otworzyć te jebane ślepia. Jeden niewłaściwy krok, nadeptanie na palce i pstryk, światła gasną, muzyka cichnie. Impreza się kończy.

Siedzimy z Ferrem w moim gabinecie. Co jakiś czas zerka w moją stronę, jakby sprawdzał, czy ten ogień, rozsadzający mi w tej chwili płuca, jeszcze mnie nie strawił. Na dłoniach ma lekarskie, gumowe rękawiczki. Rozdziela kasę do kopert i nuci coś pod nosem.

– A dla prokuratora Circco i karabinierów włożyć tyle, co zawsze? – Potakuję, ale moje myśli zajmuje tylko jedna osoba. – A opłacone jest przymknięcie oka – robi cudzysłów w powietrzu – na nasze jutrzejsze kontenery? – Znow potakuję i zaciskam palce na nasadzie nosa. – A kogo mam wysłać do portu?

– A możesz zacząć myśleć samodzielnie?! – warczę.

– Od myślenia to jesteś tu ty. – Rzuca kopertę na stół. – A masz o czym – dodaje. – Oscar Betito odrzucił naszą ofertę. Nie chce sprzedać wyspy ani nam, ani żadnej rodzinie z organizacji. Mancini się wściekł, bo ma już nagrany eksport ryb do Japonii. – Śmieje się. – Szkoda, że nie widziałeś jego miny, a proponował Betitowi dwa razy więcej niż my.

Levanzo to jedyna wyspa na zachodnim wybrzeżu nienależąca do żadnej z rodzin. Oscar Betito to sól w naszym oku, której nijak nie da się wyplukać. Stary rybak ledwo wiąże koniec z końcem, a

mimo to odrzuca każdą ofertę zakupu. Wyrwanie wyspy z jego rąk stało się dla klanów pewną formą rozrywki. O tyle ciekawą, że czas nagli, ze względu na wiek Betita i brak spadkobierców. Gdy umrze, wyspa stanie się własnością skarbu państwa. Nie tylko my ostrzymy sobie na nią zęby. Dlatego w grę wchodzi jedynie czyste zagranie, które co mnie nie dziwi, nie przynoszą skutków.

Ferro klaszcze i wybucha śmiechem.

– Wyobrażasz sobie, że młody Mancini przez tydzień usługiwał Betitowi, licząc na to, że zmiękczy serce staruszka? – Wywija nogami w powietrzu. – Nawet, kurwa, sieci mu cerował! – Kładzie głowę na blacie i uderza w niego dłońmi. – Zaraz pękne! A Sophia zrobiła mu laskę! – Ociera łzy rozbawienia.

– Nie mów. – To wyobrażenie boli.

– Etna mi tak powiedziała. – Wypowiada to zdanie i od razu się prostuje. – À propos, Nicco ją znalazł już pięć godzin temu, więc niedługo powinien wrócić. Mówić dalej?

– Yhm.

– Dojechała aż do portu w Trapani. Oni też mają tam chatę? – Potakuję. – Podobno nie była zdziwiona, że ktoś ją znalazł. A gdy wyrwała Niccowi telefon, to krzyczała do słuchawki: „Przekaż Efestowi, że nie ukradłam jego auta, tylko pożyczyłam, a to różnica!” – imituje jej wysoki głos. – Nieźle zrobiła cię w chuja – dodaje. – Zawsze mówiłem, że to jej nazwisko nie jest takie od czapy.

Coś w tym jest, ale nie przyznam tego głośno. Jestem wściekły. Nie dlatego, że auto zostało sprzątnięte mi przed nosa, a ja stałem jak słup soli, bo nie mogłem uwierzyć, że *ktoś* może być na tyle głupi, żeby to zrobić, pozwolić sobie na to. Jestem wkurwiony,

bo zrobiła to ona. Moja Etna. I właśnie to sprawia, że mam wściekliznę! Że mam ochotę *kogoś* rozszarpać!

Zrywam się na równe nogi i podchodzę do okna. Walę w ścianę ręką, a Ferro wcale nie pomaga, wręcz przeciwnie, tylko dolewa oliwy do tego ognia.

– Weź spójrz na nią trzeźwym okiem, to zobaczysz, z kim tańczysz. – Śmieję się gorzko na to określenie. – Tu niby taka nierozgarnięta, a trybiki w główce pracują. Zachowuje się, jakby to nie śmierć siedziała na jej ramieniu, a jakiś diabeł. – Patrzą na niego z politowaniem. – Mam, kurwa, dziwne przeczucie, że ona nas wszystkich wyhuśta.

Nie no, tym razem śmieję się już w głos. Chyba mówimy o dwóch różnych osobach. Ferro macha tylko ręką, jakby nie było rozmowy i kontynuuje rozdzielanie kasy.

– Ostatnie pytanie – mówi. – Pojedziesz ze mną złożyć wizytę Montesowi? Mam nowe szczypce – stwierdza z dumą. – To będzie ostatnia wizyta kontrolna. – Uśmiecha się złowieszczo. – Bo i ząb ostatni.

– Mam inne plany.

Znów macha ręką i wykrzywia twarz w grymasie.

Siadam w fotelu za biurkiem i przymykam oczy. To najskuteczniejszy sposób na to, by zebrać myśli w całość. Zawsze tak robię, gdy ktoś lub coś wyprowadza mnie z równowagi. Gdy czuję, że jestem na skraju, że stoję tuż nad przepaścią. Wielką, czarną otchłanią, do której kogoś wrzucę.

– Tylko mi tu nie zaśnij – odzywa się. – Zawsze mnie zastanawia, o czym myślisz, gdy tak przymykasz w kółko te powieki.

– O łące.

– Ale pojebane – prycha.

Pewnie, że tak, dlatego to jednak nie łąkę wyobrażam sobie za każdym razem. Tylko to, co w obliczu zaistniałej sytuacji wydaje się jeszcze bardziej zjebane. Coś, co uspokaja, osłania wewnętrzne rany jak plaster, chroniący przed zmieszaniem krwi, w której jestem skąpany, z otaczającym mnie brudem. A jednocześnie wkurwia tak bardzo, że osocze gotuje się w żyłach i budzi chęć mordy. Za każdym razem to samo. Ciągłe ona. Etna. Wyobrażam sobie, że kładę dłoń na jej gorącym policzku. Sunę po nim kciukiem, dopóki się nie uspokoję. Ktoś może przypuszczać, że obmyślam wtedy plan działania, ale w takich chwilach nie myślę kompletnie o niczym. Tylko o niej. Na cmentarzu dotknąłem jej twarzy, odświeżyłem wspomnienie i mam ochotę robić to w kółko i wciąż, tak samo jak dać jej popalić.

Drzwi otwierają się z impetem, a widząc, kto wpada do gabinetu, nabieram przekonania, że marzenia się spełniają. Ferro odwraca głowę.

– Ale kretyn. On ją tu przyprowadził. – Robi wielkie oczy. – A ja już się nastawiłem na wesele i tę moc wzruszeń. Co z tobą, Nicco? Nie lubisz wesel? – Zerka na niego.

Trudno odczytać coś z twarzy Nicca. Na czole ma wielki plaster, tak nieumiejętnie przyklejony, że cierpi na tym mimika. Etna z kolei jest rozczochrana i wygląda jak siedem nieszczęść. Patrzy na mnie tak, jakby mi ufała. A to duży błąd.

– Co ona tu robi? – pytam. Etna otwiera buzię, ale przykładam palec do ust. – Cicho, kochanie.

– No, nie obowiązuje już ochrona żałobna, a to Etna – Niccolo wskazuje na nią – więc pomyślałem...

– Ale to oni mają ją zabić, a nie my – wtrąca Ferro. – Ty myślałeś, że my? – Dziwi się.

Wpatruję się w niego i wykonuję ruch głową. Jego też już mam dość. Wypad.

Unosi ręce i wychodzi z gabinetu. Czuję pulsowanie w skroni, a to zła wróżba.

Przyglądam się Etnie.

– Wyjdź, Nicco.

Waha się. I słusznie. Podchodzi do mnie i nachyla się nad moim uchem:

– Tylko nie przegnij.

Śmieję się.

– Dopilnuj, żeby Chiara nie wychodziła z pokoju. – Poklepuję go po ramieniu.

– Jezu... – sapie w dłonie, którymi zakrywa twarz i wychodzi.

Mała, rozczochrana spryciara przestępuje z nogi na nogę i uśmiecha się nieśmiało. Odwzajemniam uśmiech.

– Ufff. – Etna wykonuje gest zwycięstwa. – Myślałam, że jesteś obrażony.

– Dlaczego miałbym być? – Przygryza wargę. Nie ma odwagi spojrzeć w oczy. – Daj mi chwilę.

Wstaję i ściągam marynarkę. Odpinam kaburę, w której mam broń i chowam ją do szuflady biurka. To samo robię z nożem, umiejscowionym przy łydce.

– Dlaczego to wszystko odkładasz?

– Ty nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Wiesz, co to zasada wzajemności? – Zaciska usta. Wie doskonale, bo nie jest taka głupia, jaką zgrywa. – Ty dajesz coś komuś, ktoś daje coś tobie. Co dajesz, to dostajesz. Czasem nawet więcej, jeśli masz fart, lub pecha. W zależności jak na to spojrzeć. Czy to jest dla ciebie w miarę zrozumiałe? – Unoszę wzrok i się jej przyglądam. – A teraz chwila, na którą bardzo czekałaś. – Podchodzę do niej i wystawiam dłoń. Czekam, aż położy na niej swoją.

– To znaczy?

– Na ostatnie pytanie też nie odpowiedziałaś. Ufasz mi czy nie?

– Tak. – Pewnie splata nasze ręce i znów patrzy na mnie tymi sarnimi oczami.

– Fajnie i miło? – Uśmiecham się pod nosem, a ona potakuje. Wychodzimy z pokoju. Prowadzę ją korytarzem do łazienki. Mijam po drodze Alessandra, a Nicco stoi przy schodach i tupie nogą w miejscu. – Jesteśmy. – Otwieram drzwi. Etna wydaje się zdezorientowana. – Usiądź tutaj. – Wskazuję skraj wanny. Wyciągam z szafki pumeks. – Proszę. – Opieram się plecami o ścianę i krzyżuję nogi w kostkach.

– Co to jest?

Śmieję się.

– Jest tym, na co wygląda. Nagle nie okaże się, że jest czymś innym. Bywa tak czasem z ludźmi, ale to jest tylko rzecz. Nie wykorzysta cię, nie okradnie i nie wyrołuje. To po prostu pumeks, kurwa.

– I co mam z nim zrobić? – Unosi brwi. Tak samo jak ja, gdy odjechała moim autem z piskiem opon, zostawiając mnie na

cementarnym parkingu.

Odpycham się od ściany i sięgam po małe lusterko. Łapię ją za łokieć i ustawiam przodem do łazienkowego lustra. Zgarniam jej włosy na bok. Gdy przejeżdżam palcami po skórze, na karku pojawia się gęsia skórka. Śledzi wzrokiem każdy mój ruch. Patrzą na jej odbicie. Wychwytuje moje spojrzenie. Wpatrujemy się w siebie. Rozchyła wargi, jakby chciała coś powiedzieć, ale z jej ust wydobywa się jedynie ciche westchnienie. Liczę. Cztery sekundy. Tyle wytrzymała i się spłoszyła. Trzymam małe lusterko za jej głową.

– Spójrz na swój kark i powiedz, co widzisz.

– Wiadomo przecież co – fuka. – Twój herb.

– Tobie się wydaje, że widzisz go tylko ty i ja?

– Co za nedorzeczość. – Przewraca oczami. – Wiadomo, że każdy.

Odkładam lusterko i podchodzę do drzwi. Zamykam je na klucz. Odwracam się i zaczynam rozpinąć koszulę. Etna zerka za siebie, jakby próbowała ocenić, czy będzie w stanie przecisnąć się przez niewielkie okienko znajdujące się za nią. Robi krok w tył. Zasłania oczy. Odrzucam koszulę, a ona coraz mocniej zaciska dłoń na twarzy.

– Jestem gotowy. Spójrz na mnie.

– Na pewno tego nie zrobię.

– Czego konkretnie?

– Tego, o czym ty myślisz.

– A o czym myślę?

Milczy dłuższy czas, aż w końcu mówi:

– O seksie.

Dobra jest. Śmieję się, a ona warczy poirytowana.

– Masz rację. – Znów się cofa i zaraz wpadnie na ścianę. – Myślę też o tym, żeby po prostu wywalić cię z mojego domu, a mimo to tego nie robię. Mam spodnie – prychem. – Odsłoń oczy.

– Ale obiecujesz?

– Jasne, że tak.

Zerka spod ciemnych, długich rzęs i, tak jak przypuszczałem, robi kolejny krok w tył, po którym uderza plecami o ścianę. Jej policzki robią się takie czerwone, jakby dopiero weszła z mrozu do bardzo gorącego pomieszczenia. Staję naprzeciwko niej i mam wrażenie, że wstrzymuje oddech.

– Co jest?

– Jesteś bardzo wysoki i czuję się przytłoczona – wyznaje zdeprymowana.

Cofam się, żeby dać jej więcej przestrzeni. Zrywam opatrunek z piersi i wrzucam go do umywalki. Etna ma cholernego pecha, bo nie posiada umiejętności przenikania przez ściany. Zasysa powietrze, jakby bolało ją to, co widzi.

– Wiesz, co to jest? – Wskazuję palcem na wypalony ślad, który jeszcze się nie zagoił. – Czy myślisz, że mając na piersi twój herb, z pierwszą literą twojego imienia, zrobiłbym coś, co ośmieszyłoby cię w oczach innych? – Przymyka powieki. – Gdybym tak zrobił, to byłby to szacunek, czy jego brak? Mów. – Milczy i nabiera powietrza. – Teraz już rozumiesz, dlaczego chcę, żebyś pozbyła się z karku symbolu mojej rodziny. Tradycja to krew i łyż, Etno. I nie pozwolę ci stawiać mnie w takiej sytuacji, w jakiej znalazłem się dziś. – Podchodzę do niej i łapię ją za brodę. –

Otwórz oczy. – Krzywi się i uchyla powieki. – Nie życzę sobie tego. Czy ty to rozumiesz? – Potakuje.

Puszczam ją i sięgam po pumeks. Wkładam jej go w dłoń.

– Możesz już zacząć. – Jest zdezorientowana, a przecież wyrażam się jasno.

– Nie chcę tego robić. Przecież i tak go nie zetrę – szepcze.

– Niedawno chciałaś, więc do dzieła. – Sięgam po koszulę i ją wkładam. – Nie wiem, na co czekasz. – Mrużę oczy. – Pomóc ci?

– Dobrze, przyznaję. – Unosi ręce w obronnym geście. – Chciałam. Czas przeszły. Teraz nie chcę. Czego nie rozumiesz? – wzdycha.

– Dalej – ponagliam. – Nie chcesz, ponieważ...

– Ponieważ ujdiesz, okay? Możesz być, ewentualnie. – Śmieję się. – Chcę z tobą być. – Tak lepiej. – O ile przeżyję. – Gorzej. – I jeśli będę mogła zabrać siostry. – Dużo gorzej. – I jeszcze na pewno coś, ale mogłam zapomnieć – mówi pewnie.

– Osłabiasz mnie.

Otwieram drzwi i wychodzę. Idę korytarzem. Po drodze mijam Niccola.

– Przyjdź po nią za dwadzieścia minut.

– A Bernardo ma odwieźć ją pod sam dom, czy wysadzić na jakimś zadupiu za karę?

– Pod same, kurwa, drzwi. – Niccolo uśmiecha się pod nosem.

– Coś nie widzę, żeby była zalana łzami i przerażona. – Zerka w stronę łazienki.

– Może jest po prostu twarda?

– Jasne, to na pewno to. – Kręci głową i zbiega po schodach.

Patrzę za siebie, bo Etna zostaje w tyle.

– Jednak wybrałaś opcję pięć kroków za mną?

Od razu przyspiesza i mnie dogania.

– Mogę zobaczyć się z Ninem?

– Niestety nie. – Zrezygnowana opuszcza ramiona. – Ponieważ już tu nie pracuje. Wrócił do domu – dodaję.

– A dasz mi jego numer?

– Nie zaczynaj.

Przepuszczam ją przodem i wchodzimy do gabinetu. Staje przy drzwiach, a ja rozsiadam się w fotelu. Przyglądam się jej. Nie mam pojęcia, co ze mną robi i czy mi się to podoba. Czy to ja jestem poskramiaczem modliszek, czy raczej ona treserką potworów?

– Chcesz do mnie podejść? – Wyciągam rękę w jej stronę. Waha się.

– Nie jestem przekonana – stwierdza, ale widzę, że ma na to ochotę. Jej usta mówią jedno, a oczy wyrażają zupełnie coś innego. – A jeśli bym podeszła, to miałabym stanąć przy biurku, czy co zrobić? – Śmieję się. – Czy mógłbyś się tak nie śmiać, bo nie wiem wtedy, czego mogę się spodziewać – wyznaje, a ja przejeżdżam dłonią po twarzy i ścieram z niej uśmiech. – I tak też nie rób. Takiej grobowej miny. To dezorientujące.

Wzdycham i wstaję, żeby przysunąć do biurka krzesło, na którym będzie mogła usiąść. Najchętniej widziałbym ją na moich kolanach, ale dobre wychowanie i pierwiastek drzemiącego we mnie gentlemana biorą górę. A może to jednak strach przed jej starym i lęk o swoje jaja? Nie. To nie to.

Wykonuję zapraszający gest. Etna mruży czy.

– No dobrze, zaryzykuję, ale mam nadzieję, że to nie część jakiegoś twojego planu. – Wskazuje na mnie palcem. – I pod warunkiem, że nie będziesz wygłaszał tych swoich mądrości.

– Znasz to uczucie, gdy bardzo na coś liczysz, chcesz, żeby się to spełniło, ale nic z tego nie wychodzi? – Potakuje. – I lubisz je?

– Oczywiście, że nie.

– No właśnie, więc jeśli nie chcesz być rozczarowana, to nie stawiaj mi warunków. – Odchylam się na oparciu fotela.

Zbliża się do biurka i opiera o nie ręką. Posyłam jej pytające spojrzenie. Mam wrażenie, że intensywnie nad czymś myśli, aż w końcu podchodzi i siada bokiem na moich kolanach.

– W porządku? – pyta.

Moją odpowiedzią jest lekkie uniesienie jej i zmienienie pozycji na wygodniejszą. Kładę dłoń na jej plecach. Przez cienki materiał bluzki, czuję bijące od niej ciepło.

– Przepraszam za dzisiaj – mówi. – Tyle że nie miałam innego wyjścia. Potrzebowałam auta.

– Następnym razem bądź szczerą i poproś o pomoc mnie. – Wpatruję się w jej oczy, ale ucieka wzrokiem. – I już koniec. – Urywam temat, bo znów zaczynam odczuwać pulsowanie w skroni. Pocieram kciukiem o jej plecy.

– Obiecuję, że już cię nigdy nie okłamię, skoro sobie tego życzysz. Będę szczerą. – Przyciągam ją bliżej i się rozluźniam. Przynajmniej jedna kwestia jest między nami jasna. – Dzisiaj sprzedałam twój zegarek w lombardzie i opisuję cię w pamiętniku. Używam twoich perfum. A gdy mówię *twoich*, to mam to na myśli. Czasem wyobrażam sobie, że zabijam swojego

ojca. I gdy mnie tak dotykasz, to nie mam ochoty stąd wychodzić. A gdy na mnie patrzysz, czuję mrowienie i ucisk w ciele.

„Uważaj, czego sobie życzysz” – przemyka mi przez myśl.

– Gdzie?! – Odsuwam ją od siebie, zdziwiona chwyta za moją koszulę.

– Nie powiem, gdzie dokładnie. – Wierci się i rumieni. Błyszczą jej oczy.

– Za późno na wstyd, Etno. Mów.

Wsuwa palce między moje i przyciska nasze ręce do swojego podbrzusza, nie spuszczać z nich wzroku. Drzemiący we mnie gentleman nakłada kapelusz na głowę. Sunie nimi jeszcze niżej, więc typ bierze walizkę w łapę i szykuje się do wyjścia. Energicznym ruchem wyswobadzam dłoń, zanim zatrzasną się za nim drzwi i zostanę sam.

Sam na sam. Z nią.

– I tak cały czas mam przy tobie. Teraz jeszcze bardziej niż wcześniej. – Obdarza mnie niewinnym spojrzeniem, a ja staram się sobie przypomnieć, czym tak bardzo mnie dziś wkurwiła. Z dwojga złego wolę pulsowanie skroni niż fiuta.

Łapię ją za kark i przysuwam do siebie. Przytulam twarz do jej szyi.

– Pytając gdzie, chciałem uzyskać adres tego lombardu...

– Oj. – Przemyka na moment oczy. – To na drodze między Marsalą a Trapani, w okolicach naszych salin.

– Ktoś tam podjedzie. A co zrobiłaś z pieniędzmi? – Wciąż jestem przytulony do jej szyi. Rzeczywiście używa moich perfum. Ona ma jakiegoś fioła na moim punkcie. Trochę mnie to smuci, a trochę nie. Skłaniam się ku drugiemu.

– Rozdałam potrzebującym – odpowiada szybko. – Nie kłamię.
– Przechyliła nieco głowę, bardziej odsłaniając szyję. Przejeżdżam po niej policzkiem, zostawiając na skórze czerwony ślad.

– Wpędzisz mnie do grobu, Etno.

I dzięki, kurwa, Bogu do gabinetu wchodzi Nicco. Odchylam się na fotelu. Etna się spina.

– I tak przyszedłem później, niż miałem – tłumaczy, gdy na niego patrzę.

– To idę – szepcze Etna.

– To idź – odpowiadam, na co zaciska usta.

– Pewnie dostanę w domu niezłe lanie, ale idę.

Wiem, co chce tym osiągnąć, ale cóż, takie są konsekwencje, a ich się nie przeskoczy.

– Na pewno jest tam ktoś, kto ci pomoże. No już, zmykaj. – Przejeżdżam palcami po jej kręgosłupie. Prostuje się, dumnie unosi brodę i zeskakuje z moich kolan.

– Nie ma takiego kogoś, ale to nic, poradzę sobie. – Gromi mnie wzrokiem.

– Nie rób tak. To na mnie nie działa, w najmniejszym, kurwa, stopniu. – Przysuwam fotel do biurka. – Idźcie już – zwracam się do Nicca.

– To do zobaczenia nie wiadomo kiedy. – Etna wzrusza ramionami. – Być może nawet za bardzo, bardzo długo. – Ona jest niemożliwa. – A może nigdy.

– Dokładnie tak – potwierdzam, gdy zbliża się do wyjścia. Przekracza próg i zerka na mnie ostatni raz. – Nie bój się, znajdę cię nawet po drugiej stronie!

Nie widzę jej miny, bo Nicco zamyka drzwi, ale po chwili znów się otwierają i wchodzi Ferro.

– To jadę do tego Montesa – informuje. – Na pewno nie chcesz ze mną? Odstresowałbyś się.

– Mówiłem, że nie mam teraz czasu.

– Ponieważ? – Unosi brew.

Odpowiedź na to pytanie wbiega właśnie do gabinetu i wtula się w nogi Ferra.

– Chiara, mała flejo. – Odpycha ją, a ona chichocze i wyciera buzię o jego spodnie.

– Już czas, Efesto! – Mała staje przy biurku.

– Niby na co? – pyta Ferro.

– Na oglądanie bajek. – Uśmiecha się. – Wpisałam się do kalendarza. – Wskazuje na ten, który leży na moim biurku. – I zarezerwowałam aż godzinę. – Błyszczą jej oczy. – Drukowanymi, żeby było najważniejszą sprawą dnia.

Ferro kręci głową i wychodzi, a my za nim. Chiara łapie mnie za rękę i prowadzi do pokoju telewizyjnego. Siadam na kanapie, podczas gdy ona włącza bajkę. Na ekranie pojawia się jakiś dziadek, który łapie motyle do siatki, a potem je zjada. Nie wiem, czy nie wolałbym być teraz asystentem stomatologicznym podającym bratu wiertła, lub anestezjologiem dbającym o w chuj skuteczną narkozę.

– Fajna bajka?

– Yhm.

– A zaraz zobaczysz małe kotki, bo ten dziadzio z nimi mieszka. Tak jak ten z lasu, ale jest między nimi różnica. – Wylicza na palcach. – Ten z lasu niedowidzi. Ma aż trzydzieści

malutkich kotków i jest bardzo samotny, bo ktoś zabrał mu to, co kochał najbardziej.

Gdy wypowiada ostatnie zdanie, włosy jeżą się na moich przedramionach, a oddech przyspiesza.

„Kiedyś zabiorę ci to, co kochasz najbardziej”.

– O czym ty mówisz? – Prostuję się. – Jaki dziadek z lasu? – Próbuję wyglądać na opanowanego, ale coś aż ściska mnie w środku. Chiara chyba to wyczuwa, lecz interpretuje na opak.

– Nie martw się, Alma mu pomogła. – Uśmiecha się, a potem wygina usta w podkówkę. – Chciałam też, ale zapomniałam. – Wzrusza ramionami.

– Opowiedz mi o tym, ale po kolei.

– Chętnie! – Podkłada poduszkę pod głowę i kładzie się na kanapie. – To było wtedy, gdy miałaś urodziny i biegałam jak szalona dookoła domu – chichocze. – Wpadłam na Almę. Powiedziała, że idzie do biblioteki i zapytała, czy pójdę z nią, to poczyta mi bajkę. Miło? – Potakuję. – I ona już odchodziła, ale przy furtce zobaczyłam kilka małych kotków, więc chciałam, żeby też spojrzęła i zawołałam: „Etna!” – śmieje się – bo mi się pomyliło. Pewnie dlatego, że Etna powiedziała mi kiedyś, że lubi takie małe kotki. Alma się odwróciła, a gdy podeszła, poklepała mnie po głowie i schyliła się, żeby przez oczka w siatce pogłaskać te koty. I tyle.

– Mówiłaś o dziadku...

– To on przyszedł chwilę później. I był zgarbiony, i takim smutnym głosem mówił, że nie wie, gdzie upadły. Wiesz, jego okulary, bo on bez nich nie widział. I on te kotki uratował, bo ktoś je chciał utopić, ale uciekły z kartonu, bo się zepsuł. – Ściskam

nasadę nosa, ponieważ znam już finał tej historii. – I Alma otworzyła furtkę, bo ona jest bardzo dobra i tak nogą machała w trawie, żeby znaleźć te okulary. A dziadek powiedział, że bym łapała szybko kotki, bo już uciekały do lasu. I że one same nie trafią do chatki.

– Ivo!!! – wołam brata. – Mów dalej. – Klepię ją zachęcająco po kolanie. – Ivo!!!

– To powiedziałam, że dobrze i pobiegłam do domu, bo chciałam wziąć skrzynkę po winogronach, ale nie było jej w kuchni. A potem ten mały Massimo z wymiotował na parkiet, bo wypił za dużo mleka swojej mamy. Ferro mnie wtedy złapał i powiedział, że to fuj i obrzydliwe, i zaczął ze mną tańczyć. No i zapomniałam o tych zwierzątkach. – Wzrusza ramionami. – Potem sobie na chwilę przypomniałam, ale Nicco zaczął mnie podrzucać i gilgotać, a później Ivo pokazywał mi, jak się robi espresso i zaprowadził do pokoju. Po kąpieli uciekłam Letizii, a ty złapałeś mnie na schodach i koniec opowieści. – Uśmiecha się. – To w lesie jest więcej chatek? Myślałam, że tylko my mamy tam domek – zastanawia się głośno.

– Bo tak jest – stwierdzam. – Posłuchaj, muszę teraz wyjść, ale jutro spędzę z tobą tyle czasu, ile będziesz chciała. Umowa? – Przebiera nogami z radości. – Zaraz przyjedzie tu bardzo dużo różnych osób i wszystkie będą chciały dotrzymać ci towarzystwa. Cieszysz się? Żeby nie było im smutno, musisz cały czas trzymać się blisko. Mogę na ciebie liczyć? – Kiwa głową, więc idę do Ivo.

Spotykam go na schodach.

– Wołałeś mnie?

– Przejrzałeś wszystkie taśmy?

– Jeszcze nie, trochę tego jest. A co?

– Sprawdź tylko tę skierowaną na furtkę.

– Wyjście do lasu? – Potakuję.

– Chiara powiedziała, że ktoś stał przed nią w moje urodziny.

Ivo lekceważąco macha ręką.

– To nic, ona otwiera się tylko od wewnątrz. Aaaaa, już zajarzyłem. Zajmę się tym. – Biegnie na górę.

– I zwiększ ochronę. Ma być skupiona na małej. – Unosi kciuk.

W gabinecie zakładam kaburę. Jest mały cień szansy na to, że się mylę, że cała ta urodzinowa akcja to przypadek, a Alma teraz rozpala ogień w kominku i bawi się w opiekunkę seniorów. Teraz jestem niemal pewny, że Serafino lał wodę i nie ma najmniejszego pojęcia o tym, co stało się z siostrą Etny. Z sejfu biorę dodatkową amunicję. Gdy przeszłość postanawia dać o sobie znać, trzeba się odwrócić i stanąć z nią twarzą w twarz. Spojrzeć prosto w parszywą gębę. I nacisnąć spust.

I może w końcu móc porządnie się wyspać.

Wychodzę i wpadam na Nicca. Przytyka telefon do piersi i szepcze:

– Demon dzwoni. – Posyłam mu pytające spojrzenie, bo nie znam gościa. – To znaczy Diabeł – mota się. – A, jeden chuj – dodaje.

– Dowiedz się, czego chce, bo ja wychodzę. – Popycham go i zbiegam po schodach.

Furtka znajduje się na tyłach domu, więc zmierzam w tamtą stronę. Odwracam się, słysząc za sobą kroki. Ivo i Nicco idą za mną, mimo że ich towarzystwo to ostatnie, czego w tej chwili

potrzebuję. Ostatnie miejsce, w którym chcę, żeby ze mną byli, to właśnie to, w którym będę mierzył się ze swoją przeszłością.

– Nie jesteście mi potrzebni – mówię i przechodzę przez furtkę, ale udają, że nie słyszą lub nie rozumieją.

W oddali dostrzegam tłące się ognisko. Sięgam po broń, ale nawet jej nie wyciągam, bo w miarę, jak się zbliżamy, rozpoznaję sylwetkę Diabła. To jeden z członków rodziny Gottich i rzadko można go zobaczyć na jakichkolwiek uroczystościach. Zbliżamy się do niego. Widząc nas, uśmiecha się szeroko.

– Co tu robisz? – pytam. – Idźcie sprawdzić wewnątrz – zwracam się do braci.

– Wasz las, wasza chata, ale mój dłużnik, który się tu zaszył, więc wybacz to najście. – Wyciąga do mnie rękę, ale nie uściskuję jej, dopóki nie dowiem się więcej. – Moi żołnierze go wyśledzili, a wiesz, że lubię sam załatwiać swoje sprawy, więc jestem.

– Pokaż mi go.

– Może być foto? Chyba że go rozpoznasz, to śmiało. – Wskazuje na stertę liści. – Ale uprzedzam, dziś piekło było bardzo gorące.

Śmiejemy się. Ktoś mógłby powiedzieć, że on nie jest normalny i że to w chuj nieśmieszne, ale na pewno tą osobą nie będę ja.

Wyciąga komórkę i pokazuje zdjęcie. Nie znam tego gościa i na pewno nie jest on moją *przeszłością*.

Z domku wybiega Nicco.

– Dlaczego jej nie rozkułeś? Widziałeś, jak ona wygląda. Ty w ogóle wiesz, kim ona jest? – Rzuca się.

– Nie tyle jej nie rozkułem, co sam ją skułem. Litości, Nicco. – Przydeptuje nogą palenisko. – I kim jest, pytasz? A zgadnij. –

Zrównuje się z nim i uśmiecha pod nosem.

– Nie mów, że to zrobiłeś. – Nicco nie dowierza.

Diabeł wyjmuje z kieszeni białą kartkę i ją rozkłada. Do ust wkłada telefon z włączoną latarką, żeby każdy mógł zobaczyć, co napisane jest na papierze. Z tym, że wcale nie musi tego robić. To oczywiste. To pakt z samym diabłem. Kontrakt przypieczętowany krwawym odciskiem palca, niezawierający treści.

– Ochroniłem ją dziś. Jej dusza należy do mnie – mówi bez wahania.

– Wiesz, że to jest Alma La Mantide? Córka naszego przyjaciela?

Diabeł wybucha śmiechem.

– Alma, serio? To znak z najczarniejszej otchłani piekieł! – wydziera się. – Alma znaczy dusza. Ja jestem Erosem, a oto i moja Psyche! – Zerka w stronę chaty, więc się odwracam. Ivo wyprowadza siostrę Etny. Nie wygląda tak źle, a przede wszystkim żyje. – No nic, Efesto, jak będziesz miał chwilę, to zapraszam do mnie. Potrzebujesz pomocy, wystarczy słowo. A teraz wybaczcie. – Schyla się, żeby podnieść swój łuk. – Ktoś po to przyjedzie. – Wskazuje na usypany z liści kopiec. – Żegnam się z nim i podchodzę do Almy.

Z bliska nie wygląda tak dobrze. Zaczyna płakać.

– Oni mi coś zrobili – jęczy i wygina rękę do tyłu. Nicco ją odwraca i syczy.

Ivo wpatruje się we mnie.

– Unieś jej koszulkę – nakazuję. Przyglądam się wyciętej na plecach Almy dacie. – To data moich urodzin.

– I dzień śmierci naszej matki – przypomina Ivo. Mam ochotę zdzielić go w łeb, ale nie chcę sugerować, że trafił w samo, kurwa, sedno.

– Jaka ty jesteś głupia – stwierdzam fakt. – Małe kotki, kurwa! – Zatrzymuję otwartą dłoń tuż przy jej czole, na co zaciska powieki. – Masz szczęście, że Chiara za tobą nie poszła, bo sam bym cię zabił.

– Pokaż palec – zwraca się do niej Nicco. Alma wyciąga rękę. – Dlaczego przytknęłaś go do kartki, na której nic nie było napisane? Masz rację, idiotka. – Kręci głową zniesmaczony. – Wiesz, że on może teraz wypisać na niej, co tylko chce, i masz świadomość, co taki dokument oznacza w ich rodzinie?

– On wymusił. – Alma pociąga nosem. – Ja nie wiedziałam przecież, kim on jest. Nigdy go nie widziałam. Bałam się, że zostawi mnie na pastwę losu, gdy już zabił tamtego, który mnie pilnował.

– Nie wiem, jakich złych tu widziałaś, ale on jest najgorszy – wtrąca Nicco.

– Myślałam, że nie zostanę odnaleziona. – Trzęsie się. – Dlatego błagałam go, żeby mnie nie zostawiał, a wtedy ukląkł i wpatrywał się w moje oczy i powiedział coś, czego nie zrozumiałam. W jakimś innym języku, a potem jeszcze coś i tyle, i nie szkodzi. To nic nie znaczy. – Ryczy już na dobre. – Okaleczyli mi plecy – piszczy i łapie Ivo za koszulkę. – Zawieź mnie do domu, błagam! – Wczepia się w niego. Ivo zerka na mnie. Daję mu znak, że może.

Ruszają wolno przed siebie. Wchodzę do chaty, bo być może są tam jakieś ślady, cokolwiek, co ułatwiłoby mi lokalizację

człowieka, z którym łączy mnie naprawdę wiele. Kobieta, z której krwi powstałem, w której krwi jestem skąpany.

Z kaloryfera zwisają kajdanki, na parapecie leżą cukierki. Śmierdzi stęchlizną i moczem. I czymś jeszcze. Niewiadomą. Nie wiem, kogo szukać i gdzie, nie mam żadnego punktu zaczepienia, a moje *wszystko* wciąż się rozrasta. Mimo to wiem, że mam wystarczająco szerokie ramiona, żeby ochronić to, co należy do mnie i choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu – ochronię je.

– Coś znalazłem. – Odwracam się, a Nicco podaje mi postrzępioną kartkę. – Jak myślisz, co to może oznaczać?

Czytam.

Obiecałem, że wrócę.

Przyrzekłem, że odbiorę ci to, co kochasz najbardziej.

Jestem.

ROZDZIAŁ 6

Przez moment, krótką chwilę, miałam wrażenie, że mam wszystko. Cały świat u stóp. Byłam królową Etną i władałam najgorętszym z żywiołów. Gdy Efesto dotykał szorstkim policzkiem skóry na mojej szyi, sunął palcami po plecach, gdy złączyły się nasze dłonie i zobaczyłam w jego oczach siebie, czułam moc. Bawiłam się ogniem, miałam go w garści, a mimo to mnie nie parzył. Ogrzewał, a kojące ciepło przepływało przez ciało. A potem kubeł zimnej wody został przechylony nad moją głową. Zrobiło się bardzo zimno. Ogień zgasł.

Bernardo odwozi mnie do domu i jeśli prawdą jest, że: „Dom jest tam, gdzie serce twoje”, to oznacza, że moje jest rozdarte na pół. Gdy o tym myślę, słyszę w głowie śmiech Efesta. Dla niego wszystko jest proste. Autostrada, którą pędzi, nazywa się Tradycja, a drogowskazami są Zasady. Ja z kolei zapieprzam zwirowym poboczem. Potykam się o konsekwencje i szanse, że wpadnę do rowu, są większe niż mniejsze. A przecież wystarczyłoby, żeby wziął kilku pasażerów na gapę, styranych autostopowiczów i byłoby pięknie, ale nie. Zasada numer jeden: nie zatrzymujemy się na poboczu. Zasada numer dwa: każdy dobry uczynek to nadbagaż. Zasada numer trzy: rodzina ukochanej to zbędny balast. Nie chce pobawić się w krawca i zszyć mojego serca, bo „tradycja to krew i łyzy, Etno...”

Gdy wychodziłam, krzyknął, że znajdzie mnie nawet po drugiej stronie. Nie będzie musiał się fatygować. Ja nie zamierzam

umierać. Zależy mi, żeby żyć, bo można wtedy odwracać uwagę, sprawiać, że zasługuje się na lanie bardziej od innych. To moja główna motywacja. On też nią jest. Chcę żyć dla niego, mimo że nie zamierza brać igły w dłoń. Widzę w jego oczach coś, co każe mi sądzić, że jestem dla niego bardzo ważna. Lubię, gdy patrzy w taki sposób, jakby chciał mnie kochać i zabić jednocześnie, przytulać i udusić. Tak, jakbym była jego wszystkim. Dla mnie on był wszystkim nawet wtedy, gdy nie wiedziałam, że powinien nim być.

Bernardo zatrzymuje się przed bramą naszej posesji, więc łapię za klamkę.

– Co robisz? – zadaje głupie pytanie.

– Wysiadam, tak? Dzięki za podwózkę i być może do zobaczenia kiedyś tam. – Uśmiecham się lekko, ale myślami już jestem w domu. I boję się. Głównie tego, że podczas sprząwania Roberta mogła znaleźć ukrytą pod materacem broń.

Bernardo patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Ty kompletnie nie ogarniasz świata, w którym żyjesz, co? – Zaskakuje mnie tym pytaniem. To aż tak widać? – Tak po prostu chcesz wysiąść z auta i podejść do domofonu, tak? – Potakuję. – Nacisnąć guziczek i czekać, aż ktoś cię odjebie. – Wybucham śmiechem.

– Dlaczego miałby? Ja mam być ostatnia – mówię pewnie, a on nie przestaje rechotać.

– Wierzysz w to?

– Serafino powiedział tak aż dwa razy. – Unoszę kciuk.

– A czy jak powiem nawet trzy, że śnieg jest fioletowy, to będzie oznaczało, że taki jest? – Nie odpowiadam, bo gdy nie ma

się do powiedzenia niczego mądrego, to lepiej nie mówić nic. – Pokaż do kamery znak, jaki macie ustalony na ten tydzień. – Zasłania oczy. On jest szurnięty.

– Co robisz?

– Zasłoniłem oczy, żeby go nie widzieć. – Wciąż ich nie odsłania.

– Ale czego niby?

– Kurwa, znaku! – Uderza rękami o kierownicę. – Czegoś, co tam pokazujecie palcami do kamery, żeby wasi wiedzieli, że mogą otworzyć bramę i że przywiózł cię ktoś, komu można ufać.

– A to nie wiem. – Wzruszam ramionami.

– To kiedy ta brama się otwiera?

– No... – Drapię się palcem po czole. – Naciskasz przycisk domofonu i mówisz: „To ja”.

Bernardo przygląda mi się, jakby nie wierzył w to, co mówię.

– Nabijasz się ze mnie, tak? Dobra, koniec żartów, bo mam też inne obowiązki.

– To ty się ze mnie nabijasz – stwierdzam. – Zaczęłabym jak głupia wymachiwać rękami, a ty byś rechotał, bo mnie wkręciłeś. Poza tym, jakby był jakiś znak, a byłabym z wrogiem, który by mi groził, to co miałabym zrobić?

– Pokazać inny niż ustalony?

– I ryzykować swoje życie?

– W domu jest cała rodzina i współpracownicy, którzy mają być bezpieczni. Ty jesteś jedna. Chyba nie muszę odpowiadać na to pytanie...

Sapie i wyciąga telefon. Wybiera numer, a po chwili mówi:

– Alessio, otwórz bramę. Przywiozłem Etnę.

– A ty skąd masz jego numer?

– Jak to skąd? – Marszczy brwi. – Przecież on... – włącza radio
– dał mi po pogrzebie.

Chwilę później brama się otwiera i wjeżdżamy na teren posesji. Bernardo podjeżdża niemal pod same drzwi, więc ponownie kładę dłoń na klamce.

– Jeszcze nie. Poczekaj, aż zasunie się brama.

– A niby po co? – Wkurzają mnie te bezsensowne zasady. – Przecież jakby ktoś chciał mnie zabić, to szyba w aucie nie jest żadną ochroną. – Przewracam oczami, a on znowu patrzy na mnie, jakbym mówiła w obcym języku.

– To jakimi wy jeździecie autami? Albo raczej, do waszej furmanki zaprzęzonych jest ile koni? – Śmieje się. – Jak to możliwe, że w ogóle jesteście w organizacji? – rzuca w przestrzeń, jakby pytał sam siebie.

– To przysługa, jaką odebrał mój dziadek Eduardo La Mantide od rodziny Rossich. Ich już nie ma w organizacji.

– I wszystko jasne.

– Coś sugerujesz? Jeśli byśmy nie potrafili sobie poradzić, to nas też by już nie było – syczę.

– Chyba dobrze wiesz, jak poradził sobie twój ojciec. – Poklepuje się po karku. – Dzięki jego zaradności, soli u was pod dostatkiem.

– Ja cię chyba zabiję – wyduszam i zaciskam pięści.

– Czym, wzrokiem? – prycha. – Nigdy nie mów komuś, że to zrobisz, tylko po prostu zrób. A już na pewno nie mów „chyba”. Wypowiedzenie tego całego zdania to dwie sekundy. Wystarczający czas, żeby zrobić z kogoś sitko.

– Dzięki za rady – warczę. – Gdybym miała czym, to bym to zrobiła – grożę.

– Włóż rękę pod siedzenie. To, co wyciągniesz, należy do ciebie. Robię to. Wyczuwam coś chłodnego.

– To pistolet? – pytam, mimo że już znam odpowiedź. Wyjmuję go.

– Możesz go zatrzymać. Ewentualnie. To Glock 19. Ma ergonomię cegły, ale masz dołączony magazynek na trzydzieści trzy naboje. Jak chcesz, to go weź. Możesz zmienić nakładkę na rękojeści, żeby lepiej dopasować ją do swojej dłoni.

– Dlaczego mi go dajesz? – Mrużę oczy. Staram się coś odczytać z jego twarzy.

– Przecież chcesz mnie chyba zabić. – Uśmiecha się blado. – To twoje słowa. – Nie odpowiadam, więc dodaje: – Kobiety są takie zmienne. – Zabiera mi broń. Jestem zawiedziona, bo myślałam, że naprawdę chce mi ją podarować. Otwiera schowek i sięga po ciemny worek, do którego wrzuca spluwę. Wciska go w moją rękę. – Tylko pamiętaj... – Kładzie palec na ustach sugerując, żebym nic nikomu nie mówiła.

Wysiadam z auta i staję na schodach. Dołącza do mnie Alessio. Zaciskam dłonie na worku.

– Selvaggio dali ci prowiant na drogę? – Patrzę na niego bez słowa. – Zamierzasz kogoś tym poczęstować? Wpakować komuś do gęby? – Śmieje się, a ja pukam palcem w czoło, dając mu do zrozumienia, że jest walnięty. – Zanieść ten posiłek do twojego pokoju? – Kręcę z niedowierzaniem głową i ryzykuję, wciskając mu worek w rękę. Nie jestem w stanie go teraz ukryć, więc czy ojciec sam go zobaczy w moich dłoniach, czy Alessio pokaże mu, co

mam, nie ma większego znaczenia. Skutek ten sam. W głębi duszy jednak liczę na to, że po prostu go ukryje. W zależności od tego, co postanowi, dowiem się, czy mogę mu ufać.

Wchodzimy do domu. Alessio od razu kieruje się na górę. Korytarzem przebiega najmłodsza siostra, która, gdy mnie zauważyła, wtula się w moje nogi, a potem biegnie do pokoju stołowego. Dobiegają z niego odgłosy śmiechu, a nie płaczu, co już samo w sobie jest podejrzane. Nie jest cicho, nikt nie chodzi na palcach i nie stara się wtopić w ścianę. Co jest? Idę w stronę jadalni i przystaję w progu. Cała rodzina siedzi przy stole, a ojciec dolewa wina do kieliszka matki. Odstawia butelkę na stół i sięga po dzbanek z wodą mineralną. Siostry unoszą szklanki, a on nalewa do nich wodę, mówiąc:

– Dla mojej jednej księżniczki, dla drugiej i trzeciej. – Dziewczyny chichoczą, a ja mam wrażenie, że nagle zasnęłam i że to mi się śni. Ojciec unosi wzrok i mnie zauważa. – I dla królowej Etny, która nie zjadła ani jednego rozumu, ale to nic, nie musi myśleć, bo jej tatuś robi to za nią. – Wykonuje gest zapraszający do stołu, więc podchodzę niepewnie. – Czekamy jeszcze na Almę i możemy świętować pełną parą.

– Znalazłeś ją?! – Podbiegam do niego. – Nic jej nie jest? Naprawdę ją znalazłeś? – Rzucam się w jego ramiona i przytulam z całej siły. Kątem oka zerkam na mamę. Nie zauważam w jej oczach radości. Przechyliła kieliszek i wypija jego zawartość. Ojciec mnie odpycha.

– Nie ja ją znalazłem, chociaż bardzo się starałem. – Na jego twarzy pojawia się krzywy uśmiech. – Zależało mi na tym, żeby tu

była. Zaraz ma ją przywieźć najmłodszy Selvaggio. To jest piękny dzień! – wykrzykuje, a siostry biją brawo.

Alma się odnalazła. Nic więcej mnie nie interesuje. Nie zamierzam analizować zachowania mojej rodziny, bo jest ono zrozumiałe. Pan domu się cieszy, to inni też muszą, żeby nie zepsuć mu humoru. Chciałabym, żeby codziennie miał powody do zadowolenia. Tak bardzo cieszy się, że Alma jest cała i zdrowa, że aż miło na niego patrzeć. Może on nas tak naprawdę kocha, tylko ma trudny charakter? Gdy o tym myślę, czuję, jak twarz wykrzywia mi się w grymasie. Musiałabym być skretyniałą idiotką, żeby tak sądzić.

– Ciesz się! – wrzeszczy ojciec i klepie mnie w ramię. Ta radosna maska, którą postanowił założyć, jest za mała, żeby przykryć jego prawdziwe ja. – Zaraz będzie koniec wojny, a nawet na dobre się nie zaczęła. – Klaszcze, wyraźnie z siebie zadowolony, a we mnie kiełkuje nadzieja. Dogadał się z Bommarito. Zasługuje na uznanie. Udowodnił, że ma też inne karty w rękawie i potrafi je wyciągnąć w odpowiednim momencie, a nie tylko te, na których wytłoczony jest napis: „Córka”.

– Cieszę się, nawet nie zdajesz sobie sprawy jak bardzo. – Czuję, że w oczach zbierają mi się łzy. Wielki ciężar spadł z mojej piersi.

– Podziękuj – rzuca surowo ojciec.

– Dziękuję.

Wypowiedzenie tego słowa mimo wszystko wiele mnie kosztuje. Zacisnęłabym usta, sprzeciwiła się, zbuntowała, ale nie będę unosić się dumą, skoro ojciec stanął na wysokości zadania i zdjął z naszych barków zmartwienie. Ochronił nas. Swoją rodzinę.

Być może zrzekł się udziałów w spółce solnej po dobroci, w końcu nie są one warte więcej niż życie osób, które się kocha.

– Nie tak. – Marszczy gniewnie brwi. – Powiedz: „Dziękuję, tato, że ochroniłeś nasze tyłki, zanim zostały wyruchane”. – Robię wielkie oczy. Mama uzupełnia kieliszek winem. Trzęsą jej się ręce. Siostry milczą i patrzą na mnie, jakby oczekiwały właściwej reakcji, ale jaka jest tą odpowiednią, to nie wiem.

– Nie powiem tego.

– Podejdz, dziecko. – Wyciąga dłoń w stronę najmłodszej siostry, a ona wstaje od stołu z ufnością wypisaną na twarzy. Ojciec zaciska drugą rękę w pięść. Wiem, co to oznacza, więc szybko recytuję.

– Dziękuję, tato, że ochroniłeś nasze tyłki, zanim zostały wyruchane. – Robię głęboki wdech i zerkam na Alessia, który stoi w progu ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Ojciec się uśmiecha. Popycham siostrę w stronę stołu. Byle jak najdalej od niego.

– No i widzisz, tak trudno być wdzięczną? – Śmieje się rubasznie. – Muszę zadzwonić, a wy żryjcie. – Idzie w stronę wyjścia z jadalni. – Życzę wam smacznego – dodaje łaskawie.

Czekam chwilę, aż w końcu słyszę odgłos zamykania drzwi gabinetu. Wychodzę na dwór. Moje serce bije w szaleńczym tempie. Czuję, jakbym miała gorączkę. Policzki płoną. Przytulam bok twarzy do jednego z chłodnych filarów, podtrzymujących dach werandy. Robię głębokie wdechy. Alma żyje.

Otwierają się drzwi domu. Dołącza do mnie Alessio. Przechyla głowę, starając się usidlić moje spojrzenie.

– Jest w szafie. Pod bluzkami – informuje, gdzie włożył spluwę.

– Teraz mam już dwie – mówię, a on przejeżdża dłonią po włosach, tak, jakby był zmieszany.

– Roberta znalazła Berettę, gdy sprzątała. Oddała ją twojemu ojcu. Był wściekły, ale potem okazało się, że Alma jest w jednym kawałku, zadzwonił gdzieś i o tym zapomniał. Masz farta.

– I to jakiego! – wykrzykuję. – Gdybym nie dostała tego glocka, to zostałabym z niczym.

– Szczęście sprzyja zakochanym albo raczej szczęściu trzeba dopomóc, czy coś. Tak to chyba leciało. – Uśmiecha się, a ja wzruszam ramionami, nie mając pojęcia, co ma na myśli i wchodzę z powrotem do domu.

Ojciec jeszcze nie wrócił. Mama siedzi z głową opartą na ręce, a siostry jedzą lody. Siadam w fotelu przy kominku i przyciągam nogi do piersi.

– Możemy odejść od stołu, gdy skończymy jeść? – pyta Lisa.

Nie wiem, po co zadaje to pytanie. Nie ma tu przecież ojca, więc nikt jej nie odpowie. To on decyduje. Takie są zasady. Wiem, że muszą jakieś być, bo inaczej zapanowałby chaos, ale nie podobają mi się takie, które ograniczają wolność drugiej osoby. Sprawiają, że czuje się ona zależna, tak, jakby nie miała prawa podjąć decyzji. Bardzo mnie to denerwuje. Dlatego chciałabym, żeby moje siostry też miały zasady. Swoje. Żeby nie pozwalały się tłamsić, gdy dorosną. Muszą wiedzieć, że małymi krokami można wiele osiągnąć. Nie muszą od razu wygrywać wojny o władzę, wystarczy, że będą broniły swojego ja w tych małych bitwach, które codziennie trzeba toczyć. Często to, co się chce, a co się

powinno, nie idzie ze sobą w parze. Wiem to, bo skłaniam się ku pierwszemu. Dlatego robię głupie, w mniemaniu innych, rzeczy i dobrze mi z tym. I też mam zasadę, pewnie, że mam. A brzmi ona: „Zdobądź mnie, Efesto”. On myśli, że na szczyt wulkanu zawiezie go winda, o naiwny. Mam nadzieję, że ma wygodne buty, bo wspinaczka to pot i łzy, Efesto. W wyobraźni widzę, jak podskakuje z radości. W końcu uwielbia zasady.

– Jeśli macie pełne brzuchy, to możecie już iść – zwracam się do sióstr. Przez chwilę patrzą na mnie, jakby przetrawiając w myślach sens słów, ale wstają i wychodzą.

Gdzie jesteś, Almo?

W chwili, w której o niej myślę, do jadalni wchodzi Alessio.

– Już przyjechali.

Zrywam się z miejsca i wybiegam na dwór. Ivo otwiera drzwi od strony pasażera, więc pomagam siostrze wysiąść.

– Zostaw mnie, wszystko mnie boli – syczy.

– Zrobili ci coś? Co ci jest? Gdzie cię boli? Podobno koniec wojny, nie martw się – nawijam jak nakręcona.

– Zgubiłam swoją książkę – wydusza, jakby jakaś tam książka była najważniejsza.

– Zaprowadzę ją do domu – mówi Alessio, a ona wsuwa rękę pod jego ramię.

Ivo przestępuje z nogi na nogę i wygląda na zmieszanego.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – pytam.

Waha się.

– Spróbuj wyciągnąć informacje na temat tych ludzi, którzy ją uwięzili. Może zapamiętała jakieś znaki szczególne, może zwracali się do siebie po imieniu...

– Przecież to Bommarito ją porwali. – Przewracam oczami.

– To nie oni, serio – stwierdza i wsiada do auta, nie mówiąc nic więcej.

Przez chwilę stoję w miejscu i zastanawiam się, skoro nie oni, to niby kto. Nie mamy innych wrogów. Chyba. Dowiem się wszystkiego, ale w swoim czasie. Teraz muszę zająć się siostrą. Alma jest w domu. To tak cudowne uczucie, ta świadomość, że ona tu jest, że wydaje się wręcz nierealne. Gdy brama zaczyna się rozsuwać, czmycham do środka.

Wchodzę do jadalni. Alma klęczy z głową przyciśniętą do kolan naszej matki. Ta głaszcze ją po włosach i płacze. Chcę się w nie wtulić, ale gdy podchodzę bliżej i staję za siostrą, uginają się przede mną kolana. Tył jej koszulki jest cały we krwi. Wygląda, jakby była przyklejona do skóry pleców, a spoiwem była zaschnięta już krew.

– Co ci się stało? – pytam cicho, bo oddech więźnie mi w gardle.

Alma zaczyna popłakiwać, a mama coraz szybciej przejeżdża dłońią po jej włosach.

– Nie mazać się!

Odwracam się na dźwięk głosu ojca. Dobry humor go nie opuszcza i tylko czekam, żeby poznać szczegóły zakończenia wojny. Podchodzi do Almy i chwyta ją za rękę, podnosząc do pionu. Krzywi się, widząc jej zakrwawioną koszulkę.

– Uszkodzona – wyrokuje. – Siadaj. – Popycha ją w stronę krzesła, a ona syczy z bólu, gdy jej plecy stykają się z oparciem. – Gdzie reszta? – Rozgląda się.

– Pozwoliłam im pójść do pokojów – wyjaśniam.

– A kim ty tu, kurwa, jesteś, żeby decydować?

– Ich obecność tu nie ma sensu.

– To twoja obecność tu nie ma sensu, głupia dziewczyno, ale dobrze, spokojnie. – Wygląda, jakby liczył w myślach. – Tobą zajmę się później. – Patrzy na mnie tajemniczo. – Teraz będziemy świętować zakończenie sporu. – Klaszcze. Alma opiera głowę o stół. Widać, że jest totalnie wykończona.

Ojciec podchodzi do niej i łapie za włosy, żeby unieść jej głowę. Nachyla się.

– Proszę, siedź jak na damę przystało – syczy przez zaciśnięte zęby, a twarz siostry wykrzywia się w grymasie. – Tam, dokąd trafisz, nikt nie będzie dla ciebie taki miły, więc lepiej się kontroluj i nie pokładaj na stole jak ostatnia łajza. – Puszczą ją. Wychwytyują jej przerażone spojrzenie.

– Gdzie niby trafi? – Nie potrafię ugryźć się w język. Uwaga ojca od razu skupia się na mnie.

– I tak oto doszliśmy do sedna – stwierdza. – Żeby czyjeś dupy zostały nietknięte, ktoś inny musi nadstawić swoją – rechoce i podchodzi do mnie. Wbija palce w moje ramię i ciągnie w stronę Almy. – Klękaj przed nią i dziękuj za to, że zgłosiła się na ochotniczkę. – Stawiam opór i wyrywam rękę z jego uścisku.

– Ja się do niczego nie zgłaszałam – piszczy siostra.

– Nie? To chyba sobie to wyobraziłem. – Wzrusza ramionami. – Zostaniesz żoną Mauricia Bommarito. Nie trzeba mu machać milionami przed nosem. Facetowi w jego wieku wystarczy powiedzieć: „Dziewica”, a dostaje pierdolca. Że też wcześniej na to nie wpadłem. – Uderza się dłonią w czoło. – On jest zachwycony, a ty, Almo? Powinnaś, bo dam ci kilka procent udziałów w posagu.

Będzie wilk syty i owca cała. My nie zbiedniejemy, on się nie wzbogaci. Wszystko będzie jak dawniej.

– On ma z sześćdziesiąt lat! – krzyczę. – Alma na pewno nie będzie jego żoną. Po moim trupie!

– Nie będę – szepcze Alma. – Nie, bo, bo – jąka się – nie jestem dziewczyną.

Gdy to mówi, mam wrażenie, że wszyscy wstrzymują oddech. Nastaje zupełna cisza.

Ojciec podchodzi do niej i znów zaciska dłoń na jej włosach. Alma szuka czegoś w kieszeni. Widać, że każdy ruch sprawia jej ogromny ból. W końcu wyciąga z niej kartkę i podaje ojcu, a on ją rozkłada i z każdą mijającą chwilą jego twarz wykrzywia się w coraz to większej złości.

– Bartollo Vicci! Ten nieprzekupny kutas ci to wystawił? Na bank się puściła! – wrzeszczy. – To nie ma już w mieście innego ginekologa?! – Szarpie nią. – To teraz będziesz musiała kombinować. Wymyślisz coś, żeby stary Bommarito się nie zorientował. Musisz!

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie mogę być jego żoną. – Alma syczy z bólu, a po jej brudnych policzkach spływają łzy.

– A chuj mnie obchodzą twoje powody. Jutro się z nim spotkam i postanowione. – Pluje na nią. – Największe ściervo – dodaje.

– Źle się czuję. – Siostra obejmuje głowę.

– Zaprowadź ją do pokoju – zwracam się do Alessia. – Wstań. – Próbuję ją podnieść. – Pomożesz? – Ponagliam go, ale nie rusza się z miejsca.

– Nie skończyłem, więc zamknij jadaczkę. Wiesz, kim tu jesteś? – Ojciec staje obok mnie i patrzy z wyższością. – Jest takie

słowo na „N”. – Uśmiecha się pod nosem. – Nikim.

– A wiesz, kim ty jesteś? – Unoszę hardo brodę. – Jest takie słowo na „N”. – Uśmiecham się, tak jak on to zrobił. – Nieudacznikiem.

Nie jestem zdziwiona, spodziewałam się tego, że dostanę w twarz, dlatego napięłam wszystkie mięśnie. Zataczam się na stół i śmieję, żeby nie dać ojcu satysfakcji. Nie złamie mnie.

– I słowo na „S”. – Ocieram wierzchem dłoni nos, bo krwawię. – Słabeusz.

– Dziecko... – szepcze matka, a ojciec sapie za mną. Szarpie mnie za włosy, tak jak ma to w zwyczaju, i uderza moją głową o blat.

Staram się wyrwać, ale jego uścisk jest mocny. W końcu wykorzystuję chwilę, bo czuję, że się rozluźnił. Stracił czujność. Wyrywam się i okrążam stół. Staję po przeciwległej stronie, żeby możliwie jak najbardziej zwiększyć dzielącą nas odległość.

– Uklęknij i dziękuj – przedrzeźniam jego głos. – Tak biadolisz, że nie masz syna, a to właśnie dzięki córkom, możesz żyć na poziomie. – Robi się czerwony. Ja na pewno też, bo pieką mnie policzki. – Masz mały mózg, czy coś. A twoja ksywka to cipa. – Nie potrafię się opanować. Mama zasłania usta.

– Ale dostaniesz wpierdol – warczy ojciec.

– Szkoda, że wcześniej mi nie powiedziałaś o umowie z Selvaggio. Wiesz, co wtedy bym zrobiła? Nie wiesz? To ci powiem. Zabiłabym się. Wtedy oni by cię odstrzelili, a one – patrzę na matkę i Almę – miałyby cię z głowy.

– Zabij się teraz. – Uśmiecha się z wyższością.

– Nie, dzięki, teraz już nieaktualne. Pewnie nie wiesz nawet dlaczego.

Jest coraz bliżej, skrada się jak tygrys czyhający na ofiarę, więc i ja się poruszam.

– Na pewno mi powiesz.

– Bo sobie z tobą poradzę. Jesteś taki mały. – Pokazuję palcami jak bardzo. – Kurczysz się za każdym razem, gdy nas bijesz. Aż w końcu znikniesz. Pufff. – Wykonuję rękami gest eksplozji.

Ojciec zanosi się śmiechem.

– Niewdzięczna. – Smuci się. – A ja przygotowałem dla ciebie niespodziankę. – Opuszcza ramiona, jakby było mu faktycznie przykro. – Tyle ci daję, a ty mnie obrażasz, ale to nic, a wiesz dlaczego? – Ostatnie dwa słowa wypowiada bardzo głośno. Milczę. – Ponieważ jeszcze z tobą nie skończyłem...

Kieruje wzrok na coś, znajdującego się za mną. Ma taki wyraz twarzy, że boję się odwrócić. Obawiam się tego, co lub kogo zobaczę i jak będę się z tym czuła.

– Cześć, Etno.

Wstrzymuję oddech i odwracam się powoli. W progu stoi Nino. Zawsze, gdy go widziałam, odczuwałam niewyobrażalną ulgę, jednak teraz jest w jego spojrzeniu coś, czego nie znam. Powinnam rzucić się mu w ramiona, ale instynkt bierze górę. Cofam się o krok, aż wpadam na stół.

– Nie przywitasz się z przyjacielem? – pyta ojciec radosnym tonem, gdy obok niego staje Nino. – Masz mi jeszcze coś miłego do powiedzenia? – Uśmiecha się zwycięsko.

– Tak, mam. – Zaciskam usta. – Pierdol się.

Wybiegając z jadalni, słyszę tubalny śmiech.

– Goń ją, Nino! Spuść jej porządne manto!

Rzucam się do ucieczki. Biegnę, potykając się na schodach. W głowie dudnią słowa Alessia: „Jest w szafie. Pod bluzkami”. To mnie napędza. I strach. Wbiegam do pokoju i zatrzaszukuję drzwi.

– Idę po ciebie, Etno!

Nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje. Nino, mój obrońca, przyjaciel. Drżącą ręką przekopuję ubrania w poszukiwaniu glocka. Czuję ucisk w żołądku, a serce chyba podeszło mi do gardła. W końcu udaje mi się zlokalizować pistolet. Wyciągam go z worka. Staję w rozkroku naprzeciwko drzwi. Celuję w nie.

– Nie wchodź, mam broń, zabiję cię!

Przypominają mi się słowa Bernarda: „Nigdy nie mów komuś, że to zrobisz, tylko po prostu zrób”.

Targają mną sprzeczne emocje. Trzęsę się jak osika. Naciskam spust. Nie odbezpieczyłam broni! Nie wystrzeliła! Odczuwam ulgę, bo przecież za drzwiami jest Nino, a jednocześnie przerażenie. Tym, że w ogóle nacisnęłam spust oraz tym, że nie zdążę ponowić próby, bo drzwi otwierają się z impetem.

Nino podchodzi do mnie pewnym krokiem. Widzę zmierzającego korytarzem ojca.

– *Uno*⁶, Etno – mówi Nino.

Przypominają mi się nasze *lekcje hiszpańskiego*.

Wypuszczam broń z ręki i unoszę gardę. Nino powala mnie jednym ciosem. Moja skroń pulsuje. Zerkam na niego spod na wpółprzymkniętych powiek. Schyla się i zwinnym ruchem wyciąga nóż, przecina swoją dłoń i obejmuje nią moją twarz.

– *Dos*.

Automatycznie przekręcam się na brzuch. Ćwiczyliśmy tę sekwencję tyle razy, że robię to bez zastanowienia. Wkładam ręce we włosy, żeby zminimalizować ból, gdy weźmie je w garść. Kątem oka widzę, jak wkopuje pistolet pod łóżko.

– *Tres.*

Napinam mięśnie karku i pleców, na których siada okrakiem. Rozciętą dłoń opiera o dywan, tuż pod moją twarzą, a drugą łapie za włosy i ciągnie, żeby unieść moją głowę. Potrząsa nią kilkakrotnie, unosi i opuszcza, imitując uderzenia o podłogę, jednocześnie waląc zranioną ręką o dywan. Nino. Mój przyjaciel. Krzyczę ile sił w płucach, żeby dodać sytuacji dramatyzmu.

Słyszę ojca.

– Mój człowiek – mówi z dumą. – Starczy, bo ją zabijesz.

Nino podnosi się, a ja płaczę, nie potrafiąc zapanować nad buzującymi emocjami. Przez głowę przemyka myśl, że już po wszystkim, że dałam radę, co napawa mnie ulgą. Niestety, odczucie to znika tak szybko, jak się pojawiło. Ojciec tak szybko nie odpuszcza. Siada na moich plecach, piszczę i ponownie zaciskam ręce na włosach. On nie będzie udawał. On robi wszystko, żebym popamiętała, żeby moja dusza wyła z bólu, a ciało cierpiało katusze.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem. – Śmieje się szyderczo.

Unosi moją głowę i uderza nią o podłogę. Raz za razem. Krew Nina, która zabarwiła dywan, miesza się z moją. Nie mam już siły napinać mięśni, ale znajduję ją, by wydusić:

– A ja jeszcze z tobą nie zaczęłam.

Niemoc przejmuje nade mną kontrolę, obraz się zamazuje...

Budzę się obolała. Leżę na łóżku, a świat wiruje. Dotykam czoła i staram się zebrać myśli w całość. Powtarzam jak mantrę: „Zaskoczyć to mogę ja was, a nie wy mnie”, co sprawia, że motywacja do działania wzrasta. Wstaję i rozglądam się po pokoju. Na dywanie jest mnóstwo krwi. Zerkam pod łóżko i sięgam po pistolet. Z szuflady wyciągam lornetkę i staję przy oknie. Przykładam ją do oczu i nakierowuję na znajdującą się przy bramie budkę. Dzisiejszej nocy zmianę ma Abramo. Niezbyt go lubię. Często, gdy się mijamy, klepie mnie po tyłku. Mówiłam mu, żeby tego nie robił, ale jest głuchy na moje prośby. Mimo to przykro mi, że padło na niego. Ma pecha, ale ja mam większego. Wkładam obszerne ubrania, chowam do kieszeni glocka i portfel. Podchodzę do monitora, żeby zobaczyć, co dzieje się w domu. Pod moimi drzwiami stoi Alessio. On jest największym problemem, bo trochę mnie już poznał, ale ja również coś dostrzegłam. To, że ułatwia mi życie. Nie wiem, dlaczego to robi i co chce w zamian, ale popieram nielojalność, jeśli jej ofiarą pada mój ojciec. Reszta mnie nie interesuje.

Zapalam światło w łazience i odkręcam kurek pod prysznicem. Woda szumi przyjemnie, a ja wciskam się w kąt pokoju i liczę na to, że drzwi wejściowe zasłonią mnie, gdy Alessio wparuje do środka. Piszczę. Drę się wniebogłosey. Na reakcję nie trzeba długo czekać. Alessio wbiega i od razu wparowuje do łazienki. Gdy znika w środku, zatraskuję go i przekręcam klucz w zamku. To samo robię, wychodząc z pokoju.

Rozglądam się i nasłuchuję. Na dole zgarniam z komody kluczyki od samochodu ojca. Przystaję, słysząc czyjeś kroki. Chowam się za filarem i wystawiam głowę. Stefano wchodzi do

kuchni, więc po cichu, na paluszkach, zmierzam do wyjścia. Przebiegam przez trawnik. Abramo od razu mnie zauważa i wychodzi mi naprzeciw.

– Doigrałaś się – mówi i wskazuje na twarz. – Czego chcesz?

– Ojciec powiedział, że masz mnie zawieźć do apteki. – W jego oczach czai się wątpliwość. Nie jestem zdziwiona. Za to cholernie zmęczona, poobijana i, co tu dużo mówić, nawet dla mnie nie zabrzmiało to przekonująco.

– Zaraz go obudzę i zapytam. Czeka.

Wchodzi z powrotem do budki, więc idę za nim. Zaciskam dłoń na rękojeści pistoletu i wyciągam go z kieszeni. Nie chcę tego robić, ale nie ma wyjścia. Duchem już jestem na wyspie Levanzo. Czuję lekki, morski wiatr we włosach. A przede wszystkim spokój. Przykładam lufę do jego pleców i naciskam przycisk otwierania bramy. Zgarniam pilota, żeby zamknąć ją za nami, gdy już wyjedziemy. Abramo się spina.

– Tak, to jest dokładnie to, o czym myślisz. Połóż swoją broń na stoliku.

– Bardzo źle robisz – stwierdza. – Bardzo, kurwa, źle.

– Wycofam się teraz, a ty za mną. I wsiadaj do wozu, jedziesz ze mną.

Robi, co każe. Nie mogę go tu zostawić, bo od razu wszystkich pobudzi i rzucą się w pogoń. A ja potrzebuję czasu. Podróż do portu w Trapani zajmie mi kilka godzin. Abramo zajmuje fotel kierowcy. Okrążam auto, trzymając go na muszce.

– Ruszaj – rzucam, siadając obok.

– Już nie żyjesz. – Chce mi się śmiać na tę jego złotą myśl. Dokładnie tak się czuję, jakbym nie żyła. – Słyszałem, co się stało,

chłopacy opowiadali, jak się zwracałaś do don Alfreda. Zero szacunku. – Tym razem wybucham gromkim śmiechem. – Zasługujesz na jeszcze większe manto. Na ostre rżnięcie, które wybije ci te idiotyzmy z głowy. – Poklepuje się po kroczu.

– Nie mędrkuj, tylko jedź.

Przez kwadrans jedziemy w ciszy i podoba mi się ona. Mąci ją jednak głos Abrama.

– Proszę cię, twój ojciec mnie zabije, gdy dowie się, że zwiłaś na mojej zmianie.

– Od groźby do prośby? – Krzywię się. – Dobra, zatrzymaj się tu i wysiądź.

Obdarza mnie pytającym spojrzeniem.

– Jak to? I co ja mam niby teraz zrobić? Nie wrócę bez ciebie!

– Niańki potrzebujesz?

Wyraz jego twarzy się zmienia.

– Jesteś głupią suką – syczy. – Pójdę do Selvaggio. Wiem o tej całej umowie. Powiem im, co wyczyniasz. Zero zasad! Zrobię to – grozi.

– Nigdy nie mów, że coś zrobisz, po prostu to zrób. – Uśmiecham się.

– Oni mają zasady i na pewno nie ujdzie ci to płazem. – Przyglądam mu się. – No i co się tak gapisz, nie sądziłaś, że jestem do tego zdolny, co? Myślałaś, że całe życie będziesz grać wszystkim na nosie, a tu niespodzianka! – Śmieje się. – No co tak patrzysz?

– Nic, nic, taka tam myśl przeleciała przez moją poobijaną głowę. Nieważne. Wyskakuj. – Szturcham go bronią.

– Jaka myśl?

– Pomyślałam, że właśnie dlatego, że oni mają te swoje zasady, nie powinieneś tam iść.

– Ty to jednak jesteś tępa – kwituje i wysiada. Staje na poboczu, a ja przeskakuję na miejsce kierowcy. Zerkam na Abrama. Powolnym ruchem przejeżdża palcem po szyi, wykonując gest podrzynania gardła.

Ciekawe, czy przewidział moją, czy swoją przyszłość.

⁶ Uno, dos, tres (hiszp.) – jeden, dwa, trzy.

ROZDZIAŁ 7

Przymykam powieki, ale wiem, że bez względu na to, jak mocno je zacisnę, nie sprawię, że obrazy z mojej głowy znikną. Mogę przymknąć oko na otaczającą mnie rzeczywistość, ale nie na wspomnienia. Nie pielęgnuję ich, gardzę nimi, mimo to matka wciąż jest w mojej pamięci i dopóki w niej będzie, będzie żywa. Jest moim więźniem. Strącona do najczarniejszego, skąpanego we krwi lochu, na samym dnie serca. Ja jestem jej jeńcem, zakładnikiem, a gdy budzi mnie ze snu, gdy zimny metal rani moje nadgarstki, sam nie wiem, czy to ja próbuję wyrwać się z macek przeszłości, czy ona chce rozłupać moje żebra i w końcu się uwolnić. Nie może odejść. Nie, bo mamy niedokończone sprawy. Nie dam jej przepustki, ponieważ jej nie ufam. Zdrada, podobnie jak desperacja, ma różne oblicza. Kodeks naszej rodziny nie zmienia się od pokoleń. Nie musimy rozglądać się na boki, szukać alternatywnych dróg. Wystarczy podążać tą wybrukowaną prawami i obowiązkami. Prawem męża jest zabić żonę, gdy ta dopuści się zdrady. Obowiązkiem syna jest zabić matkę, gdy zdradzi ona swoje dziecko.

To prawo wymyśliłem sam.

Nie ma znaczenia, czy dzieciak jest kartą przetargową w interesach, czy w akcie desperacji narzędziem do uratowania rodzicielskiego tyłka. To w chuj nieważne.

Jeden nabój. Jedna śmierć. Mało, bo powinny być dwie, ale skoro *jesteś*, to *czekam*.

Sięgam po broń i wsadzam ją do kabury. Wkładam marynarkę i wychodzę z sypialni. Etna znów zwiąła z domu. Nie kłamałem, gdy mówiłem, że wpędzi mnie do grobu. Mam nadzieję, że wcześniej sama nie wpadnie do wykopanego dla niej dołka. Byłoby łatwiej, gdyby nie była moim *wszystkim*, ale jest.

W korytarzu stoi Ferro i wpatruje się w zawieszony na ścianie ramki ze zdjęciami. Zauważa mnie.

– To chyba będzie dobre. – Wskazuje na zdjęcie naszej matki. – Czy jednak wziąć to z kominka? Pięknie tu wyszła. – Przygląda się fotografii. – Jak jakiś anioł. To będzie najlepsze. – Ściąga zdjęcie.

– Najlepsze do czego?

– Chiara chce znów posłuchać o mamie. Jeśli chcesz coś dodać, to siedzimy w salonie. – Unosi kciuk. – To jak, przyjdiesz? – Patrzy na mnie pytająco.

– Chuj na to kładę.

– Co cię znów ugryzło? – Kręci głową. Wkłada pod pachę zdjęcie *anioła* i zbiega po schodach.

Idę do pokoju Ivo. Wnętrze pogrążone jest niemal w całkowitej ciemności. Jedyne źródłem światła jest jasna poświata, padająca z ekranu komputera. Podchodzę do brata i szturcham go w ramię. Ściąga słuchawki z uszu i zapala lampkę, mrużąc oczy.

– Masz coś?

– Tak, ale uchwycony tylko profil. Powiększyłem i wyostrzyłem. To on porwał Almę. – Parskam śmiechem. – Przepraszam, to z nim poszła do lasu – poprawia się.

Przyglądam się wydrukowi. Mimo że widać tylko bok twarzy tego człowieka, jestem pewien, że to on. Jego skroń zdobi czarna

plama. Znaczne powiększenie zdjęcia sprawiło, że jest zamazana, ale wiem, że to tatuaż przedstawiający bombę. Pamiętam go.

– Dobra, dzięki. – Wkładam wydruk do kieszeni. – Jesteś w stanie namierzyć tego gościa? – Zataczam krąg rękami, ogarniając całą tę jego cyberprzestrzeń.

Odpowiada od razu.

– Gdybym potrafił, zrobiłbym to już dawno. – Mięsień przy jego powiece podryguje. Spoglądam na niego. Ucieka spojrzeniem.

– To znaczy kiedy?

– Rano. – Znow to drżenie. – Lub wczoraj.

– Używając słowa „dawno”, masz na myśli ostatnią dobę. Ciekawe... – zastanawiam się głośno.

– Nie łap mnie za słówka.

– Będę, a wiesz, dlaczego? – Nachylam się nad jego twarzą. – Bo słowa mają wielką moc, Ivo. Jeśli masz mi coś do powiedzenia na temat tego całego „dawno”, to mów teraz albo zamilknij na wieki. – Przetyka ślinę. Jego źrenice się rozszerzają. – No i jesteśmy w domu, kurwa! – Uderzam pięścią w blat biurka, a on zaciska powieki.

To, że pulsuje mi skroń, to w chuj wielkie niedopowiedzenie. Czuję, jak napina się każdy mój mięsień i tracę ostrość widzenia. Chociaż nie, wcześniej też nie była wzorowa, skoro nie zauważyłem, że Ivo wie coś, czego nie powinien, że wsadził nos nie w tę szparę, co trzeba. Słowo. Jedno za mało, jedno za dużo.

Słowo jest wielkie!

Umiejętnie dobrane sprawia, że dziewczynom miękną kolana, a największym cwaniakom uśmiech schodzi z gęby. Czy tak trudno to, kurwa, zrozumieć? Nie kontrolujesz swoich

wypowiedzi, masz ryj z plasteliny, nie ma cię. Biedni ci, którzy tego nie pojęli.

Podchodzę do drzwi, bo ktoś w nie nawala i otwieram je z impetem.

– Czego?! – W progu stoi Ferro, a zza niego wychyla się Chiara, która patrzy na mnie niepewnym wzrokiem.

– Ja, ja – jąka się mała – ja tylko chciałam zapytać, czy też uważasz, że mama wyglądała najpiękniej w białych sukienkach? – Zaraz mnie coś trafi. – Nicco mówił, że chodziła tylko w takich.

– Czy ja nie wyraziłem się jasno, Ferro?

– Słyszałem, co powiedziałeś w korytarzu.

Śmieję się gorzko.

– To, że słyszałeś, to wiem, ale czy słuchałeś? – Cofa się o krok. – I nie, kochanie – zwracam się do siostry. – Mama najpiękniej wyglądała w czerwonej. – Chiara uśmiecha się szeroko. Rozpinam kaburę i wyciągam z niej broń. Schylam się, żeby wyjąć nóż. Oddaję wszystko bratu i przybliżam usta do jego ucha. – A teraz wypierdalać.

Trzaskam drzwiami i opieram się o nie czołem. Odwracam się. Ivo przyrósł do krzesła. Ręce ma zaciśnięte na podłokietnikach. Siadam na kanapie. Palcami zataczam kółka na skroniach.

– Ja nic nikomu nie powiem.

– Jasne, że nie. – Unoszę wzrok. – Dlaczego jesteś taki przerażony? Chyba nie myślisz, że byłbym w stanie zabić kogoś ze swoich bliskich? Zapanuj nad tym. – Wskazuję palcem na swoją powiekę, a Ivo pociera twarz.

– Wiem, że byś tego nie zrobił – stwierdza pewnie. – Jeśli byś nie musiał – dodaje.

– Ciekawa teoria, taka pokrzepiająca, czy inny chuj, ale nie o tym. Czekam, aż opowiesz mi o tym twoim „dawno”.

Zrywa się z krzesła i staje przy drzwiach. Przygląda im się, a potem obdarza mnie spojrzeniem pełnym zrozumienia.

– Klucz jest w mojej kieszeni – informuję. – Przewidziałem to. Trochę cię jednak znam. – Uśmiecham się. – Dziesięć minut, Ivo. Daj się lepiej poznać.

Zaczyna krążyć po pokoju, zachowuje się jak lis złapany w pułapkę. Widać, że nie chce tu być, więc po co ją na siebie zastawiał?

– Nie będę nic mówił. Po prostu ci pokażę. – Unoszę brwi, a on podchodzi do sejfu ustawionego w rogu pokoju. Schyla się, zasłania tablicę numeryczną dłonią i wklepuje kod. W międzyczasie opowiada: – Pamiętasz, że wtedy, gdy matka zabrała mnie, ciebie i Chiarę na weekend w góry, to byłem strasznie wkurzony?

– Nie.

Macha ręką z rezygnacją.

– A ja tak, bo dostałem wtedy pierwszy zestaw kamer. Chciałem je umieścić w naszym holu, Bernardo zorganizował mi drabinę i byłem strasznie podjarany, ale ojciec powiedział: „Zbieraj te graty, wyjeżdżacie z matką na weekend”. – Robi cudzysłów palcami. – To zebrałem. – Wzrusza ramionami.

– I zamontowałeś je w domku, w którym ulokowała się matka z Chiarą... – Chowam twarz w dłoniach.

– Chciałem przetestować, tak? Myślałem, że uchwycę jakieś fajne wspólne chwile, zmontuję jakiś film przy okazji, wiesz, taki kolaż wspomnień. Skąd mogłem wiedzieć, że...

Śmieję się gorzko. Kolaż wspomnień, kurwa. Co to w ogóle jest?

Ivo obraca pendrive'a między palcami.

– Chcesz to oglądać? – Potakuję. – Tylko wiesz, tu jest nagrane wszystko, a nie tylko to, no wiesz...

– Włączaj i siadaj. – Waha się. – Posłuchaj... – Wstaję i zrównuję się z nim. – Trzymam fason. Postaraj się, kurwa, nie wyprowadzać mnie z równowagi. – Chwieję się, przenosząc ciężar ciała z palców na pięty. – Widzisz, jak balansuję nad przepaścią? Powtórzę jeszcze raz, włącz i usiądź. Wiesz, że nie będę cię prosił.

Kiwa głową, więc wracam na kanapę. Rozkładam ręce i kładę je na oparciu. Postukuję nogą o podłogę. Patrzę na tego flegmatyka, który nagle zapomniał, jak włącza się telewizor, a po moim ciele rozchodzi się to znajome ciepło, ten ogień, który zaraz go strawi. Zerka na mnie.

– Już, już.

Gdy to mówi, na ekranie pojawia się obraz, a przestrzeń wypełnia się jękami. Ivo rumieni się, jakby był zakłopotany, ale zajmuje miejsce obok. Trzyma palec na przycisku wyciszenia dźwięku i patrzy na mnie, nie wiedząc, czy go wcisnąć, czy jednak nie.

– Złożyłem do kupy tylko co ciekawsze fragmenty. – Drapie się pilotem po głowie.

Obserwujemy, jak gość, którego twarz widnieje na wydruku otrzymanym od Ivo, posuwa naszą matkę. Nie widzę jej twarzy, mimo to wiem, że to ona. Ma na sobie białą sukienkę, którą kupiliśmy jej z braćmi za kieszonkowe. Zrezygnowałem z zakupu

scyzoryka, żeby dołożyć się do kiecki, w której się puściła. W chuj przewrotny jesteś, losie.

– Szkoda, że jej nie ściągnęła – mówi cicho Ivo, jakby czytał mi w myślach.

– Przewiń – wzdycha z ulgą. – A teraz zatrzymaj.

Z głośników rozlega się płacz małej Chiary. Matka zbliża się do łóżeczka siostry i przyciska dłoń do jej ust, ale nie przynosi to oczekiwanego efektu. Mała ryczy jeszcze głośniejsze i wierzga nogami. Typ krzyczy: „Ucisz tego bachora!”, na co ona odpowiada, że się stara. Jej ruchy są nerwowe. Nie wiem, co jeszcze zrobiłaby w ramach tych całych starań, gdyby gość nie stoczył się z łóżka i nie zaszedł jej od tyłu, gotowy na kolejną rundę pieprzenia.

Pojawiłem się tam chwilę później.

Zajmowaliśmy z Ivo dom naprzeciwko. Nie lubiłem weekendów w górach. Była to dla mnie strata czasu. Wolałem trzymać się ojca, bo przy nim była większa szansa na rozróbę; na chrzest męskości. Kilka dni wcześniej dostałem od niego swoją pierwszą spluwę, w której znajdował się jeden, dziewiczy nabój. Czekał na uwolnienie, a gdy to się stało, byłem pewien, że naznaczył mnie na zawsze. Tamtej nocy chciałem wziąć przykład z Ivo i pójść spać, ale płacz siostry roznosił się echem po okolicy. Słyszałem w tym dźwięku coś niepojącego. Byłem przekonany, że matka wzięła tabletki nasenne i odpłynęła, bo zdarzało się to już nieraz, ale powód braku reakcji był zgoła inny. Znajdował się w niej i energicznie się poruszał, podczas gdy ona przyciskała rękę do twarzy mojej siostry.

Nie zauważyli mnie od razu. Nie pamiętam, o czym wtedy myślałem, czy w ogóle mój umysł skalany był jakąkolwiek myślą.

Być może byłem rozczarowany, smutny lub zły. Może tak. Może nie. Pewnie długo stałbym w progu jak zamurowany, ale matka uniosła wzrok. Już wtedy, w tej krótkiej chwili, pewne było, że nie wszyscy wyjdą z tego pokoju zadowoleni. Musiała zdawać sobie sprawę, czym jest zdrada męża, jak bardzo godzi ona w nasze zasady. Wiedziała, że jej los jest w moich rękach, że jeśli ojciec dowie się, co się odjebało, zabije ją.

– Co ty zrobiłaś, mamó... – powiedziałem.

Zwróciłem tym uwagę gościa, który odskoczył od niej w jednej chwili. Zauważyłem na jego skroni tatuaż. Pocierał go nerwowo. W pośpiechu zgarnął spodnie z podłogi.

Wybór był prosty. Miałem jeden nabój, a matka nie była *moją sprawą*. Zasady były jasne. Nie mogłem ukryć przed ojcem tego, na czym ją nakryłem, lecz jakaś częśćka mnie była skłonna puścić to w niepamięć i zmierzyć się z konsekwencjami, jeśli kiedykolwiek wyszłoby to na jaw. Matka popełniła błąd i wiedziała, że od tego, co postanowię, będzie zależeć jej być albo nie być. Podjąłem decyzję. Uniosłem broń i wymierzyłem w gościa, a wtedy ona zrobiła coś, co zmieniło wszystko. Nie tylko sytuację. Mnie. Całkowicie i nieodwracalnie.

– Powiesz ojcu? – zapytała, ale nie odpowiadałem. – Widzę to w twoich oczach. – Trzęsły się jej ręce. – Na pewno mu powiesz. To był tylko jeden raz. Jeden raz – powtarzała.

Nie chciałem tego słuchać. Gość stał z uniesionymi rękami. Przeskakiwałem wzrokiem między matką, która przymknęła oczy, a nim. To były sekundy. Teraz nie dałbym się tak zaskoczyć, ale w tamtym momencie nie miałem na sumieniu nic poza pieprzeniem naszej kreatorki zieleni. Matka szybkim ruchem wyszarpnęła

Chiare z łóżeczka. Trzymając ją w pasie, spod stosu pieluch ułożonych na przewijaku wyciągnęła nóż i przyłożyła ostrze do jej szyi. Gość zaczął się śmiać.

– Dobrze, że byłem delikatny – zarechotał i spojrzał na matkę.
– Nie chciałbym być na jej miejscu. – Mrugnął, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Uśmiech, kurwa.

– Odlóż broń – powiedziała nerwowo. – Zrób to albo ją zabiję. – Trzęsła się jej ręka. – Uciekaj stąd! – wydarła się, patrząc na kochankę, a on zawahał się, nie wiedząc, co począć.

– Nie rób tego. – Tyle zdołałem wydusić. – Będziesz żałować, mamó.

– Nie celuj do niego albo ją zabiję.

Przycisnęła ostrze do szyi Chiary. Nie wiem, czy celowo zrobiła nacięcie, czy to siostra w spazmach poruszyła się zbyt gwałtownie, ale stało się. Sącząca się krew spływała cienką strużką, wsiąkając w różowe śpioszki.

– Dobrze, nie celuję – zdecydowałem. – Odlóż małą do łóżeczka i po prostu stąd wyjdźcie.

Zaczęła śmiać się nerwowo.

– Nie, nie, ją zabieram. – Spojrzała na typa, jakby szukała potwierdzenia, że to dobry plan. – Muszę mieć zabezpieczenie. Poczekaj na mnie w aucie – zwróciła się do niego. – Zaraz do ciebie przyjdę. No, idź już!

Spojrzał na mnie, zmrużył oczy i wycedził:

– Jeśli zaraz się nie pojawi – wskazał głową matkę – jeśli jej coś zrobisz, to wiedz, że kiedyś jeszcze się spotkamy. A wtedy ja zabiorę ci to, co będziesz kochał najbardziej.

Parsknąłem prześmiewczo, a on uniósł palce i skierował je na swoje oczy, a później na mnie. Sugerował, że będzie miał na mnie oko. Wyszedł, a matka spazmowała:

– Nie żartuję, Efesto. Mam was już wszystkich dość! Nie wierć się! – wrzasnęła i poprawiła Chiareę na swoim biodrze. Kolejne nacięcie.

Nie mogłem postąpić inaczej.

Nie chciałem.

To było ryzyko, które podjąłem. Nigdy potem nie czułem takiego strachu. Modliłem się, żeby siostra się nie poruszyła, żeby nie uniosła rąk, lub nie zacisnęła ich na twarzy matki.

Moment. Uniesienie broni, wycelowanie. Strzał.

I ta cisza. Wydawało mi się, że trwa całe wieki, aż w końcu zmącił ją płacz Chiary, pisk opon odjeżdżającego w pośpiechu auta i dudnienie mojego serca.

Zadzwoiłem do ojca piętnaście minut później i czekałem. Huk wystrzału obudził Ivo. Jestem pewien, że obejrzał nagranie dużo później, bo gdy wpadł do domu matki, zemdłał. A gdy się ocknął, rzygał jak kot do czasu, aż nie miał już czym. I płakał. Oboje płakali. On i Chiara. A ja wydłubywałem nabój ze ściany i zastanawiałem się, co powiedzieć ojcu. I czy uwierzy w to, co mu powiem. Pojawił się dwie godziny później. Ivo wziął Chiareę i poszedł nas spakować, a ojciec zaczął krążyć po pokoju. Stałem w bezruchu, podczas gdy on przyglądał się wymiętoszonej pościeli. Chciałem wtedy wiedzieć, o czym myśli, bo odkąd się pojawił, nie powiedział ani słowa. W końcu stanął przy ciele matki, spojrzał na dziurę, którą kula wyżłobiła w ścianie i wyciągnął w moją stronę dłoń.

– Spluwa.

Wręczyłem mu pistolet, który podarował mi kilka dni wcześniej. Wysunął z niego pusty magazynek. Z kieszeni wyciągnął paczkę amunicji i ze stoickim spokojem uzupełniał go, wkładając jeden nabój za drugim. Oddał mi broń i poklepał po ramieniu.

– Nikt nie może się o tym dowiedzieć – syknął w moje ucho. – Oficjalna wersja. Ktoś na nie napadł. Zabiłeś go. *Finito*. – Sfrustrowany potarł twarz. – Twoja matka zhańbiła naszą rodzinę. Mnie jako mężczyznę. To nie może wypłynąć. – Przytaknąłem.

Ulżyło mi, gdy okazało się, że jest domyślny. Byłem wściekły na siebie, że w ogóle przeszło mi przez myśl, żeby iść jej na rękę i chronić puszczalską dupę. Ta myśl nie uderzyła we mnie od razu. Potrzebowałem czasu, żeby dobrze zrozumieć zasadę mówiącą o szacunku. Jednak to nie w jej imię zabiłem własną matkę, nie ja byłem rogaczem, lecz ku chwale zasady mówiącej o lojalności. O bezgranicznym oddaniu swojemu dziecku, krwi z krwi, chociaż w tym przypadku bardziej pasowałoby proste *krew za krew*.

Tyle.

Ivo szturcha mnie w ramię. Patrzę na ekran, ale telewizor jest już wyłączony.

– Chyba odpłynąłeś – stwierdza.

– Yhm.

– Masz. – Przekazuje mi pendrive'a. – Możesz to zniszczyć. – Mówiąc to, patrzy prosto w moje oczy. Nienaturalnie świdrujące spojrzenie. Niemal widzę, ile wysiłku wkłada w tę prostą czynność.

Śmieję się i łapię za jego nos, mocno go ściskając. Wstaję z kanapy. Ivo nie ma wyjścia, musi zrobić to samo, mimo to wyczuwam opór.

– To boli – jęczy.

– Pewnie, że tak.

Próbuje odciągnąć moją dłoń. Szarpie się i macha rękami, chcąc uderzyć mnie w brzuch. W końcu sapie zrezygnowany, więc siadam z powrotem, a on grzecznie robi to samo.

– Teraz też bolało?

– Nie, ale puść już.

– Za chwilę. Najpierw wytłumacz, dlaczego wcześniej bolało, a teraz nie boli.

– Puszczaj, kurwa. – Znów się wyrywa. – Ty na serio jesteś popierdolony! – Śmieję się i ściskam mocniej. – Dobra, przepraszam! Chodzi o współpracę! Przecież wiem, o co chodzi. – Łapie mnie za przedramię. – Jak się wyrywam i próbuję robić po swojemu, to boli, a jak współpracuję to nie. No, kurwa, Efesto!

Puszczam go. Zakrywa nos. Maca go, jakby nie wierzył, że wciąż jest na swoim miejscu. Rozsiadam się wygodnie na kanapie.

– Myślisz, że to, co jest na pendrivie to mój problem? – Unosi lekko głowę i patrzy na mnie niepewnie. – Już nie. – Uśmiecham się. – Jesteś w lekkiej niedyspozycji, więc wytłumaczę ci, na czym polega współpraca.

– Wiem na czym – burczy.

– Polega na wspólnym rozwiązywaniu problemów.

– Przecież powiedziałem, że wiem – warczy.

– Nie na udawaniu, że się je rozwiązuje, ale na rzeczywistej ich eliminacji. Tego nie wiesz, Ivo. – Wstaję i zaczynam krążyć po

pokoju. – Nie wiesz, kurwa – kopię w stolik – skoro łziesz jak pies. Prosto w twarz! Możesz to zniszczyć, Efesto – przedrzeźniam go, imitując jego głos. – Rucham to ja, a nie mnie. Zapamiętaj to sobie.

Ivo zrywa się z miejsca i podbiega do sejfu. Otwiera go i rzuca za siebie to, co z niego wyciągnął. Płytki, trzy dyski i jeszcze jeden pendrive. Wstaje i zrównuje się ze mną.

– Tu jest to wszystko. – Wskazuje na porozrzucone fanty. – Weź to. Nie chciałem tak z tobą pogrywać. – Nabiera powietrza. – Myślałem, że poczujesz się lepiej ze świadomością, że nie ma żadnych dowodów – wydusza.

Poklepuję go po ramieniu.

– Dziękuję, Ivo. – Jego oczy błyszczą najszczerzą naiwnością. – Ładnie teraz wszystko pozbieraj, wydrukuj mi porządne zdjęcie tego typu, bo przecież je mamy – kładę nacisk na ostatnie słowo. – Zastanów się, jak rozwiązać problem, który nie jest mój, lecz nasz... – Uśmiecham się pokrzepiająco. – Współpraca to fajna sprawa, Ivo. Czujesz tę moc? Ten wiejący w nasze żagle wiatr i tworząca się między nami więź?

Przewraca oczami.

– Zależności chyba.

– Zaufania, Ivo.

Rozlega się pukanie, więc szybko schyla się i zbiera to, co porozrzucił. Zamyka sejf, a ja wyciągam klucz z kieszeni i otwieram drzwi.

W korytarzu stoi Nicco.

– Jakiś typ od La Mantide przylazł i czeka przed bramą.

– Przyprowadź go do gabinetu – instruuję. – A, à propos, Ivo. – Spoglądam na niego. – Namierz Etnę.

– Na kiedy?

– Na dawno, czyli na już. – Kręci z niedowierzaniem głową.

Schodzę do kuchni. Maria lepi tortellini, a gdy tylko mnie zauważa, od razu podbiega do kuchenki i zakrywa garnek pokrywką. Czasem mam wrażenie, że jestem jedynym głosem rozsądku w tym domu.

– Myślisz, że to dla głodnego przeszkoda nie do pokonania?

– Jeszcze nie wypłynęły. Nie można jeść niedogotowanych – tłumaczy.

– Zaryzykuję. – Podchodzę, biorę łyżkę i wyławiam kilka. – Och, kurwa, ale gorące – seplenię.

– Nie przeklinamy w kuchni! – Uderza mnie ścierką w plecy. – Czy ty właśnie wypłułeś je z powrotem do garnka?

Odwracam się i unoszę ręce. Nicco przemierza hol z naszym gościem.

– Przynieś mi je wszystkie do gabinetu. Te pogryzione też – mówię i idę do wyjścia. Maria chrząka znacząco. – Poproszę – dodaję.

Mam nadzieję, że sprawa, z jaką przybył gość od La Mantide, jest ważna, że odkładam w czasie zjedzenie posiłku z jakiegoś naprawdę istotnego powodu, że nie będę musiał wysłuchiwać biadolenia i joczenia. Naprawdę chuj mnie obchodzą problemy klanu innego niż własny.

Wchodzę do gabinetu. Nasz gość rozgląda się po wnętrzu.

– Ładnie tu macie. Jestem Abramo. – Wyciąga do mnie rękę, ale witam go skinieniem. – A, zasady. – Doznaje jakiegoś

olśnienia. – Ja właśnie w tej sprawie. W sensie w sprawie tych całych zasad.

Nicco wskazuje mu miejsce przy biurku, a sam staje po mojej prawej stronie, gdy zajmuję swój fotel.

– Dobrze – mówię. – Zadam ci kilka pytań. – Patrzę na niego. Ma rozbiegane spojrzenie i, mimo że ma na sobie garnitur, wygląda jakoś niechlujnie.

– Słyszałem o tym! – wykrzykuje niespodziewanie. Śmieję się, bo Nicco aż podskakuje. – O tych całych pytaniach. Takie legendy krążą, że zadajesz je, żeby dostosować poziom do tego, z kim rozmawiasz.

– Czyli do rozmówcy. – Pomagam mu. – Ale nie doszukiwałam się drugiego dna, bo nie wiem, czy wiesz, ale ja jestem niedouczony. Tak twierdzi moja dziewczyna. – Nicco prycha, a Abramo przygląda mi się wnikliwie. – Co według ciebie oznacza to słowo? – Wygląda, jakby się zastanawiał. – Mów pierwsze, co przychodzi ci na myśl. – Ponagliam go.

– Głupi?

– To chyba ja miałem zadawać pytania?

– Głupi.

– Brawo. Czyli ty już wiesz, z kim masz do czynienia. Musisz odpowiadać tak, żebym zrozumiał, a więc krótko i na temat. – Potakuje. – Pytanie pierwsze: Co ty tu, kurwa, robisz?! – Uderzam dłońmi w stół.

– Przyszedłem.

Czekam na rozwinięcie tej myśli, bo gość chyba zbyt dosłownie potraktował moją prośbę.

– Dalej...

– Pracuję dla La Mantide...

– Stop – przerywam mu. – Daję ci trzydzieści sekund. W tym czasie możesz stąd wyjść.

– A potem?

– A potem to zależy – stwierdzam rzeczowo. – Konsekwencje, słowa, jedno za mało, jedno za dużo. W skrócie? Bałagan.

– Jednak zostanę, bo przyszedłem nie bez powodu.

– A ja jednak wolałbym, żebyś wyszedł, bo mnie naprawdę nie interesują powody. Jak sam wspomniałeś, pracujesz dla La Mantide. Nie ten adres. – Macham dłonią, bezgłośnie przekazując mu: „Sio!”, ale nie jest dobry w odczytywaniu niewerbalnych znaków.

Niccolo wzrusza ramionami. A ja mam już dość na dziś. Jestem zmęczony tłumaczeniem oczywistości, uświadamianiem, a przede wszystkim jestem głodny.

– To dajesz – zachęca go Nicco.

– Wiem o umowie między rodzinami – wypala. – Podśledzałem rozmowę don Alfreda...

– Stop. Kim jest don Alfredo? – Patrzy na mnie jak na głupiego, wiadomo.

– No, moim szefem.

Nicco bije brawo. Abramo uśmiecha się, jakby rzeczywiście miał powody do radości.

– Mów dalej. – Kręcę palcem ponaglająco.

– Ta umowa dotyczy Etny, tak? – Oczekuje potwierdzenia, ale w życiu go nie dostanie. – Wczoraj była awantura. Etna źle się zachowywała i wszyscy się pobili.

– Co za patola – kwituje Niccolo.

– I ona przyszła do mnie około piątej i wymusiła otwarcie bramy. Wzięła mnie na zakładnika, a potem wyrzuciła z auta.

– I to wszystko? Czyli przyszedłeś na nią naskarżyć, czy w jakim celu? – dziwi się Nicco. – Każdy wie, jaka ona jest. Przecież to Etna.

– A zasady? – Abramo jest zdezorientowany.

Wybuchamy z Niccolem śmiechem, a do gabinetu wchodzi Maria. Niesie talerz z tortellini. Stawia go na biurku i wyciąga z fartucha widelce. Jeden wsadza w moją dłoń, jakbym był pięciolatkiem, a drugi ląduje w ręce Niccola. Jem i unoszę wzrok.

– Jesteś głodny? – mówię z pełną gębą. Abramo potakuje. – Przynies mu rybę, Mario. Przesuwam talerz bliżej brata, bo wkurza mnie, że tak cały czas się nade mną nachyla.

– Ja dziś nie przygoto... – Na jej twarzy pojawia się zrozumienie. – Moment. – Abramo się uśmiecha.

Jemy w ciszy. Po chwili wparowuje Ferro i od progu, zamykając za sobą drzwi, nawija:

– Dwa kontenery jutro o czwartej, ale Nicco musi pojechać ze mną. Jest jakiś nowy celnik – relacjonuje, odwraca się i urywa zaskoczony: – O. – Patrzy na Abrama i unosi brwi. Zerka na mnie i Niccola, więc macham lekceważąco ręką. Nie musi się martwić, że powiedział za dużo w obecności obcego. To już nie ma znaczenia.

– Powiedz mi, Abramo. – Nabijam na widelec ostatni pierożek. – Dlaczego nie szanujesz naszej matki?

Ferro zabiera talerz i szepcze:

– Pójdę po jeszcze.

– W sensie waszej? – Wskazuje palcem na mnie, na Niccola.

– Nie. W sensie naszej. Twojej, mojej, jego – wymieniam, a on patrzy na mnie, jakby właśnie dowiedział się, że odnalazł swoją zaginioną rodzinę. – Mam jedną matkę. Jej imię brzmi Omerta. Nie zawiodę cię, mamo, po życia kres. A gdybym zbłądził, odbierz mi je.

Wraca Ferro.

– Jeszcze niedogotowane. – Rozkłada ręce. – Ale dla naszego gościa już jest wyżerka. – Rzuca na blat rybę.

Abramo śmieje się, bo na pewno ma jakieś *powody*. W końcu to o nie chodzi. Nie wyszedł, gdy mógł, bo jak twierdził, *nie bez powodu* przylazł zawracać mi dupę. Teraz też musi być przyczyna tej nieskrępowanej radości. Jaka? A bo ja wiem?

– Przecież to zdechła ryba! – To go tak bawi. Trąca ją palcem.

Pochylam się nad biurkiem i patrzę w jego oczy.

– Ona chce ci coś przekazać, Abramo – mówię cicho.

– Przecież ryby nie mówią! A zdechłe to już w ogóle są wyjątkowo milczące! Nie mogę, ale żart. – Ociera łzy radości.

Wszyscy wybuchamy śmiechem.

Zerkam na braci.

Kończymy zabawę.

– Pamiętasz, ile sekund dałem ci na opuszczenie mojego domu bez żadnych konsekwencji?

– Dwadzieścia – odpowiada bez zastanowienia.

– E, e. Błędna odpowiedź. – Uśmiecham się lekko.

– Chyba nie słuchałem. – Drapie się po głowie. – Albo nie zapamiętałem.

– Nieważne, czy słuchałeś i nie zapamiętałeś, czy w ogóle nie słuchałeś. Skutek jest taki sam. – Wzruszam ramionami. – Warto

słuchać i zapamiętywać, co ktoś ma ci do powiedzenia. Coś, co wydaje się nieistotne w danym momencie, może okazać się asem w twoim rękawie w przyszłości. – Patrzy na mnie tak, jakby mi nie wierzył. – Słuchaj nawet głupców. Ich w szczególności.

– Dobra, będę – mówi raczej na odczepnego, bo nie sędzę, żeby pojął sens tej lekcji.

– A może pamiętasz chociaż, z kim masz do czynienia? – Marszczy usta. – Ustaliliśmy to na początku naszej rozmowy. – Daję mu podpowiedź.

– Z głupim.

Bijemy mu brawo.

– Bracia odprowadzą cię do wyjścia. – Wstaję. Ferro oddaje mi broń, którą dałem mu na przechowanie. – Rybę zabierz ze sobą.

– Ale przecież nic nie ustaliliśmy.

– Jak to? Ja wiem już wszystko. A jeśli ty nie wiesz, to znaczy, że nie słuchałeś albo nie zapamiętałeś. – Jest skołowany.

– A ta rozmowa zostanie między nami? Nie chciałbym wyjść na nielojalnego przed don Alfredem, bo jednak do niego wrócę. – Unosi kciuk.

– Jasne, że tak. Nawet wypuścimy cię tajnym przejściem, żeby zachować najwyższy poziom dyskrecji. – Potakuje zadowolony.

Ech, te zasady. Zawsze jest z nimi problem. Największy wtedy, gdy ktoś próbuje je egzekwować, samemu wiedząc o nich tylko tyle, że zaczynają się na „Z”. Abramo powinien wiedzieć, co w naszych kręgach oznacza zdechła ryba i jeśli się ją dostaje, jest to równoznaczne z ostrzeżeniem. Jeśli nie chce się jej znaleźć na swojej wycieraczce, lepiej trzymać gębę na kłódkę i nie wykazywać

się nielojalnością. Mój gest był symboliczny, bo nie mam czasu dawać mu ostrzeżeń, których i tak nie zrozumie.

Rozdzielamy się w korytarzu. Odświeżam się w sypialni i wkładam ulubioną, jasnoszarą marynarkę, żeby dobrze prezentować się podczas odwiedzin u przyszłego teścia. To ważne. Wielce prawdopodobne, że nie zrobiłem dobrego pierwszego wrażenia, ale piłka w grze, pora pokazać, tę bardziej ludzką, przystępną twarz. Przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze. Wyglądam jak w chuj wymarzony zięć. Wygładzam marynarkę dłońmi. Mam nadzieję, że nie ufajda się krwią. Zbyt duże ryzyko. Zmieniam ją na czarną.

Schodzę do kuchni po czekoladki i bourbon. Wybór trunku nie jest przypadkowy. Pczęstowałem nim już niejednego cwaniaka i każdemu bez wyjątku mocno zaszumiało we łbie. Przed wyjazdem muszę jeszcze wstąpić do ojca. Pukam w drzwi jego gabinetu i wchodzę do środka. Siedzi pochylony nad stertą papierów. Odchyła się na oparciu fotela i przygląda mi się wnikliwie.

– Znalazła się?

– Kto, Etna?

– Nie, szara komórka twojej matki, kurwa. – Gromi mnie wzrokiem. – Dokąd się wybierasz?

– Do La Mantide. Na ile mogę sobie pozwolić?

– Wzniecili ogień. Niech teraz go gaszą. Na tyle.

– A umowa?

Unosi dłoń, wierzchem zwróconą w moją stronę. Zawsze tak robi, gdy daje mi wolną rękę.

Wychodzę bez słowa.

Pół godziny, tyle zajmie mi dojechanie z naszej rezydencji w Milo do domu La Mantide w Scalonazzo. Z racji tego, że mieszkamy u podnóża Etny, po drodze mijam bar „U Etny”, aquapark z termami, w których wodę podgrzewa sam Hefajstos oraz przedszkole „Etna i przyjaciele”. Zatrzymuję się przed restauracją „Gorący kociołek Etny”, wiadomo, i zamawiam skromny posiłek na wynos. Kolację dla teścia.

Podjeżdżam pod bramę i mrugam światłami. Już mam wyciągać telefon, żeby zadzwonić do Alessia, ale brama zaczyna się rozsuwać. Parkuję na podjeździe. Wyciągam broń i chowam ją do schowka. Nie dlatego, że uważam się za osobę, która nie potrafi nad sobą panować. Ufam sobie, ale nie mojej spluwie. Ona jest nieobliczalna. Nie ja.

Zgarniam z siedzenia podarki dla gospodarzy. Jestem rozczarowany, że nikt nie podchodzi, żeby się ze mną przywitać. Jedyne jakiś typ, który zapewne był zmuszony wziąć zmianę za Abrama, obserwuje mnie z budki przy wjeździe. Poprawiam krawat.

Przechodzę pod pergolą obrośniętą pnączami i przejeżdżam dłonią po nierówno przyciętym żywopłocie z cyprysów. Przeskakuję schodki werandy i staję przed drzwiami. Kładę dłoń na klamce, ale słyszę ciche gwizdanie, więc odwracam głowę w stronę, z której dobiega odgłos. W rogu, w najciemniejszej kącie tarasu, stoi Alessio. Podchodzę do niego. Podczas krótkiej wymiany uścisków wkłada w moją dłoń karteczkę, którą chowam do kieszeni.

Wchodzę do domu. Hol oświetlony jest jasnym światłem, które odbija się od wypolerowanych podłogowych płytek. Rozglądam się,

ale nie mam pojęcia, gdzie się wszyscy podziali. Mam nadzieję, że nie będą mieli mi za złe, że zmacę na moment tę błogą ciszę. Tak bardzo zależy mi na tym, żeby mnie polubili. Poprawiam pod pachą pudełko z zapewne zimnym już jedzeniem.

– Mamo! Tato! – wydzieram się. – Synek przyjechał!

Słyszę kroki i zauważam stojącą u szczytu schodów kobietę. Chuj wie, kto to.

– Mama? – pytam.

Zszokowana otwiera usta.

– Alfredo! Alfredo! – krzyczy. – To pomyłka – dodaje drżącym głosem, nie ruszając się z miejsca.

– Nie, to Efesto. – Wskazuję na siebie. – Słowa mają wielką moc, mamo, więc nie pomyłkuj mi tu, tylko zawołaj tatusia. – Tupię nogą, na co szerzej otwiera usta.

– Po co drzesz japę, kretynko?! – Podchodzi do niej Alfredo, a ona wskazuje na mnie. – Co ty tu robisz? Don Giorgio nie dzwonił z uprzedzeniem o wizycie. I gdzie są moi ludzie? – Rozgląda się i schodzi do holu, a kobieta za nim. Podchodzą bliżej.

– Spokojnie, bez względu na to, gdzie są, nie są niezbędni. – Poklepuję go po ramieniu. – Przepraszam za to całe *mamo* – zwracam się do kobiety. – Cierpię na deficyt miłości. – Teatralnie wyginam usta w podkówkę. – Proszę, to dla ciebie. – Przekazuję jej czekoladki, które niepewnie przyjmuje.

– Nie pajacuj, Efesto. Wizyty powinny być zapowiedziane – upomina mnie Alfredo.

– Nie pajacuj, Alfredo, bo przybywam z sercem na dłoni. – Wyciągam ją przed siebie. Patrzy na nią, a potem na mnie. – To chyba nie ta ręka – mówię w pośpiechu i przekładam butelkę,

żeby pokazać mu drugą. – Też nic, ale spokojnie, nie popadajmy w panikę. Musi gdzieś być. – Poklepuję się po kieszeniach spodni, po klacie. – Nie ma! Kurwa, zgubiłem swoje serce! – wrzeszczę rozbawiony. – Nie mam serca! – krzyczę, a kiedy milknę, w holu zapada ciężka cisza. – Odsuń się, mamó – mówię powoli.

Przeciągam się, wyginając ręce do tyłu i wykonuję zamach. Leje się pierwsza krew. Kobieta zakrywa usta. Pierwszej reakcji Alfreda nie rejestruję, bo pada od razu, gdy dostaje w łeb. Patrzę na butelkę. Mówiłem. Bourbon nieźle kopie. Alfredo łapie się za głowę. Wyjmuję z jego paska spluwę i magazynek, który chowam do kieszeni.

– Skoro tu jeszcze stoisz, to przynieś mi widelec – mówię się kobiety, ale nie rusza się z miejsca. Podnoszę z podłogi pudełko. – Nie będę cię prosił.

Biegnie do kuchni, a po chwili wraca z widelcem i kładzie go na posadzce.

Alfredo sapie. Szturcham go nogą, żeby nie odpłynął, bo kolacja to ważna rzecz. To gwarancja szybszej rekonwalescencji. Nachylam się nad nim.

– Złamałeś umowę – jęczy.

– Co mówisz? Chcesz jeść?

Przekręcam go na plecy, ale z powrotem obraca się na bok. Otwieram pudełko i nabieram żarcie dłonią. Chwytam Alfreda za mordę i mocno ściskam.

– Powiedz „A”. – Śmieję się. Nie otwiera gęby, więc mu pomagam i wpycham do niej ziemniaki, które wypluwa. Powtarzam tę czynność kilkukrotnie. – Nie lubisz tłuczonych ziemniaków?! Tak się, kurwa, składa, że ja też nie. Potraktuj tę

wizytę, jako ostrzeżenie. Kolejnego nie będzie. Nie patrz na nią. Nie dotykaj nawet małym palcem. Rozumiesz? – Milczy. – Nie rozumiesz. – Dostrzegam przerażenie w jego oczach. Sięgam po widelec. – Którą ręką strzelasz, Alfredo? Prawą?

– Pieprz się – syczy.

Przygniatał jego przedramię kolaniem i siłuję się z nim, żeby otworzyć mu dłoń.

– Będzie bolało – uprzedzam. Wykonuję zamach i przebijam jego rękę na wylot. Jestem pewny, że gdyby w holu był parkiet, a nie płytki, przyspiliłbym go do drewna. Alfredo wije się pode mną i wrzeszczy. – To jeszcze nic. Największy ból jest podczas wyciągania. – Zaciska powieki. – A ponieważ widelec jest jeden, a dłonie są dwie... – Zapieram się stopą. Dzwoni mój telefon.

– Dobra! Obiecuję!

Wstaję z niego i poprawiam marynarkę. Patrzy na mnie zbolałym wzrokiem. Jasne płytki pokrywają się czerwienią. Sięgam po jego leżącą przy moich stopach spluwę i wyciągam magazynek z kieszeni. Załadowuję broń. Kładę rękę na klacie.

– Zaprzysiężony, we krwi zatracony, po kres związany przysięgą.

– Przysięgam na Boga! Błagam! – Moczy się.

– O co mnie błagasz?

– O litość.

Śmieję się i wyciągam telefon, bo cały czas dzwoni. Widzę nieodebrane połączenia od Ivo i kilka SMS-ów. Otwieram jeden:

Via Stanislao Cannizzaro, stacja ENI.

Chowam komórkę. Pora kończyć, bo i tak za dużo czasu poświęciłem temu śmieciowi.

– Tego słowa akurat nie znam, ale wiem, co oznacza coś za coś. Przepiszesz na nią piętnaście procent udziałów w salinach. Jutro skontaktuje się z tobą mój prawnik.

– Ja sam mam tylko trzydzieści. – Czuję pulsowanie w skroni. Przeładowuję broń. – Zgoda, kurwa!

– Dalej...

– Ja, Alfredo La Mantide, uroczyście przysięgam przekazać Etnie La Mantide piętnaście procent udziałów w spółce solnej. Świadkiem mi matka. Omerta.

– To cześć, tato.

Żegnam się z tym geniuszem biznesu i wychodzę. On tego jeszcze nie ogarnia, ale jeśli na spokojnie przeanalizuje naszą rozmowę, być może zorientuje się, że nie złamałem umowy między naszymi rodzinami. Ja po prostu spuściłem mu manto. Sam dopowiedział sobie za co. Czy chociaż raz użyłem imienia Etna? Czy wymusiłem na nim przekazanie jej udziałów?

Kocham to, że jestem niedouczony!

Rozkładam kartkę, otrzymaną od Alessia. Czytam:

Stacja ENI. Via Stanislao Cannizzaro.

Wsiadam do auta. Przy bramie stoi Nino. Trochę mu zajęło pojawienie się tu z powrotem, ale na szczęście poszedł po rozum do głowy, zanim postanowiłem odczarować jego rzeczywistość. Podjeżdżam do niego i uchylam szybę. Podaje mi rękę. Odwzajemniam uścisk.

– Dzięki.

– Za?

– Dobrze wiesz, za co. – Przewraca oczami.

Unoszę dłoń i chucham w swój sygnet.

– Wszystko za wszystko.

ROZDZIAŁ 8

Chyba umarłam, bo czuję się jakbym była w niebie. Uchyłam powieki i widzę powód tego stanu. Leżę bokiem na fotelu kierowcy. Policzek oparty mam na dłoni Efesta, a on siedzi obok i przewraca strony gazety położonej na kolanach.

Próbuję sobie przypomnieć, jak to się stało, że jest tu razem ze mną i nic. Nie szkodzi. Nie chcę, żeby ta chwila się skończyła. Przyjemnie jest czuć czuły dotyk. Nie tak dawno wstydziłam się dotknąć jego pleców, mimo że miałam ochotę wtulić się w nie całą sobą. Pragnęłam, żeby zwrócił na mnie uwagę, spełnił moje dziewczyńskie marzenia. Gdybym szerzej otworzyła oczy, zauważyłabym, że zawsze trzymał się blisko. Może to i lepiej, że nie wiedziałam, że jestem mu przeznaczona. Mógłby stracić oddech. Moje uwielbienie może być przytłaczające, zdaję sobie z tego sprawę, ale nic nie poradzę na to, że mam ochotę opleść go rękami i nogami. To jest normalne. Dziwne byłoby, gdybym uwiesiła się nogawki jego spodni i za nic nie chciała jej puścić.

Gdy trzyma dłoń na moim policzku, mam wrażenie, że to jej miejsce, że była już na nim kiedyś, a ten dotyk naznaczył mnie na zawsze. Zapamiętuję, żeby zapisać tę myśl w pamiętniku i ponownie przymykam powieki.

– W końcu się obudziłaś – stwierdza.

Nie odzywam się, bo nie zerkał w moją stronę, gdy miałam otwarte oczy. To, że niby już nie śpię, jest jedynie jego przypuszczeniem. Nie chcę wracać do domu, bo jest w nim ojciec.

Chcę wrócić, bo są tam moje siostry i mama. Szkoda, że nie mogę się sklonować. Wtedy jedna Etna na zawsze zostałaaby w aucie z Efestem. Otwieram oko, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja i cóż, znajduję się pod baczoną obserwacją. Uśmiecham się lekko i mocniej przyciskam twarz do jego ciepłej dłoni, bo jej nie zabiera.

– Lubisz, gdy cię dotykam – mówi bez cienia wątpliwości. Już mam powiedzieć, żeby nie był taki pewny swego, ale wszystkie słowa grzęzną w gardle, gdy mój wzrok ląduje na jego kolanach i przypatruję się gazecie, którą na nich trzyma. Robię wielkie oczy. Efesto podąża za moim spojrzeniem i wybucha śmiechem. – Ale masz minę.

– A ty masz niezły tupet! – Odsuwam jego rękę i prostuję się na fotelu. – Ja tu sobie śpię, a ty oglądasz zdjęcia gołych kobiet!

– Yhm.

Prycham.

– Co oznacza to „yhm”?

– To znaczy, że tak, zgadzam się, potwierdzam. – Energicznym ruchem odrzuca pisemko na tylne siedzenie. – Zmywamy się stąd. Tam zaparkowałem. – Wskazuje palcem.

– A mnie to nie obchodzi. – Unosi brwi. – Czyli ja ci się nie podobam?

– Podobasz. Wyskakuj. – Kładzie dłoń na klamce, ale ja nie zamierzam się ruszyć. – Na co niby czekasz?

– A dlaczego jesteś taki – szukam odpowiedniego słowa – niesympatyczny?

– Zaczyna się – sapie i zatacza palcami kółka na skroniach. – Wracasz do domu ze swoim niesympatycznym facetem, czy zostajesz tutaj?

– Wrócę pod warunkiem... – Marszczy brwi. – To znaczy nie pod warunkiem – poprawiam się. – Po prostu powiedz, co ci się we mnie podoba i już. – Zakładam ręce na piersi.

– Wszystko.

– Masz jakiś ograniczony zasób słów – oświadczam.

– Zgadza się.

– Właśnie miałaś się nie zgodzić! Myślałam, że udowodnisz, że się mylę i wymienisz. – Patrzę na niego wyczekująco. – Uważasz, że mam ładne piersi? A podobają ci się moje włosy? – Nawijam kosmyk na palec. – A moje oczy? O, szyja na pewno tak, bo ostatnio tak się w nią wtulałaś. – Rozmarzam się, a on potakuje. – A moja osobowość? – Zatacza coraz większe kółka na skroniach.

– Prawdopodobnie pod tą stertą swetrów są zajebiste cycki.

Czekam, aż uzyskam odpowiedź na resztę pytań. Zerkam na niego. Wyłapuje moje spojrzenie. Po kilku chwilach odpuszczam, bo gdy intensywnie mi się przypatruje, zapominam, o co gram i co chciałam uzyskać. Efesto wysiada z auta, więc też to robię. Idzie w stronę swojego samochodu, a ja krzyczę za nim:

– Ale nie odpowiedziałeś na resztę pytań!

Odwraca się na pięcie.

– Zapamiętałem tylko jedno. Jestem zmęczony. – Robi niewinną minę i wzrusza ramionami.

Podbiegam do niego.

– Raczej niemożliwy – mówię zrezygnowana. – I podtrzymuję, że niesympatyczny.

– Niemal współczuję, że zakochał się w tobie taki potwór. – Śmieje się, przygarnia mnie ramieniem i całuje w czubek głowy. Obejmuję go w pasie.

– Czyli jesteś we mnie zakochany? – Chcę się upewnić.

– Nie, popierdolony. Z braku celu w życiu noce spędzam na obskurnej stacji benzynowej i przez trzy godziny podtrzymuję twoją głowę. Do tej pory nie odzyskałem czucia w ręce. – Potrząsa nią. – Popierdolony i zakochany to synonimy. – Śmieje się i pociera moje ramię. – Wiesz, co to synonim, kochanie?

Przewracam oczami.

– W takim razie też jestem popierdolona. – Zaciskam usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Jasne, że tak – stwierdza.

Otwiera przede mną drzwi auta. Sam zajmuje miejsce kierowcy. Nie dojechałam za daleko. Pięć minut po tym, jak wyprosiłam Abrama, spod maski zaczął wydobywać się szary, śmierdzący dym, a samochód tracił moc. Ledwo udało mi się doturlać na stację, a gdy to się stało, po prostu zasnęłam. Wkładam rękę do kieszeni, bo orientuję się, że nic mi w niej nie ciąży, a powinno.

– Tego szukasz? – Efesto uchyla marynarkę. Ma moją spluwę. – Chcesz, żebym powiedział ci, co sędzę o zasypianiu w otwartym wozie?

– Oczywiście, że nie. – Przeglądam się w lusterku. Mam rozciętą, lekko spuchniętą wargę, wielki siniak przy skroni i obtartą skórę na czole. Co za koszmar.

– Już nigdy nie będziesz tak wyglądać. – Zerkam na niego.

– Też tak mówiłam, ale jak widać – wskazuję na swoją twarz – nie wyszło.

– Teraz wyjdzie – mówi pewnie i odpala silnik.

– Skąd ta pewność?

Przestrzeń wypełnia się głośnym śmiechem.

– Bo ja tak mówię. – Kręci głową, jakby nie dowierzał, że sama na to nie wpadłam. – Trzymaj. – Oddaje mi moją broń.

Chowam ją z powrotem do kieszeni swetra. Jedziemy w kompletnej ciszy. Patrzą na Efesta i uderzam go z całej siły w ramię.

– Co ty, kurwa, robisz?! – Sprawia wrażenie w pełni świadomego, ale mogę przysiąc, że przed chwilą spał za kierownicą.

– Miałeś zamknięte oczy – nawijam szybko. – W trakcie jazdy! Spałeś! – Obdarza mnie pełnym powątpiewania spojrzeniem. – Nawet głowa ci się tak kiwała. – Pokazuję jak, pochylając swoją w przód i z powrotem odchylając. – Musisz skupić się na jeździe.

Śmieje się i pociera twarz rękami. Na pewno chce mu się spać, ale nie przyzna, że zasnął. Nie zamierzam spuszczać z niego oka, dopóki nie dojedziemy na miejsce.

– Mogłeś się przespać na stacji, a nie oglądać gazetkę – fukam, a on znów się śmieje. – Co cię tak bawi? Nic by się nam nie stało, a przynajmniej byś teraz nie zasypiał.

– Masz rację, bo jesteś bardzo mądra – kwituje. – Nic by się nam – nabiera powietrza – nie stało.

Przez resztę drogi cały czas mu się przyglądam. Na pewno czuje na sobie moje przeszywające spojrzenie, bo uśmiecha się pod nosem. Przejeżdżam dłonią po jego szorstkim policzku. Efesto ma ciemny zarost i brwi. A gdy je marszczy, tak jak teraz i odwraca głowę w moją stronę, mrużąc oczy, miękną mi kolana, a przez ciało przepływa przyjemny dreszcz. Z powrotem skupia się na drodze. Obrysowuję palcem jego ucho i sunę nim po boku szyi.

Jego krtań się porusza, wyczuwam przyspieszony puls, a cisza panująca w aucie jest aż nadto wymowna. Boję się oddychać. Mam wrażenie, że gdy tylko rozchylę usta, wydostanie się z nich niekontrolowany jęk.

– Musisz skupić się na jeździe – powtarza moją radę. – Żeby ci w tym pomóc, będę cię dotykać i wstrzymywać oddech w oczekiwaniu na to, co nastąpi. – Uśmiecha się i przejeżdża dłonią po twarzy. – Chryste – dodaje.

A ja nie oddycham. Nie wiem, czy mam zabrać rękę, czy kontynuować. Słowa: „W oczekiwaniu na to, co nastąpi” dudnią w mojej głowie, a to wcale nie pomaga uporządkować myśli. Wyobrażam sobie, co mogłoby nastąpić i mam dziwne wrażenie, że nie chodzi mu o to, że zderzymy się z drzewem. Wokół trasy, która prowadzi do mojego domu, rozciągają się same pola winorośli.

– Czyli mam cię nie dotykać? – pytam.

– Czyli dojechaliśmy już na miejsce. – Wskazuje na bramę, która zaczyna się rozsuwać.

Zerkam, żeby sprawdzić, kto stoi na straży i zwracam się do Efesta.

– A był może u ciebie żołnierz mojego ojca? Ma na imię Abramo. – Patrzy na mnie pytająco, więc kontynuuję: – Podwiozłam go, bo chciał coś załatwić i to było niedaleko waszego domu i w sumie nieważne. – Wzruszam ramionami, a Efesto szybkim ruchem łapie mnie za brodę.

– Nie kłam – warczy.

Mam już sformułowane zaprzeczenie. Jest na końcu języka i tylko czeka, aż otworzę usta, żeby mogło wydostać się na

zewnątrz, ale jakaś część mnie obawia się tych głupich konsekwencji. Za każdym razem, gdy Efesto przytrzymuje moją brodę, wiem po prostu, że przegięłam.

– Dobrze. Nie będę. – Jeśli był wcześniej w dobrym nastroju, to już nie jest. Jego dobry humor wyparował. – I przepraszam. – Puszczam mnie i wysiada wkurzony. Okrąża auto. Jest już po mojej stronie, ale nie otwiera drzwi, tylko trzyma na nich rękę i rozmawia z Alessiem. Również próbuję wysiąść, ale się nie da. No co za trudny człowiek. Wałę pięścią w szybę, ale pogrążony w rozmowie, nawet na mnie nie patrzy. W końcu łaskawie je uchyla, wciąż ignorując moją obecność.

– Postaram się – mówi Alessio.

– To za mało – stwierdza Efesto. – Musisz...

Nie daję mu dokończyć. Za mało, za dużo, co mnie to obchodzi.

– Co ty sobie myślisz, że możesz mnie przetrzymywać w aucie?! – Staję przed nim i robię groźną minę. Zerka na mnie z góry i uśmiecha się lekceważąco. Jednak nie wiem, czy się dogadamy. Czarno to widzę. Kładzie rękę na moim karku.

– Trzy minuty – zwraca się do Alessia. – Albo i nie, czterdzieści sekund. – Śmieje się.

Prowadzi mnie w stronę drzwi wejściowych. Dotyk jego dłoni niemal parzy. Nie lubię, gdy nic nie mówi, bo nie wiem, co mu chodzi po głowie. Z kolei, gdy już się odzywa, to uważa się za najmądrzejszego człowieka na świecie. Nie wiem, co gorsze i jaką opcję wybieram, milczący, czy mądrzący się Efesto. Zatrzymujemy się przed schodkami werandy.

– Po pierwsze, nie przerywaj mi, gdy z kimś rozmawiam. To bardzo niegrzeczne – poucza mnie.

– A grzeczne jest to, że przytrzymujesz drzwi, żebym nie mogła wysiąść? – Patrzę na niego z wyższością, mimo że nawet nie sięgam mu do ramienia. Nie odzywa się. – I co, słów ci zabrakło? – Zakładam ręce na piersi.

– Tak. Na twoją głupotę – ripostuje bez zastanowienia. – Nie wychodzisz z samochodu, dopóki nie zasunie się brama. Odwracasz swoją pustą głowę – stuka palcem w moje czoło – i sprawdzasz, czy się zamknęła. Jeśli tak, wysiadasz. Jeśli nie, to nie odklejasz tyłeczka od siedzenia. Zapamiętaj sobie, co jest po pierwsze, a co po drugie. – Otwieram usta, które on przymyka, unosząc moją zuchwę. – Zaraz do ciebie przyjdę.

Odchodzi.

I tyle.

On naprawdę myśli, że może się tak rządzić na nie swoim terenie. Nie chciałabym być w jego skórze, gdy ojciec zorientuje się, że tu jest i do tego bez zapowiedzi. I przyjdzie do mnie? Już widzę, jak żołnierze ojca wpuszczają go na górę. Pomacham mu z okna, tak jak zrobił to on, gdy byłam na jego urodzinach, a Alessio, który dziś jest na straży, powie do niego: „Żegnaj, Efesto”. To będzie dla niego niezapomniana lekcja. Skoro tak bardzo lubi pouczać innych, nie powinien narzekać.

Wchodzę do domu i od razu cofam się o krok. Na posadzce w holu jest mnóstwo krwi. Mimo to przechodzę dalej i idę do kuchni, w której zapalone jest światło. Przy kuchennej wyspie siedzi ojciec. Ma zabandażowaną rękę, a stojący obok niego doktor Salatterro opatruje jego głowę.

– Sturlałeś się ze schodów, czy co? – pytam i nawet nie gryzę się w język, bo dokładnie o to chciałam zapytać. Świadomość, że w

ogrodzie jest Efesto dodaje mi odwagi. Po chwili jednak dociera do mnie, że przecież nie będzie tu wiecznie i zaczynam żałować śmiałości, ale ojciec nie odzywa się ani słowem. Nawet nie patrzy w moim kierunku. Wzruszam ramionami i idę do swojego pokoju.

Przy drzwiach stoi Nino. Uśmiecham się szeroko. Wiem, że jego wczorajsze zachowanie było koniecznością, że ojciec nie przyjąłby go z powrotem, jeśli nie wykazałby się wobec niego lojalnością i posłuszeństwem. To nic nie zmienia. Ludzi, którym bezgranicznie ufam, mogę zliczyć na palcach jednej ręki. On jest taką osobą. Przyznam, że wczoraj nie od razu zorientowałam się w sytuacji, a poczucie zawodu dotknęło mnie do szpiku kości. Dobrze, że to tylko gra pozorów.

– Fajnie, że wróciłaś.

– A miałam wybór?

– Myślę, że tak – stwierdza. – Porozmawiamy rano? Chciałbym ci wszystko wytłumaczyć. – Drapie się po czole, jakby był zakłopotany.

– Wymyśl coś, żebyś mógł mnie jutro zawieźć na wyspę Levanzo. – Rozglądam się dyskretnie. – Powód dla siebie, bo ja się nie boję. – Unoszę głowę. – Mogę uciekać tyle razy, ile będzie trzeba. I po co tu stoisz, skoro mnie tam nie ma? – Śmieję się.

– Trzeba, to stoję. – Wzrusza ramionami.

Otwiera drzwi, a gdy tylko się za mną zamykają, biegnę w stronę okna, żeby zobaczyć, czy Efesto jest jeszcze w naszym ogrodzie i, mimo że go nie dostrzegam, jego auto wciąż stoi zaparkowane na podjeździe.

Z szuflady biurka wyciągam pamiętnik i kartkuję go, żeby znaleźć wolną stronę. Wyciągam z przybornika kolorowy marker i

piszę: „ON TU JEST!!!”. Podkreślam, żeby nadać odpowiednią wagę temu wydarzeniu i sięgam po słoiczek ze złotym brokatem. Posypuję nim kartkę, a po chwili podskakuję w przestkach, bo drzwi otwierają się z impetem. Złote drobinki wysypują mi się na sweter, biurko i podłogę.

– Co ty tu, do cholery, robisz?! – Efesto patrzy na mnie jak na istotę niespełna rozumu.

– Przecież mówiłem, że zaraz do ciebie przyjdę. – Marszczy brwi. – Co kombinujesz? – Chyba nie chciałby wiedzieć.

Podchodzi do mnie, mierzy wzrokiem od góry do dołu i cofa się o krok.

– To tylko brokat. – Krzywi się. – Zmarnował się, bo nie zapukałeś. – Rzuca okiem na otwarty pamiętnik. – A tu napisałam: „ON TU JEST!!!”. – Wskazuję palcem. – Nie chcę kłamać, więc mówię prawdę – tłumaczę.

– Nawet o to nie zapytałem. Mogłaś oszczędzić mi tej wiedzy. On tu jest – powtarza – to brzmi jak kwestia z horroru – Śmieje się. – Lub z pornola – kwituje. Patrzę na niego pytająco. – Czego nie rozumiesz? On tu jest, mała. – Poklepuje się po kroczu. Robię wielkie oczy, a Efesto wybucha śmiechem. – Zapomniałem. – Unosi ręce. – Dziewicze uszy. – Pstryka mnie w płatek ucha i siada na łóżku.

Strzepuję z siebie brokat, ale to na nic. Muszę się wykąpać. Odwracam się, żeby poinformować o tym mojego gościa i upewnić się, że nie będzie czuł się nieswojo, gdy na moment zostawię go samego, ale te obawy wydają się zupełnie bezpodstawne. On już się rozgościł. Leży na łóżku jak król. Nogi ma rozsunięte, podpira się na łokciach i rozgląda dookoła z uśmiechem na ustach.

– To ja chyba pójdę się wykąpać – mówię, ale nie odpowiada. Mam wrażenie, że świdruje wzrokiem każdy kąt. W końcu obdarza mnie tym swoim zapierającym dech w piersiach spojrzeniem.

– Super – stwierdza, a ja nie ruszam się z miejsca. – Chcesz mnie zapytać o to, czy możesz, czy po co tu jeszcze stoisz? A może po prostu marzysz o tym, żebym pottrzymał ci mydło? – Co za tupet! Okręcam się na pięcie i wchodzę do łazienki. Zatrzasnę za sobą drzwi i napuszczam wodę do wanny.

Ostatnie słowo, jakie opisywałoby moją kąpiel, to relaks. Nie jestem w stanie się odprężyć, nie wiedząc, co Efesto robi w moim pokoju. Nie żebym miała coś do ukrycia, ale wolałabym, żeby nie czytał moich złotych myśli na swój temat, bo już całkiem obrośnie w piórka. Myję się w pośpiechu i zdrapuję paznokciami brokat, który za nic nie chce zejść ze skóry. Gdy sięgam po mydło, wyobrażam sobie, że to właśnie Efesto mi je podaje lub, co gorsza, namydla moje ciało. Co on ze mną zrobił?! Mój mózg wydaje się całkowicie wyprany, a najbardziej pokręcone jest to, że chcę, wręcz pragnę całą sobą, żeby ustawił wirowanie na najwyższych obrotach. Nie wytrzymam. Wychodzę. Wystawiam nogę za wannę, chwięję się niebezpiecznie, ślizgam na mokrych stopach, piszczę, aż w końcu upadam na tyłek. I auć, to boli.

Pierwszą reakcją na ból jest histeryczny śmiech. Efesto wpada do łazienki, jakby go sam diabeł gonił i rozgląda się dookoła, a potem patrzy w dół. Na mnie. Na rozchichotaną, pokrytą pianą i resztkami brokatu, nagą mnie. Posyła mi groźne spojrzenie, ale przecież jestem naga. Gdy to do niego dotrze, na pewno spojrzy na mnie łaskawszym wzrokiem.

– Co ty tu, kurwa, wyprawiasz?! – wydziera się. – Myślałem, że ktoś cię odstrzelił lub że sama się postrzeliłaś. – Przygląda mi się. – To bardziej prawdopodobne. – Zanoszę się śmiechem i rozsmarowuję pianę na łydce. – Czy ty wiesz, że w łazience zdarza się najwięcej wypadków?!

– Dlaczego się tak pienisz? – Chichoczę.

– Słucham? – Marszczy groźnie brwi. – Prawie rozjechałaś głowę o rant wanny, a teraz pytasz, dlaczego się pienie? Czy ty siebie słyszysz?

Łapie mnie za ramię i podciąga do pionu. Zero poczucia humoru, za grosz delikatności.

– Mam złamaną kość ogonową! Może by tak delikatniej?

Śmieje się, ale jakoś złowieszco.

Przytrzymuję się rękami umywalkowego blatu, a Efesto rzuca na posadzkę ręczniki. Unoszę głowę i przyglądam się swojemu odbiciu. Nabrałam kolorów. Moja szyja i dekolci zaczerwieniły się i być może jest to spowodowane tym, że dopiero teraz, gdy mija pierwszy szok, dociera do mnie, że świecenie gołym tyłkiem nie jest żadnym asem w moim rękawie. Nie jest, bo nie mam na sobie kompletnie nic, co miałoby rękawy! I wcale nie chcę, żeby Efesto patrzył na mnie łagodniejszym wzrokiem. Jakimkolwiek zresztą, ale jest już za późno, bo staje za mną. Śledzę wędrówkę, jaką odbywa jego spojrzenie, zanim krzyżuje się z moim. I nie ma w nim za grosz łagodności, tylko iskra, której nie widziałam nigdy wcześniej. Przymyka na moment oczy, a gdy uchyla powieki, uśmiecha się szeroko. Nie wiem, czy dlatego, że podoba mu się to, co widzi, czy po prostu bawi go wypisana na mojej twarzy dezorientacja. Powody są nieistotne. Przestają mieć jakiegokolwiek

znaczenie w momencie, w którym kładzie dłonie na moich biodrach. Piskliwy dźwięk wydostaje się z moich ust, a puls niebezpiecznie przyspiesza. Przytrzymuję się krawędzi blatu i zaciskam powieki. Nie dlatego, że się boję. Niewielu rzeczy jestem pewna, ale akurat tego, że Efesto nie zrobi mi krzywdy, tak. Powodem jest zażenowanie reakcją mojego ciała na ten intymny dotyk, świadomość, że stoję przed nim zupełnie naga, a to, że znajdujemy się przed lustrem, tylko pogarsza sytuację i wprawia mnie w jeszcze większe zakłopotanie.

– Boisz się mnie? – pyta, a ja przeczę.

Odkąd zamknęłam oczy, jego dłonie nie przesunęły się nawet o milimetr. Są tak ciepłe, aż mam wrażenie, że wypalą na mojej skórze trwałe ślady. Robię głęboki wdech. Staram się wyciszyć. Opanować wewnętrzne drżenie. Efesto porusza się, wtula twarz w zgięcie między szyją a ramieniem, trąca mnie nosem i sunie w górę, aż dociera do mojego ucha.

– Nigdy nie zrobię ci krzywdy – szepcze. – Obiecuję.

Jego oddech jest jak delikatna pieśczość. Wypuszczam wstrzymywane powietrze. Nie sądziłam, że szept może być tak zmysłowy, że kilka słów może być przyczyną nieznośnego mrowienia między udami, które nasila się, gdy Efesto zaciska mocniej dłonie na moich biodrach i zaczyna powoli lizać moją szyję. Naznacza skórę mokrym językiem i zabiera rękę z biodra. Przesuwa palcami wzdłuż mojego kręgosłupa. W reakcji na ten dotyk wyginam plecy i wypinam pupę. I, o rety, teraz to już na pewno nie otworzę oczu. Uciekam, przybliżając się maksymalnie do blatu, ale Efesto przytrzymuje moje biodra i po chwili wtula się

we mnie całym sobą, oplatając ramionami w pasie. Wyczuwam, że się nachyla, żeby oprzeć brodę na moim ramieniu.

– Otwórz oczy.

W życiu tego nie zrobię. Nie po tym, jak wypięłam tyłek i poczułam *to*, wbijające się w mój pośladek. Już sam fakt, że tak bezwstydnie się mu poddaję, sprawia, że nigdy nie spojrzę mu prosto w oczy. Nie żebym wcześniej była w stanie wytrzymać to przeszywające na wskroś spojrzenie, ale teraz to już w ogóle. Nie, nie i nie. Efesto obejmuje mnie jeszcze mocniej.

– W życiu tego nie zrobię. Przykro mi. – Wzruszam ramionami, a on śmieje się cicho. – Chyba że obiecasz, że nie będziesz w nie patrzył.

– Jasne, że tak.

Otwieram oczy, a nasze spojrzenia od razu się krzyżują. Co za oszust!

– Oszukałeś – sapię, a Efesto zatacza kciukami kółka po bokach mojego brzucha.

– Nie oszukałem, tylko nie dokończyłem. – Mruga szybko i uśmiecha się, jakby był jakimś niewiniątkiem. – Powiedziałem: „Jasne, że tak”. W sensie, że mogę obiecać, ale nie zdążyłem wypowiedzieć, co ci obiecuję, bo tak szybko otworzyłaś ślepią. – Jeszcze mocniej się do mnie przytula, tak, jakby chciał stopić się ze mną w jedno.

– Dobrze, czego chcesz?

Śmieje się.

– A co jesteś w stanie mi dać?

Nabieram powietrza. Na pewno wie, że nie odpowiem na to pytanie.

– Wiesz, że w twój tyłek nie wbiła się moja spluwa? – zadaje jeszcze gorsze.

Robię wielkie oczy, otwieram usta. Patrzy na mnie wyczekująco.

– Wiem, że to było *to*.

– Nie, to nie była spluwa. – Nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Wiem, że nie spluwa, tylko *to*!

– Dobrze się czujesz? – pyta z troską. – Bo nie wiem, czy zająć się opatrywaniem kości ogonowej czy głowy. – Prostuje się, ale wciąż mnie nie puszcza. – Jakie, kurwa, *to*?

Sapię sfrustrowana. Nie wiem, jak on to robi, że podnieca mnie i wkurza jednocześnie.

– To był *on*. – Unosi brwi i rozgląda się dookoła. – Wiesz, *on tu jest*. – Kładzie dłoń na moim czole. – Jezu, ten z pornola! Czego ty nie rozumiesz?

– Jest tu jakiś typ z pornola, który wbija kutasa w twój tyłek? O czym ty do mnie mówisz? – Marszczy brwi.

– Dlaczego ty nie rozumiesz prostych słów? *On* i *to* jest tym, co powiedziałeś.

– Czyli gościem z pornola, tak?

– Kutasem! – krzyczę, bo on niczego nie rozumie. – Jak ty mnie denerwujesz!

– No pewnie, że jest kutasem, skoro wbija fiuta w twój tyłek.

Wybuchają śmiechem.

– Zgrywasz się, od początku wiedziałeś, o co mi chodzi, tylko chciałeś wymusić słowo na „k”!

– Jakie znowu słowo na „k”?

– Kutas. O, i znów wymusiłeś – warczę, a on się śmieje. Wtula się we mnie i znów oplata ramionami. Wzdycham, bo nie mam do niego siły, a nie dlatego, że każdy jego gest przyprawia mnie o dreszcze.

– Czy zanim zamkniesz oczy, możemy coś ustalić? – Nawet nie czeka na odpowiedź. – Nie uciekaj przede mną, bo to sprawia, że mam wielką ochotę cię złapać. – Znów kładzie brodę na moim ramieniu, a ja patrzę w jego oczy. – Rozumiesz, co mam na myśli? – Potakuję. – Boli cię jeszcze ta kość? – Przejeżdża palcami po moich żebrach.

Na skórze pojawia się gęsia skórka, a moje sutki twardnieją. Napotykam spojrzenie Efasta. Ma wygłodniały, pełen pożądania wzrok. Obserwuje mnie w lustrze. Doskonale wie, co ze mną robi. Widzi, jak moje ciało reaguje na każdą, nawet najmniejszą pieszczotę. Odgarnia moje włosy na jeden bok i obejmuje dłonią kark. Masuje go delikatnie. Jest mi tak błogo, że znów przymykam oczy i całkowicie oddaję się tej przyjemności. Mam wrażenie, że z każdą chwilą jest ona intensywniejsza, a doznania spotęgowane. Drugą dłoń kładzie na moim pośladku. Przesuwa ją wyżej, aż w końcu dociera do kości ogonowej. Zatacza na niej kółka palcem i masuje naprzemiennie, zwiększając lub zmniejszając nacisk. Zabiera rękę z mojego karku, a ja od razu odczuwam brak jej ciepła. Muskam palcami miejsce, w którym wytatuowany mam herb, chcąc zasugerować, żeby z powrotem położył na nim dłoń, ale Efasto nie jest domyślny albo specjalnie się ze mną droczy. To, że nie mam odwagi spojrzeć w lustro, jest w tej sytuacji utrapieniem, lecz jednocześnie wywołuje przyjemny dreszczyk niepewności i oczekiwania na to, co nastąpi. Piszczę

cicho, gdy na moim karku lądują usta Efesta, a jego dłoń zaciska się na mojej piersi. Nie przestaje pieścić mojego tyłka. Czuję jego dotyk wszędzie. Zaciskam nogi i nabieram powietrza.

– Uwielbiam to, jak na mnie reagujesz – mówi, odrywając na moment usta od mojej rozgrzanej skóry. – Bardzo mnie to kręci – szepcze i zaciska palce na moim sutku. – Jestem pewny, że jesteś kurewsko mokra.

Mój oddech przyspiesza, gdy jego dłoń przesuwa się z piersi i sunie w dół brzucha, docierając do wzgórka łonowego. Odsuwam się od blatu, żeby ułatwić mu dostęp do mojej kobiecości. Podniecenie wygrywa z zażenowaniem, wiem, że zaraz przekona się, że znów miał rację, bo, mimo że się nie dotykam, czuję gorąco między nogami i tak wielką potrzebę zaspokojenia rozbudzonych pragnień, że to aż boli. Efesto szybkim ruchem przejeżdża palcem po łechtaczce, słyszę, jak zasysa powietrze przy mojej szyi, gdy dociera do mojego rozgrzanego wnętrza. Jestem pewna, że wsunie we mnie palec, więc jęczę sfrustrowana, gdy tego nie robi. Mam ochotę wziąć jego rękę na zakładnika i zaspokoić się na swoich warunkach. Wypinam lekko pupę i od razu się spinam, bo kciuk, którym Efesto masuje kość ogonową, pod wpływem mojego nagłego ruchu ociera się lekko o drugą dziurkę.

– Nie próbuj przejąć kontroli – gryzie mnie w szyję – jeśli nie jesteś gotowa na konsekwencje. – Zabiera rękę z mojego tyłka. Drugą rozprowadza wilgoć po łechtaczce. Gdy to robi, niemal tracę kontakt z rzeczywistością. Wzdycham cicho, gdy mnie pieści i staję na palcach, bo doznania są tak intensywne. Odgarnia moje włosy. Jego erekcja napiera na moje pośladki. Opiera czoło o mój

kark, a jego dłoń zaciska się roszczeniowo na moim biodrze. – Chryste – wydusza.

Trzęsą mi się nogi. Jestem spragniona dotyku, a jednocześnie czuję, jakbym miała rozpaść się na wiele kawałków, gdy jego palce ślizgają się niespiesznie pomiędzy moimi udami. Mam wrażenie, że spalam się pod wpływem tych pieszczot. Włosy opadają kaskadą na moją twarz, gdy pochylam głowę. Uchylam powieki i jeśli sądziłam, że to niemożliwe, żebym była podniecona jeszcze bardziej, to wiem już, że się myliłam. Widok dłoni Efesta między moimi nogami sprawia, że maksymalnie zaciskam uda. Myślę, że nie jestem w stanie znieść więcej.

– Miażdżysz mi rękę. – Śmieje się cicho, a jego oddech owiewa górną część moich pleców. – Lubisz jednorękich bandytów? – Gwałtownie wsuwa nogę między moje, rozchylając je. Z moich ust wydostaje się niekontrolowane sapnięcie. – Kocham ten dźwięk – mruczy. – I ten na pewno też. – Jęczę, gdy wyczuwam, że delikatnie wsuwa palec do mojej cipki. – W porządku?

– Yhm. – Tylko na tyle stać mnie w tym momencie.

– Co oznacza to całe „yhm”? – wzdycham sfrustrowana i kładę dłoń na jego, lekko przyciskając. Nie wytrzymam dłużej tego napięcia. Efestu wysuwa ze mnie palec i zabiera rękę, po to, by położyć ją na mojej. – „Yhm” oznacza: „Dobrze, ale wolę dotykać się sama?” – Obejmuje moje dwa palce i sunie nimi od czułej na dotyk łechtaczki, aż do mojego niesamowicie mokrego wnętrza, przyciskając je coraz mocniej. – A może: „Yhm, ale pieprz mnie w końcu?”

– Tak – mówię cicho, a on zabiera rękę z mojego biodra i kładzie ją na plecach. Pod wpływem tego dotyku pochylam się i

opieram przedramieniem na blacie. Efesto przytrzymuje mnie za ramię i odsuwa się nieznacznie. Słyszę dźwięk rozpinanego zamka i cała się spinam. Musi to wyczuwać, bo zaczyna masować mnie kciukiem. – Czy my, czy ty...– jąkam się. Nachyla się nade mną, jego usta znajdują się tuż przy moim uchu. Czuję bijące od niego ciepło i twardą męskość, drażniącą wewnątrz mojego uda.

– Chciałbym, ale nie – szepcze. Sama nie wiem, czy odczuwam ulgę, czy rozczarowanie. – Gdy w końcu znajdę się w tobie, nie będziesz uciekać przede mną wzrokiem. – Przełykam ślinę, gdy obejmuje moje biodra i zaciska na nich palce. – Złącz nogi. – Spełniam jego żądanie. Jestem taka mokra, że bez oporu wślizguje się pomiędzy nie. Zaskoczona tym ruchem, nie zdążam zabrać ręki. Wstydzę się nią poruszyć, bo wtedy dotknięcie jego penisa jest nieuniknione. – Przejedź po nim ręką. – Łapie mnie za kark i przysuwa się jeszcze bliżej, przygryzając płatek mojego ucha. Porusza się między moimi udami. Jest naprężony i twardy. Przymykam oczy i przesuwam dłonią po delikatnej w dotyku męskości. Zasycha mi w ustach. Efesto wzdycha w moje ucho, tak, jakbym to ja go torturowała, a nie on mnie.

– Oj – wyduszam.

– Oj? – Prycha. – Bardziej pasowałoby „wow” – stwierdza bez wahania. Jego pewność siebie mnie przeraża i podnieca jednocześnie. Zgarnia włosy z mojej twarzy i zaciska je w garści. – Jeśli uniosłabyś teraz wzrok, to powiedziałbym ci coś bardzo ważnego. – Otwieram oczy i patrzę na swoje zarumienione policzki. – Trochę wyżej. – Zerkam na niego, a on znów wzdycha. – Umawiamy się, że od tej pory nie ruszasz swoim tyłeczkiem. – Zamykam oczy. – No dalej, nie bądź takim tchórzem. – Śmieje się

cicho. Znów na niego patrzę. – Rozumiesz, o co cię proszę? Nie masz między nogami mojego małego palca, ale wielkiego fiuta, który tylko czeka na twój jeden, nieprzemyślany ruch. – Zagryzam usta. – Nie napieraj na niego, bo wtedy rzeczywiście będzie „oj”. – Uśmiecha się pod nosem i uwalnia z uścisku moje włosy, które z powrotem przysłaniają twarz.

Boję się poruszyć, a jednocześnie chcę się o niego ocierać i w końcu osiągnąć spełnienie. Efesto wkłada dłoń pod moje piersi i pieści je delikatnie, przygniatając mnie torse. Jęczę pod wpływem tego doznania, a gdy zaczyna poruszać się między moimi udami, nie wiem, co zrobić z rękami. Jego męskość ślizga się po mojej cipce. Bardziej zaciskam nogi, a w odpowiedzi na ten ruch Efesto porusza się szybciej. Napieram na niego, bo to silniejsze ode mnie. Jestem w stanie oddać mu się całkowicie. Chcę, żeby zawładnął moim ciałem. Jestem gotowa na to, żeby poczuć go dogłębnie, na wszystkie konsekwencje. Mruczy przy moim uchu i przytrzymuje moje biodra, ograniczając mi możliwość ruchu. Mam ochotę wypiąć tyłek, nakierować penisa wprost na moją dziurkę, więc dotykam go dłonią. Jęczę, czując, jaki jest mokry od mojej wilgoci. Efesto przytrzymuje moją dłoń, a drugą rękę mocniej zaciska na moim biodrze.

– Przestań – warczy, ocierając się o mnie. Jego ruchy są gwałtowniejsze, wspólnie pocieramy moją nabrzmiałą łechtaczkę. Trzęsą mi się nogi. Doznania są tak intensywne, że nie myślę, już o wstydzie. Przestaje on mieć jakiegokolwiek znaczenie. Chcę po prostu, żeby zrobił mi dobrze, nieważne jak ani czym. Efesto drażni moją szyję językiem. W jego gestach wyczuwalna jest gwałtowność, która niesamowicie mnie podnieca, a jednocześnie

nie traci kontroli, bo za każdym razem, gdy się poruszam, hamuje moje nierozważne ruchy, które tak bardzo mi odradzał. W chwili, w której obejmuje moją cipkę całą dłonią i ociera się o moje wejście palcem, moim ciałem wstrząsa dreszcz. Miękną mi kolana, jęczę przeciągle i wyczerpana intensywnością tego doznania, kładę głowę na blacie. Zaciskam mięśnie.

Efesto wyslizguje się spomiędzy moich ud i łapie mnie za kark. Z jego ust wydobywa się gardłowy pomruk i sam dochodzi, kończąc na moim tyłku. Nachyla się nade mną i składa pocałunek na wytatuowanym herbie, mocno zaciskając dłoń na moim pośladku.

– Wszystko dobrze? – Odgarnia mi włosy z twarzy. Uchylam jedno oko. Wkłada rękę pod mój brzuch i unosi, żeby postawić mnie na nogi. Odwracam się w jego stronę i zasłaniam oczy, bo jeszcze nie naciągnął spodni. Śmieje się głośno. Słyszę zasuwanie zamka. Opieram się o blat i uchylam powieki, gdy Efesto kładzie dłonie po obu stronach moich bioder. – Wiem, że nigdy nie masz dość mojego gadania, więc jeśli nie zamkniesz oczu, to coś ci powiem. – Uśmiecha się pod nosem.

– A to będzie coś wstydliviego? – Wolę się upewnić.

– Jasne, że nie.

– Dobrze, to powiedz. – Cieszę się, że mnie przytrzymuje, bo do tej pory drżą mi nogi. A najgorsze jest to, że nie miałabym nic przeciwko powtórce. Jestem pewna, że ustawił już to całe wirowanie. Mój biedny, napalony mózg.

– No tak, ale unieś głowę. – Robię to, a on przybliży się, nie zostawiając między nami wolnej przestrzeni. Moje sutki ocierają się o jego koszulę, a oddech znów przyspiesza. – Musisz wiedzieć,

że jesteś moją wymarzoną dziewczyną. – Wstrzymuję oddech. Patrzy na mnie czule i jęczy przeciągle, poklepując się po policzkach. – Jednak na mnie nie patrz – zasłania moje oczy dłonią – bo znów mam ochotę znaleźć się między twoimi nogami. – Sapię, bo wyczuwam jego gotowość. Odslania mi oczy i obejmuje brodę. – Jeszcze jedno, kochanie. – Potakuję w oczekiwaniu. – Ty – przejeżdża dłonią po mojej piersi – należysz do mnie...

Posyłam mu wkurzone spojrzenie.

– Należę do siebie – fukam. – Nie możesz po tak miłej chwili mówić takich rzeczy. – Marszczę brwi i odpycham go od siebie.

– Nie dałaś mi dokończyć – mówi spokojnie.

– To dokończ. – Opieram rękę na biodrze. – Słucham.

– Przerwałaś mi, więc tego nie usłyszysz. – Wzrusza ramionami. – Sama do tego dojdiesz. – Ściąga z wieszaka ręcznik i rzuca go w moją stronę.

Owijam się nim w pośpiechu.

– Ale ja bym chciała to usłyszeć.

– A ja bym chciał ciebie podskakującą na moim kutasie. – Kładzie dłonie na policzkach i otwiera usta, udając szok. – Nie ten czas, nie ta pora. – Śmieje się i wychodzi z łazienki. Niezły tupet!

Idę za nim i patrzę w monitor. Nino wciąż stoi w korytarzu.

– Dlaczego on nie sprawdza, co u mnie? – Wskazuję na ekran. – Piszczalam, a nawet nie wszedł, żeby zorientować się, czy wszystko w porządku.

– Przecież ja tu jestem. – Efesto marszczy brwi, jakby nie rozumiał, o czym w ogóle mówię.

– No tak, ale skąd może wiedzieć, czy nie odbierasz mi na przykład dziewictwa.

Pokój wypełnia się głośnym śmiechem. Efesto podchodzi do mnie i klepie po głowie.

– Ma sprawdzać, czy nie kradnę tego, co należy do mnie? – Mam ochotę go uderzyć. Chyba o tym wie, bo obejmuje mnie ramionami, ograniczając możliwość ruchu. – Dobranoc. – Składa pocałunek na moim czole. – Będę o tobie myślał. A ty o mnie?

– Nie. – Zaciskam usta, żeby nie zaśmiać się z jego miny. Chyba nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Obejmuje moją brodę i postukuje w nią palcem. Unoszę wzrok.

– Jak to dobrze, że jesteś mądra i wiesz, na czym polega zasada wzajemności. – Uśmiecha się pobłaźliwie. – Mam bardzo dobrą pamięć.

Puszcza mnie i wychodzi, zamykając za sobą drzwi. A ja już o nim myślę i tęsknię, mimo że nie zdążył jeszcze opuścić naszej posesji. Rzucam się na łóżko, a gdy zamykam powieki, odtwarzam w głowie przebieg wieczoru.

Tak dobrze spało mi się dzisiejszej nocy, że nawet nie słyszałam budzika. Gdyby nie to, że Nino wydzwaniał natrętnie na mój telefon, nasz wyjazd na pewno by nie wypalił. Jest już południe, gdy w końcu docieramy na wyspę Levanzo. Zostawiliśmy auto w porcie w Trapani, a na miejsce dopływamy wodolotem. Już nie mogę doczekać się, kiedy będę miała swoją łódkę. W wyobraźni widzę siebie w kapeluszu na głowie, czuję wiatr rozwiewający włosy i słyszę historie, które opowiadam turystom, chcącym poznać wyspę. Nikt oprócz Oscara Betity nie wie o moich planach. Nikt oprócz niego mnie nie wspiera w dążeniu do samodzielności i do uniezależnienia się od ojca. To właśnie w domu starego rybaka Oscara spędziłam czas podczas jednej z

moich ucieczek. I to on i jego nieżyjąca już żona sprawili, że zapalałam wielką, nieprzemijającą miłością do tego miejsca. Nino podaje mi rękę, żebym mogła bezpiecznie wyjść na ląd.

– Jeśli chcesz, mogę pokazać ci nadmorską grootę – proponuję, a on pociera twarz. – Chciałbyś zobaczyć neolityczne naskalne malowidła? Wiesz, teoretycznie mogę ci opowiedzieć, jak wyglądał zwyczajny dzień naszych przodków, ale nie lepiej zobaczyć? Na ścianach wymalowana jest cała historia! A może chciałbyś odwiedzić jedną z zatok? Ty wiesz, że...

– Rety, masz jakiegoś świra na tym punkcie? Za każdym razem, gdy cię tu przywożę, pytasz o to samo. To tylko zapadła dziura, a opowiadasz o niej, jakby była najważniejszą perłą w koronie.

– Przecież jest – obruszam się. – Cofnij to, co powiedziałaś albo powiem w porcie, że tego pana nie obsługujemy. – Celuję w niego palcem. – Trzyście kilometrów, jakie dzielą nas od Trapani, przepłyniesz na tratwie, którą sam sobie zbudujesz. – Uśmiecham się z wyższością. – Od razu widać, że nie jesteś stąd. – Wskazuję na jego stopy, na których ma klapki. – Nie ma tu ani jednej asfaltowej drogi, wszędzie dukty i kamieniste ścieżki, a ty będziesz pomykał w klapkach. Brawo, Nino.

– Ty też nie jesteś stąd, więc się nie wymądrzaj.

– Jestem, bo czuję tak w sercu – fukam i ruszam uliczką targową, prowadzącą do domu Oscara.

Niemal wszystkie budynki na wyspie są białe. Odznaczają się na tle turkusowego morza, podobnie jak kolorowe, przycumowane do brzegu łódki, należące do tutejszych rybaków. O tej porze port

tętni życiem. Ci, którzy wrócili z połowów, opróżniają lub naprawiają swoje sieci.

– Witaj, Etno! – Odwracam się i widzę panią Castello, właścicielkę portowej kawiarni. Nino klnie pod nosem i otrzepuje stopy. Wyglądają, jakby nie mył ich co najmniej przez tydzień. – Zapraszam na kawę i ciastko! Twojego towarzysza też.

– Spieszę się do Oscara! – odkrzykuję.

– To może później, pozdrów go! – Macha do mnie.

– Zaraz dojdziemy do domu Salvatora, to pożycz ci porządne buty – mówię do Nina, bo nie mogę patrzeć na jego zbolałą minę.

– Kim jest, kurwa, Salvatore? – pyta.

Już mam odpowiedzieć, ale akurat przejeżdża obok nas auto, którego właściciel trąbi zaciekle i uchyla szybę.

– Cześć, Etno! – krzyczy Marciano, a jego dzieci machają do mnie z tylnej kanapy. – Mam świeżego tuńczyka, wpadnij! – Odjeżdża, zostawiając za sobą tumany kurzu. Nie muszę dodawać, że stoi w nich Nino.

– Kim są, kurwa, ci wszyscy ludzie?

– Wiedziałbyś, gdybyś chciał. Przecież to ty mnie tu zawsze przywozisz. A że nie zwracasz na nic uwagi, to co, moja wina? – Wzruszam ramionami. – Powinieneś być bardziej towarzyski, a skoro nie jesteś, to chodzisz w klapkach.

– A ktoś w ogóle wie, po co tu przyjeżdżasz?

– A ktoś mnie o to pytał? – odbijam pytanie. – Ja naprawdę mam mózg. – Stukam się po głowie, a on patrzy na mnie z powątpiewaniem. – Czasem udaję, że nie ogarniam, ale mam na stopach trampki – stwierdzam i idę dalej. – Wykąpiemy się na golasa przed powrotem? – Nino pokasłuje.

– Chyba cię popierdoliło. I nie będę zakładał butów jakiegoś Salvatora, i w ogóle załatw to, co masz załatwić i wracamy – nawija. – Powiedziałem twojemu ojcu, że mam pogrzeb wujka.

A ja nic nie powiedziałam. Po prostu wyszłam. Proponowałam Almie, żeby jechała ze mną, ale nie miała ochoty. Nie chciała nawet przyjąć z powrotem wisiora z wulkanicznym pyłkiem. W kółko powtarza, że jest głupia. Jeszcze niedawno bym jej przytaknęła, ale w tej sytuacji jedynie ją przytuliłam.

Dom Oscara znajduje się na kamienistym wzgórzu. Idziemy szybkim krokiem w jego stronę, bo, mimo że minęło już południe, widzę, że okiennice nadal są zamknięte. Załazek niepokoju rodzi się w mojej piersi. Na podjeździe stoi eleganckie auto. Drzwi domu otwierają się, a Nino wpycha mnie w wysokie krzaki i zasłania mi usta dłonią.

– Milcz. To Bommarito.

Odpycham jego rękę.

– A ja jestem Etna La Mantide. – Gromię go wzrokiem. – A to dom mojego najlepszego przyjaciela. Dodaj dwa do dwóch, Nino. – Robi wielkie oczy. – Drugiego najlepszego. – Poklepuję go po ramieniu.

– Dobra, chodźmy.

– Ty nie możesz. Zostań tu. Nie chcę, żeby się wydało, że oszukałeś mojego ojca. Nielojalność, czy jak to się tam nazywa. – Wzruszam ramionami. Wyciągam broń i podaję mu swoją torebkę. – Popilnuj mojego dobytku. Mam tam dziesięć euro na podróż wodolotem. Nie zgub.

Nie wiem, co się z nim dzieje. Co na niego nie spojrzę, wygląda, jakby oczy miały mu wyjść z orbit. Wychodzę z krzaków.

Nie mam gdzie schować spluwy, bo chcąc opalić nogi, włożyłam sukienkę. Serafino wraz ze swoim ojcem idą w stronę samochodu. Zauważają mnie. Patrzą na siebie i wybuchają głośnym śmiechem.

– Kogo to moje oczy widzą. – Stary Bommarito rozkłada ręce w geście przywitania. – Nie przypominam sobie, żebyś płynęła z nami promem. Znow coś kombinujesz?

– Żeby kombinować, trzeba mieć mózg – wtrąca Serafino. Znow się śmieją. – Sama spluwa nie wystarczy. – Zerka na broń, którą trzymam w ręce.

– Zgadzam się z tobą. – Wytrzeszcza oczy ze zdziwienia, bo pewnie myślał, że będę się kłócić. – Jesteś najlepszym potwierdzeniem tej teorii – ripostuję. – Jesteście – poprawiam się.

Serafino doskakuje do mnie, a jego ojciec otwiera drzwi auta i mówi:

– Mam nadzieję, że twoja siostra też jest taka wyszczekana. – Uśmiecha się oblesnie. – Zależy mi na tym szczególnie w sypialni.

– Nie będziesz miał okazji się o tym przekonać! – Posyłam mu ostre spojrzenie.

– Będę. Dziś dogadałem się z twoim starym. – Wyciąga z marynarki jakieś papiery i porusza nimi. – Daj sobie spokój z tą idiotką – zwraca się do Serafina. Macha lekceważąco ręką i wsiada do samochodu.

Serafino robi z ręki daszek, bo słońce świeci mu prosto w twarz. Zauważam na jego palcu sygnet Oscara.

– Skąd to masz? – Łapię go za rękę. – Oddawaj! – Szarpię go, a on się śmieje złośliwie.

– Od staruszka. – Ruchem głowy wskazuje na dom. – Jemu nie będzie już potrzebny. – Ściąga pierścień i przygląda mu się. – Ładnie mieni się w słońcu. – Chucha na kamień i chowa biżuterię do kieszeni. – Wiesz, co powiedział mi mój ojciec? – Przejeżdża palcem po moim policzku.

– Że znalazł ci chłopaka? – wypalam, a on łapie mnie za włosy. – Lepiej tego nie rób. Widzę na twojej skroni snajperski laser. – Kłamię. Od razu się odsuwa i dotyka głowy. Nie potrafię zamaskować rozbawienia.

– Idiotka. – Wzruszam ramionami. – Powiedział mi, że będę mógł pieprzyć twoją siostrę, kiedy tylko będę chciał, a że potrzeby mam spore...

Śmieję się, mimo że coś ścisnęło mnie w środku, gdy wypowiedział te słowa.

– Serio? – Unoszę brwi, a on potakuje. – Czym będziesz ją pieprzył, swoją cipką?

– Ja cię, kurwa, zabiję! – wydziera się, ale nic mi nie robi. Boi się. Nie wiem czego lub kogo, ale widzę, że jest coś, co go hamuje przed spełnieniem groźby. – Zobaczymy jeszcze, kto pierwszy zamknie oczy. – Obdarza mnie nienawistnym spojrzeniem i wsiada do auta.

Biegnę do domu Oscara. Odwracam się jeszcze, żeby sprawdzić, czy już odjeżdżają. Uchylam drzwi i od razu kieruję się do kuchni, bo to miejsce, w którym najczęściej przesiaduje. Panuje w niej bałagan. Stół jest przewrócony, a szuflady pootwierane. Drzwiczki niektórych szafek wiszą na jednym zawiasie. Rozglądam się. Na podłodze leży tasak, którego ostrze pobrudzone jest zaschniętą krwią.

– Oskar?!

– Etna? Jestem w salonie!

Kamień spada mi z serca. Idę szybkim krokiem w stronę głównego pomieszczenia w domu. Oscar siedzi w fotelu i uśmiecha się szeroko.

– Żarty sobie robisz? – napadam na niego. – Nie słyszałeś, że ktoś wszedł?! Myślałam, że coś ci zrobili! – Podbiegam do niego i klękam, biorąc jego dłonie w swoje. – Co się stało?! – Patrzę na jego zabandażowaną rękę.

– Słyszałem, dlatego siedziałem cicho. Poszli, bo udałem, że zemdlałem. – Pociera czoło. – Oni byli tu już wczoraj. Ucięli mi palec. – Robi mi się gorąco. – Spokojnie. – Sięga po gazetę i zaczyna mnie nią wachlować. – Mam jeszcze sześć. – Nie wiem, czy pociesza mnie, czy siebie. – Myśleli, że się przestraszyłem, dlatego dziś wrócili, ale chuja dostaną! – wydziera się i zrywa na równe nogi, a po chwili z powrotem opada na fotel.

– Jesteś blady. – Kładę rękę na jego czole. – Był tu lekarz?

– Tak, Abaccio. Pora umierać, Etno. – Ma szkliste oczy, a w ich kącikach zebrała się ropa.

– Tak ci powiedział? On jest głupi i durny do tego. – Mrugam, bo zaraz się rozpłaczę. Nie lubię, gdy Oscar mówi o umieraniu. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby go nie być. Do kogo bym wtedy przyjeżdżała i komu pomagała? Ten dom to wspomnienia, miejsce, w którym mogłam wziąć głęboki oddech. – Po moim trupie, kurwa!

Słyszę śmiech Nina, więc się odwracam. Podchodzi do nas i podaje dłoń Oscarowi. Krzywi się, gdy widzi jego rękę.

– Nie będę nawet wymieniał, ile razy już tak powiedziałaś. Wszystko po twoim trupie. – Przewraca oczami.

– I nie przeklinaj, bo to nieładnie – mówi Oscar.

– No właśnie, nieładnie, Etno. – Nino grozi mi palcem.

– I Abaccio tak nie powiedział. – Słyszając to, wzdycham z ulgą. – Tylko żebym uporządkował swoje sprawy. I mówił mi to już miesiąc temu, a wczoraj, gdy przyjechał opatrzeć palec, stwierdził tylko, że jestem w czepku urodzony. – Cieszy się. – I że mnie podziwia. A co tu podziwiać? – Wzrusza ramionami. – Ja mam osiemdziesiąt pięć lat, Etno, i swoje w życiu widziałem. Wiem, że mnie nie zabiją. Jeśli by mieli, już by to zrobili. Pieprzę ich wszystkich. – Klaszcze. – No, nie smuć się już. – Rozpościera ramiona, więc się w niego wtulam. – Amalia dałaby ci nadziewane *cornetto*⁷, żeby poprawić ci humor, a ja mam dla nas nalewkę. – Czuję, jak podryguje mu pierś. – Podaj, lokaju. – Wybuchamy śmiechem.

Odwracam się i patrzę na Nina. Sapie coś pod nosem. Oscar od zawsze tak się do niego zwraca, bo gdy przyjeżdżałam tu z nim wcześniej, nigdy nie odstępował mnie na krok i zawsze spełniał każdą, nawet najbardziej absurdalną, prośbę.

– To jest niby śmieszne? – oburza się. – Gdzie ta nalewka? – Oscar wskazuje na barek. – Tylko nie za dużo, bo nie będę cię niósł do portu.

– Będzie, będzie. – Śmieje się Oscar. – Już ja go znam. – Klepie mnie po ręce. – Mam nadzieję, że jesteś w stanie unieść dużo szczęścia, Etno, bo dziś dziadek Oscar ma dla ciebie to, o czym marzysz i jeszcze więcej. – Pokasłuje, gdy przechyla kieliszek z nalewką. – Mocna cholera.

Zanurzam język w kieliszku i delektuję się smakiem, a potem wypijam do dna. Przyjemne ciepło rozchodzi się po przełyku. Jestem ciekawa, jaką niespodziankę ma dla mnie Oscar. Domyślam się, że ma ona związek z łódkami, które kupiłam za pieniądze uzyskane w lombardzie. Efesto dołożył się do spełnienia mojego marzenia. I nie kłamałam, gdy powiedziałam mu, że zysk ze sprzedaży przeznaczyłam na osobę potrzebującą. Uważam się za taką. Dostaję od ojca pięćdziesiąt euro kieszonkowego co tydzień, mimo że dzięki mnie ma udziały w salinach. Rozbój w biały dzień. Na tę chwilę mam dziesięć euro, a osiem wydam na rejs wodolotem. Zostają mi dwa euro i nie wiem, co zrobić z tym całym majątkiem. Oby nie przewróciło mi się od niego w głowie.

– Chodzi o łódki?

Nino dolewa nam alkoholu do kieliszków. Widzę, że mój napełnia jedynie do połowy. Posyłam mu pytające spojrzenie.

– To mocno kopie, droga do portu jest kamienista, a ja jestem w klapkach, jak sama zdążyłaś mi już wypomnieć. – Wskazuje na swoje stopy.

– O łódki też. Zaraz podejdziecie do zatoczki. Na razie Matteo przyprowadził jedną, a dwie pozostałe dopłyną do wieczora. Łajby wychuchane jak ta lala. – Cmoka w złączone palce. – Podpiąłem cię pod swoją firmę, żeby było mniej formalności. Jak umrę, sama postanowisz, co dalej. I nazwę zmieniłem, na taką, jak chciałaś. – Czuję rodzącą się ekscytację. – Matteo powiedział, że mógł od razu wszystkie przyprowadzić, ale jego syn poradził, żeby przepływały po morzu o różnych porach, bo to podobno dobra reklama. Ludzie zapamiętają nazwę, jak będą ją często widzieć. – Uśmiecha się. – Młodzi to się na tym znają. I za stronę musisz

zapłacić, bo syn drukarza ją robi. Masz do niego podejść, podać numer telefonu. A po co taka strona, to ja nie wiem, ale chciałaś, to masz. – Wzrusza ramionami. – Ten młody szuka pracy, możesz się z nim umówić, że go zatrudnisz, to wtedy strona za darmo. Tak tylko mówię, bo jego ojciec prosił, żeby o tym wspomnieć.

– Będę miała pracę, będę miała pracę – podśpiewuję i kręcę biodrami. Nino chowa twarz w dłoniach, a Oscar się śmieje. – Zabiorę was w swój pierwszy rejs. Kto zna wyspę tak jak Etna? Nikt! – odpowiadam sama sobie. – Wiem nawet, co znajduje się pod wodą i jak smakuje muł w zatoce Dogana. Ja to wszystko wiem i innym też to pokażę! – Przechyliłam kieliszek. – Do dna, Oscarze! Dlaczego masz taką dziwną minę, Nino? Nie cieszysz się?

– Daj mi chwilę. Na razie mam ciarki na jajach – stwierdza.

– Ponieważ?

– Zastanówmy się. – Stuka się palcem po brodzie. – Może dlatego, że kobiety należące do organizacji nie pracują, bo nie mają pojęcia o biznesie? A może po prostu dlatego, że cię znam i wiem, że zanim słońce schowa się za horyzontem, jeszcze coś odpierdolisz? Nie mogę pozbyć się tego uczucia. – Pociera ramiona, jakby było mu zimno, i wzdyga się. – Nikt, kto nie był na moim miejscu, nie wie, jak to jest mieć z nią styczność na co dzień – zwraca się do Oscara. – Może chociaż ty mnie rozumiesz?

Oskar wzrusza ramionami.

– Nino, pamiętasz, co ci powiedziałem, gdy byliście tu kilka lat temu? Z prądem płyną jedynie śmieci.

– Zgadza się, ale chyba nie wiesz, w jakim ona żyje świecie – warczy Nino. Rozmawiają o mnie, jakby mnie tu nie było.

Oscar śmieje się cicho.

– Ja nie wiem, tak? Od czterdziestu lat się z nimi użeram! I właśnie dlatego, że jest częścią tego świata, to motto szczególnie musi sobie wziąć do serca! – Oscar z impetem odstawia kieliszek na stół. Podnosi się, opierając na jednej ręce, i podchodzi do ściany. Ściąga z niej obraz, za którym jest sejf i zerka na nas. – Nieujawnienie kodu kosztowało mnie cztery palce. – Macha do nas lewą ręką. – A teraz to już chuj. Etna jest pełnoletnia. Można umierać.

Patrzemy na siebie z Ninem. Ten domowej roboty trunek musi być naprawdę mocny. Oscar przewraca papiery w sejfie, aż w końcu znajduje to, czego szuka i siada z powrotem na fotelu.

– To zaszczyt móc ją znać i jej towarzyszyć, Nino. Mam nadzieję, że to wiesz, a jak nie, to spieprzaj stąd. – Uzupełnia kieliszek. – To jest ktoś, Nino. To chodzącą rewolucja, a każdy ją lekceważy. – Rozkłada ręce. – Gdy po raz pierwszy pojawiła się na wyspie, nie wierzyliśmy z żoną, że należy do rodu La Mantide. Była jak powiew świeżego powietrza, niesiony przez morską falę. Daliśmy jej schronienie, mimo że o nie nie prosiła. Była poobijaną dziewczynką, która wybierała ze swojej zupy makaron i przekładała go po kryjomu do mojego talerza, żebym był syty. Dziewczyną, która, gdy wpadł po nią sztab uzbrojonych po zęby facetów, zaciskała pięści i krzyczała: „Ja wam jeszcze pokażę!”.

Wypuszczam wstrzymywane powietrze, a Nino milczy. Oscar rzuca na stół kopertę.

– Przewidziałś swoją przyszłość, Etno. – Drżącą ręką przesuwając kopertę w moją stronę. – Przeszłaś każdą próbę, na którą cię wystawiłem, a uwierz, było ich naprawdę wiele. – Nie

rozumiem, o czym on mówi. – Zanim otworzysz, musisz mnie wysłuchać. – Kiwam głową. – Na tym papierku zostawiłem dwa puste miejsca. Musisz wpisać procent i kogoś, komu ufasz bezgranicznie. Musi to być ktoś silny, nie jakiś, kurwa, giermek królowej. – Czka. – Lastarro w ogóle nie płaci za grunt. Przez te wszystkie lata odmawiałaś sobie wszystkiego i płaciłaś za niego, żebym mógł zapłacić podatki. – Nino gromi mnie wzrokiem. – Pamiętasz, gdy poszłaś go prosić o zapłatę? – Potakuję. – W puste miejsce wpisz kogoś, kto będzie to robił za ciebie. – Chcę coś powiedzieć, ale Oscar unosi dłoń. – Gdy złożysz moje ciało w trumnie, chcę mieć na palcu mój ślubny pierścień. Ma go młody Bommarito. To moja prośba, Etno. Nie będę prosił o twoją przyjaźń, bo już ją mam. Rządź, królowo. – Podsuwa kopertę jeszcze bliżej. – A ty, lokaju, podaj drugą butelkę. – Nino kręci głową z niedowierzaniem, ale stawia na stole kolejną nalewkę. – Otwórz.

Sięgam po kopertę i rozrywam ją palcem. Mija chwila, zanim udaje mi się złożyć literki w całość, a przede wszystkim zrozumieć sens treści dokumentu, który trzymam w rękach. Jest to akt własności wyspy. Levanzo należy do mnie. Na papier kapie pierwsza łza. Ręce mi się trzęsą, a ja nie mogę złapać oddechu.

– Polej jej. Jak zejdzie pierwsza, to chuj z tym planem – mówi Oscar, a Nino uzupełnia mój kieliszek i burczy pod nosem.

Unoszę wzrok i patrzę na Oscara.

– Nie wiem, co mam powiedzieć – wyduszam. – „Dziękuję” to za mało.

– Za co niby? – wtrąca Nino.

– Nie słowa są ważne, lecz czyny. A teraz idźcie już głosić dobrą nowinę i zobaczyć łódkę.

– Jaką znów dobrą nowinę? – Nino nic nie rozumie.

– Oscar przepisał wyspę na mnie. – Patrzę na niego i jestem pewna, że spojrzenie mam szkliste nie tylko z powodu wypitego alkoholu.

Nino chowa twarz w dłoniach i intensywnie pociera policzki.

– Nie ma skali, żeby określić, jak bardzo masz przejebane – stwierdza.

– Po to jest to puste pole – wtrąca Oscar i znów czka. – Żeby przejebane miała mniej. – Ziewa. – I żebym w końcu mógł odpocząć. Chociaż nie powiem, miło było, gdy odwiedzała mnie ta laska od Mancinich. Sophia, czy jak jej tam leciało. – Unosi palec. – Ale jeśli była to prawdziwa miłość, tak jak mówiła, to wróci. – Zanoszą się śmiechem. – No już, butelka pod pachę i sio! – Wygania nas.

Podchodzę do niego i przytulam z całej siły. W wyobraźni już widzę, jak oprowadzam po wyspie turystów. Nie mogę pomarzyć dalej, bo Nino sapie nad moim uchem.

– No idź już. – Wypycha mnie z salonu. Macham do Oscara, ale on już przysnął w fotelu. – Trzymaj ten paperek. Zetrzyj z niego moje odciski palców – panikuje i wciska umowę w moje ręce. – Nie wiem, co to będzie – gada jak nakręcony. – I jeszcze Bommarito cię widzieli.

– Będzie, co ma być. – Wzruszam niebale ramionami. – Chodź. – Ciągnę go za rękę. – Musimy dojść do pomostu. Tam przycumowana jest moja łódka.

– Skąd miałaś pieniądze? – pyta, a ja wyciągam spod jego pachy butelkę z nalewką.

– Efesto pożyczył – stwierdzam lekkim tonem. – Można by pomyśleć, że łódki są jego, ale od myślenia boli głowa. – Chichoczę.

– Najgorsze, że ja cię tu przywoziłem. – Chowa twarz w dłoniach. – Nawet wtedy, gdy pracowałem dla niego i nic mu nie powiedziałem. – Drapie się po głowie. – Ale przecież nie wiedziałem, po co tu jeździsz. A chuj – dodaje – i tak już po mnie.

– Teraz pracujesz dla mojego ojca.

– Taaa, któremu powiedziałem, że jadę na pogrzeb wujka, kurwa.

Przewracam oczami.

– Trzymaj się mnie, a nie zginiesz. – Śmieję się. Totalnie w to nie wierzę, ale brzmi fajnie.

Nino odpowiada poważnym tonem.

– Nie wiem, co ze mną nie tak, ale zaczynam w to wierzyć. Masz jakiegoś farta, czy sam już nie wiem co.

Dochodzimy do pomostu. Łódka zasłonięta jest gumową plandeką, którą Nino ściąga. Patrzą na to wyremontowane чудо. A on cofa się o kilka kroków.

– Co to jest? Masz przejebane. Ja też. Mamy. – Znów popada w jakieś paranoje.

– Łódka. Moje narzędzie pracy – wyjaśniam z dumą.

– Widzę przecież, że nie czołg – mówi szybko. – Mam na myśli ten napis. – Wskazuje palcem. – Tak nazwałaś swoją firmę? – Kładzie dłoń na ustach.

– No tak, pasuje do branży turystycznej. A ja będę przewodniczką, czyli co będę robić, Nino? Pokazywać ludziom to,

czego nie zobaczą w informatorach turystycznych – tłumaczę.

– To brzmi jak jakaś groźba, do chuja!

– A to nie wiem, jak ktoś ma coś na sumieniu, to niech się boi.

– Wzruszam ramionami.

Odkręcam korek i przechylam butelkę z wiśniówką, a Nino czyta głośno napis namalowany na mojej łódce:

– „Etna wam pokaze”.

7 *Cornetto* (wł.) – rogalik. Pieczywo z ciasta francuskiego pochodzące z Włoch. Może być puste lub nadziewane.

ROZDZIAŁ 9

Trzy godziny snu. Tylko na tyle mogłem sobie pozwolić. To nie tak, że nie byłem w stanie zasnąć lub męczyły mnie koszmary. Nie z powodu tej małej, napalonej kusicielki, którą widzę za każdym razem, gdy przymykam powieki, lecz dlatego, że jakiś idiota postanowił zorganizować szczyt rodzin na oddalonym o kilka godzin jazdy od naszego domu zadupiu.

Na pieprzonej wyspie Levanzo.

Mało tego, ten idiota sądzi, że ja też nim jestem i przemawia do mnie argument, że jest tam kameralnie i nikt nie będzie nam przeszkadzał. W piwnicy też tak jest, ale nie, muszę zapierdalać przez pół Sycylii, bo on chce upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Jestem pewien, że przy okazji szczytu złoży wizytę Oscarowi Betitowi. Bommarito pływa na tę wyspę jak pojebany i chuja z tego ma. Być może dosłownie.

Zjeżdżamy z promu. Za nami wszystkie rodziny oprócz Gottich. Diabeł zawsze wpada jak po ogień. Nie zdziwiłbym się, gdyby wcale się nie pojawił. Mimo to ktoś od nich na pewno będzie, bo musi.

– Wyluzuj, Efesto. – Ferro zerka na mnie kątem oka. – Teraz była kolej Bommarito na wybranie miejscówki, a że wybrał taką... – Wzrusza ramionami. – Jego prawo. Mnie się tu podoba. – Rozgląda się w poszukiwaniu wolnego miejsca na przyportowym parkingu. – Podobno w tym klubie mają dobre dziwki. – Już mam się odezwać, ale wchodzi mi w słowo. – I nie, to nie jest

oksymoron. To chciałeś powiedzieć? – Wybuchła śmiechem, a potem nagle poważnie i pociera twarz. – Cały czas myślisz o tym kontenerze?

Kolejny idiota. Kontener, który mieli odebrać z Niccolem o czwartej rano z portu w Trapani, w magiczny sposób wyparował, a on myśli o dziwkach i napawa się widokiem. Gdyby nie był moim bratem...

– Dowiem się, kto się ośmielił – przerywa moje rozmyślenia, a ja parskam śmiechem.

– Jesteś tępy, czy udajesz?! – Uderzam rękami o deskę rozdzielczą. Ferro podskakuje w fotelu kierowcy. – Przedstawię ci fakty, a ty powiesz mi, kogo powinienem odjechać. Zgoda? – Potakuje ostrożnie. – Kto zajmował się dostawą?

Zastanawia się, a przecież odpowiedź jest prosta.

– Ja.

– Kto miał PIN, który wpisuje się przy jebanej budce celnej, żeby móc wjechać do doków i załadować swój kontener na ciężarówkę?

– Ja. – Przetyka ślinę.

– Chcesz odpowiedzieć na pytanie pierwsze, czy to zbyt mocno wstrząśnie twoim beztroskim światem?

– To nie mój kierowca odebrał towar! – Niemal piszczy. – Gdy tam dojechał, nie było już czego odbierać. Przecież tam staliśmy z Niccolem i obserwowaliśmy. Nie wiem, skąd ktoś miał kod na naszą dostawę.

– Widzisz, ty nie wiesz, a ja wiem. – Zerkam na niego. Na jego skroni perli się pot. – Od ciebie.

– Przysięgam, że nikomu nie podawałem. Nie zdradziłbym rodziny. – Zaciska dłonie na kierownicy. – To dlatego kazałeś naszym ludziom dopłynąć na wyspę następnym promem? Chcesz się mnie pozbyć?

Śmieję się.

– Powiedz mi, jaki był ten PIN. – Nie odzywa się. – Nie znasz go. A o co cię prosiłem?

– O zapamiętanie.

– Właśnie, Ferro. Zapamiętanie. Nie zapisywanie. Nikt nie ukradnie ci tego, co masz w głowie. – Uderzam go otwartą ręką w potylicę. – Zapamiętuj. Nie zapisuj. Tu masz wolne miejsce. – Wskazuję, gdzie ma się zatrzymać.

Tak jak przypuszczałem, wszyscy parkują, tylko nie Bommarito. Chce skorzystać z okazji, że zawsze na tego typu spotkaniach jest nasz prawnik. Liczy na to, że wróci od Betita z aktem własności i od razu dopnie wszystkie formalności.

– Mam też się do niego przejść?

– Niby po co?

– Po to, co wszyscy. – Wzrusza bez troski ramionami.

– I jak wszyscy chcesz wrócić z niczym, żeby po raz kolejny zrobić z siebie debila.

– Wiadomo, że nie chcę.

– Ale tak będzie, bo Betito to zawzięty chuj. Zapamiętaj, Ferro. – Patrzę na niego. – On nie ma żadnych słabości. Na niczym mu nie zależy, więc jak chcesz coś ugrać? Nie pokażesz mu zdjęcia jego wnuków wychodzących ze szkoły, bo ich, kurwa, nie ma. Jedyne, co możesz zrobić, żeby poczuć się lepiej, to go kropnąć. Tyle możesz.

Wysiadam z auta i rozglądam się dookoła. Ojciec razem z szefem rodziny Mancini i starym Etny wypruli już w stronę targowiska. Sophia ze zbolalym wyrazem twarzy zerka pod nogi. Nie dziwię się, kurwa. Włożyła szpilki, wiedząc, że płynie na wyspę, która przez zdrowo myślących nazywana jest stertą gruzu.

Ruszamy przed siebie. Po drodze mijamy targowe stragany i sklepy z pamiątkami. Na pierwszy rzut oka widać, że nie jesteśmy stąd. Mieszkańcy spoglądają na nas podejrzliwie i szepczą między sobą. Przytrzymują dzieci, zaciskając dłonie na ich chudych ramionach, jakby bali się, że odgryziemy im te małe główki. Zerkam za siebie.

– Sophia się ociąga – mówię, widząc, że idzie na palcach i lawiruje pomiędzy kamieniami.

– Gdy nie obciąga, to się ociąga. To ten typ. – Ferro wzrusza ramionami. – Pieprzę ją. I to dosłownie. – Mruga do mnie. – Daleko jeszcze? A, dobra, nie jesteś przewodnikiem. Widzisz, przy mnie nie musisz się nagadać, bo sam sobie odpowiadam. – Wyszczерza zęby w uśmiechu. – Co u Etny?

Spinam się, słysząc to pytanie. .

– A co ma być? To, co zawsze.

– Czyli coś kombinuje? – Przystaję, bo zaczyna mnie wkurwiać. – Dobra, spokojnie. – Unosi ręce. – Powiedziałeś, że to, co zawsze, więc...

– Tu jesteśmy! – Słyszę głos ojca. Stoi na tarasie i macha do nas.

Żeby się tam dostać, musimy przejść przez wydzielony fragment plaży. Chwytam Ferrę za przedramię.

– Zachowuj się tak jak zwykle. Nie okazuj, że mamy problem – instruuję. – Sam się wszystkim zajmę, a jeśli jakimś, kurwa, cudem, zajarzysz, w co się tu gra, morda w kubeł.

– A ty już wiesz?

– Wiem jedynie, z kim spędziłeś przedwczorajszy wieczór i że ci współczuję. Jesteśmy braćmi, niemal sam czuję ten ból dupy, Ferro.

– O czym ty mówisz? Nie boli mnie dupa. – Patrzy na mnie z powątpiewaniem.

Śmieję się gorzko.

– A powinna, bo zostałeś wyruchany.

Popycham go z całej siły, żeby szedł przodem. Mam ochotę tłuc jego łbem o poręcz, dopóki nie zmądrzeje, ale wszyscy na nas patrzą. Uśmiecham się, gdy wchodzimy po drewnianych schodkach, które prowadzą bezpośrednio na taras. Stoi tu jeden długi, bogato zastawiony stół z karteczką, na której widnieje napis: „Rezerwacja”, i mniejszy, przy którym siedzi prawnik organizacji, Umberto. Taras nie jest oszklony, więc z całą pewnością wiatr, który będzie nas smagał po mordach, można by było uznać za relaksujący, ale za nic nie potrafię wyzbyć się uczucia, że coś się tu odpiardoli. Może wynika to z tego, że lada moment w pomieszczeniu będzie więcej testosteronu niż rozsądku. A może ktoś już dawno spuścił swój rozum w kiblu i sądzi, że można mnie okradać bez konsekwencji? Może tak. Może nie.

Ojciec stoi oparty o barierkę, podobnie jak Ferro, i podziwiają uroki wyspy. Bommarito jeszcze się nie pojawili, a o rodzinie

Gottich nikt nie wspomina. Sophia chodzi wzdłuż brzegu i moczy stopy w morzu.

– Dlaczego to jest restauracja? – Ferro się odwraca. – Miał być klub. – Jest wyraźnie rozczarowany.

– Puszczają tu muzykę – odpowiada mu Mancini. – Tam masz parkiet. Widać go stąd. – Wskazuje ręką drewniany podest. Bujają się na nim dwie starsze panie, przestępując z nogi na nogę.

– No, kurwa, już mi stanął – rzuca Ferro na widok tańczących i wszyscy wybuchamy śmiechem.

Zajmuję krzesło. Stary Etny zmierza w kierunku stolika, przy którym siedzi prawnik. Wyraźnie się ociąga. Zerka na mnie, więc uśmiecham się do niego pokrzepiająco. Opowiedziałem w domu o wypracowanych w pocie czoła ustaleniach, o krwi, jaką przelał za naszą sprawę mój przyszły teść po to, by wszystkim nam żyło się lepiej. To, że ojciec był zadowolony, to niedopowiedzenie. On był zachwycony. Według niego odzyskaliśmy piętnaście procent udziałów w salinach. Nie ma znaczenia to, że będą przepisane na Etnę, skoro ona i tak wkrótce będzie *nasza*.

– Ty, kurwa, przez moment poczułem, jakbyśmy byli w Katanii! – drze się Ferro i wymachuje ręką. Wszyscy wstają i spoglądają w stronę, którą wskazuje. Na pełne morze, po którym przepływa kolorowa łódka. – Tu też Etna. Nie wydaje wam się, że to już przesada? Jakoś nie widzę na każdym kroku „Baru pod Stromboli” czy „Wyżerki u Vulcana”, a Etna jest wszędzie. Gdzie się nie obejrzyysz. „Etna wam pokaże” – czyta na głos napis namalowany na łajbie. – To brzmi jak jakaś groźba – zauważa ze śmiechem.

– Nie słyszałem o tej firmie. Ktoś od nas pobiera od nich *pizzo*^{8?} – pyta La Mantide. – Jeśli Bommarito nic dziś nie ugrają, dajcie mi umoczyć dzioba. – Zaciera ręce.

– Zjebałeś swojej córce życie, Alfredo. Jest chodzącą reklamą. – Mancini śmieje się, a ojciec Etny wraca do stolika.

– Jakbym ja to wymyślił. My chcieliśmy ją nazwać Giuseppina. – Patrzy na mnie z wyrzutem.

– Pamiętam. – Ojciec stuka się po brodzie. – Efesto miał cztery lata, gdy urodziła się Etna. Przyszliśmy odwiedzić je w szpitalu. Twoja żona pozwoliła mu wziąć ją na ręce – zwraca się do don Alfreda. – Wpatrywał się w nią jak zaczarowany, aż rozbeczał się z emocji i piszczął, żeby ją szybko zabrać, bo ją upuści. – Wszyscy się śmieją, chociaż to w chuj nieśmieszne. – Ona też zaczęła ryczeć, istne, kurwa, wariatkowo. Uspokoiła się, dopiero gdy położył dłoń na jej policzku. Powiedziałeś wtedy – zerka w moją stronę – „ona jest gorąca jak wulkan”. – Poklepuje mnie po ramieniu. – I tak oto mamy Etnę – mówi z dumą, chociaż to jej stary powinien tak powiedzieć. A jego stać tylko na wykrzywienie gęby.

– Imiona powinno się dobierać rozważnie – wtrąca Sophia, która stanęła u szczytu schodów. – Może Giuseppina byłaby mądra i taka, no nie wiem, fajniejsza. – Krzywi usta. – I jest pan pewien, że Efesto jednak jej nie upuścił? – Śmieje się pod nosem, bo zapewne sądzi, że ma powody do radości.

Zajmujemy miejsca przy stole. Starsze pokolenie zasiada po jego prawej części, a młodsze po lewej. Potem wszystko się pomiesza. Niektórzy dowiedzą się, że zajęli *gorące krzesło*, a ci, którzy siedzą obok nich, będą biadolić, że zostali pobrudzeni. Nie

sosem, w którym maczają właśnie swoje *canneloni*², lecz krwią. Jeszcze nie zdecydowałem, które krzesła są tymi pechowymi. Przewidywać to można pogodę. Ja muszę mieć pewność.

Sophia zajmuje miejsce naprzeciwko mnie i uśmiecha się szeroko. Przy stole gwaro. Zakłada kosmyk włosów za ucho, wypina pierś, oblizuje wargi i niesamowicie się wierci.

– Gorące krzesło? – pytam.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – odpowiada pytaniem i chichocze. Nie znoszę tego.

– Lubię ładne rzeczy. – Uśmiecham się, a ona rumieni się, jakby właśnie usłyszała komplement, a przecież ją obraziłem.

– Etnę też zasypujesz takimi komplementami? – Unosi brew.

– Oszalałaś?! – Kilka osób odwraca głowy w naszą stronę, ale szybko wracają do swoich spraw. – Jej mówię tylko proste: „Jesteś moją wymarzoną dziewczyną”. Na bardziej wyszukane komplementy trzeba sobie zasłużyć, nie? – Potakuje i znów się wierci. Nalewam kawę do filiżanki i zerkam na Sopię. – Lubisz robić brzydkie rzeczy?

Przygryza wargę. Pewnie, że lubi. Pochyla się nad stołem, więc i ja to robię.

– A ty? – szepcze i rozgląda się dookoła.

– To zależy – odpowiadam. Jest zdziwiona.

– Od czego?

– Od tego, czy ktoś też je lubi. A ty nie odpowiedziałaś na moje pytanie. – Otwiera usta zapewne, żeby odpowiedzieć, ale czas nie jest z gumy. Już minął. – Bo wiesz, jeśli chce się robić brzydkie rzeczy, to lepiej ustalić, czy druga osoba też tego chce. Prawda? – Znów się rumieni. – Gdy usłyszysz: „Tak, chcę”, to wiesz, że ma

świadomość konsekwencji. Zgadza się? – Potakuje i wchodzi mi w słowo.

– Czyli będziemy to robić?

– Ale co, bo ja mówię o brzydkich rzeczach, a ty o czym?

– No wiesz, o pieprzeniu – mówi bez żenady.

– Jaki związek ma jedno z drugim?

– Myślałam, że o to chodzi, że chcesz.

– I to błąd. Jeśli ktoś nie powie ci wprost, że chce zostać wyruchany, to go nie ruchaj. Czy teraz zrozumiałaś ten prosty przekaz?

– Nie – odpowiada od razu i się prostuje. – Nie wiem, o co ci chodzi. Jesteś jakiś dziwny.

– Dziękuję za komplement.

– Nie był nim – oburza się. – Nawet nie potrafisz rozpoznać – prycha.

Wzruszam ramionami.

– Czego? Z kim tańczę? Przecież ja już to wiem. – Uśmiecham się pobłaźliwie.

– Komplementu – warczy. – Skaczesz z tematu na temat. W ogóle bez żadnego związku. To tak, jakbyś nagle zaczął mówić o pływaniu. – Przewraca oczami.

– A chcesz o tym porozmawiać? – Unoszę brwi. – Powiem ci, co o nim wiem. Pływanie to trudna sztuka, bo trudno jest utrzymać się na powierzchni. Najgorzej, gdy w wodzie pływają piranie, lub, o, rekin. – Pstrykam palcami. – Mając świadomość, że jest się płotką, nie pływa się wśród ryb większych od siebie. – Zerkam na nią. – Zachłysnąć się własną krwią, utopić się w niej, mocno przejebane. – Kiwam palcem, bo chcę, żeby się przybliżyła. Musi

usłyszeć to, co mam jej do powiedzenia, bo to będzie ostatnia szansa, więcej kół ratunkowych nie będzie. – Zapamiętaj to, co teraz ci powiem. Nie musisz wyciągać z tego wniosków, ale możesz. – Sophia słucha uważnie. – Jestem rekinem. Wszłaś do wody, w której pływam. Masz jeszcze szansę z niej wyjść. Pomachaj mi przed nosem czymś, czego szukam, a odpłynę. Masz cztery godziny. W tym czasie będę wokół ciebie krążył. A potem cię pogryzę.

Nabiera powietrza i robi się czerwona.

– Jesteś pijany?

– Nie. Tylko dziwny.

Odsuwa z impetem krzesło i siada obok swojego ojca. Nawet lepiej.

– Podśluchiwałaś? – Odwracam się w stronę Ferra. Przeczy. – To źle, kurwa – syczę.

– No dobra, to tak – mota się. – Nie wiedziałem, co chciałbyś usłyszeć.

– Prawdę. Zawsze prawdę. – Mam ochotę zrobić mu krzywdę. – Zrozumiałeś coś z tego?

– Niezbyt. – Wzrusza ramionami, a ja wzdycham zrezygnowany.

– Ściągnij ten kwiat. – Wskazuję głową na prześwit. – Zahacz o niego, rozjeb go. Przypadkiem. Rozumiesz? Ma go tam nie być. – Potakuje. – Idź do właściciela i zapytaj, czy ten lokal jest ubezpieczony. Porozmawiaj z nim po naszymu. Przytaknij, kurwa. – Robi to. – Do wieczora ma tu nie być nikogo poza ludźmi z organizacji. Zajmij się tym. Od dziś aż do odwołania pracujesz charytatywnie. Wiesz, co oznacza to słowo? Pewnie, że tak, skoro

wiesz, co to oksymoron. Jesteś ciekawy, jaki wymyśliłem, żeby określić twoją osobę? Mądry brat. Zaśmiej się i spierdalaj. – Jego śmiech jest zduszony, bo zaciska usta, ale spierdala wzorowo.

Macham do Sophii, która od razu odwraca wzrok, bo do lokalu wchodzi Bommarito. Stary już od wejścia poklepuje kelnerki po tyłku, a Serafino patrzy na coś, co ma na palcu. Są tak zadowoleni, że przez chwilę myślę, że osiągnęli to, czego nikt nie był w stanie, że wspięli się na ten niezdobyty przez nikogo szczyt. Trochę mi z tego powodu smutno, a trochę nie. Tak, bo to by oznaczało, że znaleźli sposób na to, co dla nas jest nie do przeskoczenia. Nie, bo łatwiej wyszarpać wyspę z ich łap niż z rąk Betita.

Gdyby zaszła taka konieczność.

Podchodzą do stołu i witają się ze wszystkimi, a potem szef Bommarito zwraca się do ojca Etny.

– Alfredo. – Poklepuje go po przyjacielsku. – Trzymaj, proszę, swoją małą sukę na smyczy, lub chociaż załóż jej kaganiec. Dobrze ci radzę.

La Mantide wstaje od stołu i patrzy na niego zdezorientowany. Wszyscy to robimy i czekamy na rozwinięcie myśli, ale rozlega się odgłos tłuczonej porcelany. Wtedy wszystkie oczy zwrócone są na mojego brata fajtłapę.

– Stary, weź to posprzątaj! – Ferro przywołuje przechodzącego nieopodal kelnera. – Dopisz do rachunku. – Uśmiecha się pełną gębą. – Chociaż to nie ja. To wiatr.

Niepotrzebnie się tłumaczy, nikt nie jest tym zainteresowany.

– Wiecie, że Etna tu jest? Przecież nie płynęła z nami promem – odzywa się Serafino, a ja czuję, jak ciśnienie, które i tak

rozsadza mi dziś czaszkę, wzrasta. – Lata ze spluwą po wyspie, wygaduje takie rzeczy, że kwalifikuje się od razu do odstrzału. Kaganiec to mało – kwituje.

Zerkam na La Mantide. On nic nie wie. Nie ma kontroli nad swoimi włosami, które sterczą każdy w inną stronę, nie mówiąc już o upilnowaniu własnej córki. Pomijam to, że musiała spać ze dwie godziny, żeby móc tu dojechać i to, że nie pisnęła ani słowa o tym, że wybiera się na wyspę.

– I gdzie ją niby spotkaliście? – pytam, a Serafino odwraca się w moją stronę.

– U Betita. Poszła mu grozić spluwą. No świruska.

Wybucham śmiechem.

– W takim razie trzymam kciuki. – Unoszę dłonie, a on patrzy na mnie z powątpiewaniem. – Mówiła coś?

– Nie. – Wpatruje się w swojego ojca.

– To dlaczego ma być trzymana na smyczy i w kagańcu? Dlatego, że przyjechała na wycieczkę? – Mrużę oczy. – Kłamiesz.

– Po co nam prawnik?! – wrzeszczy Serafino. – Skoro ty jesteś taki mądry, że nawet nieobecnych wybronisz. Z rysów twarzy czytasz, do chuja?!

Śmieję się kpiąco.

– Nie. Powiedziałaś: „Wygaduje takie rzeczy, że kwalifikuje się od razu do odstrzału”, a potem stwierdzasz, że nic nie mówiła.

– Za słówka mnie łapiesz?

– Tak. O czym ta rozmowa w takim razie? Wyjdźcie, wejdźcie jeszcze raz, nie zapluwając sobie brody, przywitajcie się i usiądźcie.

– Giorgio, pohamuj swojego syna. – Bommarito zwraca się do mojego ojca, który rozkłada ręce.

– Wybacz, przyjacielu, ale zgadzam się z Efestem. Plotkami zajmują się kobiety. Kawa na ławę. – Uderza pięścią w stół. – Albo milczenie. – Przesuwa palcami po ustach.

– Dobra, napijmy się. – Bommarito podaje mi dłoń. – Piękne miejsce. – Rozgląda się. – Gdzie mamy usiąść?

Wyłosujcie sobie, kurwa.

– Gdzie chcecie. – Uśmiecham się. – Krzesel tu pod dostatkiem.

– Dziesięć minut temu dzwonił do mnie Gotti. Niedługo będą – mówi Bommarito i zerka na zegarek. – Miał jakiś problem z synem.

– Którym? – pyta La Mantide.

– A jak myślisz? Mephisto to wrzód na dupie – mówi o Diablu. – Nie pojawi się tu, ma zakaz.

Śmieję się, więc wszyscy spoglądają w moją stronę.

– I dlaczego ten znów rechocze? – Serafino patrzy na mnie z wyrzutem i kręci głową, jakby nie miał już siły. Opiera się o barierkę. – Wiecie, że u nas też szykuje się wesele? – Zaciera ręce.

Bommarito zawarł porozumienie z La Mantide. Pokój w zamian za rękę córki. Cieszą się jak dzieci. Nie wiedzą jednak, że ich radość jest bezpodstawna. Stan totalnie niemający sensu. Nie, bo żadnego ślubu nie będzie. Skąd to wiem? Bo znam Diabła. Oni też i gdyby tylko wiedzieli, że ma dokument z odciskiem palca Almy, zamiast weselnego tortu zamówiliby sobie trumny.

– Witam szanowne towarzystwo. – Wstajemy od stołu, bo do środka wchodzi szef rodziny Gottich. – Przepraszam, że

musieliście czekać. – Zajmuje miejsce przy moim ojcu, więc siadamy z powrotem. Za nim staje jego ochroniarz. – Coś mnie ominęło? Można się tu napić czegoś mocniejszego? – Ogarnia wzrokiem pomieszczenie. – Nie ma obsługi?

– Dałem im wolne. Samoobsługa – mówię, a mój ojciec mruży oczy i przygląda mi się wnikliwie. Pocieram prawe oko. Zerka, kto siedzi po jego prawej. Jestem pewny, że nie minie kwadrans, a zmieni miejsce. Nie ma pojęcia, o co chodzi, ale zrobi to, bo mi ufa.

– Już do ciebie idę, Umberto. – Ojciec Diabła zwraca się do naszego prawnika, a chwilę później zasiada z nim przy stole..

Odwracam się, bo Serafino się wydziera:

– A niech mnie, chyba piekło się rozstało! Więcej was matka nie miała?!

Gotti, który dopiero co usiadł, zrywa się na równe nogi. Podbiega do balustrady i zaciska pięści. Widać, że aż się gotuje. Powód wrzenia staje u szczytu schodów, palce wskazujące obu rąk przykładają do swoich skroni, imitując rogi. Rozgląda się, uśmiecha i przywołuje resztę swojej bandy.

– Mówiłem ci, do cholery, że masz nie przyjeżdżać – syczy Gotti.

– Usłyszałem: „Musisz koniecznie przyjechać”. – Diabeł uśmiecha się półgębkiem. – Tylko nie bij. – Żartobliwie zasłania głowę rękami i wybucha śmiechem. – Wy tam, a wy tam. – Wskazuje, gdzie mają stanąć jego diabły. – A wy chrońcie moje plecy – wydaje polecenie dwóm typom.

Podchodzi do mojego ojca i podaje mu dłoń. Wita się z Bommarito, prawnikiem, don Alfredem, Ferrem. Jego ochroniarze osłaniają mu plecy rękami i nie pozwalają po nich poklepywać.

Mephisto przygląda się zgromadzonemu, aż w końcu decyduje się usiąść obok mnie.

– Cześć.

Nie zdążę odpowiedzieć, bo jego ojciec znów się wydziera:

– Nie przywitałeś się z rodziną Mancini!

– Mówisz?

– To nic. – Mancini rechocze nerwowo. – Zapomniał.

– Widzisz, to nic. Zapomniałem. – Śmieje się Diabeł. – Siadaj przy barze – zwraca się do gościa w okularach. – Jak będziesz potrzebny, to cię zawołam.

– Kto to jest? – pyta La Mantide.

– Lekarz.

– A co on tu robi? – docieka Sophia, ale Mephisto nie odpowiada. Naciąga kaptur na głowę i opiera się czołem o blat.

Chce mi się śmiać, gdy widzę, jak mój ojciec podnosi się z krzesła i zaczyna krążyć po werandzie. Biadoli, że bolą go stare kości i musi rozchodzić ból, a najpewniej zastanawia się po prostu, gdzie by tu, kurwa, usiąść, żeby się nie pobrudzić. Ferro rozlewa alkohol do szklanek, Gotti omawia coś z prawnikiem, aż w końcu, po pięciu minutach, Diabeł prostuje się na krześle i mówi:

– Lekarz do leczenia, piekarz do pieczenia, dziwka do pieprzenia. – Nikt tego nie komentuje. Wyciąga z kieszeni bluzy pudełko z zapalnikami. Wyjmuje kilka sztuk. Robi z nich małą piramidę, którą podpala. – To mnie relaksuje. Zostaw ją mnie. – Patrzy prosto w moje oczy.

– Mówisz o?

Zerka na Sophię.

– Też coś zgubiłem. – Znow opiera czoło o blat. Co z nim jest, kurwa, nie tak? Unosi dłoń i przyciąga mnie za kark bliżej swojej głowy. – Gangrena – szepcze i zwalnia uścisk.

Mój ojciec nie zajął jeszcze żadnego krzesła. Stoi obok Bommarito, który zawzięcie mu coś tłumaczy. Napotykam jego spojrzenie.

– Opowiadam twojemu ojcu, co sobie zaplanowałem na weselu. Słyszałeś Mephisto, że się żenię? Zapraszam cię z osobą towarzyszącą.

Diabeł odchyła się i patrzy na niego obojętnym wzrokiem.

– Nie słyszałem. A z kim? – Przeciąga się. – Ja też się żenię – dodaje.

Nie da się opisać słowami miny jego ojca.

– Z Alną, córką naszego przyjaciela. – Bommarito poklepuje La Mantide po ramieniu. – A ty?

Nie da się opisać słowami miny Diabła.

Tym razem nie opiera czoła na blacie stołu. Po prostu opuszcza głowę, a gdy ta zderza się z twardą powierzchnią, słychać tylko jedno, głośnie jebnięcie.

Chcę go klepnąć, dodać otuchy, ale jego ochroniarz zatrzymuje moją rękę, zanim ta zderzy się z plecami. Mephisto się prostuje.

– No to na pewno wpadnę. – Zaciska szczękę i zerka na mnie. Tylko ja wiem, ile wysiłku kosztuje mnie to, żeby nie wybuchnąć teraz śmiechem. – Być może jak po ogień, ale będę.

– Nie oczekuję, że powiesz: „Obiecuję” – rechocze Bommarito. – Cóż jest warte słowo diabła...

– Tyle, ile sam chce, żeby było – kwituje Mephisto.

– A kiedy poznam twoją dziewczynę?

– Być może już ją znasz.

– Serio? – Bommarito wydaje się zaciekawiony. – A jak wygląda? Co ją wyróżnia? Jakiś znak szczególny? – docieka.

– Zastanów się, co najbardziej kręci diabła. – Mephisto uśmiecha się pod nosem.

– Nie wiem, jakaś niegrzeczna, szalona laska, ciasna cipka – wymienia, a Mephisto robi na stole kolejne minipalenisko z zapalek. – Na takie poluje diabeł?

– Chuja wiesz o piekle – stwierdza i poprawia zapalną, która się osunęła. – Diabeł poluje na dusze, pacanie. – Strąca ułożony stożek. Przy stole cisza. Przez chwilę widzę szok na twarzy Bommarito, ale udaje, że *pacan* spłynął po nim jak po kaczce. Draży dalej. Zupełnie niepotrzebnie, bo Mephisto wyciąga kolejne pudełko. Trzęsą mu się ręce.

– I to ją wyróżnia? Dusza? Każdy ją ma – prycha Bommarito. Diabeł śmieje się gorzko.

– Skończyłem – rzuca tonem bez wyrazu i wstaje od stołu.

Idzie w stronę baru, przy którym siedzi lekarz. Rozmawiają chwilę, facet przykładą dłoń do jego czoła, a potem szuka czegoś w swojej torbie. Diabeł zajmuje krzesło obok niego i połyka tabletki, które dostaje. Odwracam się, żeby zobaczyć, co dzieje się na plaży, bo słyszę jakieś wrzaski. Na dworze panuje półmrok. Dookoła wydzielonego fragmentu plaży rozwieszono są małe, kolorowe lampki. Dostrzegam dziewczynę zrzucającą w pośpiechu ubrania i gościa, który stoi jak słup soli. Laska piszczy i wbiega do wody, rozchlapując ją na wszystkie strony, i przywołuje chłopaka, który chowa twarz w dłoniach.

– Mówiłem, że nikogo ma tu nie być – zwracam się do Ferra. –
A na plaży jest jakaś świruska. Pozbądź się ich.

– Dosłownie?

– Oczywiście, że nie. Co jest z tobą?

Macha jedynie ręką i idzie na plażę, a Diabeł znów zajmuje miejsce obok mnie. Podpala ułożoną z zapalek piramidkę i unosi dłoń nad płomieniem. Przyglądam mu się, bo nie wygląda najlepiej. Musi wyczuwać, że na niego patrzę, bo odwraca się w moją stronę. Ma szklisty wzrok.

– Mam gorączkę.

Nie wiem, jak zareagować na to wyznanie. Powiedzieć: „Współczuję”, czy inny chuj. Decyduję się wzruszyć ramionami, ale już tego nie widzi, bo opiera czoło o blat.

Zerkam za siebie, żeby zobaczyć, jak przedstawia się sytuacja na plaży. Przez moment widząc, że Ferro też stoi i gapi się na podskakującą w wodzie dziewczynę, żałuję, że powierzyłem mu to banalne zadanie. To też go przerasta. Macha do mnie i krzyczy:

– To oni!

No raczej, że chodziło mi o nich. Nikogo innego nie ma na tym skrawku plaży. Wstaję i opieram się o barierkę.

– Wyciągnij ją! – wydzieram się.

– Ona jest goła! – odkrzykuje Ferro. – Mam ją wyciągnąć?!

– Tak!

Warczę i siadam na krześle. Szefowie rodzin rozmawiają w swoim gronie, prawnik przegląda jakieś papiery, lekarz nie siedzi już na barowym stołku, lecz rozgościł się na dobre i bawi się w barmana, Diabeł podpala kolejną piramidkę. W powietrzu unosi się zapach siarki. Sophia rozmawia z Serafinem i nic nie wskazuje

na to, że zamierza wyjść z przysłowiowej wody, w której pływa. Trudno. Z dworu dobiega śmiech Ferrera, a we mnie już się gotuje. Odgłosy są donośniejsze, do tego dochodzą też radosne piski, słyszę tupanie, jakby ktoś wbiegał po schodkach. Zanim zdążę się odwrócić, do lokalu wbiega rozchichotana... Etna.

– A kuku, kurwa! – wrzeszczy. Z palców robi spluwę i biega dookoła stołu. Wszyscy patrzą na nią, jakby była niespełna rozumu i coś w tym, kurwa, jest. – Ale macie miny! – Przystaje i rozgląda się. Jej spojrzenie zatrzymuje się na mnie. Uśmiecha się szeroko. – Spokojnie. To nie prawdziwy pistolet. – Zerka na swoją dłoń. – Nie tylko majtki zgubiłam, spluwę też. – Śmieje się i zgina w pół.

Pojawiają się Nino i Ferro. La Mantide marszczy brwi. Pewnie ma zamiar coś powiedzieć, bo otwiera usta, ale w tym momencie Etna podchodzi do Diabła. Nachyla się nad stołem, nad małym paleniskiem zrobionym z zapalek, i gasi płomień wodą, którą wyciska ze swoich włosów.

Cisza.

Wstaję asekuracyjnie. Z Diabłem nigdy nie wiadomo. Nie wiem, jak zachowa się w tej sytuacji, bo nie znam osoby, która wkraczałaby w jego przestrzeń. Nie w taki brawurowy sposób.

Mephisto unosi głowę i przypatruje się Etnie, a ona wypala:

– Wytłumacz się. – Diabeł mruga. Ma taką minę, jakby nie rozumiał tych słów. – No słucham. Chcesz spalić ten lokal? Wiesz, na czyjej ziemi postawiłeś swoje – zerka pod stół – wielkie stopy?!

Ojciec Etny zasłania usta. Mój ociera kroplę potu ze skroni i luzuje krawat. Diabeł wstaje. Widzę, jak z tej małej, nierozważnej istoty ulatuje pewność siebie, gdy Mephisto nad nią góruje.

– Na czyjej?

Etna kiwa palcem. Diabeł nachyla się nad nią, a ona szepcze mu coś do ucha. Patrzę na ojca, który wkłada rękę pod marynarkę, ale cofa ją, gdy Mephisto wybucha śmiechem i siada z powrotem.

– Mały diabeł – mówi cicho i strąca ze stołu nadpalone zapałki, po czym ponownie opiera czoło o blat.

Etna bierze z talerza *canneloni*, które wpycha sobie do buzi. Brudne palce wyciera o sukienkę. Przywołuje ją La Mantide, więc podchodzi do ojca, a za nią ze spuszczoną głową idzie Nino. Ma taki wyraz twarzy, jakby coś przeszkobał. Trudno stwierdzić co, bo nie powie, skoro nie pracuje dla mnie. A przynajmniej nie powinien tego robić. Siadam na krześle, Ferro klepie mnie w ramię.

– Jak ją wyciągałem, to złapałem za łokieć – tłumaczy. Patrzę na niego, na jego mokre spodnie. – I miałem zamknięte oczy, gdy wkładała sukienkę.

– Idź poszukać jej spluwy i majtek. – Sapie i unosi brwi, ale zmierza w stronę wyjścia na plażę.

La Mantide ciągnie Etnę do stolika, przy którym siedzi prawnik i postukuje palcem w plik kartek. Zapewne w umowę przekazania jej udziałów. Etna przegląda ją i uśmiecha się szeroko. Sięga po swoją torebkę i wyciąga z niej jakieś dokumenty. Podsuwa je w stronę Umberta, który zerka na nie z niedowierzaniem. Don Alfredo chce podejrzeć, co wywołało taką reakcję, ale widocznie nic, co by go dotyczyło, bo prawnik gestem nakazuje mu odejść.

Nino staje przy wejściu do łazienki i unika mojego wzroku. Przez dobre pięć minut nie udaje mi się złapać jego spojrzenia. Przesłupuje z nogi na nogę i pociera twarz. Na bank coś odjebali.

– Już jestem. – Etna wpycha się na moje kolana. – I bardzo cię kocham i tęskniłam. Tylko żartowałam, że nie będę. – Łapie mnie za głowę i całuje w policzki. – I nie mam na sobie majtek – szepcze mi do ucha. Chryste. – I nie będę mieć, bo zrobiłam z nich flagę. – Chichocze. – Flagę zdobywcy.

Unoszę ją i sadzam na krześle obok. Ręką przywołuję Nina, ale ani drgnie.

– Ile wypić? – Zerkam na nią.

– Dużo – mówi prosto z mostu. – Za ciebie i za mnie. No i za Nina. On miał jechać na wymyślony pogrzeb, ale zabłądził. – Śmieje się. – Ale to nie tak, że uśmiercił wujka, bo on naprawdę nie żyje. I powiedzcie ci jeszcze coś? – Ma czerwone policzki.

– Nie. Siedź cicho. – Potakuje i zaciska usta, ale tylko na moment.

– Padłbyś.

– Nie wątpię, kurwa.

Etna zabiera mój talerz. Nakłada na niego tonę spaghetti. Rozgląda się, zapewne w poszukiwaniu widelca, ale nie namierza żadnego czystego, więc sięga po mój. Nabija na niego makaron, a gdy łąduje w jej buzi, wydaje z siebie takie dźwięki, że aż Mephisto decyduje się unieść głowę.

– Mały diabeł – powtarza.

– I jak tam, Etno? – odzywa się Serafino. – Udało ci się coś ugrać? Pojadę do Betita jeszcze jutro. Już zmiękł.

– Chyba w twoich ustach – wypala Etna i bierze łyk mojej kawy. – Dobry ten makaron. – Postukuje widelcem o talerz.

Cisza. Przejeżdżam po twarzy palcami. Patrzymy na siebie z Mephistem i wybuchamy głośnym śmiechem. Inni idą w nasze ślady. Nawet Serafino wydaje się rozbawiony. Nie ma innego wyjścia. Tylko Etna się nie śmieje. Nie, bo ona powiedziała to na poważnie. Ona naprawdę tak sądzi. Mówi, co myśli, nie myśląc nad tym, co mówi.

Podchodzi do mnie Ferro i kładzie mi na kolanach spluwę Etny.

– Majtek nie ma. Mogę zaraz pójść i zobaczyć, czy otwarte są jeszcze jakieś stragany, ale przecież ma długą sukienkę.

– Tak zrób – mówię.

– Tylko zjem coś wcześniej, bo cały dzień każesz mi coś robić – burczy z wyrzutem.

– Zjedz, zjedz, przed tobą bardzo pracowita noc – kwituję, a on nie odzywa się już słowem.

Etna nakłada kolejną porcję makaronu. Ferro siada obok niej. Spoglądam na Sophię, ale ucieka wzrokiem. Szkoda, bo czas mija.

– Ugraliście coś z wyspą? – Ferro zwraca się do Bommarito.

– Przed chwilą o tym rozmawialiśmy – syczy Serafino. – Nie ma o czym mówić. – Patrzy wymownie na Etnę, która unosi dłoń, jakby chciała coś powiedzieć, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Lepiej niech już nic mówi.

– My jeszcze spróbujemy – stwierdza Mancini. – We wtorek wytoczę cięższe działa. Trzeba obmyślić plan, wykazać się ponadprzeciętnym sprytem. – Zerka na Sophię. – Może wspólnie

na niego natrzeć i podzielić się tym, co się ewentualnie uzyska – snuje wizje.

Tupet niektórych nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Dałem im tyle znaków ostrzegawczych, a oni siedzą przy stole i planują, co zrobią w przyszły wtorek. Nie będzie go. Dziś jest ich ostatni czwartek. Wpierdalają ostatnią kolację. I ostatni raz okazali brak szacunku naszej matce. Tyle.

– My odpuszczamy – oznajmia mój ojciec, a Etna znów podnosi rękę i robi taką minę, jakby była najpilniejszym uczniem w klasie.

– Ta wyspa jest moja – wypala.

– A ja przestałem w to grać, jeszcze zanim dowiedziałem się, że nie ma już o co – dodaje Diabeł.

– Jak to nie ma o co?! – krzyczy Bommarito. – To czysty zysk. Jest o co i ja tak łatwo nie odpuszczę. – Zaciska pięści.

Cisza. Chyba dopiero teraz dociera do wszystkich, że w trakcie rozmowy padło jedno, bardzo ważne zdanie i to, że wypowiedziała je zalana w pestkę laska, nie ma w tej chwili większego znaczenia.

– Co? – wydusza Bommarito, wgapiając się w Etnę.

– Wyspa należy do mnie. Miło, że ją odwiedziliście i dajecie zarobić jej mieszkańcom. Wpadajcie ponownie czy coś. – Wyciera usta serwetką. – Jeśli chcecie poznać ją lepiej, to zapraszam na rejsy moimi łódkami – nawija. – Założyłam firmę i będę pracować od rana do wieczora. – Zaczyna boleć mnie głowa. – „Etna wam pokaże”. – Uśmiecha się szeroko i nakłada kolejną porcję spaghetti. Patrzę na Nina, który zasłania twarz ręką.

Ferro przechyła szklanekę z alkoholem.

– Mówiłem, że ona wyhuśta nas wszystkich – rzuca w przestrzeń.

– Czujesz się przez nią wyhuśtany? – Wskazuję na Etnę. – Czy o kim mówisz? – pytam.

Diabeł się śmieje.

– Dobre pytanie, prawda, Ferro? – pyta Mephisto. – Wyhuśtanym można czuć się wtedy, gdy tracisz coś, co należało do ciebie. A gdy po prostu nie zyskujesz, to oznacza, że nie wykazałeś się pewnymi umiejętnościami. Siła lub spryt. A może jedno i drugie. – Wyciąga pudełko z zapalnikami, ale nie wyjmuje z niego ani jednej. – Gratuluję. – Unosi kciuk i patrzy na Etnę.

A ja zerkam na Nina, który tym razem nie ucieka wzrokiem, tylko szczerzy się i wzrusza ramionami. Przypominam sobie, jak dawałem mu wykład na temat tego, czym zdobywa się wolność w naszym świecie. Etna opiera głowę na moim ramieniu i spleta swoją dłoń z moją. Przez pewien czas nikt się nie odzywa, Sophia patrzy na zegarek. Na pewno wie już, że jej czas się skończył.

– Mamy coś jeszcze do omówienia? – dopytuje Mancini. – My już będziemy się zbierać. – Odwraca się w stronę swojego ochroniarza i poklepuje córkę po nodze.

Diabeł przywołuje swojego lekarza. Nie mam pojęcia, dlaczego go tu zabrał, ale coś czuję, że zaraz się dowiemy. Facet staje przy nim i czeka na znak, że może zabrać głos.

– Mamy, mamy – zapewnia Mephisto. – Zaprosiłem tu swojego lekarza, bo jak zapewne zauważyliście, nie czuję się najlepiej. – Wszyscy potakują. – Mam gorączkę. Jestem zamroczony i osłabiony, a Efesto – łapie mnie za nadgarstek – ma przyspieszone tętno. Podejź tu, śliczna dziewczyno – zwraca się

do Sophii i zerka na podpartą o mnie Etnę. – Śpi. Niech ją ktoś zabierze.

Przywołuję Ferra, który bierze ją na rękę, a przy schodach przekazuje jednemu z naszych żołnierzy. Sophia patrzy na swojego ojca.

– Śmiało, bo nie mam czasu – pogania Diabeł.

– Powiedz, o co chodzi – rzuca szorstko Mancini i przytrzymuje córkę.

– O postawienie diagnozy, a o co niby? – prycha Mephisto. – Spokojnie, jest bezpieczna. W końcu na sali jest lekarz. – Uśmiecha się pod nosem. Mancini zwalnia chwyt na rękę córki, a ona podchodzi do Diabła. – Siadaj. – Wciąga ją na swoje kolana i przykłada palce do jej szyi. – Tu też mamy przyspieszony puls i oddech. – Spogląda na lekarza i przejeżdża dłonią po włosach Sophii. – Relaks – mówi cicho. Dziewczyna przymyka na moment powieki. Na chwilę, bo Diabeł łapie ją za głowę i uderza nią o stół. Tak mocno, że słychać dźwięk podskakującej zastawy.

Mancini zrywa się na równe nogi, a Sophia piszczy i zasłania twarz rękami. Gdy ją odsłania, widać krew wypływającą z rozcięcia nad brwią.

– Jak boli – jęczy. – Czuję mrowienie w czole. – Pociera je energicznie.

– Pojechało cię?! – wrzeszczy Mancini, a jego ochroniarz wyciąga soplwę. Celuje w Mephista.

– Kolejne objawy to ból i mrowienie – wymienia Diabeł. – I obrzęk, który zaraz się pojawi – wyrokuje. – I co? Czy mnie pojechało? A ciebie?

Słysząc świst. Ochroniarz Manciniego osuwa się na podłogę. Sophia dostaje spazmów. Mój ojciec wyciąga spluwę i celuje w Manciniego. Wstaję i podchodzę do niego.

– Masz coś, co należy do mnie. – Widzę po jego minie, że doskonale o tym wie.

– Już wiem, co wam dolega – wtrąca lekarz. – Gangrena. Ona postępuje bardzo szybko, a jeśli w porę nie podejmie się leczenia, kończy się śmiercią.

– I na czym polega leczenie w tym przypadku? – pytam.

– Na amputacji, bo gniją już tkanki – stwierdza Diabeł. – Ręka ma pięć palców. Jeden jest już martwy.

Łapię Manciniego za dłoń. Wyrywa się, więc uderzam głową w jego łeb. Ojciec przystawia mu spluwę do skroni. Lekarz otwiera torbę i grzebie w niej, a potem podchodzi do mnie i mówi:

– Tasak, doktorze.

Przejmuję go. Sophia krzyczy, więc uciszają ją ludzie Diabła. Mancini się wyrywa. Odseparowuję jeden z palców jego dłoni i biorę zamach. Krzyczy tak, że aż dzwoni mi w uszach. *Mano d'onore*¹⁰ krwawi i nie przestanie, dopóki naszych szeregów nie zasili kolejna rodzina. Palców musi być pięć.

– Dogadajmy się – syczy Mancini. – Podam adres. Nie chciałem tego robić, ale Sophia wystawiła mi wszystko na tacy. Nie wiem, co mnie podkusiło.

Diabeł kręci głową, jakby rozciągał mięśnie.

– Ja już go mam – ucina Mephisto. – I tak, Sophio. – Patrzy na nią. – Wiesz, kotku, gdzie popełniłaś błąd?

Jego człowiek ściąga rękę z jej ust.

– Przekazałam wiadomość z twojego telefonu dalej. Na numer mojego ojca – mówi drżącym głosem. – Ja... Ja przepraszam.

– Proszę. Wybaczam ci. – Diabeł uśmiecha się lekko. – Każdy ma prawo popełnić błąd, spokojnie. – Sophia wzdycha z ulgą. – Wiesz, że naraziłeś naszą organizację na wojnę z hiszpańskim kartelem? Ty, kurwa, nie zdajesz sobie sprawy, o jakich pieniądzach mowa. Myślałeś, że machnę na to ręką, jakby chodziło o zgubiony szalik? – mówi do Manciniego.

– Proszę, Giorgio. Proszę, Pedro. – Mancini zwraca się do naszych ojców. – Jutro miałem odstawić wszystko na miejsce. Moim zamiarem było pokazanie wam, że wasi synowie są głupi i że powinniście bardziej zwracać uwagę na to, jak działają. Kto gubi swój kontener? Tylko idiota – sapie.

– Zgadza się – mówi mój ojciec i unosi palec. – Ale moi synowie mają prawo popełniać błędy. O ile wyciągają z nich lekcje. – Patrzy na Ferra. – I o ile naprawiają swój błąd.

– Idiota, to prawda – potwierdza don Pedro. – Jesteś bardzo wyrozumiały dla swoich synów, Giorgio. Moi nie mają prawa do takich słabości – stwierdza kategorycznie i zerka na Diabła. – Konsekwencje mają to do siebie, że parzą – syczy.

– A więc jak, dogadamy się? Dobrowolnie odejdę z organizacji. Będę milczał jak grób.

– Jasne, że tak – mówię bez większych emocji.

Ojciec przekazuje mi swoją spluwę. Naciskam spust, mimo że powinien to zrobić Ferro, ale ten tylko patrzy z niedowierzaniem na Sophię, która pada na kolana i chowa twarz w dłoniach. Tak bardzo mi ich wszystkich, kurwa, żal. Mephisto siada na krześle, a ja opieram się rękami o stół. Nasi ojcowie i Bommarito odchodzą

na bok i zaciekle o czymś dyskutują. Serafino zbladł i przeciera chusteczką marynarkę. Wybrał niewłaściwe krzesło. Diabeł kruszy lód w pojemniku i wysypuje go na serwetkę. Zwija ją i przykłada sobie do czoła. Kilka bryłek wrzuca pod bluzę. Wyciąga z kieszeni kartkę, którą mi podaje. Sięgam po nią, ale zatrzymuje rękę.

Wiem, że jest na niej adres.

– Za przysługę z Cruzem. Jesteśmy kwita?

– To za mało – informuję. – Sam mogę zdobyć od niej adres. – Ruchem głowy wskazuję na Sophię. – Dwie minuty.

– Tylko byś groził i wymuszał. – Mephisto śmieje się gorzko. – Masz, kurwa, w prezencie. – Rzuca ją na stół.

– W prezencie? – Sięgam po kartkę. – Jak wysoką masz tę gorączkę?

Nie odpowiada, tylko znów opiera czoło o blat. Rozglądam się za Ferrem i podaję mu świstek. Nawet nie patrzy mi w oczy, gdy go ode mnie przejmuje. Odwracam się, bo Sophia znów piszczy. Diabeł przyciąga ją za ramię i sadza sobie na kolanach.

– Przytul mnie – mówi. Sophia zerka na niego niepewnie, ale obejmuje go ramionami. Jeden z jego ochroniarzy unosi jej rękę wyżej, żeby nie stykały się z plecami. – Fajnie – mruczy Mephisto i przymyka powieki.

– Jesteś bardzo gorący – ocenia troskliwym tonem.

– Przez was. Zrobiliście mi wielką krzywdę. – Diabeł nie otwiera oczu. – Ale to nic. – Łapie ją za głowę i szepcze coś do ucha.

– Tutaj? – pyta Sophia.

Mephisto spycha ją ze swoich nóg i rozpina rozporek. Sophia klęka przed nim, a on łapie ją za włosy. Uśmiecha się do mnie, ale nie tak, jak do tej pory to robił. Jest w jego wyrazie twarzy coś szatańskiego, coś, co każe mi sądzić, że jego przezwisko nie wzięło się znikąd. Podczas gdy ona ma zajęte usta, on wyciąga z pudełka zapałki. Niespiesznie układa piramidkę, potem drugą, aż w końcu je podpala. Podnosi się z krzesła, przytrzymując Sophię we właściwej pozycji i sięga po szpikulce, którym kruszył lód. Siada z powrotem. Po pewnym czasie dziewczyna w końcu się prostuje i przeciera usta wierzchem dłoni. Diabeł poprawia się na krześle i zapina rozporek. Gładzi ją po policzku.

– Masz bardzo brzydką duszę – szepcze szorstko, na co ona przygryza wargę.

Mephisto głaszcze ją po głowie. W odpowiedzi na ten gest czułości, Sophia przymyka oczy, a on zgarnia jej włosy w garść. Sunie palcami po jej karku i zatrzymuje je w jego najbardziej wrażliwym punkcie. Włączeniu kręgu z czaszką.

– Spójrz na mnie – mówi cicho, a ona unosi wzrok. – Zaprzysiężony, do piekła strącony, po kres związany przysięgą.

Zanim na twarzy Sophii pojawi się zrozumienie, Diabeł przebija jej kark szpikulcem, który powoli przekręca. Słysząc jak ociera się o kości.

– Weszło – stwierdza i wstaje.

Nie rusza się z miejsca. Podążam za jego spojrzeniem. W progu, przy przejściu do części barowej, stoi Etna. Czuję, jak wzrasta mi ciśnienie. Zasłania usta ręką, jakby chciała stłumić krzyk. Mija chwila i wybiega z lokalu. Mephisto patrzy na mnie.

– Bywa – rzuca krótko. – To nie moja sprawa, dopóki nie zaczniesz nią być.

Obaj wiemy, co to oznacza. Zwykle „gęba na kłódkę”, ale niektórych przerasta respektowanie tej prostej zasady. Nie powinna tego widzieć, ale stało się i jeśli nie chce skończyć jak Sophia, musi w końcu zrozumieć, w jakim świecie żyje. Nieważne, czy jej się to podoba. Omerta to mur obronny. Nie można go kruszyć.

– Znajdź ją – zwracam się do Nina, oczekując aprobaty La Mantide, który wkrótce przytakuje.

Nino wychodzi. Ludzie Diabła przynoszą kanistry z benzyną. Impreza za chwilę się skończy. Przywołuję Ferra.

– Daj spluwę.

Podaje mi ją. Niemal całkowicie opróżniam magazynek. Sapie nad moim uchem.

– Cztery naboje? – wydusza. – Jak mam odzyskać towar? Mancini ma dwóch synów, a oni mają swoich żołnierzy. Nie bądź taki...

– Na pewno coś wymyślisz, a wiesz, dlaczego? – Przeczy. – Bo musisz. – Uderzam go w potylicę i wciskam spluwę do rąk. – Interesują mnie tylko dobre wieści. Możesz odejść.

– My też tam jedziemy. Zabrać go ze sobą? – pyta Diabeł.

– Kpisz?! – Mephisto unosi rękę, a Ferro w złości uderza pięścią w stół.

Powoli opuszczamy lokal, bo zaraz zrobi się tu naprawdę gorąco. Zbiegam po schodkach. Nino szarpie się z Etną przy brzegu. Nie mogę pojąć, skąd on ma w sobie tyle cierpliwości. Ja ją tracę albo raczej już straciłem. Jestem tego tak bardzo pewien,

że przez chwilę waham się, czy w ogóle do nich podchodzić, ale robię to. Etna od razu się na mnie rzuca. Kopie i okłada pięściami. Jest wściekła. Ciśnienie rozsadza mi czaszkę.

– Wszystko widziałam! – krzyczy i nie przestaje wariować.

W jednej dłoni zaciskam jej nadgarstki, a drugą łapię za twarz. Jest zasmarkana i ma rozszerzone źrenice. Mija chwila, zanim dociera do niej, że walka nie ma najmniejszego sensu.

– Nic nie widziałas.

– Widziałam – syczy, a ja zaciskam szczękę.

– Opisz, co zobaczyłaś.

Milczy. Oczywiście, że tak. Doskonale wie, że słowo *widziałam* jest nie na miejscu i na pewno wyczuwa, jak bardzo go nie lubię.

– Nie chcę z tobą rozmawiać. Jesteś straszny – wyduśza i pociąga nosem.

– Straszne jest to, co się z tobą stanie, gdy będziesz kłapać jadaczką – informuję. – Straszni ludzie robią straszne rzeczy, a głupi głupie. – Trzęsie się. – Nie było cię tu dziś. Nie będę więcej powtarzał.

– Grozisz mi?

Śmieję się gorzko.

– Nie grożę, tylko troszczę. – Po jej policzkach płyną łzy. – Nie chcę cię stracić, dlatego kontroluj swoje emocje, a przede wszystkim to, co mówisz. Jeśli mnie nie posłuchasz, jeśli uważasz, że wygaduję straszne brednie, to wiedz, że dojdzie do tego, że będę musiał wybrać między tobą a organizacją. Nie stanie się tak, jeśli będziesz przestrzegać zasad.

– I co byś wtedy wybrał? – pyta naiwnie.

– Nigdy nie odwrócę się plecami do matki.

Twarz Etny rozświetla pomarańczowa luna. Nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, że za mną jest piekło. Jej mina wyraża to i jeszcze więcej.

– Przeginarie – szepcze. – To moja wyspa. Kolejna strata – szepcze. – Oscar mówił, że Lastarro nie płaci za grunt. Salvatore też nie będzie, skoro dzieje się *to*. – Obserwuje palącą się restaurację.

Przechodzi obok nas ekipa Diabła. Etna zaciska pięści. Milczy, ale jej twarz jest jak otwarta księga. Można wyczytać z niej wszystko. Mephisto zatrzymuje się na moment. Ściąga z głowy kaptur i patrzy Etnie prosto w oczy.

– Nie oceniaj mnie, jeśli nie zamierzasz mi wskazać drogi do raju.

⁸ *Pizzo* (wł.) - haracz płacony lokalnej mafii.

⁹ *Canneloni* (wł.) - włoski makaron wyglądem przypominający rurki o średnicy około trzech centymetrów.

¹⁰ *Mano d'onore* (wł.) - ręka honoru.

ROZDZIAŁ 10

Dobra. Już rozumiem. Milczenie jest złotem. Zapamiętam to sobie, serio.

Upadam na matę i wpatruję się w sufit. Mam wrażenie, że lampa zmienia swoje położenie. Wszystko wiruje, więc przez chwilę żałuję, że chciałam skorzystać z okazji i pod nieobecność ojca pobrać *lekcje hiszpańskiego*. Wkładanie wiedzy do głowy boli i nie jest to przenośnia. Mimo że mam założony ochraniacz, to i tak czuję pulsowanie skroni. A chciałam tylko powiedzieć: „Nie pokonasz mnie” i o, leżę.

Zerkam na Nina, który się szczerzy. Ma powody. Nawet nie musiał się wysilać, żeby usprawiedliwić swoją obecność na wyspie. Śmiać mi się chce na wspomnienie jego trzęsących się portek. W wyobraźni zapewne już wybierał materiał, jakim wyściełana będzie jego trumienka. Ojciec uwierzył, że spotkanie moje i Nina było czystym przypadkiem, a pogrzeb wujaszka odbył się na wyspie Levanzo. Morał z tego taki, że nie ma co się martwić na zapas, lub że kłamstwo popłaca, ale nie chcę się zapędzać.

– *El silencio es oro*¹¹. – Nino uśmiecha się pod nosem. – Nie mów tyle, bo ty lub ktoś, na kim ci zależy, może stracić życie. Będziesz bardzo bogata, jeśli to zapamiętasz.

– Musisz mi dawać czas na oddech. – Patrzę na niego z wyrzutem. – Mogłam przez ciebie stracić język, prawie go przegryzłam!

– No tak, gdy się za dużo mówi, to się go traci. To jedna z zasad organizacji.

Macham lekceważąco ręką. W kółko te zasady i dziwne rytuały. Znam je. Wiem, że ludziom, którzy za dużo słyszeli, odcina się uszy. A ci, którzy widzieli to, czego nie powinni, są pozbawiani gałek ocznych. Nie ukrywam, że podchodziłam do tego z przymrużeniem oka, ale po tym, co zobaczyłam wczoraj...

– A co zrobili Mancini?

Nino siada obok mnie. Kręci głową z niedowierzaniem i sapie sfrustrowany, aż w końcu mówi:

– Wszystko. Wszystko nie tak.

I tyle. Nic więcej. On wie, że milczenie jest złotem, ale moim zdaniem srebro też ładnie błyszczy, mógłby zdradzić mi więcej.

– A powiesz chociaż, co robiłeś przez te dni, kiedy nie było cię u nas?

– To mogę. – Poklepuje mnie po nodze. – Byłem w domu. – Nagle poważnieje. – W swoim. U mojej matki.

– Myślałam, że nie masz rodziny.

– A ja myślałem, że nigdy nie zaznam wolności i podobnie jak ty się myliłem. – Obdarzam go pytającym spojrzeniem. – Jestem wolny, Etno. Wróciłem tu, bo chciałem. Jestem wolny, bo wyrwałem się z macek uzależnienia. A najlepsze w tym wszystkim jest to, że wolność dali mi ludzie, których uważałem za głównych sprawców jej ograniczenia.

– O kim mówisz?

– O moich byłych pracodawcach.

– O Selvaggiach? – pytam, a Nino kręci głową.

– Nie rzucaj nazwiskami na prawo i lewo. W każdym razie, gdyby nie oni, gniłbym teraz w pace, a jestem tu z tobą. Opłacili mi odwyk, a gdy byłem już czysty, zostałem wysłany, by chronić ciebie. Mimo to bałem się zerkać za siebie, w sensie w przeszłość. Nie sprawdzałem, jak radzi sobie moja matka, i czy w ogóle. Czułem się, jakbym był sparaliżowany.

– Ale w końcu sprawdziłeś, tak? I jak się miewa twoja mama?

Milczy dłuższy czas, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Widzisz, gdy oddajesz życie ludziom, takim jak oni, myślisz, że od tego czasu nie należysz już do siebie, że twoja wolność została ograniczona. Odmówić nie można, a zgoda oznacza restrykcje. A przynajmniej tak cały czas sądziłem. – Unosi palec.

– Ale się myliłem. To jest sojusz, współpraca, rodzina. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem tego w swoim życiu. Oni mnie nie wykorzystali, Etno. Nie odebrali wolności, bo nigdy jej nie miałem. – Zaciska pięść. – W rodzinie dba się o swoich i możesz mi nie wierzyć, ale dopiero ci łajdacy, jak wielu o nich mówi, pokazali mi, co oznacza to słowo. Czym jest rodzina. – Na jego twarzy pojawia się blady uśmiech. – U mojej mamy dobrze. Prowadzi sklep rybny w Trapani. Nikt nie pobiera od niej *pizzo*. Jest wolna. Lojalność, zaufanie, słowo to jest właśnie magia, o której wspominał.

– Kto?

– Święty Mikołaj. – Wbija mi palce między zębra, więc piszczę i zaczynam się śmiać, a gdy przestaje, nie mogę złapać oddechu. Nino kładzie się obok mnie. Odwracam głowę w jego stronę.

– Ładnie to wszystko powiedziałeś.

Wzrusza ramionami i zamyka oczy. Też to robię. Na moment przenoszę się z powrotem na wyspę Levanzo i próbuję uświadomić sobie, co posiadanie jej zmienia w moim życiu, ale mi nie wychodzi. Wiem, czego bym chciała, ale nie mam pojęcia, na co dokładnie mogę sobie pozwolić i co zrobić, żeby w przyszłości móc powiedzieć: „Jest tak, jak chciałam”. I najważniejsze: „Jest dobrze”. Nino pięknie mówi o rodzinie, ale nie ma to odzwierciedlenia w moim przypadku. Nie czuję żadnego wsparcia i nikt nie dmucha w moje żagle. Zaufanie, lojalność, słowo. Co to, kurwa, jest? Przed wyjściem z domu ojciec powiedział mi, że mogę udać się w *rejs* dookoła domu i z powrotem, a gdy powiedziałam, z kim podzieliłam się wyspą, ścisnął mnie za gardło i przyszpilił do ściany. Nie byłam w stanie myśleć o niczym innym, niż o przyrzeczeniu, pewności w głosie Efesta, gdy mówił mi, że już nigdy nie będę tak wyglądać. Gdy ojciec przycisnął pięść do mojego policzka, a jego nozdrza falowały w furii, wiedziałam już, że były to słowa rzucone na wiatr. Zacisnęłam powieki i napięłam mięśnie w oczekiwaniu na cios, który nie nadszedł. Ojciec zwolnił uścisk. Odważyłam się otworzyć oczy dopiero, gdy usłyszałam odgłos zatraskiwania frontowych drzwi.

Słowa. Te wypowiedane przez właściwe osoby, mają wielką moc.

Nino kładzie dłoń na mojej, ściska ją. Nie otwieram oczu.

– Pracuję dla ciebie – mówi pewnie. – I przyrzekam, że nigdy cię nie zdradzę. Prędkiej piekło zamarznie. – Otwieram oczy. Nino ma zdeterminowany wyraz twarzy. – *El silencio es oro*. – Mocniej zaciska dłoń. – A teraz powiem ci, jakie błędy popełniłaś w trakcie treningu. – Jęczę, a on się szczerzy.

Siadamy naprzeciwko siebie.

– Wiem, że jesteś dumną dziewczyną, ale nie możesz trzymać szczęki tak wysoko. – Przytakuję. – Eksponujesz głowę, a ramiona masz opuszczone. Musimy nad tym popracować – wyrokuje. – Z taką techniką może i miałabyś szansę z Efestem, ale nie z kimś, kto jest dobry w stójce.

– A on nie jest?

– Nie. – Śmieje się. – Efesto to zajac. Za dużo kica. Wiesz, nie jest to wada, ta duża ruchliwość, przeskakiwanie z nogi na nogę, cofanie się i napieranie, ale tylko, jeśli ma to jakiś cel. Wstań.

Staję na macie i unoszę gardę.

– Zaczynaj przeskakiwać do przodu, do tyłu, ruszaj się. – Robię to. – Nie przestawaj i spójrz pod nogi. Zauważyłaś coś?

– Że podczas przeskakiwania w pewnym momencie tylko jedna noga styka się z podłożem?

Unoszę głowę i zanim zdążę się zorientować, znów leżę, a Nino się śmieje.

– Właśnie. To, że tak jest, uniemożliwia szybką reakcję, co nie? – Patrzę na niego z dołu. – Poćwicz to na Efeście – proponuje, a ja robię wielkie oczy. – Spokojnie, na pewno ci nie odda. Przywal mu z całej pary. – Jeszcze wyżej unoszę brwi. – No co? – Podaje mi rękę, żebym mogła się podnieść i ściąga mi ochraniacz z głowy. – Idę coś zjeść – decyduje i zmierza do wyjścia.

Podnoszę matę, opieram ją o ścianę i przykrywam folią. Ochraniacz i rękawice chowam do szafki. Na środku pomieszczenia z powrotem ustawiam pojemniki z przetworami i skrzynki z narzędziami ojca. Rozglądam się, a gdy mam pewność,

że nic nie wskazuje na to, że zadziało się tu coś, co nie powinno, gaszę światło i wychodzę. W holu wpada na mnie Stefano.

– Gdzie byłaś? – Przygląda mi się podejrzliwie. Wiem, że mam spocone włosy i na pewno wyglądam, jakbym dostała niezły wycisk.

– W piwnicy, a co? – Kładę rękę na biodrze.

– A co tam robiłaś?

– Obmyślałam plan, jak wyeliminować wszystkich, których nie lubię. I tych, którzy zadają mi za dużo pytań.

– I to sprawiło, że się tak spociłaś? – Patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Proces myślowy to pot i... – zastanawiam się – i pot, Stefano. – Śmieję się i wbiegam po schodach, a gdy jestem już na górze, odwracam się, żeby zobaczyć, czy za mną nie idzie. Na szczęście nie. Stuka się jedynie w czoło, bo jestem bardzo głupia.

Każdy to wie.

W korytarzu na piętrze stoi Alessio. Uśmiecha się na mój widok i otwiera przede mną drzwi pokoju. Biorę szybki prysznic i narzucam na siebie miękki szlafrok. Z torebki wyciągam dokumenty, jakie dostałam od prawnika. Z szuflady biurka wyjmuję dwie teczki. Na jednej piszę: AKT WŁASNOŚCI i wsadzam do niej swoją kopię, a tę, która należy do Almy, bo właśnie z nią podzieliłam się wyspą, wkładam w przezroczystą koszulkę i odkładam na bok. Na drugiej piszę: UDZIAŁY W SALINACH. Przez chwilę czuję większą kontrolę nad swoim życiem. Wmawiam sobie, że porządek w papierach, to ład w głowie. Może doszłabym jeszcze do jakichś wniosków, ale się nie da. Nie ma takiej możliwości, bo otwierają się drzwi i do środka,

jak zwykle bez żadnego uprzedzenia, wparowuje Efesto. To są jakieś żarty.

– Co ty tu, do cholery, robisz?! – Wstaję z krzesła.

To jego patrzenie na mnie, jak na istotę niespełna rozumu, chyba weszło mu już w nawyk, bo teraz też to robi. Do tego zerka za siebie, jakby myślał, że nie mówię do niego. Co za człowiek.

– To na mnie tak wrzeszczysz? – Wskazuje na siebie palcem. – Pamiętasz o zasadzie wzajemności? – Podchodzi i łapie za pasek mojego szlafroka. Gdy jest tak blisko, wszystkie myśli wyparowują mi z głowy. Wystarczy, że na mnie spojrzy, a jestem w stanie przymknąć oko na wszystkie głupoty, jakie wygaduje. – Nie krzycz na mnie, bo jak ja to zrobię, to się rozplączesz.

– Grozisz mi? – Odpycham go, a on oczywiście się śmieje.

– Wiesz w ogóle, co to jest groźba? – Patrzy na mnie z politowaniem. – Zapowiedziałem jakiś akt przemocy wobec ciebie, dokonania szkód na twoim mieniu, czy ujawnienia kompromitujących cię informacji? – pyta wyczekująco. – Powiedziałem, że się rozbeczysz. Po prostu. To według ciebie groźba? Raczej troska. – Uśmiecha się. – Nie krzycz na mnie, bo zadbam o to, żebyś przeczyściła swoje kanaliki łzowe. Lepiej? Miło?

Nie zdążę odpowiedzieć, bo Efesto wyciąga kopertę z wewnętrznej strony marynarki i wpycha ją w moje ręce. Zerkam na nią, na niego.

– Co to jest?

– Nie łatwiej otworzyć i zobaczyć? Mam ci teraz tłumaczyć, co, skąd i dlaczego? Naprawdę tego chcesz?

Otwieram kopertę i widzę plik banknotów.

– Co to jest?

– Widzisz kopertę, pytasz: „Co to jest”, otwierasz ją i zadajesz to samo pytanie. – Zakłada ręce na piersi. – Pieniądze. Środek płatniczy. Krąży od osoby do osoby, z kraju do kraju. Mając te papierki możesz je wymienić na usługę lub towar. Chcesz kupić pomidora? Bierzesz banknocik i zapierdalasz do sklepu. Czy teraz już wiesz, *co to jest*?

– Wiem, co to jest – warczę.

– Teraz tak, bo ci powiedziałem, ale wcześniej nie widziałaś, skoro zapytałaś. I to dwa razy.

– Wiedziałam! Chodziło mi o to, dlaczego mi je dajesz i skąd je masz! – Nie wytrzymam z nim.

– Ale to są zupełnie różne pytania i dotyczą czegoś innego. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Efesto działa mi na nerwy. Doskonale wie, o co mi chodziło, ale jak zwykle próbuje wszystko poprzekręcać i ma niezły ubaw z tego, że nie wyraziłam się jasno. Mam ochotę nim potrząsnąć lub uderzyć. I to wcale nie dlatego, że nie mam argumentów! On jest po prostu wkurzający i nawet taką osobę, jaką jestem ja, ostoję spokoju, wyprowadza z równowagi.

Zerkam na niego. On na mnie. Robię zamach ręką, i o, dzięki, Nino!

Nawet nie wiem, kiedy i jak to się dzieje, ale ląduję kolanami na łóżku. Jestem zwrócona przodem do Efesta, który przybiera taką samą pozycję i widocznie uważa to, co wyprawia, za bardzo zabawne, bo pęka ze śmiechu. Też mam ochotę się zaśmiać, tyle że nerwowo, bo dostrzegam w jego spojrzeniu coś niepokojącego. Przybliżyła się i łapie mnie za kark. Ruch ten wymusza konieczność

pochylenia się przed nim i podparcia na dłoniach. Będąc w tej pozycji, wiem już, co widziałam w jego oczach. Ostrzeżenie. Efesto przekłada swoje przedramię pod moją klatkę piersiową. Wyczuwam ucisk na tętnicy szyjnej. Gdy jego ręka znajduje się pod moją pachą, zaciska obie dłonie i przekręca mnie na plecy w taki sposób, że on też znajduje się w takiej pozycji. Oplata mnie nogami, wciąż nie zwalniając uścisku. Nie wiem, co to za chwyt, ale im większy stawiam opór, tym bardziej jego przedramię zaciska się na mojej szyi.

– To było bardzo niemądre – mówi. – Zgadzasz się z tym? Czy to kolejna głupota, którą wygaduję? – Nie mam możliwości przytaknąć ani zaprzeczyć. Mimo chęci nie mogę ruszyć głową. – Przychodzi do ciebie chłopiec od brudnej roboty, styрани, umęczony, a ty od progu ciskasz gromami. Mało tego, chcesz go bić, bo pewnie ktoś mądry powiedział ci, że możesz. – Parska śmiechem. – Szkoda, że nie poinformował cię, że w parterze nie ma na mnie mocnych i że bardzo lubię patrzeć na swoją półnagą, mocno zaskoczoną, wymarzoną dziewczynę. – Zwalnia uścisk i przekręca się, przygniatając mnie swoim ciałem. Leży zwrócony przodem do mnie, podpierając się na przedramionach i obejmuje moją głowę rękami. Wyczuwam coś twardego, wbijającego się w moje podbrzusze.

– Co to jest? – Dopiero gdy to pytanie wydostaje się z moich ust, uświadamiam sobie, że zadałam je po raz trzeci.

Nie mogę złapać tchu. Powodem nie jest to, że na mnie napiera, bo to akurat jest bardzo przyjemne, lecz to, że gdy tak na mnie patrzy, wzrokiem przepelnionym czułością i pożądaniem, mam ochotę rozchylić nogi i oddać mu się cała.

– Anakonda.

Zaciskam powieki. Myślałam, że to broń, a on nazwał *to* anakondą.

– Masz naprawdę wysokie mniemanie o swoim *wyposażeniu* – wyrzucam z siebie, a on się śmieje.

– Ten chwyt nazywa się anakonda. Dlatego, że oplotłem cię i dusiłem tak, jak ona ma to w zwyczaju. – Trąca nosem mój, a ja wciąż nie uchylam powiek. – Jesteś bardzo zboczona i ponownie, nie jest to broń, tylko jak zwykle mój kutas.

Nie mam pojęcia, jak on to robi i czy celowo, ale wie, jak rozpalić we mnie wewnętrzny ogień, a na myśl o tym, że spędzę z nim życie, mam gęsią skórkę. Chcę być jego. Chcę, żeby należał do mnie. Kładę rękę na karku Efesta i otwieram oczy. On z kolei mruży swoje. Tak, jakby starał się wyczytać z mojej twarzy, czego pragnę.

– Powiedz, czego chcesz – mówi wprost.

Nabieram powietrza, a on przenosi wzrok na moje odsłonięte piersi. To nie tak, że wyskakuję z ubrań, gdy ten cholernie pociągający mądrala jest obok. To szlafrok jest zdrajcą i nie współpracuje. Po prostu.

– Ciebie.

– Masz mnie – mówi. Obejmuje moją pierś dłonią i zerka na mnie. – Od A do Z, od początku do końca jestem twój. – Potakuję szybko i wypinam klatkę piersiową. Chcę, żeby poruszył dłonią, zrobił cokolwiek, by rozładować napięcie, które wytworzyło się między nami i cały czas wzrasta. – Gwiazdy należą do nieba, a ja do ciebie. – Parska śmiechem. – Lubię brać twoją twarz w swoje dłonie. Kocham, gdy nie odwracasz wzroku, kiedy patrzę w twoje

oczy. – Warczę zniecierpliwiona i rozchylam nogi. Czuję, jak napiera na mnie. Przymyka na moment powieki, uśmiechając się pod nosem. – Nie interesują cię romantyczne rzeczy – stwierdza. – Ty po prostu chcesz się pieprzyć.

Zanim jakiegokolwiek słowo zdąży opuścić moje usta, Efesto ściska mocniej moją pierś i przybliża twarz do mojej. Wypuszcza głośno powietrze przez nos i przejeżdża językiem po moich ustach. Rozchylam wargi, a on podnosi się i ściąga marynarkę. Rzuca ją na podłogę. Wyciągam dłonie, żeby złapać za jego koszulę, ale sam zaczyna rozpinać guziki. Mruga do mnie, nie spieszy się, a gdy odsłania wypalony na piersi znak, nie mogę oderwać od niego wzroku. Efesto schyla się i opiera na przedramieniu. Przejeżdżam opuszkami po gładkiej, czerwonej bliźnie.

– Wygląda tak, jakby pod twoją skórą tlił się ogień.

Efesto rozwiązuje pasek szlafroka, odsłaniając całe ciało. Przygniata mnie sobą, a gdy ociera się torsem o wrażliwe sutki, mam wrażenie, że przez moje żyły przepływa lawa.

– Ogień to my – mówi pewnie, obniża się nieco i przesuwa językiem po mojej szyi.

Kładę jedną dłoń na jego karku, a drugą na barku, czuję naprężające się mięśnie, gdy zasysa moją skórę. Odchylam głowę i przyciągam go bliżej, na co on śmieje się cicho i zaciska palce na moich policzkach.

– Pokaż język.

Robię to, zanim do mojej świadomości dociera, jakie to głupie. Efesto przejeżdża po nim swoim językiem. Liże go, cofa się, znów liże, aż w końcu odwziewam się tym samym i to najwspanialsze uczucie na świecie, bo gdy odnajdujemy wspólny rytm, czuję,

jakby otworzyły się przede mną wykute z pragnień wrota. Efesto przechodzi przez nie śmielej ode mnie. Jego język jest jak taran, zdeterminowany, by znaleźć się w moich ustach. Gdy nasze wargi się stykają, mam wrażenie, że wchodzę na nieznaną mi ścieżkę. Poczucie jedności, jaką jesteśmy podczas tej jednej z najbardziej niewinnych pieśczoł, jest dla mnie totalnie nowym doświadczeniem. Nieco przytłaczającym, bo Efesto nie daje mi chwili na złapanie oddechu. Tak jakby samym pocałunkiem chciał mi przekazać, że jestem jego i chociaż wkurzam się, gdy tak mówi, to w tej chwili tak właśnie czuję. I podoba mi się to. Chcę, żeby mnie dotykał, całował, pragnę czuć ciepło jego ciała i chłód brudnych słówek, które, gdy wydostają się z jego ust, paradoksalnie sprawiają, że moje podniecenie sięga zenitu i podkurczam palce u stóp.

Otwieram oczy, bo Efesto zmienił rytm. Napotykam jego spojrzenie. Całuje mnie niespiesznie, ledwo muskając. Oplatam go nogami i przywieram do niego jeszcze bardziej. Sięgam dłońmi do klamry jego paska i... dostaję po łapach. Patrząc na niego zszokowana i czuję, jak przyciśnięte do moich wargi, wyginają się w uśmiechu.

– Dlaczego to zrobiłeś? – cedzę zaskoczona.

– Bo chciałem – mówi cicho i przejeżdża palcami po mojej piersi.

– A ja chciałam rozpiąć ci spodnie i... – Zamyka moje usta swoimi. Co za tupet!

– I uwolnić anakondę? – szepcze i znów muska mnie wargami. Przytrzymuję jego głowę, bo nigdy nie dojdziemy do porozumienia, ale nie zdążę nic powiedzieć, bo jak zwykle mówi on. – Uwierz, że

nie jesteś w stanie jej poskromić. Ja też nie czuję się dziś jak rasowy zaklinacz węży, a nie chcemy, żeby komuś stało się – zerka na mnie i uśmiecha się szeroko – kuku.

– Nie decyduj za mnie. Może ja bym chciała.

Efesto śmieje się cicho i pochyla się nad moim uchem.

– O jedno *może* za dużo – rzuca krótko, a ja wzdycham.

– To kiedy?

Przesuwa kciukiem po moim policzku i obdarza czułym spojrzeniem. Jest naprawdę miło, do czasu aż pokazuje mi język. Co za człowiek.

– To język – stwierdza oczywistość. – Wiesz, do czego służy?

Prycham.

– Do mówienia. – Efesto patrzy na mnie wyczekująco. – Do całowania – dodaję.

– I do czego jeszcze? – Nie przestaje muskać palcami mojej twarzy. Wzruszam ramionami. – Powiedzieć ci? – Potakuję, a on uśmiecha się pod nosem. – Do pieprzenia.

Otwieram usta, ale szybko je przymykam, bo mam już ripostę. W końcu go zagnę. Uzna mnie za mocnego przeciwnika w tej swojej niekończącej się gierce na słowa.

– Głupot?

Uśmiecha się jeszcze szerzej. Nie takiej reakcji się spodziewałam. Śledzi wzrokiem moją twarz i nie przestaje się szczerzyć.

– Nie, moja wymarzona dziewczyno. – Nawija kosmyk moich włosów na palec. – Do pieprzenia napalonych cipek. – Zaciskam mocno powieki. Mam też ochotę zasłonić uszy. Ogólnie wyparować. – Pamiętasz, jakie było pierwsze pytanie? To – całuje

moje powieki – jest odpowiedź. – Nabieram powietrza. – Kiedy będziesz w stanie utrzymać ze mną kontakt wzrokowy.

Wstrzymuję powietrze. Słyszę oddech Efesta, ale nic poza tym. Nie wykonuje żadnego ruchu. Czas mija, a moje zniecierpliwienie wzrasta. Wiedziona ciekawością uchylam powieki.

– W końcu – wydusza z ulgą. – Myślałem, że zasnął. – Stuka mnie palcem po nosie. – A przecież teraz nie możesz. – Śmieje się cicho. – Nie, bo mamy zadanie do wykonania. – Patrzę na niego pytająco. – Nie miałś pojęcia, że język to przyjaciel napalonych cipek, przez to ja też mam teraz wątpliwości. – Udaje, że się smuci. – Musimy sprawdzić, czy nie pieprzę głupot, prawda?

Wyobrażam sobie, na czym polega to całe sprawdzanie. Nabieram powietrza i rozplatom nogi zarzucone na jego biodra. Tylko dlatego, że mam ochotę złączyć je ze sobą, mocno zacisnąć. Nie mam jednak możliwości tego zrobić, bo Efestu interpretuje ten gest jako zaproszenie. Zapewne dlatego uśmiecha się przebiegle i patrzy na mnie tak, jakby osiągnął to, czego chciał. Wstydzę się tak bardzo przed nim odsłonić, a jednocześnie mam wielką ochotę wziąć wszystko, co tylko zechce mi ofiarować.

Efestu muska mnie wargami, sunie językiem po szyi, szczęce, aż w końcu jego język łączy się z moim. Całuje zachłannie, czuję jak jego męskość napiera na moje czułe miejsce. Gdy mruczy mi w usta, ocieram się o niego. Unosi głowę, więc łapię zaborczo za jego kark. Nie chcę, żeby przestawał, uwielbiam jego język, każdy dotyk i to, jak dobrze się przy nim czuję.

– Czas na eksperyment – szepcze w moje usta i zatapia nos w moich włosach. – Ustaliliśmy, że mam najbardziej zwinny język w galaktyce – mówi mi do ucha, a ja chichoczę, bo nigdy nie padły

takie słowa. – Ty masz napaloną cipkę. – Wsuwa dłoń między moje uda i zerka na mnie. Nie jestem w stanie pohamować jęknięcia, gdy zaczyna pieścić mnie palcami. – Bardzo napaloną cipkę – poprawia się i obejmuje moją twarz dłonią, kolaniem rozsuwa nogi, a ja unoszę biodra. Chcę go poczuć bardziej, głębiej. Zatacza kółka, ocierając się o moje wejście. Droczy się ze mną, nie spuszczając ze mnie wzroku, aż w końcu lekko wsuwa we mnie palec. – Nie zamykaj oczu. Proszę cię. – Cały czas trzyma mnie za twarz i nie przestaje pieścić. Doznania są tak intensywne, że na moment przymykam powieki. Efesto zaciska dłoń na moich policzkach i wysuwa ze mnie palec. Otwieram oczy, więc wślizguje się we mnie ponownie, ale jest jakoś inaczej. Spinam się. – Coś się zmieniło? – pyta.

– Tak. Trochę boli.

– Yhm. Zaraz przestanie.

Nie zamykam oczu, a on nie spuszcza ze mnie wzroku. Porusza się delikatnie w moim wnętrzu i całuje w usta. Połączenie obu tych pieścizot sprawia, że się rozluźniam. Do tego stopnia, że zaczynam napierać na niego, ale Efesto cofa palec i obejmuje moją głowę rękami. Nie czuję się zaspokojona, więc jęczę, wyrażając niezadowolenie.

– Jeszcze nie miałam orgazmu – informuję, sądząc, że o tym nie wie.

– Jasne, że nie – mówi wprost.

Całuje mnie w szyję, dłonią pieści moją pierś. Gdy czuję jego oddech na skórze, podkurczam palce u stóp. Rozchyłam nogi bardziej i sama zaczynam się dotykać, bo to napięcie jest nie do wytrzymania. Efesto wzdycha w moją szyję i zabiera moją dłoń,

kładąc ją na swojej potylicy. Obniża się, przejeżdżając językiem po moim mostku, brzuchu, aż w końcu jego głowa znajduje się pomiędzy moimi nogami.

– Co robisz? – wyduszam.

– Jeszcze nic, ale zaraz będę cię pieprzył językiem. – Unosi się na kolanach i łapie mnie za uda, podciągając bliżej siebie.

Czuję, że moje policzki płoną.

– A będziesz patrzył na mnie, w sensie *tam*?

Znów zerka na mnie, jakbym była niespełna rozumu, a przy tym uśmiecha się tak, że zaczynają drżeć mi nogi.

– Nie. Zacisnę mocno powieki. – Przewraca oczami. – Jasne, że będę patrzył na twoją śliczną cipkę – stwierdza i zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, obniża się, zaplata rękę na moim udzie i przejeżdża językiem po łechtaczce.

– O, kurwa. – Zatykam usta ręką. Nie chciałam tego powiedzieć. Mózg ze mną nie współpracuje. Plecy Efesta podrygują, gdy śmieje się cicho. Czuję na sobie jego oddech i, o rety, on naprawdę ma najzwinniejszy język w galaktyce. To jest jakiś kosmos!

Lize mnie niespiesznie. Pod wpływem intensywnych doznań mam ochotę zacisnąć nogi, ale Efesto opiera bok twarzy o wnętrze mojego uda, a drugie przytrzymuje ręką. Nie przestaje mnie lizać, czuję jego język wszędzie, a gdy wślizguje się do mojego wnętrza, wyginam plecy w łuk i wydaję nieartykułowane, mało zmysłowe dźwięki. Efesto zdaje się mieć odmienne zdanie, bo jego pieszczoty stają się gwałtowniejsze. Rozsuwa moje nogi bardziej. Jestem skrępowana, ale Efesto mruczy gardłowo, tak jakby bardzo podobało mu się to, co widzi. Wsuwa i wysuwa ze mnie język,

pociera kciukiem łechtaczkę, aż w końcu czuję zatapiający się w cipce palec. Spinam się lekko, gdy porusza nim, jednocześnie mnie lizając. Łapię go za dłoń, chcąc ją unieruchomić, bo intensywność tych doznań jest przytłaczająca.

– Spokojnie – mówi i składa czuły pocałunek na moim podbrzuszu. – Nie zrobię ci krzywdy. Wiem, co robię.

Efesto zwiększa nacisk języka. Jego palec wciąż jest we mnie, ale nie porusza nim. Odczuwam różnicę i brakuje mi intensywniejszej pieśczoły, dlatego kołyszę lekko biodrami, starając się zsynchronizować ruchy z rytmem jego języka. Jestem tak bardzo podniecona, że napieranie na jego palec, nawet gdy wyciąga go ze mnie i wsuwa ponownie, nie powoduje już dyskomfortu. Mój oddech staje się cięższy, czuję, że zbliża się ogromna fala przyjemności, trzęsą mi się uda. Kładę rękę na jego głowie, a gdy przejeżdża swoim szorstkim policzkiem po mojej będącej na granicy spełniania cipce, krzyczę z rozkoszy i wstrząsa mną taki dreszcz, że nie pomaga zaciskanie dłoni na narzucie ani ściśnięcie głowy Efesta udami. Nie zdążę dojść do siebie, odzyskać jasności umysłu, gdy ponownie rozszerza moje nogi i po prostu składa słodki, niewinny pocałunek na nadwrażliwej na dotyk łechtaczce. Wzdycham przeciągle.

– Wierzę ci, że język jest wielozadaniowy – mówię cicho.

Efesto kładzie się obok i podpira głowę na zgiętej ręce. Leżę przy nim naga, zmęczona, zrelaksowana. Najlepszym określeniem stanu, w jakim teraz się znajduję, jest błogość.

– Jasne, że tak – odpowiada i przybliża się, żeby pocałować mnie w skroń. Gładzi mnie po włosach i zakłada je za ucho. Odwracam głowę i patrzę na niego. Mruży oczy. – Co jest?

Dużo, bo i sporo się wydarzyło.

– Nie wiem, od czego zacząć. – Stuka mnie palcem w nos.

– Najlepiej od początku – proponuje.

– Ale obiecujesz, że nie będziesz się denerwował ani wchodził mi w słowo?

– Jasne, że tak.

Łatwo poszło, więc idę za ciosem.

– I że będziesz mi przytakiwał?

Śmieje się.

– Jasne, że nie.

Wzdycham, gdy kładzie dłoń na moim brzuchu.

– Po pierwsze – unoszę palec – czy jeśli następnym razem będę patrzeć w twoje oczy i się nie speszę, to czy będziemy się kochać? – Uśmiecha się krzywo. – Ja już wszystko obmyślałam. – Drapie się po czole, jakby obawiał się mojego planu. Nedorzecznosc. – Wiem, że trzeba się zabezpieczać i pójdę do ginekologa po różne rzeczy.

– Różne rzeczy – powtarza po mnie.

– Tak – potwierdzam. – Pigułki, prezerwatywy, środki nawilżające, kremy plemnikobójcze. – Wytrzeszcza oczy, bo zapewne jest zdziwiony, że o wszystkim pomyślałam, ale to nie koniec. – Globulki, gąbkę dopochwową i piankę, też plemnikobójczą.

– Genialny plan.

– Wyczuwam ironię. – Marszczę brwi. – Sugerujesz, że taki nie jest?

– Nie sugeruję. Ja to wiem. – Patrzę na niego pytająco. – Wystarczą pigułki.

– A jak zajdę w ciążę?

– To zostaniemy rodzicami. Jeśli nie jesteś gotowa na konsekwencje, nie jesteś gotowa na pieprzenie. – Przyciąga mnie do siebie. – Coś jeszcze mamy do omówienia?

– Tak, dużo – rzucam buntowniczo. – Powiedz mi, skąd są te pieniądze, które mi dałeś?

– To kasa za grunt od Lastarro.

– A byłeś dla niego miły?

Efesto się śmieje.

– Zawsze jestem miły. – Zatacza palcem kółka dookoła mojego pępka. – Taką mam naturę. Miłą. Przez kolejny rok będzie płacił ci więcej.

– Jak to?

– Przez ten czas, kiedy obracał twoimi pieniędzmi, mogłaś je pomnożyć. Zrobiłaś mu przysługę, a ona kosztuje. Czy to nie oczywiste?

Dla mnie nie. Nie rozumiem, dlaczego nie można pomóc komuś bezinteresownie. Zwłaszcza że na pewno był powód zwlekania z opłatą. Dla Efesta wszystko jest proste i znów nasuwa mi się na myśl, że nie ma serca, ale nie mówię tego głośno.

– Nie jest, bo może nie miał pieniędzy. Różnie to bywa. Każdy miewa problemy osobiste lub inne.

Efesto przeciera twarz ręką.

– Przykre. Smutne w chuj. – Uśmiecha się pod nosem. – Jego problem to twój kłopot. Twój kłopot to mój problem. Gdy będziesz się bardzo nudzić, pomyśl o tym i wyciągnij odpowiednie wnioski.

– A co chcesz ode mnie w zamian za swoją pomoc? – Wpatruję się w niego. – Nawet cię o nią nie poprosiłam.

– Nic. Twoja sprawa to moja sprawa.

– A twoja jest moją?

– Nie. – Śmieje się. – Coś jeszcze?

– Musisz mi opowiedzieć wszystko o prowadzeniu firmy, no bo wiesz, będę pracować. – Przestaje zataczać kółka na mojej skórze. Kładzie rękę płasko. – I jeszcze, jak kupuje się dom na kredyt, bo wyprowadzam się stąd. Zamieszkać na wyspie z moimi siostrami i mamą – snuję plany, a on zaczyna wystukiwać na moim brzuchu bliżej nieokreślony rytm. – I czy chcesz jakiś procent z moich rejsów lub zwrot pieniędzy za zegarek, bo te łódki kupiłam za twoją kasę. – Uśmiecham się, ale nie odwzajemnia uśmiechu, tylko zaciska usta. – Dlaczego masz taką minę?

– Jaką, skupioną? Słucham tych mądrych rzeczy. Mów dalej.

Wzruszam ramionami i kontynuuję:

– Następne pytanie, czy pomożesz mi – zastanawiam się, jak to sformułować – że tak to ujmę, ukraść pierścień, który ma Serafino? Wiesz, ten sygnet należy do Oscara. On zabrał jemu, a ja muszę go nie ukraść, tylko odzyskać, o, to lepsze słowo. W sensie bardziej pasuje. Kolejna sprawa to stary Bommarito. Alma na pewno nie zostanie jego żoną, bo to chore, ale co z nim zrobić, tego nie wiem. – Drapię się po skroni. – Prawdopodobieństwo, że jak go stuknę w głowę, to straci pamięć jest małe, co nie? Sam widzisz, mam tyle spraw do załatwienia, że nie wiem, w co ręce włożyć. Ciesz się, że nie siedzisz o tu – stukam się palcem w czaszkę – bo byś zwariował.

– To na pewno – stwierdza. – Niech ktoś przywiezie cię jutro do mnie. Księgowy wytłumaczy ci, jak prowadzić firmę. Będę się już zbierał. – Całuje mnie w czoło.

– Nie możesz! – Przytrzymuję jego rękę na swoim brzuchu, żeby się nie ruszył. – A reszta spraw? Zrozumiałeś tylko pierwsze pytanie, a i tak nie całkiem. – Nie mogę w to uwierzyć. – Powiedziałam, że będę pracować.

– Tak, wiem. Zarówno za pierwszym razem, jak i za drugim zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie. – Siada na łóżku, ale nie zabiera dłoni z mojego brzucha. – Potrzebujesz mojej zgody, czy czego oczekujesz? – Marszczy brwi. – Gdybyś zapytała, czy zgadzam się na to, żebyś bujała się na tej spróchniałej łódce i użerała z turystami za kilka euro, powiedziałbym, że nie. Gdybyś zapytała, czy są jakieś przeciwwskazania do tego, byś wykonywała tę pracę, powiedziałbym, że tak, ale ty podjęłaś decyzję, więc otwórz ramiona i przytul konsekwencje, kotku. – Poklepuje mnie po brzuchu. – One mają to do siebie, bo może jeszcze tego, kurwa, nie wiesz, że mają duże pole rażenia. Gdy ktoś odjebie cię na tej łajbie, odczują to osoby, którym na tobie zależy. Ja, twoje siostry, którym chcesz, kurwa, układać życie. – Uśmiecha się litościwie. – Powiedziałas, że będziesz pracować – przytacza moje słowa. – Więc, ahoj, żeglarzu. – Patrzą na niego zszokowana. – Coś jeszcze?

– Czyli nie mogę pracować? – wyduszam.

– Możesz – mówi spokojnie. – Powinnaś jednak wiedzieć, że nie jesteś, nie będziesz żoną rybaka, ale moją, a to wiele zmienia. Mówiąc wprost, wszystko. Mimo to mam nadzieję, że przyjmiesz moje oświadczenia. – Uśmiecha się lekko.

– A mogę nie przyjąć?

– Jasne, że tak. – Wow, nie wiedziałam. – To w końcu tylko taki miły dodatek, a nie coś niezbędnego do tego, by wziąć ślub. –

Wybuchła śmiechem i pstryka mnie w nos. – Wracając do tematu – poważnie – sama podejmij decyzję. Mam wielu wrogów, którzy chętnie przynieśliby mi twoją głowę w torbie podarunkowej. – Wzdycham zrezygnowana. – Nie chciałbym takiego prezentu.

– A nie mogę pływać z ochroną?

– Pewnie, że możesz. Daj tylko znać, że chcesz, to znajdę jakiegoś kuloodpornego karła, który nie zajmie zbyt wiele miejsca w tym twoim wehikule.

– Żartujesz sobie?

– Nie, nie słynę z poczucia humoru – stwierdza. – Biznes polega na zarabianiu. Pełnowymiarowa ochrona plus ty. Zastanówmy się. Pozostaje w łajbie miejsce na połowę turysty. Spakuj tę część, w której trzyma portfel. Jesteś zarobiona, kochanie. Tak czułem, że dobra z ciebie partia. – Uśmiecha się cynicznie. – Pomijam już to, że na otwartej przestrzeni odstrzelenie ciebie i ochrony to zadanie, z którym poradziłby sobie snajper o zdolnościach poniżej przeciętnych.

– Zastanowię się nad tym. – Efesto prychnął, zasłania mnie szlafrokiem i zawiązuje pasek. – Na razie muszę zająć się też resztą spraw, których nie skomentowałeś – informuję, a on wstaje i sięga po koszulę. Zakłada ją i zaczyna zapinać guziki. Obdarza mnie chłodnym spojrzeniem.

– Chcesz komentarza, tak? No to jedziemy. – Podwija rękawy. – Dom na wyspie. Odpada. Macie przecież drugą rezydencję nad samym morzem w Trapani. Naprawdę myślisz, że problemem twojej matki jest to, że nie ma dokąd się wyprowadzić? – Śmieje się kpiąco. – Ona nie może tego zrobić. Nie, bo jej miejsce jest przy mężu. A miejsce jej dzieci przy niej. Wykreślamy. Oddaniem mi

kasy, czy tam procentem z zera, nie jestem zainteresowany. Wykreślamy. Do Bommarito masz się nie zbliżać. Też to, kurwa, wykreślamy. – Otwieram usta. – Jeśli dowiem się, że mnie nie posłuchałaś, pożałujesz. – Celuje we mnie palcem. – Trzymaj się od nich z daleka. – Siadam na łóżku, a Efesto schyla się, żeby spojrzeć w moje oczy. – Teraz już wiesz, w co masz włożyć ręce. – Obejmuje mój podbródek. – W nic.

Zrywam się na równe nogi, a on schyla się po marynarkę i strzepuje z niej niewidoczne paprochy.

– Chyba coś ci się pomyliło, jeśli myślisz, że będziesz się tak do mnie odzywał.

– Jak? Ustaliliśmy na samym początku, że cię wysłucham, ale też, że nie będę przyklaskiwał poronionym pomysłem. Było tak? – Nie odzywam się. – W porządku. Mogę być i pomyłony. Chuj na to kładę.

– I dodatkowo mi grozisz, bo to była groźba! Powiedziałaś, że pożałuję. Co mi niby zrobisz? – prychem.

Efesto wpatruje się we mnie, kręci głową i pociąga nerwowo nosem.

– Nic.

– No właśnie! – Śmieję się.

– Nie powinnaś się śmiać, gdy obiecuję ci coś strasznego. – Nie spuszcza ze mnie wzroku.

– *Nic* to niby coś strasznego? – Unoszę brwi. – Już się boję.

– Słusznie. Obojętność to coś, czego należy się bać.

Zarzuca marynarkę na ramię i chwilę mi się przygląda. Tak, jakby nie wiedział, czy ma już wyjść, czy może jednak nie. Najwidoczniej wybiera drugą opcję, bo podchodzi i zaciska rękę na

moim karku. Robi głęboki wdech i przyciąga mnie do siebie. Opieram głowę na jego torsie i przymykam powieki. Gdy przejeżdża dłonią po moich włosach, jest naprawdę miło. Nie oznacza to jednak, że zgadzam się z nim i jego wywodami. Sama zdecyduję, co zrobię, jak i kiedy. Gdy tak stoimy, przypominam sobie o czymś ważnym. Nie bardzo, bo gdyby tak było, na pewno nie doznałabym zaćmienia umysłu i o tym nie zapomniała! Odsuwam się od Efesta.

– Przypomniałam sobie o czymś. – Kładę dłoń na ustach, a on patrzy pytająco. – O zasadzie!

– Jaśniej.

– No, że ją mam! – Unosi brew. – Brzmi ona: „Zdobądź mnie, Efesto”.

Śmieje się.

– W jakim sensie?

– Przecież to oczywiste. Sama nazwa wskazuje. Musisz się postarać, żebym chciała być twoją żoną. Musisz mnie zabierać na randki, wiesz, żeby było romantycznie. I trzymaj się na dystans. – Kładę dłoń na jego torsie.

Efesto wydaje się naprawdę rozbawiony.

– Jak to się ma do tego, że dziś wylizałem twoją cipkę i pieprzyłem cię palcem?

– Dlaczego mówisz takie rzeczy? – Wytrzeszczam oczy. – Po prostu zapomniałam, tak?

– W porządku. Przyjąłem do wiadomości. Zbieram się. – Chcę go objąć ramionami w pasie i przytulić na pożegnanie, ale odpycha moje ręce. – Definicja słowa dystans, kotku. Zapoznaj się z nią. – Odsuwa się, a gdy jest przy drzwiach, macha do mnie. –

Wysłałbym ci buziaka w powietrzu, ale na tym etapie znajomości nie wypada, co? – Śmieje się i wychodzi.

Siadam skołowana na łóżku. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że ta zasada wyjdzie mi bokiem. Od zawsze uważałam, że każde *trzeba* i *musisz* to bezsens. Może jednak nie będzie tak źle, bo niby czemu by miało? Jestem Etna La Mantide i mam farta. Nino tak powiedział. Z tym, że mówił też, że Efesto to słaby przeciwnik, a tak nie jest. Nie mówię tylko o mojej nieudanej próbie powalenia go w stójce. O całokształcie. Lubi mieć rację. I nawet, jeśli niektóre jego argumenty do mnie przemawiają, no dobra, większość, to nie przytaknę... dla zasady. Mówiłam, zasady są złe. Totalnie do bani.

Ubieram się i zgarniam z biurka akt własności. Gdy wychodzę z pokoju, Alessio odsuwa się, żeby mnie przepuścić. Pokój Almy znajduje się po drugiej stronie korytarza. Ostatnio nie miałyśmy dla siebie zbyt wiele czasu, ale liczę na to, że jak wszystko się uspokoi, jak rozwiążę już swoje sprawy i włożę ręce tam, gdzie według Efesta nie powinnam, wszystko się unormuje. Od czasu ostatniej poważnej kłótni z ojcem, a więc od wieczoru, kiedy moja siostra się odnalazła i dowiedziałyśmy się, że jest wojenną kartą przetargową, rozmawiałam z nią tylko raz, o ile można tak nazwać burczenie i warczenie zamiast udzielania odpowiedzi na zadawane przeze mnie pytania. Próbowałam się dowiedzieć, co wydarzyło się w lesie, ale ona milczy jak zaklęta. Snuje się po domu jak cień dawnej siebie albo i nie, bo i on wydaje się jakiś zniekształcony. Wiem tyle, ile widzę. Nic poza tym. Data porwania, jak piętno szpecąca jej skórę, i to dziwne coś w oczach.

Czasem, gdy mijamy się w korytarzu, widzę w nich strach, innym razem bunt, ale najczęściej nie dostrzegam nic.

Dopiero teraz, gdy o tym myślę, rozumiem, co miał na myśli Efesto, gdy powiedział „nic”. *Nic* jest najgorsze. Tysiąc razy bardziej wolałabym złość, krzyk, jakiegokolwiek emocje, cokolwiek!

Nieraz z siostrą drzemy koty. Ona czyta mój pamiętnik, a ja podkradam jej truskawkowe landrynki, których i tak nie znoszę. Mimo to zawsze wydawało mi się, że jesteście sobie bliskie. A jednak nie powiedziała mi o tym, że ma już za sobą swój pierwszy raz. Za nic ma złożoną kiedyś obietnicę, że opowie mi wszystko ze szczegółami. Ja przyrzekłam jej to samo. Teraz to nieaktualne. Coś się zmieniło. Alma od zawsze pogrążona była w świecie książek. Trudno było ją od nich oderwać, a każdą kolejną, czytana przez siebie stronę przewracała długim, ostrym, czerwonym pazurem. Wiedziała, jak i gdzie w razie czego go wbić, żeby zabolalo. Teraz go obgryzła lub został spiłowany. Nieistotne. Nie ma go.

Pukam w drzwi pokoju siostry, ale nie słychać żadnego: „Proszę” ani: „Zjeżdżaj”, więc uchylam je lekko, żeby zerknąć do środka. Nie chcę naruszać jej prywatności. Nie w tych okolicznościach.

To błąd.

Wielki, kurwa, błąd, że nie potrząsnęłam nią wcześniej lub nie przytuliłam z całej siły. Jest mi wstyd na samą myśl o tym, że w czasie, w którym ja spędzałam miło–niemiły czas ze swoim facetem, ona robiła sobie TO.

Alma leży bokiem na łóżku. Twarz ma zwróconą w stronę okna. Nogi podkurczone. Przygryzam pięść zębami. Nie wiem po

co, bo i tak żadne słowo nie chce wydostać się z moich ust, mimo że mam ochotę krzyknąć. Może po prostu pragnę poczuć fizyczny ból, żeby przyćmił ten, który odczuwam w swoim wnętrzu.

Alma chyba zastosowała tę samą taktykę, tylko w wersji hard.
– Co ty zrobiłaś... – wyduszam.

Kłękam przy łóżku i patrzę na jej nagie plecy. Na pościel pobrudzoną krwią, leżące przy stopach żyłki i ponownie na jej pokryte czerwonymi, krwawymi pręgami plecy.

– Powiedz, że dosięgnęłam do tej daty – prosi cicho.

W moich oczach zbierają się łzy. Zaciskam dłonie na prześcieradle. Nie zrobiła tego. Nie zamazała daty świeżymi nacięciami, jedynie delikatnie naruszyła gruby strup, który ją pokrywa. Alma ponacinała sobie łopatki. Jej plecy wyglądają teraz tak, jakby była zranionym aniołem, jakby ktoś wyrwał jej skrzydła.

– I jak? No mów! – piszczy i zaciska ręce. – Mnie to nie boli, poprawię, jeśli nadal tam jest – stwierdza z determinacją.

Kładę rękę na jej ramieniu. Jest zimne.

– Opowiesz mi, co się tam stało? – pytam szeptem. – Poczekaj, wezmę miskę i odkazimy te rany – wzdycham.

Przynoszę z łazienki wszystko, co jest potrzebne. Alma nie zmieniła pozycji. Leży jak zahibernowana. Nawet gdy przejeżdżam wilgotną gąbką po jej łopatce, nie wykonuje żadnego ruchu.

– Nie piecze cię to?

– Nie. Szoruj szybciej, mocniej i idź stąd. – Przygryzam wargę, bo jest mi przykro, gdy tak mówi. – Co się stało, pytasz? Dowiedziałabyś się, gdybyś była na moim miejscu – syczy. –

Przepraszam – dodaje. – Tylko nie pytaj durnowato, co ty zrobiłaś – przytacza moje pierwsze słowa. – Pocięli mnie, patrzyli na mnie obłeśnie, aż chciało mi się rzygać. I...

Milknie. Robi mi się słabo, gdy w mojej głowie zaczyna kołatać się myśl związana z jej tajemniczą utratą dziewictwa.

– I? – Zatrzymuję dłoń w powietrzu w oczekiwaniu na odpowiedź.

– I ostatniego dnia gość, który był tam ze mną cały czas – nabiera powietrza, a moje serce wali jak szalone – chciał wiesz, co – wydusza. Moja łza kapie na jej ramię, a Alma zerka na mnie kątem oka. – Nic mi nie zrobił. Nie rycz, palantko. – To jest paradoks. Karuzela uczuć. Chce mi się płakać, a jednocześnie mam ochotę podskoczyć z radości. Tęskniłam za tym *czułym* siostrzanym określeniem. Tak właśnie mówi *moja* Alma. – Dotykał moich ramion, przejeżdżał po nich paluchami. Pamiętam jego brudne paznokcie. – Wzdryga się, a ja głaszczę jej ramię. – A potem włożył mi rękę pod sukienkę.

– I co dalej?

– Nic. Ledwie dotknął moich ud i umarł. Szorujesz, czy nie? – Zerka na mnie.

– Dostał zawału?

– Ale z ciebie palantka. Wierzysz w szczęśliwe zakończenia? To życie, a nie książka. – Przejeżdżam gąbką po drugiej łopacie. – Otworzyły się drzwi. W jego szyję wbiła się strzała. A potem wszedł ten Yeti i uniósł go, jakby nic nie ważył. Wsadził mu pistolet w usta i nacisnął spust. – Znów się wzdryga. – A gdy to zrobił, odwrócił się w moją stronę, przyłożył palce wskazujące do skroni tak, że imitowały rogi i uśmiechnął się szeroko.

– Jaki Yeti? – pytam spokojnie.

– Tak go nazwałam, bo nie wiem, kto to. Był bardzo wysoki i miał wielką stopę.

– I on cię uratował, a potem sobie poszedł, tak?

– No...

– To jakiś anioł – stwierdzam. – Wybawiciel. Pocałowałabym go za to w jego wielką stopę. Nie żartuję. – Opieram policzek o jej ramię. – Za to, że uratował moją siostrzyczkę. – Znów moczę jej rękę łzami. – To z kim straciłaś dziewictwo?

– Z nikim. Ivo jest moim dobrym kolegą, czatujemy sobie czasem. Dlatego poprosiłam, żeby to on mnie odwiózł. No i zabrał mnie do tego ginekologa, a on wystawił mi lewe zaświadczenie.

– On nie wystawia lewych zaświadczeń – stwierdzam. – Każdy to wie.

– Był ze mną jeden z Selvaggiów. Każdy wie, że im się nie odmawia – odpowiada.

Zastanawiam się nad tym, co usłyszałam i chociaż mam już większe pojęcie o tym, co się wydarzyło, to wciąż nie rozumiem jednej rzeczy.

– A po co ci to zaświadczenie? Nie mogłaś wiedzieć, że ojciec obiecał twoją rękę staremu Bommarito, bo ogłosił tę nowinę dopiero wtedy, gdy wróciłaś.

Alma milczy. Potem chowa twarz w dłoniach, a gdy w końcu ją odsłania, mówi:

– Tu tak jakby zaczynają się schody. – Drapie się po czole. – Bo ten Yeti powiedział, że zostałam wybrana i będę jego żoną. Czy coś takiego.

Wzdycham z ulgą.

– To chyba lepiej, skoro jest taki miły. – Filozofuję. – A jest stary lub oblesny?

– Nie, ale miły też nie – sapie. – Na parapecie leżała paczka landrynek, to wybrał wszystkie czerwone. – Parskam. – I skulił mnie kajdankami, a wcześniej byłam przywiązana liną.

– Nie wiedział przecież, że lubisz truskawkowe, a kajdanki po to, żebyś nie uciekła i nie zgubiła się w lesie. – Pocieram czoło. – Daruj sobie palantkę. Sama słyszę, jak absurdalnie to brzmi. – Całuję ją w ramię. – Tylko jeśli jest spoza organizacji, to nie rozwiązuje naszego problemu.

– Twój Efesto go zna. Nawet dobrze, bo widziałam, że zegnali się, jakby byli dobrymi kolegami.

– To zapytam, kto to – proponuję. – A ty chcesz zostać jego żoną?

– Czy gdybym chciała, to załatwiłabym to zaświadczenie? Puszczalskich nikt nie chce. Jestem bezpieczna – mówi pewnie. – A jak Bommarito po mnie przyjdzie, to powiem wprost, że nie jestem dziewicą. I tamtemu też, chociaż wątpię, żeby mówił poważnie. – Macha lekceważąco ręką. – To nic nie znaczy. Takie tam gadanie.

– Mogę zostawić cię samą, czy zostać?

– Obojętne. – Drży jej warga. – Zostań. Wyjdz. Totalnie obojętne. – Nabiera powietrza. – Jestem taka głupia.

– Nieprawda. – Pocieram jej ramię. – Masz po prostu za dobrą duszę.

Alma ziewa. Kładzie dłoń na mojej ręce.

– Musisz na siebie uważać. To ty miałaś się znaleźć w tym lesie. Nie ja. Chodziło o to, co Efesto kocha najbardziej. – Robi mi

się gorąco. – Jestem pewna, że gdyby trafiło na ciebie, nie doszłabyś nawet do tego domku. Od razu by cię zabił. Nienawidzi cię. Nienawidzi jego i tej małej. Chiary, czy jak jej tam. On powiedział...

– Mów! – Ściskam jej ramię.

– Nieważne.

– Jestem na ciebie zła, wiesz? Bo dopiero teraz mi o tym mówisz! Naprawdę jesteś jakaś głupia. – Żałuję tych słów od razu, gdy je wypowiadam.

– Wiem o tym – wydusza z rezygnacją w głosie. – Powiedział, że robi zdjęcia, jak będzie cię, no wiesz... Chodziło mu o seks. I że wyśle je Efestowi. A tej małej robi jakieś nacięcia, jak u świń, gdy się je ubija i powiesi ją za nogi, żeby spuścić z niej całą krew.

– A jak on wyglądał? Może ma jakiś znak szczególny? Używali jakichś imion?

Przypominam sobie, że Ivo już wcześniej prosił mnie o to, żebym wypytała Almę o szczegóły, ale odpuszczałam, gdy mnie zbywała.

– Imion nie. Miał tatuaż na skroni. Bombę. Był z takim chudym, starym facetem, który udawał, że zgubił okulary. – Pociera czoło. – No i z tym, który już nie żyje.

– Gdzieś już widziałam taki tatuaż – myślę głośno. – Tylko gdzie...

– Ja też, ale nie mogę sobie przypomnieć – stwierdza. – W oczach tego gościa z tatuażem było coś dziwnego, Etno. Taka pustka. Jakby na niczym mu nie zależało. W pierwszej chwili pomyślałam, że to obojętność. A ona jest straszna. Najgorsza. Trzeba się jej bać.

11 El silencio es oro (hiszp.) - milczenie jest złotem.

ROZDZIAŁ 11

Niektórzy uważają, że niełatwo jest żyć zgodnie z zasadami. Można mówić, że chuj się na nie kładzie, że są ograniczeniem, a życie jest zbyt krótkie, by się nimi przejmować. Problem pojawia się wtedy, gdy wszystko wymyka się spod kontroli, gdy ten idealny świat, w którym wszystko można, bo się chce, przekręca się do góry nogami. Nie ma wtedy czasu, możliwości na to, żeby cofnąć się o ten jeden, decydujący krok, który o wszystkim przesądza. Nie wychylaj się przez okno, bo wypadniesz. Nie dotykaj ognia, bo się poparzysz. To jest, kurwa, proste, więc dlaczego niektórzy są zdziwieni, gdy przygniatają ich konsekwencje? A bo ja wiem?

Złamać można wiele rzeczy. Patyk, nogę, deskę, człowieka. Zasady też. Jasne, że tak. Gdy się to robi, trzeba być wyposażonym w pojemny worek. Taki, który pomieści plony, które wyrosły z zasianych wcześniej ziaren. I nie ma, że boli, że pod jego ciężarem uginają się kolana.

Śmiać mi się chcę, gdy słyszę, że wszystko można zreperować. Wyginam się, jak jebany paragraf, gdy ktoś mówi, że będzie jak dawniej, że każdy błąd można naprawić. Złam patyk i go sklej. Jest taki, jaki był wcześniej? Ślepy jesteś czy głupi? Kurwa!

Moja dziewczyna uważa, że zasadami można żonglować. To dopiero niezły cyrk. „Zdobądź mnie, Efesto”. Mówi i ma. Gdy ktoś celuje we mnie palcem, wyciągam cięższe działo. Z *zasady* to działa.

Bernardo rozpiną mi zaciśnięte na nadgarstkach kajdanki. Nie zasnę. Od kilku godzin leżę w bezruchu i czekam na sen, który nie nadchodzi. Mimo że jestem zmęczony, przygotowany na koszmary utkane ze wspomnień, nic się nie dzieje. Ostatni raz matka odwiedziła mnie w nocy, gdy Chiara opowiedziała mi o dziadku z lasu. Od tamtej pory jest spokój, rany na rękach się wygoiły, nie ma ani koszmarów, ani zwykłych snów. Jest za to bezsenność. Tylko czekam, aż zasnę z wyczerpania w kuchni podczas jedzenia obiadu, w pokoju Chiary podczas tapirowania moich włosów różową szczotką, gdziekolwiek, z kimkolwiek, a wtedy...

Mocno przecieram twarz ręką.

Wychodzę z pokoju. Korytarz rozświetlony jest przyćmionym światłem padającym z kinkietów, których nigdy nie gasimy, bo siostra boi się ciemności. Schodzę do kuchni. Zapalam lampkę nad wyspą kuchenną i zalewam płatki mlekiem. Zastanawiam się, jak odzyskać ten przeklęty pierścień Oscara. W innej sytuacji nawet nie zawracałbym sobie tym głowy, ale Etna dała słowo. A ono jest ważne. Jeśli się go nie dotrzymuje, traci moc. Staje się chuja warte. Po prostu.

– Spania nie masz? – Niccolo wparowuje do kuchni. Każdy jego włos sterczy w inną stronę. Przeciera oko palcem. – Dobra, głupie pytanie. Co jesz? – Zagląda do mojej miski. – Też chcę. – Otwiera lodówkę i przegląda zawartość. – Nie ma mleka?

– A bo ja wiem.

Odwraca się i zerka to na mnie, to na moje żarcie. Z nim jest tak zawsze. Cała lodówka jedzenia, a on jak zwykle ma ochotę na

to, czego już nie ma. I będzie tak stał ze zboląłym wyrazem twarzy i gapił się jak szpak na czereśnię.

– Masz, kurwa. – Przesuwam miskę na blacie, a Nicco się szczyrzy i siada przy stole.

Wstaję, żeby zrobić sobie kanapki.

– Brat Letizii został już dopuszczony bliżej Bommarito. Szybko poszło – mówi.

– A kim jest Letizia?

– Jezu, no była opiekunką Chiary, tak?

Prawda. To dość ciekawa historia, bo rozpoczęła się na cmentarzu i najpewniej tam też się skończy. Arturo, brat Letizii, ewidentnie sprawdza się w kreciej robocie. Pierwszym jego zadaniem było spranie ojca Etny w dniu mojego zaprzysiężenia, gdy ta poskarżyła się na niego, myśląc, że wymienia wiadomości z Ninem. Poradził sobie, więc podjęliśmy próbę wprowadzenia go do rodziny Bommarito. Chciałem wiedzieć, jakie mają plany, skoro w grę wchodziło bezpieczeństwo mojej wymarzonej dziewczyny.

– Dobrze to wymyśliłeś – stwierdza fakt Nicco. – Ty wiesz, że jak Arturo spuścił manto ojcu Etny pod jego domem, to na koniec rzucił w niego jakimś, kurwa, kwiatem? – Wybuchają śmiechem. – I powiedział mu, że nie podlewa się ich krwią. Podobno tak kazałeś. To nawiązanie do jej herbu, tak?

– Proponowałem – poprawiam go, na co on przewraca oczami.

Tak myślałem, że Serafino nie przepuści okazji. Mieć w swoich szeregach kogoś, kto wychodzi zwycięsko ze starcia z głową rodziny La Mantide i to w trakcie wojny, to mocne zasilenie szeregów. Nie było dla niego podejrzane to, że niemal na tacy dostaje człowieka, który dzień wcześniej napadł na jego wroga.

Zero wątpliwości. Nie, bo żeby je mieć, trzeba myśleć. Niektórzy mają z tym spory kłopot. Czasem trzeba się poświęcić, udać niedorajdę, wytaplać się w cmentarnym błotku, żeby taki Serafino poczuł moc. Wykazał się szybkością i zwinnością. Złapał króliczka za kity i przygarnął pod swój dach. Nawet nie musiał nadawać mu imienia, bo już je miał. Serafino zasługuje na odznakę wzorowego opiekuna. Arturo na pewno mu się kiedyś za to odwdzięczy.

– Jego obecność tam wydaje się w aktualnej sytuacji bezcelowa. – Kolejny *mądry brat*.

– Jesteś zaspany czy po prostu głupi? – Zajmuję krzesło naprzeciwko niego. – Stary Bommarito nie pożyje już długo. Myślisz, że Serafino powie ci, co planuje, gdy jego ojciec zostanie odjebany?

– Nie?

– Nie pytaj, stwierdź.

– Nie.

– Oczywiście, że, kurwa, nie. On ci tego nie powie, ale Arturo już tak. Czy w tej sytuacji jego obecność tam wydaje ci się już celowa, głąbie?

Krzywi się i kręci głową z niedowierzaniem.

– A dlaczego ma zostać odjebany?

Ja też mam teraz ochotę tak pokręcić łbem. Mało tego, chcę walić nim o blat.

– Dlaczego Bommarito mają zawieszenie broni z La Mantide?

– No, w zamian za rękę Almy.

– Kto ma papier z odciskiem jej palca? Byłeś przecież w lesie, kurwa, połącz fakty – jęczę.

Nie odzywa się przez dłuższy czas.

– A, już rozumiem. – Szczerzy się. – Diabeł odjebie Bommarito, weźmie Almę pod pachę i będą żyli długo i szczęśliwie. – Parska śmiechem. Wierzy w to tak samo jak ja, czyli wcale. – Opcja numer jeden, Serafino zemści się na Gottich. Opcja numer dwa, na La Mantide, bo umowa zostanie zerwana. Numer trzy, na jednych i drugich. I w końcu cztery, na nikim, jeśli zostanie wyeliminowany w porę.

– Brawo – kwituję. Dziwię się, że w ogóle musiał się nad tym zastanawiać. Jedno wynika z drugiego. – Dowiedz się, co u Ferra. – Niccolo potakuje. – Długo go nie ma.

Idę do pokoju telewizyjnego. Rzucam się na kanapę i przełączam kanały w telewizji. Przechodzący obok mnie Alessandro nachyla się, żeby sprawdzić czy przypadkiem nie zasnąłem. Chce mi się śmiać. Jestem, kurwa, taki straszny, że boją się mnie nawet, gdy śpię. Lata pracy nad reputacją nie poszły na marne.

Czuję, że jestem coraz bardziej znużony. Przez myśl przechodzi mi nawet, żeby pójść do pokoju, ale to tylko rozważania, działania zero.

Nie wiem, czy uchylam powieki, w momencie, w którym słyszę pisk, czy może miałem otwarte oczy już wcześniej. Nie mam pojęcia, czy to, że stoję, to skutek zerwania się nagle na równe nogi, czy być może jestem w pionie już od dawna. Odpłynąłem do sennej krainy i za nic nie potrafię zebrać myśli w całość. Pewne są jednak dwie rzeczy. To, że Ferro jest postrzelony i że w domu panuje totalny chaos. Chiara stoi u szczytu schodów i drze się wniebogłosy. Nasi żołnierze zebrali się w holu. W korytarzu na górze pojawia się Ivo, który bierze małą na ręce i przekazuje

Bernardowi. A on zabiera ją z powrotem do jej pokoju. Co tu się, kurwa, dzieje? Niccolo pociera się po twarzy. Patrzę na swoje dłonie, ale nie mam w nich żadnej broni.

– Zasnąłeś?! – wydziera się Ivo. – Postrzeliłeś go?! – Nawet nie zdążę odpowiedzieć, bo strzela focha. – Ja już mam tego wszystkiego dość! – Odwraca się na pięcie, a po chwili słysząc trzaśnięcie drzwi.

– Co macie takie miny? – pyta Ferro. – To ledwo draśnięcie. – Łapie się za ramię. – Fakt, narobiłem rumoru, jak wszedłem, bo ktoś postawił jakieś pudła przy drzwiach, ale nic mi nie jest. I ty naprawdę zasnąłeś na kanapie?

Nic nie mówię, mimo że to więcej niż pewne, że przymknąłem oko, bo na dworze już świta.

– Przebierz się i pójdz do małej, bo ją przestraszyłeś – mówi Nicco z wyrzutem. – Ja jadę do portu.

Ferro przytakuje i wbiega po schodach, a ja wracam na kanapę. Wiedziałem, że sobie poradzi. Gdybym miał wątpliwości, powierzyłbym zadanie, jakim było odzyskanie kontenera, komuś innemu. Chcę go czegoś nauczyć, sprawić, żeby zaczął robić użytek z mózgu, ale nie za wszelką cenę, a już na pewno nie za cenę jego życia. Tyle że on nie musi o tym wiedzieć.

Zastanawiam się, dokąd zabrać Etnę na naszą pierwszą randkę, ale zanim wpadnę na jakikolwiek pomysł, na sofę rzuca się Ferro.

– Trzy, przecinek, jeden, cztery, jeden, pięć, dziewięć, dwa, sześć, pięć, trzy, pięć, osiem, dziewięć... – wymienia. – Liczba Pi z dokładnością do dwunastu miejsc po przecinku.

– Yhm.

– Ćwiczę pamięć. PIN do odbioru kontenera ma osiem cyfr, więc dam radę. – Unosi kciuk.

– Lepiej późno niż wcale. – Klepię go po kolanie. – Co z twoją ręką?

– A to niemal filmowa historia. – Szczerzy się. – Dojechałem na miejsce z kwadrans po ekipie Diabła. Ty wiesz, ilu ludzi mieli Mancini? – Patrzy na mnie. – W sumie to nie spieszyłem się tam szczególnie. No wiesz, liczyłem, że jak dojadę, to już będzie po robocie. – Drapie się po czole. – Zaparkowałem na tym zadupiu. Ludzie Diabła rozstawili się w różnych miejscach, a on sam stał na naczepie kontenerowej. Jedno mogę powiedzieć, normalny to on nie jest. – Powiedział gość, szorujący zęby dwadzieścia razy dziennie. – Kulki latały, a ten stał i dobierał sobie strzały. Ot tak, na luzaku. – Wybałusza oczy. – Ledwo, co wyszedłem z auta, a już straciłem trzy naboje. Wiesz, zanim odkryłem, że nie jesteś takim chujowym bratem. – Szczerzy się. – Podbiegłem do bagażnika, bo chciałem schować się za klapą. Gdy go otwierałem, nacisnąłem spust po raz czwarty. – Przewraca oczami. – Schyliłem się, żeby wyciągnąć z kufra automat i jeb. – Uderza w udo. – Mephisto ustrzelił typa, który zakradał się z boku auta, a strzała drasnęła moje ramię. Nawet nie zauważyłem tego gościa! – emocjonuje się. – On musiał liczyć moje kulki, bo jak niby miałyby wiedzieć, że już jestem pusty? – zastanawia się głośno. – No, ale do sedna. Tobie jednak na mnie zależy – wypala.

Śmieję się w głos i przełączam kanały. Zatrzymuję się na Italia 1, bo akurat emitują powtórkę wyborów Miss.

– A wiesz, dlaczego tak uważam? Jak doszedłem do takiego wniosku?

– Nie mam pojęcia. Na pewno mi powiesz.

– Niby zostawiłeś mi cztery naboje i zrobiłeś pokazówkę na wyspie, ale w bagażniku miałeś taki arsenał, jakbyś szykował się na niezłą jatkę.

– Serio?

– No, kurwa, do wyboru, do koloru.

– Nie mów. Dobrze, że nikt nas nie skontrolował podczas podróży na wyspę. Nie wiem, kto nam to spakował, ale jedno jest pewne. Jest pomyłony i niedouczone, skoro nie zdaje sobie sprawy z ewentualnych konsekwencji. – Uśmiecham się pod nosem, a Ferro kręci głową z niedowierzaniem.

– No i na pewno dziwny, skoro mając do wyboru powrót swoim autem, wybiera podróż ze starym i słuchanie przez całą drogę *złotych przebojów*. Weź, na pewno wiedziałeś, że w bagażniku jest wszystko, co mi potrzebne, a nawet więcej. Upierałeś się, żebym jechał twoim samochodem. Wyszarpałeś mnie z auta ojca jak ostatni wariat i nawet zapiąłeś mi pasy, gdy usiadłem za kierownicą twojego wozu.

– Urzekła mnie twoja historia, a teraz sio, bo muszę pomyśleć.

– A powiesz, o czym?

– Dokąd pójść na randkę.

– Z Etną?

– Nie, z Wezuwuszem. – Uderzam go ręką w potylicę, a on się śmieje.

– Łódka. Popływajcie na naszym jeziorku. Ona lubi łajby. I wiesz, być może spełni swoją groźbę i coś ci pokaże. – Nabija się.

– Odpada. Otwarta przestrzeń.

– A co, masz agorafobię? – Unosi brwi. – Nikt was nie odstrzeli, bez jaj. Nie przychodzi mi na myśl nikt, kto by się odważył. A tobie?

– Też nie. – Mijam się z prawdą. – Inne pomysły?

– Wiem, że uważasz mnie za najbardziej kreatywnego w rodzinie. – Ferra ponosi fantazja. Prycham, słysząc tę niedorzeczność. – Ale nie oczekujesz przypadkiem zbyt wiele? Ja podrywam na nasze nazwisko. Zawsze działa. A ty, no nie wiem, ciebie to ciężko lubić, nawet wiedząc, kim jesteś i ile masz kapusty. Taki paradoks. – Wzrusza ramionami. – Idę spać.

Dobra decyzja. W końcu zaczyna myśleć. Jeszcze chwila, a sam pomógłbym mu zasnąć.

Podnoszę się z kanapy i idę do gabinetu. Ledwo zdążę usiąść przy biurku, do środka wchodzi Alessandro.

– Alessio przywiózł Etnę La Mantidę. Wpuścić ich? – Patrę na niego jak na idiotę. – Dobra, już otwieram.

Nie chcę nawet myśleć, co skłoniło ją do tego, żeby odwiedzać mnie skoro świt. Gdzieś z tyłu głowy kotłuje się myśl; „Ciekawe, co kombinuje”, ale to słowa Ferry, więc potrząsam głową, bo to więcej niż pewne, że są niedorzeczne, skoro wyszły z jego ust.

Drzwi otwierają się ponownie i oto jest, moja wymarzona dziewczyna. Przekracza próg i uśmiecha się szeroko. Gdy to robi, rozświetla się cała jej twarz. Przez chwilę niemal mi przykro, że ten słodki uśmiech zaraz zniknie, ale cóż, życie. Wstaję, żeby się z nią przywitać. Nie do końca wiem, czy wypada na pierwszym *zdobyczym* spotkaniu całować dziewczynę w policzek, ale zaryzykuję. Najwyżej dostanę z liścia. Skłonność do brawury zapisaną mam w genach. Wyciągam rękę w jej stronę, ale całkiem

ją ignoruje i wtula się we mnie całą sobą. Gdy to robi, mam ochotę zanurzyć twarz w jej włosach. To będzie trudniejsze, niż myślałem. Kładę dłonie na jej ramionach i odsuwam na bezpieczną odległość, schylam się, składam przyjacielski pocałunek na jak zwykle rozgrzanym policzku i odwracam się, żeby usiąść z powrotem w fotelu.

Ruchem głowy wskazuję jej krzesło ustawione po drugiej stronie biurka, ale ona nie zamierza siadać. Opieram brodę na dłoni i przyglądam się jej i temu, co wyprawia. A jest na co popatrzeć. Kręci się dookoła własnej osi. Dół sukienki, którą ma na sobie, unosi się, ukazując mały, zgrabny tyłek wciśnięty w różowe majtki. Przecieram twarz. Od razu widać, że nigdy nie była na żadnej randce. Psuje mój plan, moją wizję tego, jak powinna ona wyglądać.

– Ładna sukienka? Obszyta małymi koralikami. Alma mi pożyczyła.

Nie przestaje się kręcić. Faktycznie, sukienka obszyta jest jakimś plastikowym badziewiem, na które wcześniej nie zwróciłem uwagi.

– Musimy porozmawiać! – wykrzykuje nagle i podbiega do biurka, próbując wcisnąć się między blat a mnie. Rozpycha się, na pewno wyczuwa, że się nie zmieści, ale i tak pcha się tym swoim małym, seksownym tyłkiem.

– Co robisz?

– Wpycham się, a co? – Wybucham śmiechem, gdy staje za fotelem i ciągnie za oparcie, próbując mnie przesunąć. Powodzenia. – Dlaczego wyczuwam taki opór? – sapie. – No posuń się, żebym mogła usiąść. – Ona w ogóle nie rozumie swojej zasady.

Zachowuje się tak, jakby już o niej zapomniała. Nie zdziwiłbym się, kurwa.

– Tam masz krzesło. – Wskazuję ręką.

– Ale ja chcę siedzieć na twoich kolanach.

– Wczoraj powiedziałaś, że mam się trzymać na dystans.

– Pamiętam, co powiedziałam. – Wkurza się i szarpie moje ręce, myśląc, że gdy nie będę trzymał ich na kolanach, to się zmieści. – Ale chodziło mi o mały dystans. Nie o duży.

– Czyli zamierzasz unosić się nad moimi kolanami, czy jak to zwizualizowałaś w swojej głowie? – Uśmiecham się pobłaźliwie.

– Mogę usiąść, czy nie?

– Nie.

Bawi mnie wyraz jej twarzy.

– To szkoda. – Opuszcza ramiona. – Bo bardzo chciałam.

– Ja też żałuję, ale masz swoje zasady, czy tam zasadę i ja ją szanuję. – Krzywi się. – Usiądź naprzeciwko. Poćwiczmy przy okazji patrzenie prosto w oczy.

– To jakiś bezsens. – Wzruszam ramionami, a ona zajmuje wskazane krzesło. Dzieli nas biurko. Mam ochotę je porąbać albo chociaż przesunąć, ale skoro powiedziało się „A”... – Prawie nie spałam w nocy.

– Ponieważ?

– Nie mogłam zasnąć. Alma nie czuje się najlepiej. – Zakłada włosy za ucho. – Wiesz, w głowie. – Patrzą na nią wyczekująco, bo pewnie jest jakaś puenta tej historii. Ona też to robi, ale na co czeka? A bo ja wiem? – I co ty na to?

– Na co, na bałagan w głowie twojej siostry? Niech pomyślę. Nic?

Patrzy na mnie buntowniczo.

– Tak? – Zakłada ręce na piersi i mruży oczy. – Może będziesz miał do powiedzenia więcej, gdy zaraz zrzucę na ciebie bombę.

Może i uznałbym, że nie ma w ostatnim wypowiedzianym przez nią słowie dwuznaczności, ale jestem pewien, że jest. Znam ją. Nie spuszcza ze mnie wzroku, a cała jej postawa zdaje się krzyczeć: „Wiem, wiem, wiem”.

– Dajesz.

Wyciąga z torebki złożoną na pół kartkę i ją rozkłada. Przesuwa ją na biurku w moją stronę. Biorę w dłoń fotografię i przyglądam się jej.

– Faktycznie eksplozja. – Uśmiecham się pod nosem, patrząc na czarno-białe zdjęcie dwóch nieznanych mi typów.

– Spójrz na dłoń tego po prawej. – Przybliżam fotografię. Na jego ręce wytatuowana jest bomba. – Moja mama powiedziała mi, że to senior rodu Rossi. To właśnie on wprowadził moją rodzinę do organizacji. Może to przypadek, a może nie.

– Skąd to masz?

– To zdjęcie stało na moim kominku, jako upamiętnienie tej zaszczytnej – krzywi się – chwili.

– W porządku. Zatrzymam je.

– I to wszystko? Nic więcej nie masz do dodania? – Wstaje i zaczyna krążyć po gabinecie. – Zero emocji?!

– W emocjach popełnia się wiele błędów – stwierdzam. – A tego byśmy nie chcieli, prawda?

– Ja wszystko wiem! I wiem, co mi zrobi, gdy mnie dopadnie! Alma mi powiedziała! – Patrzy na mnie z wyrzutem. – To ja

miałam być porwana, a nie ona i to przeze mnie jest pocięta, a raczej przez ciebie – wypala.

– Jeśli na imię mam naiwność, a na drugie bezmyślność, to rzeczywiście przeze mnie.

– I nic mi nie powiedziałeś, i żyłam w nieświadomości. I nawet gdybym kogoś takiego spotkała, człowieka z takim tatuażem, to bym nie wiedziała, że mam uważać! – emocjonuje się.

Parskam śmiechem.

– Skąd ty się, do cholery, urwałaś? – Wkładam naprawdę całą siłę woli w to, żeby nie wstać z fotela. – Jak masz na nazwisko? – Odchylam się na oparciu.

– Dobrze wiesz jak. – Przystaje i zaciska torebkę w dłoniach.

– A kim jest twój stary? – Milczy. – No mów, skoro zaczynamy od początku, to wypadałoby się poznać, nie? – Marszczy brwi. – Pracuje w młynie, na poczcie, w drukarni?

– Dobrze wiesz, że nie.

Śmieję się.

– Chodź tu, kotku. – Przywołuję ją ręką. Waha się, ale podchodzi do biurka. – Pokaż mi, proszę, co nosisz w torebce. – Uśmiecham się pokrępowo, żeby dodać jej odwagi.

– Niby po co?

– Podobno po jej zawartości można wywnioskować, z kim ma się do czynienia. – Ociąga się, ale kładzie ją na biurku.

Rozpinam torebkę i wysypuję jej zawartość na blat. Tym sposobem lądują na nim różne, niektóre trudne do zidentyfikowania, przedmioty, ale to nieistotne, najbardziej interesuje mnie jeden.

– To na wodę? – Wskazuję na jej splotkę.

Etna patrzy na mnie jak na idiotę.

– Wiadomo, że nie.

Udaję zszokowanego.

– Chryste, to kim ty jesteś i w jakim świecie żyjesz, że musisz ją nosić przy sobie? – Parskam śmiechem, a ona milczy. – W takim, w którym trzeba mieć oczy dookoła głowy i na siebie uważać, zastanawiać się nad konsekwencjami swoich decyzji czy w jakim? Nosisz ją przy sobie, bo wiesz, że może zdarzyć się coś, co wymusi na tobie konieczność jej użycia czy po co?

– Po to – warczy, a dlaczego to robi, nie mam pojęcia.

– Czyli wiesz, że powinnaś uważać i być czujna, żeby nie przegapić tej jednej chwili, która zadecyduje o twoim być albo nie być?

– Wiem, że powinnam uważać. – Wrzuca do torebki swoje fanty.

– A wiesz to od momentu, w którym dowiedziałaś się o moim wrogu czy od zawsze?

– Po co ty mnie o to wszystko pytasz! – Wkurza się. Łapię ją za rękę.

– I nawet gdybym kogoś takiego spotkała, człowieka z takim tatuażem, to bym nie wiedziała, że mam uważać – przytaczam jej słowa. – Kpisz, kurwa?!

Zaczyna drżeć jej broda. No cóż, bycie wymarzoną chłopakiem jest jakieś trudne.

– Bo ja się teraz boję – mówi cicho.

Oczywiście, że tak. Właśnie dlatego nie chciałem jej o tym wszystkim mówić. Strach paraliżuje i nawet jeśli stanęłaby oko w oko z tym człowiekiem, świadomość tego, kim on jest i jakie

groźby usłyszała Alma z jego ust, wbrew pozorom nie przyspieszyłaby jej reakcji obronnej, opóźniłaby ją lub nie byłoby jej wcale. Znam ten mechanizm aż za dobrze.

Wstaję, bo Etna cała się trzęsie. Wiem, że stara się zgrywać silną dziewczynę, ale w sytuacjach takich jak ta wychodzi szydło z worka. Biorę ją w ramiona i wzdycham. To nie tak, że nic nie odczuwam w związku z informacją, że gość, którego szukam od lat, być może należy do rodu Rossich. Muszę mieć jednak pewność, a przede wszystkim działać w taki sposób, żeby nie popełnić błędu, bo te zawsze dużo kosztują.

– Obiecuję ci, że wszystkim się zajmę. Masz moje słowo, a wiesz, że jest ono dla mnie bardzo ważne. – Potakuje, wtulając się w mój tors. – Powiedz mi, czego dokładnie uczy cię Nino?

Unosi głowę i wpatruje się we mnie. Chcę zmienić temat, żeby już nie myślała o bombowym koleśiu, chociaż sam nie mogę doczekać się, aż przekażę to zdjęcie Ivo.

– Różnych rzeczy. Walki w stójce, w zwarciu i w parterze. Tłumaczy mi, jak działają poszczególne bronie. Nawet dał mi kubotan. Mam go przy kluczykach. Jak ktoś mnie napadnie, to go w niego wbiję i przekręcę. I jeszcze hiszpańskich słówek, jakby ojciec chciał sprawdzić, co potrafię, bo to taka przykrywka. – Uśmiecha się. – I nauczył mnie, jak wydostać się z bagażnika i otwierać kajdanki bez kluczyka. I powiedział, że jeśli ktoś będzie chciał mi coś zrobić, to mam wykorzystać swój osobisty wdzięk. – Unoszę brwi.

– W jakim sensie?

– Wiesz, jak sam niejednokrotnie wspominałeś, mam na nazwisko modliszka, co nie? – Boję się tego, tych słów, które

wydostaną się z jej ust. – I jestem dość ładna. To znaczy Nino powiedział, że piękna, ale ja tak o sobie nie powiem. – Rumieni się. – I na przykład mogę kogoś pocałować, żeby odwrócić jego uwagę i go unieszkodliwić. W ten sposób wykorzystam wrodzony wdzięk.

– Yhm.

Nie stać mnie na inny komentarz. I chociaż mam ochotę urwać temu samozwańczemu *nauczycielowi hiszpańskiego* jaja, to nie sposób się z nim nie zgodzić. Etna jest piękna. I jeśli kiedyś byłaby w przytoczonej przez siebie sytuacji, może, a nawet musi, zrobić wszystko, żeby wyjść z niej bez szwanku. Nie mogę powiedzieć, że jestem pewien, że nigdy się w takiej nie znajdzie. Pewnym można być tylko śmierci.

Ujmuję jej podbródek, żeby ją pocałować. Dziela nas milimetry, ale widocznie los, jak czuwająca przyzwoitka, ma inne plany. Z korytarza dobiega przeokropny pisk.

– Co jest? – pytam rozdrażniony.

Odsuwam się od Etny i wychodzę z gabinetu. Jak jakiś pieprzony tajfun przetacza się obok mnie coś sięgającego mi do pasa i nie jest to moja siostra. Chiara śmieje się w głos i zgina w pół. A rozpedzone coś w końcu się zatrzymuje. I jest to, kurwa, mała wersja Etny, z takim samym szatańskim błyskiem w oku. Cofam się i patrzę na swoją dziewczynę, która wzrusza ramionami i wychodzi na korytarz.

– Nie zdążyłam wspomnieć, że przyjechałam z rodziną.

– Co?

– Nie całą, spokojnie. – Poklepuje mnie po ramieniu. – Tylko z trzema siostrami.

– Efesto, przyjechała do mnie koleżanka i ma tyle lat co ja! – Chiara podbiega i wtula się w moją nogę. – Odwołasz dziś moje lekcje? Proszę. – Mocniej zaciska ręce na moich spodniach. – Chcemy iść na lody. Proszę, proszę.

– Proszę, proszę. – Mała Etna uczepia się mojej drugiej nogi.

– Zadzwoń do jej nauczycielki – mówię do Bernarda. – Rozlega się taki krzyk radości, że aż bolą uszy. – Powiedz, że dziś dodatkowe godziny włoskiego. – Mrugam do niego.

– No weź! – oburza się Chiara. – Mój brat żartuje, Liso – zwraca się do małej Etny. – On tak zawsze mówi, ale wie, że jestem taka mądra jak on i nie potrzebuję tyle nauki. Prawda? – Zerka na mnie z dołu, a ja potakuję.

– A gdzie reszta? – Rozglądam się.

– Niemowa ogląda telewizję, a ta z policzkami jak księżyc w pełni jest u Ferra – odpowiada Bernardo.

– Żadna niemowa! – oburza się Etna. – Tylko Isabella, a ta druga to Luna.

– Mówiłem. Księżyc. – Bernardo wzrusza ramionami.

Idę w stronę pokoju Ferra, bo nie podoba mi się to, że jest sam na sam z małą. A podobno był taki zmęczony. Etna biegnie za mną i łapie mnie za przedramię.

– Możemy iść do twojego pokoju? – pyta. – Pokażesz mi go?

– Po co? Jedyne, co jest w nim ciekawego, to wielkie łóżko, czyli nic, czym powinnaś być zainteresowana na tym etapie znajomości. – Zaplatam nasze dłonie. – Chyba że stwierdzisz do wieczora, że czujesz się już zdobyta. – Ściskam jej rękę i uśmiecham się szeroko. – To wtedy ci go pokażę.

– Ale mówisz o pokoju? Bo jakoś niepokojąco na mnie spojrzaleś.

Przecieram twarz ręką. Pokazanie jej pokoju to ostatnie, co mam teraz na myśli.

– Tak, o pokoju.

– A jest duży czy mały?

Wybucham śmiechem i pocieram kciukiem jej dłoń. Stajemy przed drzwiami Ferry, więc od razu wchodzę do środka. I dzięki ci, Naturo, za pakiet starannie wyselekcjonowanych genów. Siostra Etny siedzi na kanapie z otwartą buzią, a mój *mądry brat* robi coś. Trudno powiedzieć co dokładnie. I, do cholery, niech robi to dalej, bo to wielce odległe od wizji, jaką miałem w głowie.

Ferro skupiony na robocie nawet nie zauważa, że weszliśmy. Luna wydaje jakieś dźwięki i przewraca oczami, chcąc mu najpewniej dać znać, że nie są sami. Etna nie wytrzymuje.

– Co robicie? – Głos ma jakiś niepewny, ale może mi wierzyć, że bez względu na to, co wyczyniają, mogło być gorzej. To Ferro. Gdyby nie był „dentystą”, mógłby być „ginekologiem”.

Brat odwraca głowę i szczyrzy się na powitanie.

– Nitkowanie – informuje, a Luna szerzej otwiera usta.

– To obrzydliwe. – Etna się krzywi.

Ferro wzrusza ramionami.

– Ktoś musi, skoro komuś się nie chce. – Wskazuje ruchem głowy na Lunę. – Może i obrzydliwe, ale konieczne. Próchnica jest obrzydliwsza. Czego? – Patrzy na nas wyczekująco.

– Chcesz, żeby on ci gmerał w buzi? – Etna nie dowierza i podchodzi do siostry. Ta może i coś by odpowiedziała, ale Ferro przytrzymuje jej język.

– Chce, chce – odpowiada za nią, a Luna marszczy brwi.

– Chodź na słówko – zwracam się do brata. Wzdycha, ale odchodzi ze mną na bok. Uśmiecham się do Etny. Wszystko jest przecież w porządku. Patrzę na Ferra. – Dzieciaku, ona ma szesnaście lat. – Chcę go uświadomić, bo być może umknął mu ten drobny, kurwa, szczegół.

– Czyli idealnie. Ja jestem dzieciakiem, sam tak powiedziałeś – szczyrzy się – i ona też. To wszystko?

– Nie waż się dobierać do jej majtek. Nie żartuję.

Ferro kładzie rękę na klacie.

– Za kogo ty mnie masz. – Śmieje się. – Sprawdzam tylko stan jej uzębienia – unosi palec – i to nie językiem. – Przytrzymuję go za ramię. – Spokojnie. Zero inicjatywy z mojej strony. Nie wybieram się jeszcze – chrząka – na księżyc. – Wyrywa się i wraca do przerwanej czynności.

– Idziemy – mówię do Etny, a ona stoi i patrzy na mnie, jakby nie rozumiała prostego polecenia. – Nie będę cię prosił.

Wychodzę z pokoju. Mam zamiar pójść do Ivo. Słyszę trzaśnięcie drzwiami, więc się odwracam. Gdyby spojrzeniem można było zabijać, już byłbym martwy. Etna jest wściekła. Nie zdąży nawet do mnie podejść, a już celuje we mnie tym swoim chudym palcem.

– Co to miało być? Twój brat cię wkurza, a wyżywasz się na mnie – syczy. – Jakoś nieraz słyszałam, jak mówiłeś do mnie „proszę”, więc nie mów, że nie będziesz. – Marszczy brwi. – Albo bądź konsekwentny i rzeczywiście nie proś!

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – Kładę dłonie na jej biodrach i przyciągam do siebie. – Przypomnij sobie, w jakich sytuacjach o

cokolwiek cię proszę.

Wpatruje się we mnie.

– Niby w jakich, bo nie pamiętam. Jestem zbyt wkurzona, żeby myśleć. – Próbuje odciągnąć moje ręce.

– Proszę cię o cokolwiek tylko wtedy, gdy cię pieprzę, kochanie.
– Otwiera buzię. – Mam przestać prosić? – Przesuwa dłonie na moje ramiona. Może udawać zdziwioną, oburzać się i ciskać gromami, ale ta część mojej natury ją kręci. Tak jak mnie to, że udaje, że nie.

– Wiem, że po prostu nie chcesz mnie prosić przy innych ludziach – stwierdza. – To chociaż mów mi to na ucho. – Uśmiecha się lekko.

– Dopowiadaj to sobie w myślach. Wmawiaj sobie, że chcę to powiedzieć. – Śmieję się, a ona warczy. Obejmuję ją ramionami i wtulam twarz w jej włosy. Mija chwila i nie jest już naprężona jak struna. – Muszę iść do Ivo. Bernardo powie ci, gdzie urzęduje księgowy. Wypytaj go o wszystko, co cię interesuje, chyba że odpuszczasz temat?

– A chcesz, żebym odpuściła?

– I tak, i nie.

– Co to oznacza?

– Tak, bo nie jest to bezpieczne, zwłaszcza w obecnej sytuacji. Nie, bo będziesz żałować, że nie spróbowałaś. – Etna unosi wzrok i patrzy na mnie z wdzięcznością, a przecież jeszcze nie skończyłem. – Nie, bo każdy biznes, nawet ten, który nie przyniesie ci satysfakcji ani zysków, wynikających z pierwotnych założeń, przyda się, żeby wprowadzić do legalnego obrotu środki uzyskane z innych – robię cudzysłów w powietrzu – źródeł.

– Jesteś okropny – sapie. – Jeśli rzeczywiście byliby to nasze pierwsze spotkanie, to na pewno nie umówiłabym się z tobą na następne.

Śmieję się. Muszę przyznać, że moja wymarzona dziewczyna potrafi mnie rozbawić.

– Wiesz, że nie musisz?

– Serio?

– Wystarczy, że zwolnię twojego ojca z danego mi słowa. Nie odzyskam udziałów, ale twoja satysfakcja jest dla mnie najważniejsza. – Uśmiecham się. – Nie chcę, żebyś męczyła się z kimś tak okropnym całe życie. To dopiero byliby potworne.

Wykrzywia usta i wygląda, jakby zastanawiała się nad tym, co powiedziałem.

– Nie ma co robić zamieszania – stwierdza.

Śmieję się. Ona w życiu ode mnie nie odejdzie. Przyczepiła się na amen.

– Naprawdę, żaden kłopot. Jedno słowo.

– Nie, dziękuję. Daj mi spokój – mówi tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Na zawsze, czy w odniesieniu do tej rozmowy? – droczę się z nią, ale to nie jej dzień. Znów zaczyna drzeć jej broda. – Wiesz, że nie mówiłem poważnie? – Łapię ją za podbródek i patrzę w zaszklone od zbierających się łez oczy. – Okropny czy nie, tylko twój, płaczku. – Mruga, więc łzy spływają jej po policzkach. – A ty należysz do mnie...

Uderza mnie w klatę.

– Znów zaczynasz.

– A ty ponownie nie dałaś mi dokończyć. – Kręcę głową z dezaprobatą. – To już drugi minus, jaki dzisiaj zarobiłaś. Dostajesz go za to, że wchodzisz mi w słowo.

– Jak to drugi, a pierwszy niby za co?

– Powiem ci, ale musisz patrzeć mi prosto w oczy. – Przygryza wargę. – Muszę wiedzieć, co dzieje się tu – stukam ją palcem w głowę – a najlepiej widać to w nich. – Wskazuję na jej błyszczące ślepia.

– Dobrze, to słucham, za co ten minus. – Wyczekuje.

– Za to, że masz na sobie majtki.

Mruga wielokrotnie, otwiera usta, zamyka, uśmiecha się szeroko.

– Rety, myślałam, że coś strasznego powiesz, w sensie, że serio coś przeskrobałam. – Śmieje się z ulgą.

– A to nie jest poważne przewinienie? – Patrzą na nią z powątpiewaniem i obniżam głowę, żeby wtulić się w jej szyję. Przejeżdżam po niej szorstkim policzkiem. – Co z tobą, kotku?

Jej puls przyspiesza, a klatka piersiowa unosi się i opada w błyskawicznym tempie. Uwielbiam to, jak reaguje na każdy mój dotyk i słowo. To, jak niesamowicie się nakręca i jak puszczają jej hamulce. Jest gotowa unieść sukienkę na środku korytarza, pieprząc konsekwencje. Na szczęście jestem tu ja, głos pierdolonego rozsądku.

– Idź do tego księgowego – szepczę do jej ucha.

– Co? – sapie.

– Muszę porozmawiać z bratem.

Łapie za moje ramiona i lekko się odsuwa.

– No to ładnie mnie załatwiłeś – mówi z wyrzutem. –
Następnym razem nie zaczynaj z tymi majtkami – fuka.

– Podnieciło cię słowo „majtki”? – Masuję ją po karku, a ona
uśmiecha się podstępnie i wsuwa między nas dłoń. Przejeżdża nią
po moim rozporku.

– Podnieciło cię słowo „majtki”? – powtarza po mnie i udaje
zdziwioną.

– One są złe. – Nachylam się nad jej uchem. – Później się ich
pozbędziemy. Wiesz, gdy już cię zdobędę. – Etna chichocze.

Odsuwam się od niej i wyciągam z kieszeni zdjęcie, które chcę
dać Ivo.

– Mam teraz w takim stanie chodzić po twoim domu?

Patrzę na jej zarumienione policzki, zaciśnięte nogi i
wybucham śmiechem.

– Idę do brata, trzymając w dłoni zdjęcie przedstawiające
dwóch starych przyków, a fiut rozsadza mi spodnie. Chcesz się
licytować, kto ma gorzej? Sio! – Odganim ją ręką, a ona się
śmieje.

Morał z tego taki, że gdy moja dziewczyna jest za bardzo
rozluźniona, to moja *sytuacja* jest napięta.

ROZDZIAŁ 12

Mózg jak papka, nogi jak z waty i tysiące szpilek wbijających się w moją skórę. To konsekwencje zadawania się z Efestem. Otwieram ramiona, przygarniam je wszystkie, z pełną świadomością poddaję się każdej *torturze*, jaką mi funduje i nawet nie musi mnie prosić.

Zmodyfikowałam moją regułę. Brzmi teraz: „Zdobytaj mnie, Efesto”. W zasadach najlepsze jest to, że można je zmieniać. To mi pasuje. Dzięki temu, że dostosowuję ich brzmienie do swoich potrzeb, nie odczuwam ograniczeń. Mogę powiedzieć, że moja poprzednia zasada złamała mnie, zanim ja zdążyłam złamać ją. Stało się tak, bo Efesto zrozumiał ją zbyt dosłownie. Wiadomo, że nie chodziło mi o dystans w ścisłym znaczeniu tego słowa. W ogóle nie to słowo miałam nawet na myśli, gdy je wypowiadałam. Myślałam o bliskości. Chciałam powiedzieć: „Trzymaj się blisko, najbliżej jak się da”, a z ust wyszedł jakiś *dystans*.

Gdy Efesto wyjdzie w końcu od Ivo, powiem mu, że zmieniłam regułę. Nie będzie zadowolony, bo jest jeszcze bardziej restrykcyjna niż poprzednia. Oznacza ona, że musi mnie zdobywać całe życie, a nie raz zdobyć i już, wolne. Bo miłość to trud i pot, Efesto. I mnóstwo orgazmów.

I to właśnie przez niego, przez mojego potrafiącego mnie nakręcić kilkoma słowami chłopaka, nie do końca mogę uznać spotkanie z księgowym za udane. A może to jednak вина tego gościa? Czyjaś na pewno. Jedyne, co wiem, to, że złamałam prawo

jeszcze zanim zrealizowałam pierwsze zlecenie. Księgowy wspomniał o tym z pięć razy, a czy ja prosiłam o szczegółową analizę moich działań? Myślałam, że zajmie się liczeniem, a to jakiś filozof, szukający dziury w całym. Absurd pierwszy. Według niego nie mam łódek, więc albo on niedowidzi, albo ja widzę coś, czego nie ma. Nie ma dowodu zakupu – nie ma łajb. To ma być argument? Absurd drugi. Jeśli wydało się kasę, to trzeba udowodnić, skąd się ją miało. Jak magik sypał z rękawa nonsensami, więc wyłączyłam się, bo zaczęła boleć mnie głowa. Ocknęłam się, gdy wyciągnął dłoń, żeby uścisnąć moją. Dał mi umowy dla pracowników i powiedział: „Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. To będzie udana współpraca”. Przytaknęłam. Pewnie, że tak, o ile nie będzie wchodził mi w drogę i wymyślał jakichś *niby* obowiązujących praw.

Przeciągam się na kanapie i sięgam po czekoladkę z bombonierki, którą Isabella trzyma na kolanach.

– Skąd to wzięłaś? – pytam.

– Ojciec Efesta przechodził tędy, idąc do kuchni, a gdy wracał, po prostu mi to dał.

– Mówił coś?

– Nie, nic.

– A ty coś powiedziałaś, przywitałaś się chociaż?

– Nie. Wstydziałam się. – Wzrusza ramionami.

Cała Isabella. Każdy uważa ją za niemowę, bo wstydzi się otworzyć buzię, a gdy już coś mówi, to tak cicho, że nie sposób czasem zrozumieć, czy to słowo wydostało się z jej ust, czy jakiś bliżej nieokreślony twór.

– Cieszysz się, że cię tu zabrałam? Te są dobre. – Wskazuję na pralinę w kształcie serca. – Z pomarańczowym nadzieniem. – Sięgam po opakowanie i sprawdzam, jakie jeszcze są smaki. – Muszelki są z marcepanem, więc zostaw dla Luny. A ty lubisz te gwiazdki z wisienką, tak? – Oblizuję palce, a Bella potakuje. – To jak, podoba ci się tu? Nudzisz się? – Trzeba jej wierceć dziurę w brzuchu, żeby czegokolwiek się dowiedzieć.

– Bardzo.

– Bardzo się nudzisz, czy bardzo się podoba? – Śmieję się.

– Podoba. Jest spokojnie. I wszyscy są mili. A ty będziesz tu mieszkać? – Zerka na mnie. – Zazdroszczę – dodaje ledwo słyszalnie.

– Czasem będę, ale też na wyspie, bo kupię dla nas dom – zapewniam. – Tu też będziesz mogła przebywać, nawet codziennie.

– Naprawdę?

– A co to komu przeszkadza. – Wzruszam ramionami. – Kilka osób więcej nie robi różnicy.

– Tak powiedział Efesto lub jego tata? – Jednak wolę, jak nic nie mówi i nie zadaje trudnych pytań. – Wątpię, żeby nasz ojciec pozwolił codziennie przyjeżdżać.

– Powiem ci coś w tajemnicy. – Nachylam się nad jej uchem. – Porwę cię. – Isabella kręci głową z niedowierzaniem. – No co, myślisz, że nie jestem do tego zdolna?

Nie odpowiada, bo do domu wchodzi Niccolo. Gdy tylko mnie zauważy, już w holu zaczyna podśpiewywać głupią, wymyśloną przez siebie piosenkę:

– Etna przybyła, będą kłopoty, będą kłopoty...

– Pomyliło ci się, wcześniej śpiewałeś, że wybuchłam i będą trupki – poprawiam go.

Wchodzi do pokoju telewizyjnego i rzuca się na fotel.

– Żeby to nastąpiło, najpierw muszą być kłopoty – wymądrza się. – Osobiście tę część twojej osobowości lubię najbardziej. Nie jesteś flegmą.

– Czym?

– Jesteś przeciwieństwem flegmatyczki. Jesteś porywcza i emocjonalna. I oznaczasz kłopoty. To najważniejsze. – Szczerzy się. – Mogę? – Nachyla się, żeby wziąć pralinę.

– Gwiazdkę nie! – krzyczę. – To ulubiona Isabelli. – Wskazuję na siostrę.

– To prawda? – Niccolo zwraca się do niej, a ona przeczy. – Widzisz, nie ulubiona. – Wyciąga czekoladkę z opakowania i wrzuca sobie do ust. – Idę zjeść coś porządnego. Chcecie też? – Klepie się po brzuchu. – Przynieść wam coś do picia?

– Ja nie chcę – odpowiadam.

Niccolo nachyla się, bo Bella ma spuszczoną głowę.

– A cicha coś chce? – Siostra znów przeczy. Nicco śmiejąc się, zgarnia kolejną gwiazdkę i idzie do kuchni.

Przybliżam się do Isabelli i obejmuję ją ramieniem. To, że woli być tutaj i narażać się na dyskomfort, jaki wywołują interakcje z ludźmi, których nie zna, niż spędzać dzień w naszym domu, o czymś świadczy. O tym, że jest to dla niej i tak mniejszy stres. Siostra sięga po ulubioną czekoladkę i zanim zdąży ją przełknąć, bierze kolejną. Śmieję się i pocieram pokrzepiająco jej ramię.

– Przyniosłabyś mi to picie? – pyta i chowa twarz w dłoniach, wzdychając z frustracją.

Wstaję z zamiarem pójścia do kuchni, ale zauważam zbiegającego po schodach Efešta. Już mam otworzyć usta, ale zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, ubiega mnie.

– Będę za kilka godzin. Nie ruszaj się stąd.

Wybiega z domu. Mistrz. Do tego niereformowalny. Żadne: „Czy mogłabyś tu zostać?”. Ma tyle samo słów, co zdanie, które wypowiedział, a brzmi przystępniej. Oddycham. Spokojnie. Mam dużo czasu, żeby nauczyć go, jak być mężczyzną przyjemnym w obyciu. Na pewno mi się uda. Na pewno.

Niccolo siedzi przy stole w kuchni i je obiad. Gdy mnie zauważa, wskazuje ręką na wyspę kuchenną, na której stoi szklanka wypełniona sokiem.

– To dla niej – mówi z pełną buzią, a ja patrzę na niego pytająco. – Mam bardzo dobry słuch albo po prostu znam się na dziewczynach. – Przeciera usta serwetką. – Nie wyręczaj jej. Ani słowem, ani czynem. – Nawija makaron na widelec. – Posłuchaj mnie. Dobrze na tym wyjdiesz. A raczej ona dobrze na tym wyjdzie.

Biorę szklankę i wychodzę. Każdy w tej rodzinie zdaje się wiedzieć wszystko najlepiej. Ja to się w ogóle dziwię, że przetrwałyśmy tyle lat bez ich mądrości. Moje miejsce na kanapie zajęła Luna. Ona i Isabella to bliźniaczki dwujajowe. Różnią się nie tylko wyglądem, ale i charakterem. Są jak Słońce i Księżyc.

– Do której tu będziemy? – Luna robi balon z gumy do żucia i unosi koszulkę, żeby poprawić kolczyk w pępku.

– A co, chcesz już wracać? – pytam.

– Taaa, nuda.

– W pokoju Ferrera nie wyglądało, jakbyś się nudziła.

– Bo się nie nudziłam, dopóki twój facet nie zaczął się rządzić. Niech pilnuje swojego ptaka – prycha.

– Słucham?

– Dasz mi w końcu to picie? – upomina się Bella. Zapomniałam, że trzymam w ręce szklanekę z sokiem dla niej.

– Prącia, fallusa, penisa, siusiaka, czyli ptaka, Etno. – Luna uśmiecha się pod nosem.

Rzadko brakuje mi języka w gębie, ale przy niej wymiękam. Ona jest nie tylko przeciwieństwem Belli, ale każdej dziewczyny, którą znam, a pewnie nawet tych, które kiedykolwiek w życiu jeszcze będę mogła poznać. Znowu robi balon z gumy i nim strzela.

– Powiedz mu to, jak wróci, dobra? To samo, kropka w kropkę. – Odwzajemniam uśmiech.

– Jasne, że powiem. O ile jeszcze tu będę. I dodam, że ma nierówno pod kopułą, skoro myśli, że dziewiętnastolatek nie może całować prawie siedemnastolatki. O innych rzeczach nie wspominając.

– Co? Zaraz cię walnę!

– Gen tatusia – wypala. – Natury nie oszukasz.

– Pożałujesz.

Rzucam się na nią, a ona rechocze. Im głośniej się śmieje, tym więcej jej kudłów mam ochotę wyszarpać. Gryzie mnie w rękę. Bella zrywa się z kanapy i dokądś biegnie. Ta debilka ją przestraszyła! Odwzajemniam ugryzienie. Przewracam siostrę na plecy i ściskam dłońmi jej twarz. Gdy wbija pazury w moje ręce, mam ochotę przywalić jej z główki, ale zostaję złapana w pasie i odciągnięta.

– Spokój, kurwa! – wydziera się Niccolo.

– Nie lubię cię! – Luna patrzy na mnie i przeciera usta ręką, bo krwawi jej warga.

– Ja ciebie bardziej! – Tupię nogą.

Rozglądam się w poszukiwaniu Isabelli. Stoi z boku, obejmując się ramionami.

– Wszystko w porządku? – pytamy chórem z Luną.

– Nie powtarzaj po mnie.

– A ty po mnie – warczę, a w moich oczach zbierają się łzy. Patrzę na moją debilną siostrę, a ona na mnie.

– Kocham cię – mówię.

– Ja ciebie też – odpowiada, po czym podbiega, żeby się przytulić i wyciąga rękę, żeby przygarnąć też Belle.

– Ja pierdolę, to chore. – Niccolo masuje skronie. – Totalnie porąbane – dodaje.

Cóż. Zdaję sobie sprawę z tego, jak może wyglądać to dla przeciętnego obserwatora. Mimo to, kto jak kto, ale chyba Nicco nie powinien być zdziwiony. W końcu sam ma braci i wie, że nieraz trzeba się pokotłować, żeby móc się pogodzić. Przypomnieć sobie, że bez względu na wszystko te wkurzające, totalnie różniące się od siebie i od nas samych osoby, są nam szczególnie bliskie.

Wyswobadzamy się ze swoich uścisków. Wygładzam sukienkę, której przód wybrudził się krwią Luny. Jeszcze pół roku temu, gdybym oddała pożyczoną od Almy rzecz w takim stanie, czekałoby mnie kolejne kotłowanie. Teraz, niestety, nie. I to *niestety* jest w tym przypadku dosłowne. Dokładnie to mam na myśli.

Siedzimy na kanapie ściśnięte jak sardynki w puszcze. Niccolo zajmuje fotel, przełącza kanały w telewizji i sięga po pralinę. Tym razem decyduje się na taką w białej czekoladzie. Luna opiera głowę na moim ramieniu, a Bella wierci się niespokojnie. Jestem pewna, że też ma ochotę się poczęstować, bo zostały dwie jej ulubione, ale nie ma odwagi po nie sięgnąć. A przecież nie ma się czego wstydzić, bo Nicco i tak wpatrzony jest w ekran telewizora. Szturcham ją w bok i daję sygnały wzrokowe. Korci mnie, żeby podać jej bombonierkę, ale chcę udowodnić Niccolowi, że swoje rady może włożyć między bajki. Jestem przekonana, że mimo wielkiej chęci, przy nieznałomej osobie Bella nie odważy się na żaden ruch. Chociaż wolałabym, żeby to on miał w tym przypadku rację.

Wyczuwam spojrzenie siostry, więc odwracam twarz w jej stronę. Unosi brwi i wskazuje palcem na stolik, ale przeczę ruchem głowy. Jeśli czegoś chce, niech sama sobie to weźmie – powtarzam w myślach jak mantrę. I w końcu to się dzieje. Niemal bezszelestnie podnosi się z kanapy i nachyla nad stolikiem. Bierze w ręce bombonierkę tak wolno, jakby była uzbrojoną bombą. Chce mi się śmiać. Próbuje wyciągnąć czekoladkę, ale chyba przykleiła się od spodu. Podkłada palec pod plastikowe opakowanie i ją wyciska. Towarzyszy temu szelest. Nicco odwraca głowę w naszą stronę, a Isabella zamiera.

Do pokoju wparowuje Ferro, więc uwaga Niccola skupia się na nim. Nie dziwię się. Jego brat przeciera energicznie oczy i porusza się nerwowo. Wygląda, jakby miał alergię lub jakby przed chwilą płakał.

– A tobie co? – pyta Nicco.

– Zadzwoń do Bernarda, żeby już wracali z tych lodów – odpowiada.

– Dopiero co wyszli. – Niccolo się krzywi.

– Mają wracać, rozumiesz?! – Ferro kładzie dłonie na ramionach brata i nimi potrząsa. – Chiara nie może nigdzie wychodzić. Jak wrócą, Alessandro odwiezie twoje siostry do domu. Obudź Lunę. – Patrzy na mnie. – Ty też się stąd nie ruszasz. I idź do Ivo. Byle szybko. – Celuje we mnie palcem. – A my musimy porozmawiać. – Nabiera powietrza i ciągnie brata za rękę.

Nie wiem, po co mam iść do Ivo, skoro Efesto najpewniej przekazał mu wszystko, czego się ode mnie dowiedział. Ciekawość jest jednak silniejsza, zwłaszcza że Ferro wprowadził nerwową atmosferę. Nie rozumiem też, dlaczego mam się spieszyć.

– Przytrzymam głowę Luny, a ty się przysuń, żeby mogła się oprzeć na tobie – zwracam się do Belli. – Zaraz przyjdę.

Wspinam się po schodach. Nie mam pojęcia, w którym pokoju mieszka Ivo. Na piętrze zauważam dwóch roślących facetów.

– Przepraszam, gdzie jest pokój Ivo?

– A co kombinujesz? – Zerkają to na mnie, to na siebie.

– Słucham?

– Nie mów tak do niej. – Jeden z nich uśmiecha się pod nosem.

– Ferro mówił, że jego brat się wkurwia, gdy używa się tego słowa. Pytanie musi być sformułowane inaczej.

– Czyli jak?

– Nad czym dziś pracujesz, Etno?

Zakładają ręce na piersi, patrzą wyczekująco i uśmiechają się z wyższością.

– Nad antynomią dekompensacji nerwicowej i hipnopedii. Pragnę też pojąć sens filozofii wieczystej, żeby nie cechowała mnie inercja, bo jestem kompulsywna. – Otwierają gęby. Też mam ochotę to zrobić, bo za Chiny nie wiem, co oznaczają słowa, które wypowiedziałam. Gdy byłyśmy młodsze, razem z Alną rozmawialiśmy w ten sposób, bo wydawało nam się to zabawne. – Porozmawiamy o tym, czy powiecie, gdzie ten pokój? – Opieram rękę na biodrze.

– Wschodnie skrzydło, trzecie drzwi po prawej.

Super, to wszystko jasne. Mam nadzieję, że ruszę we właściwym kierunku, bo nie potrafię określić, gdzie jest wschód. Zawsze byłam w tym kiepska. Odwracam się od nich i robię kilka kroków, a oni się śmieją.

– Wschodnie – powtarzają chórem.

– A, usłyszałam zachodnie. – Uderzam się ręką w czoło i zmieniam kierunek.

– Teraz idziesz na południe. – Mają niezły ubaw. Patrzą na nich spode łba. – Dobra, dobra. – Jeden łapie mnie za ramiona i odwraca we właściwym kierunku. – Cały czas prosto. Trzecie drzwi po prawej. Czyli po tej. – Klepie mnie w prawą rękę.

– Wiem, która to prawa strona – warczę i ruszam przed siebie, bo to, czego może chcieć ode mnie Ivo, ciekawi bardziej niż wdawanie się w dyskusję z tą dwójką.

Podchodzę pod wskazane drzwi i pukam w nie kilkakrotnie. Uchylają się i zostają wciągnięta do środka. Ivo ma podkrążone oczy. Wygląda na wymęczonego i zestresowanego. Zauważam leżącą na jego kanapie otwartą walizkę. Podbiega do szafy i w pośpiechu wyciąga z niej ciuchy.

– Wyjeżdżasz gdzieś?

– Efesto już wrócił? – odzywamy się niemal jednocześnie. – Tak, muszę. Siadaj. I słuchaj, bo nie ma czasu. – Jest jakiś nakręcony. – Ty tu dziś śpisz, tak? – Nie czeka na odpowiedź. – Efesto ma problemy ze snem. Nie machaj lekceważąco ręką, bo to jest ważne, a on na pewno ci o tym nie powie – warczy. – Mój brat ma koszmary, odbija mu, nie ma nad tym kontroli. Nie zdarza się to często, ale kto wie, czy dziś nie jest ten dzień – nawija, nie dając mi dojść do słowa. – Jeśli przypnie się kajdankami do ramy łóżka, pod żadnym pozorem go nie odpinaj. Obiecaj. – Podchodzi do mnie i kładzie ręce na moich ramionach.

– Żartujesz sobie, tak?

– A wyglądam, jakbym to robił? Nie widziałaś go nigdy w tym stanie. Może cię udusić, zastrzelić, wyrzucić przez okno.

– Brzmi jakoś nieprawdopodobnie.

– A to rób, jak chcesz. Ja będę miał czyste sumienie, bo cię uprzedziłem. – Wrzuca do walizki kolejne ubrania. – Druga sprawa. Dałaś mu to zdjęcie. Posprawdzaliśmy wszystko, gość z bombą na skroni to Emanuel Rossi. Wnuk tego gościa ze zdjęcia. Ich familia już dawno się rozpadła. Pozostał tylko on i trzech jego synów. Najlepsze jest to, że on się wcale nie ukrywa, po prostu nie mieliśmy punktu zaczepienia. – Pociera twarz dłońmi. – Mamy jego numer telefonu. Efesto pojechał sprawdzić lokalizację.

– Sam?! – Niemal piszczę.

– On ma na tym punkcie świra. To jego być albo nie być. Dlatego ja bastuję. Nie chcę mieć na sumieniu ciebie, jego, mojej siostry. To się musi skończyć.

– Uciekasz? – Zrywam się na równe nogi. – Ja nic z tego nie rozumiem. Dlaczego ten gość chce mnie zabić?

– Dlatego, że jesteś ważna dla mojego brata. I tak, uciekam. Muszę, jeśli chcę żyć. – Zasuwa zamek walizki.

– To ciebie też ktoś chce zabić?

– Efesto mnie zabije! Czego nie rozumiesz?! – wydziera się. – Będę sprawdzał lokalizację Emanuela. Pomogę w tym jak mogę, ale nie wrócę już do tego domu. Nie próbujcie mnie namierzyć, bo się wam nie uda. Wszystko mam zaszyfrowane. – Zrzuca walizkę na podłogę i sięga po torbę z laptopem. – Uważaj na siebie, cześć. – Macha ręką.

Wychodzi w pośpiechu, trzaskając drzwiami. Nie ruszam za nim. Skupiam się i próbuję ułożyć to, co wiem w spójną całość, ale totalnie mi nie wychodzi. Nie, bo nie wiem, dlaczego Efesto miałby chcieć zabić swojego brata. Dlatego, że powiedział mi o dręczących go koszmarach? To jest powód, by uciekać z domu i nie chcieć już nigdy do niego wracać? Do pokoju wchodzi Ferro z Niccolem.

– Wyjdź stąd – nakazuje Ferro.

– Przyjdź, wyjdź. Zdecyduj się! – krzyczę poirytowana.

– Ivo! – wrzeszczy Nicco i idzie w stronę łazienki. Zagląda do środka. – Dokąd on poszedł?

– No, uciekł z domu i powiedział, żeby go nie szukać.

– Jak to uciekł? – dziwi się Ferro. – Którym wyjściem?

– A nie po to mówiłeś, żebym się pospieszyła, żeby zdążył mi o wszystkim powiedzieć i uciec, zanim wróci Efesto? I skąd mam niby wiedzieć, którym wyjściem? Czy ty w ogóle siebie słyszysz?

– Nie po to! Chciałem, żeby zdążył ci opowiedzieć o koszmarach. A ty pozwoliłaś mu, kurwa, uciec! I tak tu spokojnie

siedzisz?! Dlaczego go nie zatrzymałaś?

– A ty? – fukam wściekle.

– I jak to „o wszystkim”? Powiedział ci, co zrobił Efesto?! – Nicco zakrywa twarz dłońmi i warczy.

– Tak. – Patrzę na siebie. – Powiedział mi, że pojechał sam szukać tego gościa, który chce zabić mnie i Chiarę – mówię z wyrzutem, a oni wzdychają z ulgą. Z ulgą! – Więc nie miejcie pretensji, że w pojedynkę nie zatrzymałam waszego młodszego brata, skoro wasza dwójka nie fatyguje się, żeby pomóc Efestowi i siostrze. O mnie nie mówię, bo sama sobie dam radę ze wszystkim! – Znow to pieprzone drzenie brody. – A walcie się.

Chcę wyjść i podobnie jak Ivo trzasnąć drzwiami, aż zahuczy, więc to robię. Mam też ochotę uciec, ale na to akurat się nie decyduję. W pokoju telewizyjnym nie ma moich sióstr.

– Alessandro już je odwiózł. – Odwracam się na dźwięk głosu Bernarda. – A Efesto będzie za jakiś czas. Kazał mi przekazać kod do jego pokoju. Masz tam na niego poczekać. – Podaje mi kartkę. – Północne skrzydło i jedyne w tej części domu drzwi. – Unoszę brwi, a Bernardo się śmieje. – Dobra, przepraszam. Ochrona z pierwszego piętra opowiedziała mi pewną anegdotę o czterech stronach świata. – Uśmiecha się szeroko.

– Bardzo zabawne – kwituję, a Bernardo wskazuje gestem ręki, żebym szła za nim.

Nawet nie przypuszczałam, że ten dom jest taki ogromny. W życiu sama nie znalazłabym właściwego pokoju, chyba że miałabym odpowiednią motywację w postaci czekającego tam na mnie Efesta lub chociaż jego perfum. Jestem pewna, że tyle by wystarczyło, bo gdy byłam w ich drugiej rezydencji, w prowincji

Trapani, bez problemu zlokalizowałam jego apartament. Stajemy przed drzwiami. Na ścianie zamontowany jest panel dotykowy. Bernardo wciska odpowiedni kod.

– Niczego nie naciskaj w środku, żeby nie uzbroić alarmu. Nie baw się pilotami, przyciskami, niczym. Rozumiesz?

– Mówisz tak, jakbym przebierała tu nogami, nie mogąc się już tego doczekać. –Próbuję zamaskować zawód wywołany tym, że tak łatwo mnie przejrzeć.

Bernardo otwiera przede mną drzwi i odchodzi. Gdy przekraczam próg i wyczuwam zapach Efesta, zaczynam uświadamiać sobie, jak czują się fanki włamujące się do domów swoich idoli. Mam ochotę rzucić się na łóżko i wytarzać w jego pościeli, przechadzać się tam i z powrotem po dywanie, po którym na co dzień chodzi. Wejść do szafy i przesiąknąć zapachem jego ubrań.

Określając tę przestrzeń pokojem, można zostać posądzonym o niedopowiedzenie. To kilka połączonych ze sobą pomieszczeń. W głównym jest wielkie łóżko. I rzeczywiście przez ramę przełożone są niezapięte kajdanki. Ciekawe, czy Efesto wytłumaczy mi, dlaczego tak jest, jeśli nie wspomnę, że już wszystko wiem. A jeśli zapytam, to czy powie prawdę. Sprawdzę to. Materac przykryty jest śliską, czarną narzutą. Kładę na niej torebkę i szukam w niej spinacza do papieru. Rozsiadam się na łóżku, żeby przyjrzeć się zasadzie działania zapadki i blokady w tym konkretnym modelu kajdanek. Banał. Zatrzaszukuję jedną obręcz. Wyginam spinacz w taki sposób, żeby uzyskać kąt prosty i wkładam go w przeciwnym kierunku, niż jakbym używała kluczyka. Przyciskam drucik, przekręcając go jednocześnie w prawo, a gdy czuję opór,

zaczepiam o zapadkę i robię dźwignię. Gotowe. I proste. I dzięki, Nino.

Z głównego pokoju wchodzi się do innych pomieszczeń. Między innymi do garderoby, łazienki z ogromną wanną, z której grzechem byłoby nie skorzystać, mając taką możliwość. A także do dwóch nieco mniejszych pokoi. W jednym nie ma zupełnie nic. Pustka. W drugim jest telewizor, kanapa i kilka uschniętych kwiatków. Nuda.

Wracam do łazienki. Podłoga i ściany wyłożone są wielkimi, ciemnymi płytami. Mienią się, jakby zatopiony był w nich brokat. Tu podoba mi się najbardziej. Przekręcam kurek, żeby napuścić do wanny wodę i idę do garderoby. Szukam zwykłej koszulki, która nadawałaby się do spania. Długo mi schodzi, bo przy okazji wtulam nos w wiszące na wieszakach koszule. Wkładam rękę pod jeden z T-shirtów, żeby móc go wyciągnąć, nie burząc przy tym starannie ułożonej piramidki, i wyczuwam coś kanciastego. Nie byłabym sobą, gdybym nie sprawdziła, co Efesto tam ukrywa.

Wyciągam srebrne pudełko, na którym wytłoczony jest herb rodziny Selvaggio. Otwieram delikatnie i sprawdzam zawartość. Trzęsą mi się ręce, bo wiem, co to jest. Jestem stworzona do myszkowania, bo cudne rzeczy niemal same pchają się w moje ręce. Na dnie pudełka, w aksamitnych przegródkach, ułożone są obrączki, a nad nimi jest ON. Najpiękniejszy pierścionek, jaki było mi dane widzieć w życiu! Teraz nie tylko moje ręce drżą, ale i nogi. Chcę odłożyć pudełko tam, skąd je wzięłam, ale nie mogę. Nie wiem, może i jestem kleptomanką. Pomyślę później o skutkach i ryzyku bycia nią, ale na razie poprzymierzam te cudowności.

W pierwszej kolejności wyjmuję mniejszą obrączkę. Jest wspaniała, wykonana z białego złota, wysadzana drobnymi, przezroczystymi kamyczkami. Nie jestem w stanie powiedzieć, jakimi. Najważniejsze jest dla mnie to, że mienią się różnymi kolorami. Oglądam ją z każdej strony. Po jej wewnętrznej stronie jest napis: „Po kres...”. Biorę obrączkę Efesta, żeby zobaczyć, jaki ma grawer: „...związani przysięgą”. Czuję, jak moja broda wchodzi w fazę drzenia. „Po kres związani przysięgą”. Zaraz zemdleję. Przymierzam swoją. Wydaje się nieco za ciasna, ale może tak ma być. Większą odkładam na miejsce. Wyjmuję pierścionek. Różni się od obrączek tym, że jest z czerwonym kamieniem, takim samym, jaki osadzony jest w sygnecie Efesta. Również przymierzam i też jest za mały. Odganiem natrętą myśl, że te cudowności nie są przygotowane dla mnie, i pędzę do łazienki, bo przypominam sobie o odkręconej wodzie. W ostatniej chwili.

Próbuję ściągnąć pierścionek i obrączkę, ale nie jest to proste. W wyobraźni już widzę, jak odpadają mi palce, bo połasiłam się, żeby przymierzyć coś, czego nie powinnam. Ciśnienie wzrasta, przemienia się w panikę, bo Efesto może wrócić w każdej chwili. Zawsze wpakuję się w jakąś kabałę, ale jednocześnie pamiętam o tym, że mam fart. Namydlam dłonie, ale zanim zdążę sprawdzić, czy ten sposób zadziała, słyszę odgłos zatraskiwania drzwi. Jezu. W błyskawicznym tempie ściągam sukienkę i wskakuję do wanny. Zaciskam powieki. Udaję, że śpię. Serce wali mi jak szalone.

– Jesteś?! – woła Efesto, a ja nie odpowiadam.

Słyszę kroki, które nagle ustają. Jest tu i na pewno gapi się na śpiącą mnie. Czuję ciepło jego palców, gdy przykładają mi je do szyi.

– Nie śpisz – stwierdza. – Masz tętno, jakbyś biegała przez godzinę. – Uchylam powiekę i się uśmiecham. – Lub jakbyś coś przeskrobała. – Stoi nade mną. Najpierw patrzy mi w oczy, potem jego wzrok wędruje niżej i niżej. Uśmiecha się pod nosem. – Odwieszę ubrania i wrócę.

– Nie! – Zrywam się do siadu tak gwałtownie, że tworzy się fala i z wanny wylewa się trochę wody. Efesto przystaje w miejscu. – To znaczy nie – mówię spokojniej. – Musisz być bardziej spontaniczny. – Sama boję się tego, co mu doradzam. – Rzuć ubrania gdziekolwiek i po prostu tu wejdź.

– Dobra. Przesuń się.

Zaczyna się rozbierać, a ja zmykam na drugi koniec wanny. W międzyczasie próbuję zsunąć z palców błyskotki, ale nie mogę sięgnąć po mydło bez wystawiania rąk z wody. Efesto ściąga spodnie, a mnie robi się gorąco, mimo że nie pozbył się jeszcze bokserek i może nawet nie zamierza tego robić. Asekuracyjnie odwracam głowę i patrzę na niego dopiero, gdy jest już zanurzony w wodzie. Jestem zestresowana. Sama nie wiem, czym bardziej. Jego przytłaczającą obecnością, bo zajmuje w wannie tyle miejsca, że nie ma możliwości, żeby nasze ciała nie stykały się ze sobą, czy moim kleptomańskim występkiem.

Jego usta wyginają się w diabolicznym uśmieszku. Jestem pewna, że moje policzki płoną.

– Chodź tu. – Łapie za ramię, ślizgam się tyłkiem po dnie wanny, gdy przyciąga mnie bliżej. Unosi moje nogi, opiera je na swoich udach i patrzy prosto w moje oczy, mrużąc swoje. – Coś nie gra. – Kładzie dłoń na moim karku i przejeżdża kciukiem pod moim uchem, przyciskając pulsującą żyłę. – I nie chodzi o to, że

masz na sobie majtki. – Gdy to mówi, na jego twarzy nie dostrzegam cienia uśmiechu. Nie lubię, gdy ma takie skupione i chłodne spojrzenie. – Ktoś ci coś zrobił?

Cisza. Nie powiem mu o tych pierścionkach. Wyjdzie na to, że szperam w jego rzeczach. Chciałabym cofnąć czas. Również dlatego, że moje palce boleśnie pulsują zanurzone w gorącej wodzie.

– Co zrobiłaś? – Przeczesuje palcami włosy i głośno nabiera powietrza. Nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Wszystko gra. – Staram się brzmieć pewnie.

– Dalej. – Macha ręką, jakby chcąc mnie pospieszyć, a drugą mocniej zaciska na moim karku.

– Bo ja zrobiłam coś strasznego. – Mój głos jest piskliwy. Efesto od razu mnie puszcza i zakłada ręce za głowę, a jego skroń pulsuje.

– Dajesz.

– Nie, bo mi głupio i źle się z tym czuję.

– Daję ci trzydzieści sekund, kochanie – mówi spokojnie, ale widzę, jak napinają się jego mięśnie, gdy trzyma ręce w tej pozycji. – Przychodzi mi na myśl tylko jedna straszna rzecz, po której zrobieniu mogłabyś czuć się głupio i źle. Oby nie okazała się prorocza, bo nie wyjdiesz już z tej wanny. – Odsuwam się od niego. – Na własnych nogach, oczywiście. – Łapie mnie za nie i przysuwa z powrotem do siebie.

– Powiem tyle, że bolą mnie palce.

– Nie satysfakcjonuje mnie ta odpowiedź.

– No to przykro mi. – Unoszę brodę. – I żegnam. – Efesto uśmiecha się pobłaźliwie i przytrzymuje moje uda tak, że nie

mogę się podnieść. – Puścisz mnie?

– Jasne, że nie. Pokaż palce. – Chowam ręce za plecami.

– Nie chcę.

Efesto przysuwa się do mnie i szybkim ruchem oplata moją szyję ramieniem. Mam teraz głowę pod jego pachą. Drugą ręką rozplata zaciśnięte za moimi plecami dłonie i unosi je ponad powierzchnię wody. Wyginam się w przód i opieram czoło na jego klacie.

– Te pierścionki są za małe, dlatego bolą cię palce – stwierdza, jakbym o tym nie wiedziała. – Nie potrafisz ich ściągnąć, czy co? – Czuję, jak je uciska i odsuwa się lekko. – Wystaw dłonie. – Robię to, a on namydla palec, na którym mam obrączkę. – Mów, jeśli będzie bolało. – Potakuję. – Z powodu pierścionków zachowujesz się jak obłąkana? – Obrączka zostaje ściągnięta. Ukojenie, jakie odczuwam, jest nie do opisania. Efesto sięga po moją drugą dłoń.

– Nie zachowuję się tak, ale jeśli by tak było, mimo że nie jest, to tak. Z tego powodu.

Śmieje się.

– Co za pieprzona ulga.

– Dla mnie też, bo chciałeś mnie zabić. – Dźgam go palcem w klatę.

– Ja tak powiedziałem? – Patrzy na mnie z powątpiewaniem i ściąga w końcu pierścionek z mojego palca.

– Tak, że nie wyjdę z tej wanny na własnych nogach.

– I to według ciebie oznacza, że groziłem ci śmiercią. – Poklepuje mnie po głowie. – Trzeba powiększyć te pierścionki. Bernardo jutro się tym zajmie. – Przejeżdża ręką po mojej łydce, a na skórze pojawia mi się gęsia skórka. Odsuwam się, bo widzę, że

nie tylko moje ciało jest zdrajcą. Efesto nie ma na sobie bokserek. Nie zamykam oczu, chcąc mu udowodnić, że nie tak łatwo mnie speszyć.

– A wkurza cię to, że je wyszperałam i przymierzyłam? – Próbuję pociągnąć ten temat, żeby odwrócić jego uwagę od siebie. Uśmiecha się przebiegle, jakby mnie przejrzał.

– To nie, ale to, że poniosło cię na drugi koniec wanny już tak. – Łapie mnie za stopę. – Zmień kurs, żeglarko. Latarnia wskaże ci drogę. – Odgarnia pianę i przejeżdża dłonią po swojej męskości. I rety, mam ochotę uciec, gdy widzę ją w pełnej okazałości. Zaciskam powieki, a pomieszczenie wypełnia się śmiechem. W życiu nie otworzę oczu. Przenigdy. Woda faluje, czuję naprężający się mięsień łydki Efesta, gdy zapiera się stopą o ścianę wanny, lekko się o mnie ocierając. Jezu. Podnieca mnie nawet jego noga. Słyszę trudny do zidentyfikowania dźwięk, piknięcie.

– Otwórz oczy, to zobaczysz coś, co ci się spodoba. – Jasne, już ja wiem, co ma na myśli. W życiu. – Coś, czego się nie przestraszysz. – Znów się śmieje. – Coś małego, ale w dużych ilościach. No, dajesz, kochanie.

Uchylam powieki z pewną dozą niepewności i rozglądam się dookoła. Pomieszczenie rozświetlone jest tysiącami małych punkcików. Wyglądają jak gwiazdy na nocnym niebie.

– Ale pięknie – zachwycom się. – I romantycznie – dodaję.

– Yhm. Możesz zmienić barwę punkcików, jeśli chcesz.

– No pewnie! – Klaszczę. – A jak?

– Pilotem. – Uśmiecha się pod nosem.

– A gdzie jest ten pilot? – drążę temat.

– Za moimi plecami. Gdzieś go tam rzuciłem. – Zakłada ręce na piersi.

– To podaj.

Chwilę porusza ręką za plecami, jakby starał się zlokalizować przedmiot, ale mu się nie udaje.

– Mam za krótką rękę. – Wzrusza ramionami.

Podsuwam się bliżej niego i klękam, żeby zerknąć za jego plecy. Zauważam pilota sterującego oświetleniem.

– Pomogę ci, bo jesteś za daleko. – Łapie mnie z zaskoczenia w tali i unosi. Teraz klęczę w rozkroku, stykając się kolanami z jego biodrami. Moje piersi są na wysokości jego twarzy. I jest mi bardzo, ale to bardzo gorąco. Sięgam po pilota, a Efestó wsuwa rękę pod moje majtki i kładzie ją na moim pośladku.

– To jest podstęp – stwierdzam, a on się śmieje. – Mam nadzieję, że nie oszukałeś mówiąc, że da się zmienić kolor.

Biorę pilota, a Efestó sunie palcami po moich plecach i sprawnym ruchem rozpina stanik. Nabieram powietrza, gdy przenosi dłoń na moją pierś, lekko ją ściskając. To samo robi z pośladkiem. Mam wrażenie, że przyciski na pilocie dwoją się i troją, gdy przejeżdża językiem po moim sutku.

– Zmień w końcu to światło i ściągnij majtki. – W jego głosie słyszalne jest zniecierpliwienie. – Albo daj, ja to zrobię. – Odchyła się i wyciąga pilota z mojej ręki. Świetlne punkciki zmieniają barwę na fioletową. – Taki kolor może być?

– A są jeszcze inne? – Siadam na jego brzuchu, bo bolą mnie już kolana. Czuję, jak napina mięśnie.

– Nie, nie ma. – Robi zamach i wrzuca pilota do kosza na pranie. To samo robi ze stanikiem, który zaplątał mi się na

przedramieniu. Obejmuje moją twarz i przybliża ją do swojej. – Majtki, kotku. – Wsuwa kciuki za materiał. Unoszę najpierw jedną, a później drugą nogę i je zdejmuję.

Efesto przyciąga mnie do siebie, a gdy opadam piersiami na jego tors, głośno wzdycha. Ja zresztą też, bo to cudowne uczucie. Łapie mnie za biodra i przesuwają nieco niżej. Ocieram się bezwstydnie o jego podbrzusze. Czuję między pośladkami jego nabrzmiałą męskość i jestem pewna, że jeśli nadal będę to robić, to za chwilę zobaczę gwiazdy nie tylko na ścianie. Odwagi dodaje mi fakt, że w łazience jest dość ciemno i po prostu to, że nie potrafię nie odczuwać podniecenia, zapanować nad reakcjami ciała, gdy Efesto jest obok. Ja nie umiem tego zrobić. On panuje nad nimi za mnie. I to jest najgorsze, bo przytrzymuje moje biodra, uniemożliwiając wykonanie jakiegokolwiek ruchu.

– Spieszysz się gdzieś? – pyta beznamiętnym tonem, a ja unoszę głowę. Trochę niezręcznie patrzeć mi w jego oczy, gdy przed momentem chciałam go bez skrępowań wykorzystać, ale on zdaje się nie mieć z tym problemu.

– Może – odpowiadam buntowniczo.

Przyciąga mnie bliżej i odnajduje moje usta. Napiera na nie swoimi. Jego język wślizguje się między moje wargi. Ten pocałunek różni się od poprzedniego. Jest gwałtowny, a synchronizacja ruchów wydaje się niemożliwa, bo nasze języki nie chcą dać się usidlić nawet na chwilę.

Efesto zaciska dłoń na moim biodrze, wbijając palce w mój pośladek. Znow zaczynam na niego napierać. Mam ochotę unieść się na kolanach i zmienić pozycję, bo odczucia są tak intensywne, że samo ocieranie o jego podbrzusze nie przynosi mi oczekiwanej

ulgi. Chcę więcej, mocniej i pełniej. I akurat teraz, gdy mam tyle niezaspokojonych pragnień, zabiera rękę z mojego biodra, przestaje mnie całować. Nie wykonuje żadnego, nawet najmniejszego ruchu!

Patrzę na niego zdezorientowana.

– Jakiś problem?

– Nie. – Prostuję się i zakładam ręce na piersi. – Na pewno jest ktoś, kto zrobi mi... – Gryzę się w język, bo widzę, że Efesto mruży oczy i siada, przytrzymując mnie we wcześniejszej pozycji. Ma taki sam wyraz twarzy, jak wtedy, gdy zapytał: „Co zrobiłaś?”.

Siedzę na nim. Niemal stykamy się nosami. Odczuwam lekki niepokój, a jednocześnie podniecenie. Nie sądziłam, że te dwa doznania mogą iść ze sobą w parze.

– Dokończ, kochanie. – Uśmiecha się lekko, ale ja już znam ten uśmiech.

– To nieważne.

– Dla mnie ważne, dokończ. – Zakłada mi włosy za ucho. – Ktoś, kto zrobi ci obiad, krzywdę, a może ktoś, kto zrobi ci dobrze? – Już otwieram buzię, bo zdecydowałam się na obiad, ale Efesto przyciska palec do moich ust. – Zastanów się nad odpowiedzią. Potrafię poznać, kiedy kłamiesz.

– To trzecie. – Kładzie dłoń na mojej piersi. Na pewno wyczuwa, jak szybko bije mi serce. Delikatnie muska moje wargi.

– Powiedz to.

– Powiedziałam. – Efesto śmieje się gorzko.

– Całym zdaniem, kotku.

– Na pewno jest ktoś, kto zrobi mi dobrze – wzdycham. – Zadowolony?

– Bardzo.

Zatapia dłoń w moich włosach, zaciska je w garści i, ciągnąc za nie, odchyła moją głowę do tyłu. Cała się spinam.

– To trochę boli – mówię. Czuję jego oddech na szyi. Każdy włoszek na moim ciele się unosi.

– „To trochę boli, przestań” czy „To trochę boli, ale sprawia, że chcę cię natychmiast w mojej niegrzecznej cipce”?

– To drugie.

– Powiedz to. – Przejeżdża językiem po mojej szyi. Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej byłam tak podniecona, jak właśnie w tej chwili. Poruszam biodrami, ale przytrzymuje mnie ręką. Jęczę sfrustrowana.

– To trochę boli, ale sprawia, że chcę cię natychmiast w mojej niegrzecznej cipce. – Nie wierzę, że to powiedziałam.

– Jasne, że tak. – Kąsa zębami moją szyję. – A wiesz, dlaczego? – Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Biorę jego rękę, żeby ułożyć sobie ją między udami, a jego cichy śmiech trafia wprost do mojego ucha. – Dlatego, że to ja jestem tym kimś, który może zrobić ci dobrze. Jedynym kimś. Czy to jest dla ciebie jasne? – Mam już dość jego gadania. Sięgam dłonią za siebie i obejmuję jego penis. Efesto zasysa powietrze i opiera się o ściankę wanny. Obie dłonie zaciska na moich udach. Poklepuje mnie po nich. – Unieś się. – Gdy tylko to robię, zaczyna pieścić łechtaczkę. Nie jestem skrępowana tym, że na mnie patrzy. Wstydzę się jedynie poruszać ręką, którą mam za sobą. Boję się, że zrobię coś nie tak. Chciałabym zapytać, jak mam go dotykać, żeby sprawić mu przyjemność, ale to mnie przerasta. Przez to, że ciągle o tym myślę, nie mogę się skupić na pieszczotach.

– Co jest? – Efesto znów mruży oczy. – Zimno ci, dolać ciepłej wody? – Sięga do kurka.

– Nie o to chodzi. Powiem na ucho.

– Przecież tu nikogo nie ma poza nami. – Marszczy brwi.

– Ale i tak wstydzę się powiedzieć to głośno.

– Yhm. Coś bardziej wstydliviego niż „niegrzeczna cipka”. – Śmieje się cicho. – Dobra, dajesz.

Nachylam się nad jego uchem, a on kładzie dłonie na moim tyłku.

– Czy – szukam odpowiedniego słowa – a raczej jak mam cię dotykać, żeby było ci miło? – Prostuję się i zazenowana chowam twarz w dłoniach.

Efesto siada i odciąga moją dłoń, żeby położyć ją na swoim penisie. Tym razem znajduje się przede mną. Obejmuje moją rękę swoją, zaciska mocno i porusza nimi w górę i w dół.

– Na razie tyle mi wystarczy. – Całuje mnie leniwie w usta. Wciąż nie przestaje poruszać naszymi dłońmi. W końcu zabiera swoją i znów czuję się niepewnie, gdy opiera się o ściankę wanny i nie spuszcza ze mnie wzroku. Uśmiecha się lekko, przesuwa ręką po wewnętrznej stronie mojego uda, aż dociera do cipki. Niespiesznie zatacza na niej kółka kciukiem, zwiększając i zmniejszając nacisk. Przymykam powieki, poruszam biodrami. I, mimo że spodziewałam się, że wsunie we mnie palec, to i tak spinam się, gdy to następuje i mocniej zaciskam dłoń na jego męskości, bo dziś zrobił to śmielej. Otwieram oczy, a mój oddech przyspiesza. Wyślizguje się ze mnie i powoli z powrotem zanurza w moim wnętrzu. I tak bez przerwy. I nie spuszcza ze mnie wzroku. Ja też tego nie robię. Nie potrafię, gdy widzę w jego

oczach tę pewność, że jest dokładnie w tym miejscu, w którym chce być i z osobą, której pragnie najbardziej na świecie. Wiem, że w moich oczach widzi to samo, bo dokładnie to teraz czuję. Poruszamy się w jednym rytmie, a nasze oddechy stają się ciężkie. Jęczę i zaciskam mięśnie, bo wiem, że jestem już na granicy.

– Kończymy, kotku. Nie spuszczaaj ze mnie wzroku. – Obejmuje ręką moją twarz, napieram na niego i czuję, jak naprężają się jego mięśnie i podrygują biodra, gdy osiągamy spełnienie. Przyciąga mnie do siebie, układając moją głowę na swojej klatce piersiowej. Jego serce bije w szaleńczym tempie. – Jesteś genialna, kochanie. – Głaszcz mnie po włosach i plecach. Mam wrażenie, że zaraz zasnę. Jest mi tak błogo, a moje ciało jest nadwrażliwe na dotyk. Unoszę głowę i opieram brodę o jego tors. Efesto zerka na mnie.

– Nie zamknęłam oczu.

– Yhm. Wiedziałem, że ci się uda. – Uśmiecha się szeroko. – Wychodzimy. – Poklepuje mnie po tyłku.

– Nie mam siły – sapię. – Jeszcze trzęsą mi się nogi. – Wtulam się w niego. – I pewnie myślisz, że zapomniałam o swojej zasadzie, ale nie. Ja ją po prostu zmieniłam. – Śmieje się. – „Zdobywaj mnie, Efesto”. Tak teraz brzmi. Wytłumaczyć ci ją?

– Nie. Rozumiem ją.

Chwilę leżymy w ciszy, aż w końcu Efesto wyslizguje się spode mnie i wyskakuje z wanny.

– Nie wychodź – mówi. – Mamy tu powódź. – Wyjmuje z szafki kilka ręczników. Jednym przewiązuje się w pasie, a resztę rzuca na podłogę. Sięga po kolejny i staje przy wannie, rozkładając go. – Wstań.

Robię, o co *prosi*. Wynurzam się z wody. Jest mi bardzo zimno. Stojąc w wannie, zakrywam piersi, a Efesto patrzy na mnie, jakbym zgłupiała. Śmieje się, owijając moje ciało ręcznikiem. Energicznie pociera nim skórę, po czym bierze mnie na rękę. Piszczę zaskoczona i mocno obejmuję go za szyję. Wchodzimy do głównego pokoju.

– Już wiem, co miałeś na myśli mówiąc, że nie wyjdę z wanny na własnych nogach. – Dotykam jego policzka.

– Dokładnie to miałem na myśli. Rozgryzłaś mnie. – Uśmiecha się pod nosem.

Kładzie mnie na łóżku, więc wskakuję pod kołdrę, a Efesto siada obok i opiera się o zagłówek.

– Rozumiem, że przyjmujesz moje oświadczyzny, skoro założyłaś pierścione? – Odwraca się bokiem i mruży oczy, gdy na mnie patrzy.

– Tak, przyjmuję. – Obejmuję jego twarz dłońmi. Łasi się do nich i wzdycha. – Czy ty właśnie westchnąłeś z ulgą?

– Jasne, że tak.

– Bo się zgodziłam, a bałeś się, że nic z tego?

– Nie, kotku. Odczuwam ulgę, bo nie muszę robić tych wszystkich rzeczy, których nie chcę, a ty być może byś ich oczekiwała.

– Chodzi ci o serenadę i własnoręcznie napisany wiersz?

– Na przykład. To się nie uda. – Wzdryga się.

– Nie oczekuję, że będziesz śpiewał. – Śmieję się, bo minę ma nietęgą. – Ale możesz wygłosić krótką przemowę, wiesz, coś o miłości, a wtedy powiem: „Tak”. Coś takiego specjalnie dla mnie, niepowtarzalnego. Możesz nawet zapisać na kartce i przeczytać.

– Przecież już powiedziałaś: „Tak, przyjmuję”. – Marszczy czoło niezadowolony.

– Ale zaczęłaś drażnić temat i jednak wolę romantyczne zaręczyny.

Przeciera twarz ręką, a potem uśmiecha się szeroko, jakby właśnie wpadł na jakiś genialny pomysł. Jakby go olśniło.

– Kotku, mam. – Rozpiera go duma, gdy to mówi. – Wstawaj. – Sam zrywa się z łóżka i ciągnie mnie za sobą.

– Faktycznie romantyczny był ten rozkaz – sapię.

– A to dopiero początek. – Jest podekscytowany. Klęka przede mną. – Połóż dłoń na mojej głowie. – Robię to. Powoli zaczyna udzielać mi się jego rozemocjonowanie. Nikt jeszcze nie recytował dla mnie wierszy i nie wyznawał nieskończenie wielkiej miłości. – Patrz prosto w moje oczy. – Jestem pewna, że mam czerwone, rozgrzane policzki. Czuję ten gorący. Efesto chrząka. Niemal mam ochotę piszczeć i przebierać nogami w miejscu. Nabieram powietrza, gdy zaczyna: – Moje serce skąpane jest we krwi. I należy do ciebie. Krew spływa strużką aż do łokcia i kapie, barwiąc wszystko czerwienią. Trzymasz je w garści, Etno. Jeśli je upuścisz, zdepczesz lub zdradzisz, podając obcym na tacy, zabiję cię. Niewiele mogę ci obiecać, ale to na pewno. Zostaniesz moją żoną? – Spogląda na mnie z dołu. – Dlaczego jesteś taka blada? Też nie lubisz romantycznych rzeczy – stwierdza. – Mów, bo czuję, że rozwiązuje mi się ręcznik, a to przysięga miłości – uderza się pięścią w wypalony na klatce piersiowej herb – więc nie wypada być gołym.

To z całą pewnością najmniej romantyczne zaręczyny, ale totalnie rozczuła mnie to, że on uważa inaczej i że tak poważnie

do tego podchodzi. I rety, kocham go!

– Tysiąc razy „tak”!

– Jasne, że tak. – Uśmiecha się i wstaje, przytrzymując ręcznik w pasie. Drugą rękę kładzie na moim karku i przyciąga do siebie. Muska moje usta. – Wszystko idealnie? – Czuję, jak jego wargi rozciągają się w uśmiechu.

– Tak. Niepowtarzalnie wręcz. – Śmieję się cicho. Kątem oka zauważam te nieszczęsne, przypięte do łóżka kajdanki. – Zastanawiałam się, po co ci one. – Wskazuję na nie ruchem głowy. Ostatnie czego chcę, to zepsuć wyjątkową chwilę, ale to, co usłyszałam od Ivo, nie daje mi spokoju. Wyraz twarzy Efešta momentalnie się zmienia, ale nie zamierzam odpuścić. Jestem ciekawa, czy wyzna prawdę, czy dla swojej wygody wymyśli pokrętną historyjkę, byle tylko zakończyć temat. Kładę się na łóżku, a on siada obok mnie.

– Miewam koszmary, rzeczywistość miesza się ze snem. Dlatego.

– Każdy czasem jakieś ma – mówię i łapię go za rękę, chcąc dodać otuchy.

Śmieje się gorzko.

– Serio? Śni ci się czasem, że kogoś zabijasz? – Potakuję. – A gdy się budzisz, okazuje się, że to nie był sen? – Uśmiecha się pobłaźliwie. – Kotku, nic nie wiesz o koszmarach. Śpię zapięty. Tyle.

– Cieszę się, że powiedziałeś mi prawdę. – Ściskam jego dłoń, a on mruży oczy.

– Skąd wiesz, że to prawda?

Przygryzam wargę.

– Ivo powiedział mi o tych snach wcześniej niż ty. – Efesto kręci głową z niedowierzaniem.

– Zabiję go.

– To samo powiedział, dlatego uciekł z domu – dodaję, a on wybucha śmiechem. Patrzę na niego pytająco. – Co cię tak bawi? Powiedział, że macie go nie szukać. Wszystkie urządzenia ma zaszyfrowane, czy coś takiego.

– Zaszyfrowane. Kurwa! – Śmieje się jeszcze głośniej.

– Co w tym takiego śmiesznego?

– Wszystko? – Przeciera oczy dłonią. – A już na pewno to, że nosząc nazwisko Selvaggio, nie zdołał rozszyfrować zasad panujących w naszej rodzinie. A nie są one tak zaszyfrowane, jak jego urządzenia. Och, kurwa, kolejny *mądry brat*. – Efesto przysuwa się i wtula twarz w moją szyję. – Wiesz, jak mnie rozbawić, kotku. – Całuje mnie i odsuwa się nieznacznie.

– Nie rozumiem i tak.

– Nie ma tu nic do rozumienia. Jest przynajmniej pięć osób, które wiedzą, gdzie on jest. – Poklepuje mnie po dłoni. – I chuj kładę na te jego urządzenia. – Marszczę brwi. – Wybacz. – Uśmiecha się słodko i składa ręce jak do modlitwy. – Chyba że ludzi odpowiedzialnych za swoje bezpieczeństwo też zaszyfrował. – Czochra moje włosy. – Idziemy spać.

Podnosi się z łóżka i podchodzi do elektronicznego panelu, takiego samego jak ten, znajdujący się przed wejściem do pokoju. Naciska przyciski, do momentu aż rozlega się głośny, pojedynczy dźwięk.

– Aktywowałem czujki. Zawsze to jakieś dodatkowe zabezpieczenie – stwierdza niemrawo i odwraca się w moją stronę.

– Nie podchodź do okien ani do drzwi. – Potakuję. – Chyba że będziesz musiała. – Pulsuje mu skroń. – Wtedy zadzwoń do Bernarda lub Alessandra. Zapiszę ci ich numery. Naciskając przycisk znajdujący się nad zagłówkiem, połączysz się z ochroną. – Wskazuje na niego. – Zrób to wszystko. Jeśli zdołasz. Lub po prostu wyparuj. – Ściska nasadę nosa. – Ale nie będzie takiej potrzeby, bo będę zapięty. – Brzmi, jakby starał się przekonać samego siebie. Mruży oczy. – Nie, to bez sensu. Ubieraj się. Odwiozę cię do domu.

– Nie chcę. – Przyciskam narzutę do piersi. – Zapisz mi numery do nich. Przecież i tak niedługo jako małżeństwo będziemy spać razem. Chyba że nie chcesz? – Patrzę na niego wyczekująco, podczas gdy on otwiera szufladę i wyjmuje z niej kartkę oraz długopis. – A jaki jest kod, żeby wyjść samemu?

– Nie znam go. W przeciwnym razie wyszedłbym, gdybym zasnął niezapięty. Czy to nie logiczne? – Efesto sięga po telefon i krążąc po pokoju, próbuje się do kogoś dodzwonić. – Ferro i Niccolo nie odbierają, a Ivo jest zaszyfrowany. – Puszczą do mnie oczko, chcąc zapewne mnie rozbawić, ale na pierwszy rzut oka widać, że jest spięty. – Jutro powiedz im, żeby podali ci kod dezaktywacji alarmu od wewnątrz. Zapamiętaj go. Nigdy nie zapisuj. – Staje przy szafce nocnej. – Zostawić włączone światło? – Wskazuje na lampkę, ale przeczę, więc ją gasi i wsuwa się pod narzutę.

Przygarnia mnie do siebie i kładzie mi rękę na brzuchu. Po moim ciele znów rozchodzi się ten przyjemny dreszcz. Wtula twarz w moje włosy. W życiu nie zasnę, jeśli będzie mnie dotykał. To po prostu niewykonalne. Zatacza kółka wokół mojego pępka i

przesuwa dłoń niżej. Czuję jego oddech na włosach, gdy wsuwa ją między moje uda. Nabieram powietrza.

– A powiesz mi, co ci się śni? – pytam cicho.

– Nie. – Zabiera rękę, a ja żałuję, że nie potrafię trzymać języka za zębami.

– Dlaczego? Myślałam, że będziemy sobie mówić o wszystkim.

– Zaprzysiężony, we krwi zatracony, po kres związany przysięgą. Dlatego, kotku. Śpij już.

Odsuwa się. Słyszę odgłos zatrzaskiwanych kajdanek. Efestoz wdycha głośno i odnajduje moją stopę, dotykając jej swoją.

– To jakaś pieprzona tortura – burczy pod nosem, a ja się śmieję.

Wysłuchuję się w jego oddech. Zdaję sobie sprawę z tego, że to, co chcę zrobić, nie jest mądre. Wiem jednak, że nie przekonam się, czy mój plan zadziała, jeśli nie zdecyduję się na ten ruch. Isabelłę też dręczyły koszmary. Pamiętam, jak budziła się, co noc i krzyczała, jakby obdzierali ją ze skóry. Przeszło jej dopiero po serii wizyt u specjalisty i zastosowaniu odpowiednich technik psychoterapii. Jedną z nich była próba zmienienia treści snu na pozytywną i jego wizualizacja. W przypadku Efesty to odpada, bo nie chce zdradzić, co go dręczy, ale chcę sprawdzić, czy skuteczna okaże się druga metoda, która stanowiła dopełnienie terapii Belli. W jej przypadku zadziałała. Trochę to trwało i razem z siostrami chodziłyśmy niewyspane, bo musiałyśmy na zmianę pełnić wartę przy jej łóżku, ale było warto, bo w końcu mogła się wyspać. Podczas każdej z takich nocy, gdy robiła się niespokojna, dotykałyśmy jej ramienia, nogi, dzięki czemu lekko się wybudzała, ale nie odzyskiwała pełnej świadomości.

Efesto oddycha spokojnie.

– Śpisz? – pytam cicho, ale nie odpowiada. Rytm jego oddechu również się nie zmienia.

Wystawiam nogę spod kołdry i pomału przesuwam się na brzeg łóżka. Dotarcie do lampki nocnej kusi, ale włączenie jej, to zbyt duże ryzyko. Tak, jakby to, że mam zamiar rozkuć nadgarstki Efesta, nim nie było. Bezszelestnie, niczym wyborowy ninja, zsuwam się z materaca. Okrążam łóżko i schylam się po torebkę, z której wyciągam telefon. Jedyne źródłem światła jest jasna poświata padająca z wyświetlacza, ale daleka jestem od narzekania, bo bez problemu udaje mi się zlokalizować wcześniej używany spinacz. Wracam do łóżka i zamieram, bo Efesto porusza nogą. Wsłuchuję się w jego oddech, a gdy stwierdzam, że nadal śpi w najlepsze, z ulgą wypuszczam wstrzymywane do tej pory powietrze. Telefonem podświetlam okolice jego dłoni i delikatnie wsadzam spinacz w zamek. Poruszam nim do momentu, aż słyszę ciche kliknięcie, a obręcz się rozsuwa. Ręka Efesta bezwładnie opada na kołdrę. Zaciskam powieki w oczekiwaniu na to, co nastąpi, ale nic się nie zmienia. Śmielej rozpinam drugą obręcz, obejmując zawczasu nadgarstek i delikatnie odkładam jego rękę na narzutę. Pomału wślizguję się pod okrycie. I czekam. I bardzo mi się nudzi. Do czasu aż przekręca się na bok i zarzuca na mnie nogę i rękę. Ależ on jest ciężki! Przez chwilę, gdy rozsądek przemawia do rozumu, żałuję, że go odpięłam. Uświadamiam sobie, że gdyby rzeczywiście miał jeden z tych koszmarów, podczas których nie jest sobą, to nie miałabym najmniejszych szans na obronę. Obawy te mijają jednak tak szybko, jak się pojawiły. Efesto oddycha miarowo. Czuję ciepło

jego ciała. Chcę, żeby był wolny. Niespętany żelastwem. Będę czuwać całą noc i każdą kolejną, którą z nim spędzę.

Efesto wzdryga się niespokojnie. Mój puls przyspiesza, a w żołądku kielkuje zalążek niepokoju. Mimo to gładzę uspokajająco jego dłoń. Szybko zabieram rękę, gdy wyczuwam, że unosi swoją. Pociera nos i z powrotem ją na mnie zarzuca. Z takim impetem, że przez chwilę brakuje mi tchu. Czas mija. Mam wrażenie, że na moment sama przymknęłam oko, bo nie zarejestrowałam, kiedy Efesto zmienił pozycję. Teraz oplata mnie całym sobą. Tak jakbym była zrolowaną kołdrą, w którą się wtula. Splątał nasze nogi, jedną rękę wsunął pod moje plecy, drugą owinał wokół talii, a głowę ułożył na mojej klatce piersiowej. Jest mi gorąco i niewygodnie, ale wiem, że gdyby tylko się odsunął lub odwrócił do mnie plecami, natychmiast zatęskniłabym za jego bliskością. Wolę być w tym cudownym, ciepłym kokonie i nie wychylać z niego nosa.

Ziewam i mrugam energicznie. Nie mogę zasnąć. Nie mogę.

Oddychamy w jednym rytmie. Mam wrażenie, że gdy unosi się moja klatka piersiowa, on też wtedy robi wdech. Idealna synchronizacja. Do czasu, aż coś się zmienia. Do chwili, w której słyszę tylko jeden oddech. Mój. Plecy Efešta nie poruszają się. Skóra przy skórze. Dudnienie jego serca. Tak mocno tłucze się w piersi, jakby chciało rozerwać żebra i wydostać się na zewnątrz. Przez chwilę jest bardzo zimno. I nagle bardzo gorąco. Parzy mnie szyja, gdy zaciska się na niej silna dłoń. Nie mogę złapać oddechu. Nie jestem w stanie przełknąć śliny. Naprężam palce stóp. Otwieram oczy i od razu mam ochotę je zmrużyć, bo razi mnie poranne światło.

– Nie zamykaj ich, kurwa.

ROZDZIAŁ 13

Zakładam ręce za głowę i opieram się o zagłówek. Nie pamiętam już, kiedy byłem tak bardzo wyspany. I nie wiem, kiedy ostatnio tak wielki wkurw rozsadzał mi czaszkę. Niektórzy ludzie to są jednak głupi. Podtrzymuję swoje zdanie. Nie muszę daleko szukać. Podręcznikowy przykład głupoty siedzi na dywanie z nogami przyciśniętymi do piersi i masuje sobie szyję. I ryczy. I żyje.

Bo ma pieprzonego farta.

Przeciera nos przedramieniem, a gdy nasze spojrzenia co jakiś czas się krzyżują, ucieka wzrokiem i wykrzywia twarz w grymasie. Robi to, bo jestem straszny i niedobry. A, i niemiły. I nie chce się jej na mnie patrzeć, bo wielki ze mnie chuj. To jej słowa. Darowałem jej życie, a ona nazwała mnie *wielkim chujem*. To jest wdzięczność w wydaniu Etny La Mantide.

Od razu, gdy tylko otworzyłem oczy, wiedziałem, że coś nie gra. Było mi za gorąco. Szybko zorientowałem się, jaki jest powód tego ukropu. Ponownie ona. Etna. Oplotła mnie nogami i rękami, przycisnęła do mnie totalnie nagie, proszące się o pieprzenie, miękkie ciało, a moją głowę przytrzymała wewnętrzną stroną przedramienia na swojej piersi. Wsłuchiwałem się chwilę w jej równomierny, spokojny oddech, w bicie serca. Wsunąłem rękę pod jej niesamowicie seksowny tyłek, chcąc ją obudzić w najlepszy z możliwych sposobów i wtedy to do mnie dotarło. Moja dłoń ściskająca jej pośladki. Nieprzypięta. I słowa Etny dudniące w

głowie. „I nauczył mnie, jak otwierać kajdanki bez kluczyka”. Nino – pieprzony nauczyciel hiszpańskiego.

Ścisnąłem ją za gardło tak mocno, że momentalnie napięła każdy mięsień. Pragnąłem zobaczyć w jej oczach ten przeblysłk dezorientacji. I go dostrzegłem. Nie wiedziała, czy ma do czynienia ze strasznym, niedobrym i niemiłym mną, czy z moim sennym alter ego, pragnącym zmiażdżyć jej krtań, bez żadnych, nawet najmniejszych skrupułów. Zaskoczyłem ją, ale ona mnie także, bo przez moment również nie wiedziałem, czyje oczy się we mnie wpatrują. Przerażone, ale ciepłe spojrzenie Etny mówiącej: „Kocham cię”, a chwilę później wzrok zdeterminowanej zimnej suki i taki cios kolanem w jaja, że najpewniej obudziłbym się z twardego zimowego snu, gdybym w takowy zapadł.

Obrzuciła mnie różnymi, niewyszukanymi epitetami i od tamtej pory siedzi obrażona na dywanie, bo oczywiście ma powód.

– Nie patrz na mnie – burczy.

– Ponieważ?

– Bo cię nie lubię. – Pociąga nosem.

– Ale kochasz. – Uśmiecham się, a jej drży broda.

– Powiedziałam tak, żeby odwrócić twoją uwagę. – Przewraca oczami. – I co? Przykro ci teraz? Boli cię serce, tak jak mnie szyja? – pyta buntowniczo.

– Nie, kotku. Ustaliliśmy już, że go nie mam. Bolą mnie jedynie jaja. A ty ciesz się, że czujesz ból, bo to oznacza, że żyjesz. Nigdy więcej tego nie rób. Nie odpinaj mnie.

– Mogę robić, co zechcę! – wrzeszczy z irytacją. – Sam powiedziałeś, że nie da się stąd wyjść, więc nikt z domowników by nie ucierpiał. Nie decyduj za mnie! – Celuje we mnie palcem.

– Jesteś pewna, że nikt?

– Ewentualnie ja, jakbyś mnie zabił, ale to moje ryzyko. – Zakłada ręce na piersi.

Śmieję się gorzko. Nie mam do niej siły. Coś czuję, że niedługo do moich *mądrych braci*, dołączy *mądra żona*.

– Ustaliliśmy już, że mnie nie lubisz ani nie kochasz, więc nie jestem dobrym przykładem – znów drży jej broda – ale na pewno zależy ci na twoich siostrach. Wyobraź sobie, że tracisz jedną z nich. Na zawsze. Już jej nie ma. Wyobraziłaś sobie to? – Potakuje.
– Czujesz coś w związku z tym faktem czy nic?

– Jak o tym myślę, to aż brakuje mi tchu – wydusza z siebie.

– Z całą pewnością są osoby, którym także go brakuje, gdy wyobrażą sobie, że coś mogłoby stać się tobie. – Wpatruję się w nią i sędzę, że wie, kim są ci ludzie. – Ryzyko twoje, ale pole rażenia konsekwencji jest ogromne, więc zastanów się następnym razem, mądra osobo, zanim wpadniesz na kolejny genialny pomysł. Czy to jest dla ciebie jasne?

– Są czasem sytuacje, gdy trzeba zaryzykować i tyle. – Unosi hardo brodę.

– Pewnie, ale to nie była jedna z nich. Uwierz mi. Wiem, co mówię. – Pociera oczy. – Nie rób nic bez mojej wiedzy. Chyba nie myślisz, że moje koszmary ot tak znikną. – Kręcę głową z niedowierzaniem. – O ile kiedykolwiek.

– To chociaż zgódź się nad tym popracować, bo, bo – jąka się – było mi miło, gdy mnie obejmowałaś i chciałabym tak ciągle, bo, bo – nabiera powietrza – ja cię jednak lubię i Kocham. – Pochlipuje. – I przepraszam. – Patrzy na mnie. Wyciągam do niej rękę.

– Chodź tu. – Od razu zrywa się z podłogi i wskakuje na łóżko, wtulając się we mnie. Odsuwam ją lekko, żeby przyjrzeć się jej zaczerwienionej szyi. Całuję ją. – Ja ciebie też – stwierdzam.

– A co konkretnie? Lubisz, kochasz, czy przepraszasz? – Wpatruje się we mnie błyszczącymi ślepiami.

– Te trzy.

Uśmiecha się zadowolona i opiera głowę o moje ramię, ale tylko na chwilę, bo na jej telefon przychodzi wiadomość. Odchyła się, żeby po niego sięgnąć i marszczy nos.

– Jadę dziś na wyspę – stwierdza krótko, czym wprawia mnie w osłupienie. – W południe, bo o dziesiątej mam wizytę u ginekologa. – Rzuca mi przelotne spojrzenie. – Czeka, odpiszę.

– Komu?

– Oscarowi. Napisał, że syn drukarza chce się ze mną spotkać. On robi mi stronę internetową i być może go zatrudnię, ale jeszcze nie zdecydowałam – nawija. – Potem nie mam już planów, ale wrócę późno, pewnie w nocy. A ty co będziesz dziś robić?

– Jadę z tobą.

– Nie potrzebuję niańki! – burzy się od razu.

– Ale ja potrzebuję. – Przyciągam ją do siebie, a ona się śmieje. – I tak mam tam sprawę do załatwienia w związku z tym spalonym lokalem. Miałem jechać w przyszłym tygodniu, ale przełożę na dziś. – Wtula się we mnie. – Bernardo cię odwiezie, a potem przyjedź z Ninem.

– Ojciec się nie zgodzi. Przyjadę z Alessiem – stwierdza.

– Nie. Powiedz mu, że go o to proszę. – Robię cudzysłów w powietrzu. – Musi być przy tobie ktoś z głową na karku.

– Czy ty właśnie skomplementowałeś Nina? – W jej głosie słyszalne jest niedowierzanie.

– Nie. Stwierdziłem po prostu fakt. Zbieraj się.

Wstaję z łóżka i idę do garderoby, żeby się ubrać. Przy okazji sprzątam leżące na podłodze pudełko z obrączką. Zapinam koszulę i wracam do pokoju. Etna jest już gotowa do wyjścia, siedzi na skraju łóżka i przygląda się swoim paznokciom.

– Mam pytanie.

– Dajesz – odpowiadam.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy znaleźliście Almę? – Kiwam głową. – Myślisz, że twój kolega mówił poważnie, gdy powiedział mojej siostrze, że zostanie jego żoną?

– Jasne, że tak.

– Tylko, że ona nie chce. – Patrzy na mnie wyczekująco.

– Rozumiem.

Wyciągam telefon i piszę wiadomość do Bernarda. Z łazienki zgarniam pierścionki, żeby od razu mu je przekazać, gdy przyjdzie otworzyć drzwi.

– Możesz rozwinąć swoją wypowiedź?! – Etna się unosi.

– Rozumiem. Nie interesuje mnie to. Lepiej? – Już otwiera buzię. – I ciebie też nie powinno.

– Będzie! – Podrywa się z łóżka. – Jakiś Yeti nie będzie się rządził i decydował. – Gestykuje żywiołowo.

– Jaki, kurwa, Yeti?

– No ten twój kolega. Jak on ma na imię?

– Mephisto?

– Nie chodzi mi o tego psychopatę od Gottich! – wrzeszczy. – Chodzi mi o tego bohatera z lasu, który ją uratował. – Przewraca

oczami.

– Czyli o Mephista. I zważaj na słowa. – Siadam na skraju łóżka i schylam się, żeby zawiązać sznurówki, a ona sapie nad moim uchem.

– To masz dwóch kolegów o takim imieniu?

– Skąd ten wniosek? Jednego, kotku. – Prostuję się i obserwuję, jak jej twarz zmienia kolor. Zaciska dłonie na sukience. – Twoja siostra będzie żoną Diabła. – Mruga szybko. – Tego bohatera z lasu, który ją uratował. – Przytaczam jej słowa i uśmiecham się pod nosem.

– Nie mogę w to uwierzyć – sapie.

Wciągam ją na kolana. Siedzi na nich bokiem i patrzy przed siebie jak zaczarowana. Przejeżdżam dłonią po jej odsłoniętym udzie i wsuwam rękę pod sukienkę.

– Tak jak ja w to, że nie masz na sobie majtek. – Zaglądam jej w dekolt. – I stanika. – Wierci się na moich kolanach. – Ale fakt pozostaje faktem.

– Specjalnie próbujesz odwrócić moją uwagę. – Łapie mnie za przedramię i obdarza gniewnym spojrzeniem.

Śmieję się gorzko i zrzucam ją z kolan. Wkurza się.

– Wytłumacz, bo nieszczęśliwie nie rozumiem. Uwagę od czego? – Mrużę oczy. – Od tego, co nie jest twoją sprawą, twoim zmartwieniem, twoim, kurwa, niczym? – Otwiera usta. – Czy tobie naprawdę trzeba wszystko tłumaczyć w taki sposób? – Nie spuszczam z niej wzroku. – Powtarzam ci po raz kolejny – syczę. – Nie uszczęśliwiał nikogo na siłę, bo źle na tym wyjdiesz.

– Powiem jej, jaki on jest – burczy. – Brutalny, bez skrupułów i żeby na niego uważała.

Śmieję się gorzko.

– Yhm. Czy to nie dzięki tym dwóm cechom twoja siostra jest dziś w domu? – Etna znów otwiera buzię. – Po raz ostatni mówię ci, żebyś ważyła słowa. Jeśli nie masz o kimś do powiedzenia czegoś miłego, to lepiej w ogóle się nie odzywaj. W tym przypadku szczególnie. To nie jest człowiek, któremu plujesz w twarz, a jedyną jego reakcją jest nerwowy śmiech. To nie ten, kurwa, typ. – Sądząc po wyrazie twarzy, nie podoba się jej to, co słyszy. Bywa. – Temat uważam za wyczerpany.

Podnoszę się z łóżka w momencie, w którym drzwi do pokoju się otwierają, a w progu staje Bernardo. Biorę Etnę za rękę i ciągnę ją do garderoby. Stawia opór, bo pewnie znów jest obrażona. I zapewne ponownie ma powód. Wyjmuję z szafy obszerny sweter i wciskam jej w ręce, ale go nie przyjmuje.

– Załóż to.

– Nie, dziękuję. – Unosi brodę, więc ją w nią całuję. Etna uśmiecha się lekko. Wiedziałem, że to zadziała. – Wciąż nie, dziękuję – mówi przekornie.

Sięgam po stojące na szafce perfumy i spryskuję nimi sweter. Podaję jej go.

– A teraz?

– Tak, poproszę. – Szczerzy się.

Wkładam jej sweter przez głowę, a ona wsuwa ręce w rękawy. Podwijam je i przyciągam ją do siebie. Przywiera do mnie całym ciałem, staje na palcach i przyciska usta do moich. Wkładam dłoń w jej poplątane włosy i pogłębiam pocałunek. Jęczy cicho, kładzie dłonie na moich przedramionach i cofa się o krok.

– Za gorąco mi w tym swetrze. – Bierze materiał między palce, naciąga go i dmucha sobie w dekolt.

– Jednak go zdejmij. – Przyciągam ją ponownie. Śmieje się i kręci głową z niedowierzaniem.

– Nie, bo już wychodzę. Nie chcę się spóźnić, a jeszcze muszę podjechać do domu, żeby się wykąpać i przebrać.

Kładę dłonie na jej tyłku i unoszę, sadzając na komodzie.

– Rozłóż nogi, kotku – mówię, zatapiając twarz w jej włosach. Próbuje ześlizgnąć się z blatu, ale przytrzymuję ją w talii.

– Nie ma mowy – wzbrania się. – Lekarz pozna, że coś robiłam i będzie obciach.

Nie ukrywam rozbawienia.

– To niedorzeczne.

– Dla mnie dorzeczne i do widzenia. – Całuje mnie szybko w policzek i zeskakuje z komody. Wychodząc z garderoby, maksymalnie naciąga sweter.

Ruszam oczywiście za nią, bo na pewno zaraz ją przekonam, że są sprawy ważne i ważniejsze, ale nadgorliwy Bernardo wciąż stoi w progu i czeka, chuj wie na co.

– Będę jeszcze potrzebny? – pyta.

– Tak – wzdycham. – Odwieź ją do domu. Zadzwoń do Salvatora z wyspy Levanzo, poinformuj, że będziemy dziś u niego i podjedź do jubilera powiększyć te pierścionki. – Wyciągam je z kieszeni i mu podaję. – Daj mu jakiś na wzór – zwracam się do Etny, na co potakuje i podchodzi do mnie. Unosi głowę i zamyka oczy. – Co robisz?

– Czekam, aż mnie pocałujesz. – Wciąż nie otwiera oczu.

Parskam śmiechem.

– Obejdzie się, kotku.

Kładę dłonie na jej ramionach, odwracam ją w stronę wyjścia i lekko popycham ku drzwiom. Zdziwiona odwraca głowę.

– To niedorzeczne – stwierdza.

– Dla mnie dorzeczne i do widzenia.

Fuka i wychodzi wzburzona. Zasada wzajemności właśnie zebrała zniwo. Sięgam po marynarkę i opuszczam pokój. Przemierzam korytarz i zatrzymuję się, widząc, że Ferro ściąga ze ściany zdjęcia matki.

– Co robisz? Znów łzawe wspominki? – pytam, a on podskakuje w przestrachu. Łapię go za ramię, chcąc, żeby się odwrócił.

– Będzie malowanie, więc ściągam – odpowiada, ale nawet nie patrzy mi w oczy. – Nie przeszkadzaj mi – sapie.

– Dlaczego masz takie plamy na twarzy i szyi? – Unosi wzrok.
– Chryste, masz na coś uczulenie? – Robię krok w tył. Jego powieki wyglądają, jak napompowane poduszcзки, a gałki oczne są przekrwione. – Dobrze się czujesz?

– Nigdy nie czułem się gorzej. – Macha ręką. – Przejdzie, zajmij się sobą. – Odwraca się i sięga po kolejne zdjęcie. Opieram się o ścianę, bo nie zamierzam odpuszczać. Jego twarz robi się coraz bardziej czerwona.

– Ty ryczysz? – pytam i nie czekam na odpowiedź, bo przecież widzę, że tak. – Z powodu matki? Tęsknisz za nią – stwierdzam. – Musisz wiedzieć, że byłeś jej ulubionym synem i bardzo cię kochała. Lubiła czytać ci bajki o takim pechowym strażaku. Na pewno nad tobą czuwa. Lepiej ci?

– Tak, mistrzu pierdolonego pocieszenia.

Uśmiecham się. Od razu widać, że mu lepiej i że wstąpiła w niego nowa energia, bo szybciej ściąga zdjęcia. To mocno przykre, być takim rozchwianym emocjonalnie mężczyzną. Poklepuję go po plecach i zbiegam po schodach.

Mam przypuszczenie graniczące z pewnością, że Ferro już wie. I pewność całkowitą, że Ivo ma przejebane.

Wchodzę do kuchni. Od progu uderza we mnie zapach oregano. Nie znoszę go. Kojarzy mi się z nią. Z matką. Podchodzę do kuchenki, przy której stoi Niccolo. Miesza coś w garnku, więc zerkam mu przez ramię.

– Sos pomidorowy z oregano – informuje. – Siadaj, zaraz będzie gotowe.

– Dla mnie sam makaron, bez tego sosu – uprzedzam.

– W drugim garnku jest bez oregano. Pamiętałem, że nie lubisz. – Przyglądam się jego profilowi. Nerwowo zaciska żuchwę.

– Zuch brat. – Uderzam go ręką w plecy, aż cały się spina, więc idę za ciosem. – Pewnie mama ucieszyłaby się, że korzystasz z jej przepisów. – Przystaje poruszać łyżką w garnku. I milczy. Wiadomo. Postanawiam zinterpretować to na opak, bo wiem już, w co gramy. – Tęsknisz za nią – stwierdzam. – Musisz wiedzieć, że byłeś jej ulubionym synem i bardzo cię kochała. Lubiała czytać ci bajki o takim pechowym strażaku. Na pewno nad tobą czuwa.

Nabiera powietrza i wypuszcza je z sykiem. Wyłącza palnik. Nakłada na talerze makaron, dodaje odpowiedni sos i stawia przede mną moją porcję, a sam zajmuje miejsce naprzeciwko. Unosi głowę.

– Zawsze powtarzasz to samo – stwierdza fakt. – Tak, jakbyś nauczył się tej formułki na pamięć. Słowo w słowo przez lata to

samo.

Śmieję się.

– Prawda. Smacznego. – Nawijam makaron na widelec.

– Ale co jest prawdą? To, że nauczyłeś się formułki, czy po prostu prawdziwa jest jej treść? – Patrzy na mnie wyczekująco. Jego nietknięte jeszcze jedzenie stygnie.

– W innej sytuacji powiedziałbym, że to drugie. W zaistniałej, oczywiście, pierwsze. – Uśmiecham się pod nosem. – Dobrze. – Wkładam jedzenie do ust i stukam widelcem w talerz.

– Co to znaczy w obecnej?

– Już tłumaczę. – Unoszę palec. – Tylko przeżuję – mówię z pełną gębą. – Obecna chwila to ta, w której otwieracie z Ferrem ramiona i przytulacie konsekwencje. – Nicco mruży oczy. – Rozczarowanie, smutek, ucisk w klatce, żal, złość, częstujcie się wszyscy. – Rzucam widelec na talerz i wstaję od stołu.

– Teraz częstujcie się wszyscy, tak?! – unosi się, a ja się śmieję.

– Kurwa, rzeczywiście, w tej właśnie chwili zaczynam dostrzegać, że zachowałem się jak ostatni prostak. – Kładę rękę na klatce piersiowej. – Wszystkie te specjały zgarnąłem dla siebie i nawet się nie podzieliłem. – Robię smutną minę. – Najgorzej, że wyrzuty sumienia pożarłem w całości i nawet mi się nie odbiło. To znaczy, że były małe, czy duże, ale lekkostrawne? – Nicco chowa twarz w dłoniach, by za moment przesunąć talerz i zacząć uderzać głową w blat stołu. Każdy na swój sposób radzi sobie z prawdą. Czeka, aż przestanie.

– To jakiś pierdolony koszmar – wydusza. – Mam do ciebie żal, że nic nie powiedziałaś. To przez to masz te sny. Na bank. Jezu,

twój *dziewiczy nabój* utkwiał w czaszce naszej matki. Jezu. – Znow zakrywa twarz dłońmi.

– Utkwił w ścianie – poprawiam go. – I mów kilka tonów ciszej. – Rozglądam się.

– Jezu. – Zerka na mnie przez palce. – Ty przez to jesteś taki wyprany z emocji i bezuczuciowy. – Dokonuje analizy mojej osobowości, nieudanej zresztą. – Nie mogę uwierzyć, że pielęgnowałeś w naszych głowach dobry obraz *tej osoby*. Coś kłuje mnie w klatce. – Kładzie na niej dłoń.

– Mówiłem, że tak będzie.

Nicco warczy.

– Nawet nie wiesz, co poczułem, jak wczoraj zobaczyłem to nagranie. A Ferro do tej pory nie może się pozbierać. Nic nie powiesz?

– A co chciałbyś usłyszeć? Że mi przykro? Przykro mi.

– Nie, chciałbym, żebyś wyraził to, co czujesz naprawdę, a nie mówił to, co chcę usłyszeć – mówi ze złością.

– I oczekujesz tego od wypranej z emocji osoby niezdolnej do okazywania uczuć? – Stukam się palcem w czoło i podchodzę bliżej, żeby nachylić się nad jego uchem. – Na pewno wiesz, w jakim świetle zostałaaby postawiona nasza rodzina, nasz ojciec, gdyby to się wydało. Sądzisz, że cieszyłby się takim szacunkiem jak teraz? Z jego nieposzlakowanej opinii korzystamy wszyscy, więc nie emocjonuj się tak i przeanalizuj swoje pierdolone uczucia w samotności. Czy to jest dla ciebie jasne? – syczę przez zaciśnięte zęby. – Nie wymuszaj na mnie niczego, bo nie jestem na to podatny. – Prostuję się. – I najważniejsze. – Patrzy prosto w moje

oczy. – Złożyłem obietnicę ojcu. Myślę, że nic więcej nie muszę dodawać. Koniec pieśni.

Odsuwam krzesło i siadam ponownie przy stole. Niccolo wstaje i zgarnia mi talerz sprzed nosa.

– Podgrzeję nam, bo ostygło – stwierdza. – I jeszcze tylko jedno dodam. – Kręcę głową z rezygnacją. – Ostatnie. Nigdy nie mówmy o tym Chiarze. Czasem lepiej żyć w nieświadomości. I już. Koniec. Serio. – Podaje mi rękę, którą ściskam.

Jego telefon wibruje na blacie, więc po niego sięga. Czyta wiadomość i pociąga nerwowo nosem.

– Podgrzejesz sobie sam? – pyta. – Ja muszę jechać szybko do portu. Jakiś problem z rozładunkiem czy tam celnikiem. – Macha ręką w pośpiechu. – Wezmę ze sobą Ferrę. Od razu z nim pogadam – dodaje. – To cześć.

Nie zdążę odpowiedzieć, bo wybiega z kuchni, jakby goniło go sto diabłów. Skłamałbym, mówiąc, że nigdy nie zastanawiałem się nad tym, jak zareagowałiby bracia, gdyby dowiedzieli się prawdy o tym, co *przytrafiło się* naszej matce. Teraz już wiem, że ta wiedza niczego nie zmienia. Nie, bo nie może. Nie mogą być na mnie wściekli, bo każdy z nich postąpiłby tak samo. Co najwyżej mogą być rozczarowani. Nią. I są. I okazują to. Dlatego, że mają takie prawo. Ja nie dostąpiłem takiego przywileju. Po złożeniu przysięgi ojcu nigdy, ale to nigdy nie mogłem okazać słabości. Wyprany z emocji i bezuczuciowy. Może tak. Może nie.

Słyszę trzaśnięcie drzwiami, więc podchodzę do okna. Na podjeździe stoją moi bracia. Niccolo poprawia Ferrowi kołnierzyk i poklepuje go po bratersku w ramię. Na pierwszy rzut oka widać, że są jacyś nabuzowani. Sprawiają wrażenie, jakby wybierali się

na wojnę, a nie do portu, żeby naprawić to, co najpewniej sami zjebali. Wsiadają do wozu, słyszę warkot silnika, lecz gdy otwiera się brama, najpierw na teren posesji wjeżdża auto don Alfreda. Wyskakuje z niego Etna, a za nią Nino, który od razu do niej podbiega i wpakuje z powrotem do środka. Mówiłem, ona jest niereformowalna. Tyle razy powtarza się jej, żeby nie opuszczała samochodu, dopóki brama nie będzie zamknięta, a ona wciąż i w kółko to samo. Moi bracia ruszają z piskiem opon, a ja wychodzę na zewnątrz i siadam w fotelu na werandzie.

Ledwo zdąży zamknąć się brama, Etna już pędzi w moją stronę, a za nią powolnym krokiem idzie zrezygnowany Nino.

– Ty jeszcze niegotowy?! – krzyczy, wbiegając po schodkach. – Szybko się uwinęłam. A wiesz dlaczego? Bo tylko pobrali mi dziś krew – nawija. – O tu. – Wskazuje na zgięcie łokcia. – A jutro mam przyjść i lekarz powie, jaką poleca metodę antykoncepcji. Wiesz, jak już będą wyniki, bo to nie jest takie hop-siup. – Siada mi na kolanach. – Pocałujesz? – Podsuwa rękę pod moją twarz. Jest na niej niewielki czerwony ślad po wkłuciu. Całuję go. – Od razu lepiej. – Obejmuje mnie ramionami. – Nino do ciebie dzwonił, żeby powiedzieć, że już jedziemy, ale masz rozładowany telefon. To jak, ruszamy? – Potakuję i przywołuję Alessandra. Podnoszę się z miejsca i odstawiam Etnę na ziemię.

– Weź kilku chłopaków i jedźcie za nami – mówię do niego. – A ty wsiadaj już do auta – zwracam się do Etny. – A on – wskazuję na Nina – niech po prostu trzyma się blisko. – Ruszam w stronę zaparkowanego samochodu.

– A ty przestań się tak rządzić! – wykrzykuje Etna. – Sama wiem, co mam robić i w jakiej kolejności.

– Jasne, że tak. – Cieszy się. – A teraz wsiadaj. – Otwieram przed nią drzwi. Ociąga się, bo chce pokazać, że jest górą. Wieczne przeciąganie liny. W końcu zajmuje fotel pasażera, ale nie zapomina o tym, żeby posłać mi mordercze spojrzenie. Uśmiecham się do niej, a ona odwzajemnia uśmiech, bo tak to już z nią jest.

Gdy ruszamy spod domu, przekręca się na bok i kładzie rękę na moim udzie. Przykrywam jej dłoń swoją. Zastanawiam się, czy już teraz skontaktować się z ochroną Ivo i go zgarnąć, czy, dopiero gdy będziemy wracać. To, że jego urlop się skończył, jest więcej niż pewne. Pora wracać do rzeczywistości, bo ewidentnie zapomniał, że takowa istnieje, pogrążając się w swoim wirtualnym świecie. Zaszyfrowanym, kurwa.

Zerkam na Etnę, bo jej dłoń się osunęła. Śpi. Pewnie, że tak, skoro w nocy była zajęta obmyślaniami genialnego w jej mniemaniu planu. Wyciągam z kieszeni telefon i podłączam go do ładowarki. Dodaję gazu.

Kilka godzin później, gdy zjeżdżamy z promu i staram się znaleźć miejsce parkingowe, Etna wciąż śpi w najlepsze. Szturcham ją w ramię, ale tylko na moment uchyla powieki, patrzy na mnie zamglonym wzrokiem i znów je przymyka.

– Jesteśmy na miejscu. – Odpinam jej pas i wysiadam z auta. Moi ludzie też parkują. Podchodzi do mnie Nino.

– Jaki jest plan? – pyta.

Drzwi od strony pasażera otwierają się, a z samochodu wyskakuje Etna. Mruży oczy, bo stoimy w pełnym słońcu.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś? – pyta, lecz nie czeka na odpowiedź. – Jak tu pięknie. – Rozgląda się. – Za każdym razem

jakoś ładniej, co nie? – Na to pytanie może i oczekuje odpowiedzi, ale jej nie uzyska. Dla mnie wciąż to jedna, wielka sterta gruzu.

Czterech moich ludzi podchodzi do nas.

– Najpierw idziemy załatwić moją sprawę, a później do Betita – przedstawiam plan działania.

– Nie, proszę. – Etna składa ręce jak do modlitwy. – Chcę pokazać ci jaskinię, zanim się ściemni. – Patrzy na mnie błagalnie. – Rozdzielmy się, żeby nie tracić czasu – rzuca jeszcze propozycję. – Nie martw się, nic mi nie będzie. Bo dlatego nie chcesz się rozdzielać, tak? Nino wie o wszystkim, bo musi, żeby mnie chronić.

Zerkam na niego. Wzrusza ramionami.

– Niepotrzebna mi ta wiedza. Tłumaczyłem jej. – Nino wskazuje na Etnę. – Cały czas mam na uwadze możliwe niebezpieczeństwa – przekonuje. – Przystudiowałem ulokowanie domu Betita już wieki temu. Są tylko trzy punkty, z których możliwe by było oddanie strzału, a i to niekoniecznie celnego. – Wyciąga z kieszeni mapę i ją rozkłada. – Tu, tu i tu. – Pokazuje trzy zaznaczone przez siebie miejsca. – Szansa byłaby tylko wtedy, gdybyśmy wchodzili od frontu. Z tyłu budynku jest pole. Nie ma możliwości, żeby pozostać tam niezauważonym.

Śmieję się.

– Wiesz, że żeby kogoś zabić, nie trzeba chować się po krzakach? Wystarczy do niego podejść w odpowiednim czasie i miejscu – stwierdzam i zabieram mu z rąk mapkę, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Taaa, zwłaszcza gdy idziemy z nią w pięciu – wtrąca Alessandro. – Na pewno ktoś się do niej zbliży – prycha. – Nie

popadaj w paranoję, Efesto.

Alessandro nie jest zbyt mądry, a jego argumenty nie przemawiają do mnie w najmniejszym stopniu. Ufam jednak Ninowi na tyle, by powierzyć mu Etnę. Wiem, że w razie jakiegokolwiek zagrożenia zrobi wszystko, by ją ochronić. Jestem tego totalnie pewien.

– Idźcie już – zwracam się do moich ludzi. – Załatwię sprawę i do was dołączę. W razie czego jestem pod telefonem. – Potakują.

– Podjedziemy do Oscara autem – decyduje Nino. Etna burczy, ale idzie za nim do samochodu, a moi ludzie wsiadają do drugiego.

Gdy przejeżdżają obok mnie, macham do Etny trzymaną w ręce mapą. Rozkładam ją i przez dobre pięć minut przyglądam się zapiskom i wyliczeniom, które Nino spisał przy każdym z zaznaczonych przez siebie miejsc. Trzeba przyznać, że wzorowo odrobił pracę domową. Zamykam samochód i zmierzam w stronę targowiska. Chcę zadzwonić do Salvatora i poinformować go, że za moment przyjdę. Wolę mieć pewność, że nie będę musiał na niego czekać, ale w kieszeni nie mam telefonu. Przypominam sobie, że podłączyłem go do ładowarki, więc wracam na parking.

Nie od razu zatrzymuję się przy swoim samochodzie. Zauważam inne auto, znane mi równie dobrze. To, którym moi bracia ruszyli sprzed domu. Przykładam rękę do szyby i zerkam do środka. W przegrodzie na kubki jest szczoteczka do zębów. Ferro i Niccolo są na wyspie. Co jest, do kurwy nędzy? Czuję, jak wzrasta mi ciśnienie. Nienawidzę nie mieć nad nimi kontroli. Pędzę do auta, bo nie pamiętam, czy w końcu włączyłem komórkę po podłączeniu go do ładowania czy nie. Cały dzień spokoju, nikt nie wydzwaniał, niczego ode mnie nie chciał. To tak piękne, że aż

niemożliwe. Dlatego powinno zastanowić. Tego rodzaju nieuwaga, przeoczenie, zawsze niesie ze sobą konsekwencje. Mówiłem, kurwa, wszystko rozbija się właśnie o nie. Coś każe mi sądzić, dosłownie czuję to całym sobą, że te będą w chuj ciężkie. Opieram się kolanem o fotel kierowcy i sięgam po telefon. Włączam go. Odnoszę wrażenie, że uruchamia się całą wieczność, a gdy w końcu loguje się do sieci, nadchodzi ta fala, najpewniej złych wieści. Może tak. Może nie.

Zdecydowanie, kurwa, tak.

Ivo dzwonił do mnie piętnaście razy. Otwieram wiadomości od niego.

Odbierz.

Oddzwoń.

Obraziłeś się?

No co jest?!

Emanuel przemieszcza się w stronę Levanzo.

I ostatnia, która sprawia, że muszę przytrzymać się drzwi. Z dwóch powodów. Etna jest w niebezpieczeństwie. Nie ma mnie przy niej.

Już tam jest.

Jestem pewny, że moje serce nigdy tak nie galopowało. Nigdy.

Otwieram jeszcze wiadomość z innego, nieznanego mi numeru. Patrzę na zegarek. Wysłana dosłownie przed momentem.

Dziś odbiorę ci to, co kochasz najbardziej.

Uderzam ręką o dach auta i dzwonię do moich ludzi, ale nie odbierają. Wybieram numer Nina, ale odrzuca połączenie po pierwszym sygnale. Po chwili jednak oddzwania. Odbieram, ale w słuchawce głucha cisza. Mam wrażenie, że trwa wieki, aż w końcu

słyszę stłumiony głos Etny. Błaga, żeby nie robić komuś krzywdy. Nie mam pojęcia, o kim mowa i nieszczególnie mnie to obchodzi, bo to właśnie ona jest jedyną osobą, na której życiu w tej chwili najbardziej mi zależy. I wiem, że będzie żyć, dopóki nie pojawię się na miejscu. Do czasu, aż zostanę zauważony, do momentu, w którym Emanuel uzyska pewność, że jestem i że patrzę, że widzę, jak zabiera mi to, co dla mnie ważne. Jestem tego tak bardzo pewien, że mógłbym się założyć o wszystko, co kocham najbardziej. Gdyby miał ją zabić, jeśli chodziłoby tylko o to, bym ją stracił, już by nie żyła. Wiem, jak to działa, co wprawia w ruch ten cały pokręcony mechanizm.

Gdy słyszę głos Nina, to jak mówi: „Mogłeś mu wysłać mapę, bo może zabłądził”, dociera do mnie, że nieprzypadkowo się ze mną połączył. A także to, że gdy Emanuel zorientuje się, że mam możliwość podsłuchać, co tam się dzieje, Nino zapłaci za lojalność najwyższą stawkę. Rozkładałam na masce mapę, którą wciąż ściskam w dłoni i jeszcze raz przyglądam się rozmieszczeniu zaznaczonych na niej punktów. Podejmuję decyzję w ułamku sekundy. Wskakuję do auta i ruszam przed siebie, chcąc dotrzeć do stromego wzgórza, z którego będę mieć widok na dom Betita. Żeby ten plan mógł się powieść, Nino musi zadbać o to, żeby wyszli na zewnątrz. Na tę chwilę wydaje mi się to najtrudniejszą częścią tej totalnej improwizacji. Emanuel się na to zgodzi lub nie. Od jego decyzji zależeć będzie to, co zrobię w następnej kolejności i do czego posunę się, żeby wyeliminować go z mojego życia raz na zawsze. A także, jakie ryzyko podejmę i jakie konsekwencje będę musiał przytulić.

Parkuję przed kamienistym wzniesieniem i rozglądam się dookoła. Cały czas utrzymuję połączenie z Ninem. Otwieram bagażnik i wyciągam snajperkę. W słuchawce cisza, a szkoda, bo informacja dotycząca tego, ilu ludzi jest z Emanuelem i czy w ogóle ktokolwiek, byłaby pomocna. Wspinam się na wzgórze, im wyżej jestem, tym mniejszy wydaje mi się sens mojego działania. Najchętniej zjawiłbym się na miejscu, w epicentrum tego szamba, które zalewa mnie od lat, i wszystkich rozpierdolił. Zrobiłbym tak, gdyby nie było tam Etny. Ale jest. I to o jej bezpieczeństwie muszę myśleć w pierwszej kolejności.

Docieram do wyznaczonego przez Nina punktu i, kurwa, nie wierzę w to, co widzę.

– Co ty tutaj, do chuja, robisz?!

– Pewnie to samo co ty – burczy Ferro. – Chcę załatwić tego, tego – jąka się – rety, nie mogę o tym nawet myśleć, bo coś się we mnie trzęsie. Kurwa, żałuję, że obejrzałem ten film. – Patrzy na mnie. – A ty w tym uczestniczyłeś. Ja jebię – wydusza i zerka przez lornetkę.

Rozstawiam sprzęt obok niego.

– Gdzie Niccolo?

Ferro wskazuje ręką na zalesione wzniesienie.

– Ty wiesz, że są tu tylko trzy punkty nadające się do tego, żeby się ustawić i nie zjechać w przepaść? – pyta. Kładę telefon między nami i włączam tryb głośnomówiący. – Co to za szmery?

– Połączenie z Ninem.

– Sprytne – mówi. – To znaczy sprytne, gdyby było coś słyhać – poprawia się. – Skoro też tu jesteś, to może jednak podejdziemy bliżej? Ich jest czterech, a nas trzech. I siedzą w domu.

Śmieję się gorzko. Czasem, zazwyczaj, ciężko się go słucha.

– Zastanów się, dlaczego nie wychodzą i jakim cudem ochrona sobie z nimi nie poradziła. – Pytanie ma wymalowane na twarzy.

– Co musiało się wydarzyć, że czterech leszczy panuje nad sytuacją? Kiedy możliwe jest uzyskanie przewagi w takiej sytuacji...

– Nie wiem – odpowiada. – A, czekaj, jednak wiem. Etna musi być trzymana na muszce. W przeciwnym razie nasi ludzie nie zrezygnowaliby z jatki.

– Brawo.

Z głośnika telefonu rozbrzmiewają bliżej niezidentyfikowane odgłosy. Słysząc głos, który poznałbym wszędzie.

Emanuel wrzeszczy: „No i gdzie on, kurwa, jest?!”.

Na odpowiedź Nina nie trzeba długo czekać: „Nie ma to jak czekać w domu na kogoś, kto cię nie odwiedzi. To jakieś smutne”. Słysząc brzdęk tłuczonego szkła. „Zwłaszcza gdy napisałeś, że czekasz, a on cię olał. Ty serio myślałeś, że Efesto jest zdolny do miłości? Kurwa, pęknię!” – rechocze Nino.

„Zamknij się, stul pysk!” – ryczy Emanuel.

Rozlegają się trzaski i siarczyste przekleństwa, a drzwi domu otwierają się. Ferro zerka na mnie. Najpierw wychodzą nasi ludzie popychani przez przydupasów Emanuela, a zza nich wyłania się on i tak jak myślałem, przyciska sploty do skroni Etny. Wszyscy schodzą z werandy, ale nie on. Nie, bo, niestety, nie jest głupi. Weranda zabudowana jest z każdej strony, więc ustrzelenie go z boku jest właściwie niemożliwe. W grę wchodzi jedynie strzał w przód głowy, a to jest niewykonalne. Nie, bo Etna

włożyła pieprzone buty na koturnie i dorównuje wzrostem Emanuelowi, zasłaniając jego głowę swoją.

– I co teraz? – Ferro i jego durne pytania.

– Ślepy jesteś, że muszę ci relacjonować, co widzę? – Mam ochotę walnąć go w łeb.

Z głośnika dobiegają stłumione głosy, aż w końcu słyhać jeden, wyraźny. Głos Emanuela: „I co, kurwa, gdzie on jest?! Mów, co on może kombinować!” – wydziera się, a Etna piszczy i krzyczy spanikowana: „Nie wiem!”

– Nas jest trzech, a ich czterech.

– Serio? – warczę.

„Pewnie już nieraz próbowałeś dorwać Etnę, co?” – pyta Nino. – „Ile razy? Trzy czy pięć? Pięć na bank!” – wykrzykuje tak głośno, że odruchowo zasłaniam głośnik ręką.

„Po czym wnosisz, że pięć?” – Teraz słyhać głos Emanuela. – „Pięć razy to zabawiłem się z jego matką, zanim ją kropnął”.

Widzę, że Ferro się spina, a jego palec niebezpiecznie zbliża się do spustu.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegam go. – Emocje są złe. Zapamiętaj to sobie.

„Słyszałaś, Etno? Pięć razy!” – wrzeszczy znów Nino. „Uno, dos, tres, cuatro, cinco. Tyle razy się zabawił!”

– O co mu chodzi? – Ferro przekrzywia głowę i zerka na mnie.

Zastanawiam się chwilę, bo nie mam pojęcia. Doznaję jebanego olśnienia, gdy widzę, co Ferro przewraca między palcami. Laser.

– O zabawę na trzy lub pięć – wyduszam.

– O, nie, nie. Ja nie zamierzam się w to bawić. – Wzbrania się.

– Nie ma pewności, że ona to zna i czy w ogóle o to mu chodzi. To

tylko twoja interpretacja – stwierdza zdenerwowany. – Poza tym nie wiem, kto sprzątnie tego czwartego. Niccolo musi oddać dwa strzały, bo jest na jego linii. To się nie uda. Za mało czasu. Już po niej – wyrokuje. – Nie wyceluje drugi raz tak szybko. Nie ma bata.

– Zamknij się w końcu.

Uciszam go i biorę lornetkę, żeby zobaczyć, co tam się dzieje, bo znów słychać tylko trzaski i krzyk Emanuela: „Gdzie jesteś, śmieciu?!”. Widzę, że się rozgląda.

„Zabaw się z nią!” – krzyczy nieznajomy głos, a Rossi podłapuje ten genialny pomysł i kładzie rękę na klatce piersiowej Etny, a drugą, w której trzyma spluwę, przejeżdża po jej skroni. Etna stoi jak sparaliżowana.

„Aż chciałoby się krzyknąć gorzko, gorzko, gorzko, gorzko, gorzko!” – wrzeszczy Nino, a Emanuel się śmieje. Mało tego, Etna też zaczyna się śmiać. Tak, jakby to, co powiedział Nino, było bardzo zabawne.

– Oni mają jakiś swój szyfr, czy o co chodzi? Co w tym niby śmiesznego? – burczy Ferro i wyrywa mi lornetkę, mimo że ma swoją. – O kurwa – rzuca.

– Co?!

Zabieram mu ją. Etna zwrócona jest twarzą do Emanuela, a on obejmuje ją w pasie i przejeżdża lufą pistoletu po jej kręgosłupie.

Z głośnika rozbrzmiewa głos Nina: „To będzie to gorzko czy nie?”.

„Trochę się wstydzę!” – odkrzykuje Etna.

– Dobra, już wiem – stwierdzam. – Laser odpada, bo zauważą. Sygnałem jest to całe *gorzko*. To do dzieła. Ustaw się i dawaj znaki

Niccolowi. Odliczaj na palcach.

– Pojebało cię? Wiesz, że ona musi się uchylić, gdy będzie czwarte ostrzeżenie, bo inaczej nie zdąży? Za mała odległość.

– Rób, co mówię.

– A co z czwartym typem? Co jak Nicco nie zdąży wycelować dwa razy?

– Nino stanie na linii ognia i osłoni Etnę. Jestem tego pewien. To dodatkowe sekundy. Dam radę wycelować drugi raz.

– A co, jeśli nie chodzi o to, o czym myślisz? Jezu. – Patrzy na mnie spanikowany. – Ty sam nie jesteś pewien. Widzisz w ogóle cokolwiek? Pot zalewa ci oczy. – Zerka na moje dłonie. – Chryste, w życiu nie trafisz, nie czujesz, jak trzęsą ci się łapy?

– Dam radę. Dam, bo muszę – syczę.

Mam jakieś pieprzone *déjà vu*. Już byłem w takiej sytuacji, z tą różnicą, że wtedy modliłem się w duchu, żeby to moja siostra się nie poruszyła. To jeden z tych momentów, kiedy trzeba podjąć ryzyko, mimo że cena, jaką trzeba będzie za nie zapłacić, może być wysoka. Przecieram czoło przedramieniem i zerkam na Ferra, który obserwuje wszystko przez lornetkę. Ja nie mogę na to patrzeć, bo wiem, że wieloletnie szkolenie Nina zbiera właśnie żniwa. „I powiedział, że jeśli ktoś będzie chciał mi coś zrobić, to mam wykorzystać swój osobisty wdzięk”. O to właśnie chodzi. Krew gotuje mi się w żyłach.

„Gorzko!” Raz.– Z głośnika rozbrzmiewa głos Nina.

Daję sygnał Ferrowi, żeby przygotował się do oddania strzału. Wystawia palec, żeby dać znać Niccolowi. Chuj wie, czy on to kontroluje czy nie, ale słowo się rzekło.

„Nieźła jest!” – krzyczy Emanuel. – „Ciekawe, czy dobrze obciąga”. – Śmieje się. „Nagrywasz nas, Roberto?!”

„Gorzko!” Dwa.

Niestety, nie da się uniknąć patrzenia na to przedstawienie, bo przez lunetę w snajperce widzę wszystko nad wyraz dokładnie.

„Gorzko!” Trzy.

Etna rozpiną pasek w jego spodniach, a przynajmniej to podpowiada mi wyobraźnia. Mam nadzieję, że to właśnie robi, gmerając rękami na tej wysokości. Odrzucam myśl, że trzyma już w rękach jego fiuta. Wciąż stoi i, mimo że to wyobrażenie boli, to wolałbym, żeby uklękła.

„Po obciążeniu wyślij mu nagranie! Pierwsze. Na drugim ją zerżnę!” – Emanuel znów rechocze.

– Jestem gotowy – mówi Ferro. – A ty?

– Zawsze.

„Gorzko!” Cztery.

Naciskam spust. I jest to magiczne „pięć”. Nie pamiętam już, kto wymyślił tę zabawę, ale zaraz okaże się, czy jest geniuszem, czy może jednak ma po prostu zrytą banię. Przez chwilę żałuję, że sygnet, który noszę na palcu, nie ma tej całej tajemnej mocy. Nie jestem wróżbitą, a tym bardziej prorokiem. Celowałem w głowę Etny. Strzeliłem. Nie ma mowy o magii. Życie lub śmierć. Czy zdążyła się schylić, wyrwać z macek tej drugiej? To najdłuższe sekundy w moim życiu. Przez chwilę mam wrażenie, że oślepnę, bo totalnie nic nie widzę.

– Niccolo zdjął czwartego. – Słyszę, lecz zanim do mojej świadomości dotrze sens tych słów, mam wrażenie, że najpierw muszą przedrzeć się przez gęstą mgłę. Cisza. Brat zerka przez

lornetkę. Sam nie mam odwagi po nią sięgnąć. Cisza. A jednak mam odwagę, kurwa, chociaż wolałbym jej nie mieć, bo gdy wyostrzam obraz, widzę Nina pochylającego się nad leżącą na werandzie Etną. Dostrzegam tylko jej nogi, bo ten zjeb zasłania resztę. Ferro nie spuszcza ze mnie wzroku. Sięgam po telefon i rozłączam połączenie. Wybieram numer Nina.

– Zbieraj graty – instruuję brata, a sam schodzę ze zbocza, trzymając komórkę przy uchu. – Szybciej! – Przerywam łączenie, bo Nino nie odbiera i niemal wypuszczam telefon z rąk, gdy nagle się rozdzwania, a na wyświetlaczu widzę imię Alessandra.

Odbieram, nie mówiąc ani słowa, bo żadne nie chce przejść przez zaciśnięte gardło. Mam wrażenie, że zabójstwo matki na zawsze skrepowało moje nadgarstki, a to, co zrobiłem dziś, spętało mi szyję. Przystaję i siadam na kamienistym zboczu. Ferro staje przy moich nogach. Nabieram powietrza, bo czuję, że mogę. Obręcz luzuje się, gdy słyszę te cztery najważniejsze, w chuj piękne słowa.

„Królowa ma się dobrze”.

Zrywam się na równe nogi.

– Macie, kurwa, szczęście – warczę i się rozłączam.

Patrzę na Ferra, bo rzucił torby na ziemię. Znów ma pełno czerwonych plam na szyi i twarzy.

– Jesteś wkurzony za to, że cię okłamaliśmy i tutaj przyjechaliśmy?

– Nie. Jestem wdzięczny. – Sięgam po torbę. – A teraz do wozu.

Podskakuje w miejscu i potrząsa ramionami, jakby starał się w ten sposób pozbyć nagromadzonego napięcia.

Zatrzymujemy się pod domem Betita. Ferro wierci się w fotelu. O dziwo nie potrafię go rozgryźć. Wydaje się po równo nabuzowany, jak i przygaszony. Sprzeczność. Jestem pewny, że z jednej strony chce zobaczyć mordę typa, który przysporzył naszej rodzinie tylu problemów, a z drugiej wolałby w ogóle w tym nie uczestniczyć. Wiem, co czuje, bo doświadczam tego samego. Z tą różnicą, że ja muszę się upewnić, że to rzeczywiście on. Do mojego mózgu musi dotrzeć konkretna informacja. Wsiadam z auta. Żaden z naszych ludzi do mnie nie podchodzi. I dobrze, bo bym ich rozszarpał. Rozglądam się, ale nie widzę nigdzie Etny.

– Są w domu! – krzyczy Alessandro.

Wchodzę po schodkach na werandę i szturcham zwłoki Emanuela nogą. Od razu widać, że oddałem strzał, nie będąc w dobrej formie. Kilka centymetrów niżej i byłoby po zawodach. A raczej po niej. Nie ma co ukrywać. O nią tu chodzi.

– Etna! – wydzieram się, a ona biegnie przez korytarz jak torpeda, rzuca się na mnie i oplata nogami w pasie. Wtula się całą sobą i trzęsie jak galaretka. – Już dobrze. Byłaś bardzo dzielna. – Gładzę ją po plecach. – Nic ci nie jest? – Łapię ją za buzię i odchylam, żeby się jej przyjrzeć.

– Chyba znów będę wymiotować – mówi i ze mnie zeskakuje. Rzyga na podłogę. Patrzy na leżącego w progu Emanuela. Następny bełt. Zatrząskuję drzwi. – Powiedzieć ci, co musiałam zrobić obrzydliwego? – Ociera usta ręką, ale nadal jest zgięta w pół.

– Nie. Chyba że chcesz. – Kładę rękę na jej plecach. – Chyba że musisz – dodaję.

Prostuje się i zerka na mnie. Wydaje się taka wymęczona i krucha. Jestem wściekły na siebie, że ją na to wszystko naraziłem.

– Mało się bałam. – Kładzie hardo rękę na biodrze. – Tyle co nic – mówi ledwo słyszalnie i zaczyna drżeć jej broda. – Ale czułam, że gdzieś jesteś i wiedziałam, że mnie uratujesz. No bo kto, jak nie ty. – Niemal piszczy i zaczyna płakać. Biorę ją w ramiona i całuję w głowę. Wczepia palce w moje plecy. – Podziękujesz Ninowi? – Spinam się.

– Nie.

Odsuwa się i patrzy na mnie tak, jakby niedosłyszała, a przecież powiedziałem wyraźnie.

– Słucham? – Unosi brwi.

– Czego nie rozumiesz w słowie „nie”?

– Rozumiem to słowo – warczy. – Powinieneś podziękować, wyrazić wdzięczność, jakieś uczucie.

Śmieję się gorzko.

– Kotku, to jest jego praca. Wykonał ją tak, jak powinien. Chyba nie sądzisz, że będę wdzięczny pracownikom za to, że dobrze pracują. To ich pieprzony obowiązek.

– Ale on nie pracuje dla ciebie – fuka.

– Słuszna uwaga. On nawet dla mnie nie pracuje. – Parskam śmiechem.

– A twoi ludzie się nie sprawdzili.

– Chcesz być przy tym, jak poniosą za to konsekwencje? – Przyglądam się jej wnikliwie. – Mówisz i masz. Podstawię ci nawet wiadro, do którego będziesz mogła rzygać w trakcie. Zainteresowana? – Unoszę jej podbródek. – Nigdy niczego na

mnie nie wymuszaj. Wiem, co mam mówić i w jakim celu. Rozumiesz? – Wzrusza ramionami, co strasznie mnie wkurwia. – Co to miało być, to całe wzruszenie ramionami? – Powtarzam po niej ten gest. – Nie rozumiesz, czy ci to, kurwa, obojętne, czy znów pieprzę głupoty? – Milczy. – Myślisz, że oni wszyscy są wdzięczni tobie lub mnie? Niby za co mieliby być? Za to, że dostają co miesiąc kasę, na którą sami zapracowali? To część umowy, z której się wywiązuję. Nie oczekuję za to jebanej wdzięczności. A skoro ja daję to, do czego się zobowiązałem, to oczywiste, że oczekuję efektów tego, za co płacę. Nie dość, że mam wyskakiwać z kasy, to jeszcze mam być wdzięczny i co jeszcze, kurwa? – Etna wybałusza oczy. – Nie spoufalaj się z pracownikami, bo gwarantuję ci, masz na to moje słowo, że większość z nich wyruchałaby cię, nie czekając, aż zrobisz się mokra. A wiesz, co znaczy moje słowo. Czy teraz to jest jasne? Tłumaczyć dalej? Podać przykłady?

– Rozumiem, ale... – jęczę sfrustrowany. – To Nino. On jest inny.

– Dobrze, chodź, pokażę ci, jak okazuje się wdzięczność. – Ciągnę ją za rękę. – Przy okazji się pożegnaj. Oscar jest cały?

– Tak, ale śpi, bo Nino dał mu coś na uspokojenie. Mam nadzieję, że już nikt nie będzie go więcej niepokoił, bo nie ręcę za siebie – mówi to takim tonem, że naprawdę jej wierzę.

Wchodzimy do salonu. Nino siedzi przy łóżku Oscara. Podnosi się, gdy nas zauważa. Podchodzę do niego.

– Świetna robota – stwierdzam fakt i wyciągam rękę, którą ściska. Patrzę na Etnę. Oczywiście przewraca oczami, ale nie

wyglasza już żadnej ze swoich mądrości. Przykrywa Oscara kocem. – Jedziesz do mnie czy do siebie? – zwracam się do niej.

– Do siebie, bo szykują się zaręczyny Almy.

– To już?

– Za tydzień, ale chcę być teraz z siostrą – stwierdza.

– Dobra. Idziemy. Zakryj jej oczy, jak będziemy wychodzić – instruuję Nina. – Spotkamy się przy samochodzie.

Przepuszczam ich przodem, a sam rozglądam się, żeby ocenić straty. Wyciągam z portfela kasę i wkładam ją pod talerz. Przypominam sobie o tym obiecany przez Etnę pierścieniu i zastanawiam się, czy Arturo poczynił w tej sprawie postępy.

Gdy przekraczam próg domu, jest już niemal *czysto*.

– Ojciec chce jakąś jego część? – pyta Niccolo, który nie dość, że już zdążył przybyć, to dodatkowo się nie ociąga. Patrzę na leżącą u jego stóp głowę Emanuela.

– Chryste, nie. Co z tobą? – Pocieram twarz. – Moje przemowy są *creepy*, a to, że odrąbałeś mu łeb już takie nie jest?

Podbiega do nas Ferro. Jest niezdrowo podekscytowany.

– Dowiedziałem się, gdzie jest Ivo! – Cieszy się. Kurwa. To, że ta misja się powiodła, to był jakiś pieprzony fart. – Jego ochrona cały czas go obserwuje, rety, co?

– Taaa, *rety* – stwierdzam. – Podziwiam twój zmysł detektywistyczny – wzdycham. – Dobra robota, Ferro. Ta i tamta – wskazuję na śledzące nas z dołu martwe spojrzenie Emanuela. – Dobra robota, Nicco.

– Ej, coś tu mam. – Ferro poklepuje się po kłacie. – Weźcie to ode mnie. To boli! – wrzeszczy. – Coś pod koszulką mnie szczypie.

– Niby co, pijawka? – pyta Nicco i do niego podchodzi. Schyla się, żeby przyjrzeć się miejscu, które wskazuje. Też to robię. Łapię za materiał, żeby go unieść, bo chuj wie, o co mu chodzi. Gdy to robię, zarzuca na mnie i na Niccola swoje ramiona i przyciąga nas do siebie.

– Nie obśliniaj mnie! – wydieram się.

– Ode mnie też spierdalaj! – krzyczy Nicco.

– Trzy, dwa, jeden – odlicza i nas puszcza. – Od razu mi lepiej, chuje. Lubię, gdy wszyscy w rodzinie są tacy uczuciowi. – Wybuchu śmiechem. – A teraz jadę po Ivo. Nie wierzę, że go znalazłem. – Odchodzi, wciąż kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Co tak stoicie?! Do roboty! – Niccolo pogania naszych ludzi.

Ruszamy sprzed domu Betita. Etna wydaje się już spokojniejsza, a Nino jedzie za nami. Wszystko zdaje się nam sprzyjać, ale zawsze tak jest, i zawsze do czasu. Przejedźdżamy przez parking. Widzę już wjazd na prom i nie tylko, ale staram się skupiać na tym pierwszym, licząc na to, że przejedziemy niezauważenie, że nie będę musiał się już dziś wkurwiać. I być może rzeczywiście mój plan by wypalił, ale Etna go zauważa. Widzi opierającego się o maskę samochodu Diabła. I nie dość, że od razu podrywa się w fotelu, to łapie za kierownicę i zaczyna trąbić.

Mephisto unosi głowę. Dostrzega nas, co nie jest dziwne, i wznosi toast trzymaną w dłoni butelką whisky. Nie jest sam. Między jego nogami stoi łaszcząca się do niego dziewczyna.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?!

– To Diabeł! Zatrzymaj się, bo jak nie, to wyskoczę! – Nakręca się i łapie za klamkę.

– Zatrzymam się, bo teraz nie wypada odjechać, skoro zwróciłaś na nas jego uwagę – syczę. – Pamiętaj, co ci mówiłem. Waż słowa.

Wysiadam z auta, zanim ona zdąży to zrobić. Mimo to, gdy podchodzę do Diabła, Etna jest już przy mnie.

– Co ty tu robisz?! – naskakuje na Mephista.

Diabeł się szczyrzy i wyciąga do mnie rękę. Staję za Etną i zakleszczam jej ramiona swoimi, obejmując ją.

– Jedna z moich... – Zerka na przyczepioną do niego laskę. – Moja dziewczyna ma dziś urodziny. – Poklepuje ją po tyłku. – Oplaciłem swoją część u Salvatora. – Patrzy na mnie i bierze łyk alkoholu. Krzywi się. – A co u was?

– A to, że mam do ciebie pytanie – mówi Etna.

– No to słucham – rzuca w przestrzeń. – Nie pokładaj się tak na mnie. – Łapie dziewczynę za ramiona i nieco odsuwa ją od siebie.

– Czy zamierzasz oświadczyć się mojej siostrze? No weź mnie tak nie ściskaj. – Próbuje się wyswobodzić z moich objęć. Śmieje się. – I czy ty naprawdę masz jakiś papierek z jej odciskiem? I co na nim wpisałeś?

Diabeł otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale jego dziewczyna przyciska do nich swoje. Mephisto robi się czerwony i ją odpycha.

– Nie całuj mnie, kurwa, fuj! – Pluje. Przechyla butelkę i oplukuje usta alkoholem, który wypływa. Przyciąga laskę za rękę i szepcze coś do jej ucha. Dziewczyna odchodzi i siada na krawężniku. Zakręca włosy na palec i uśmiecha się głupio. – Tak. Mam ten papierek. Przypięty do zaszczytnej pierwszej strony w mojej księdze naiwniaków. – Patrzy wprost na Etnę i uśmiecha

się pod nosem. – To nie tak, że naiwnych trzeba ze świecą szukać, ale ten przypadek był naprawdę wyjątkowy. – Przechyliła butelkę. – Zazwyczaj muszę się jednak nieco natrudzić. – Rozkłada ręce, jakby się przeciągał. – A tu wystarczyło jedno anielskie spojrzenie. O takie. – Wpatruje się w Etnę, a potem mruga. Kurwa, rzeczywiście, to pierwsze różni się od tego, którym obdarza ją teraz. Słyszę, jak Etna sapie. – Nie musisz jej przytrzymywać. Nic jej nie zrobię – zwraca się do mnie. – Dziś jestem bardzo grzeszny – pluje – grzeczny – poprawia się i znów wznosi toast, szeroko się uśmiechając.

– Czyli zamierzasz się oświadczyć czy nie, bo te twoje przemyślenia mnie nie interesują – warczy Etna.

– Jeszcze nie zdecydowałem – stwierdza Mephisto. – Nie spędza mi to snu z powiek w każdym razie. – Śmieje się. – Szale są w równowadze, że się tak wyrażę.

– Dobrze. To powiem ci tylko, że moja siostra zaręcza się za tydzień z Bommaritem. Z tym starym – wydusza, a mnie chce się śmiać, bo mimo tego, co sądzi o Diablu, od razu widać, że wizja zaręczyn jej siostry ze starcem przeraża ją jeszcze bardziej, niż oddanie jej Mephistowi. – Proponuję, żebyś odpuścił. Ja sama zajmę się Bommaritem. – A jednak się pomyliłem. – Zapomnij o tym papierku i po prostu daj mojej siostrze święty spokój. – Tupie nogą.

– Widać, że w ogóle mnie nie znasz – oznajmia Mephisto poważnym tonem. – Coś ci pokażę. – Sięga do kieszeni i wyjmuje telefon. Podaje go Etnie. – Wejdz w mapę. – Etna naciska na ikonkę.

– Już – mówi.

– Teraz wejdź w moje ulubione miejsca i naciśnij napis: RAJ.

– Już. – Jej głos jest coraz cichszy. – To adres mojego domu –
wydusza. – I przypomnienie ustawione na za tydzień. – Trzęsie
się jej ręka.

– Nie chciałaś wskazać mi drogi do raju, więc znalazłem ją
sam.

ROZDZIAŁ 14

Alma zwariowała. Nie wiem, jak inaczej określić to, co ostatnio wyprawia. Miałam wielki plan na ten tydzień. Zrezygnowałam nawet ze spotkań z Efestem, żeby móc poświęcić jej jak najwięcej uwagi, podczas gdy ona przez większość czasu nie wychylała nosa z pokoju. Leżała bokiem na łóżku i wpatrywała się bez słowa w jeden punkt. Zachowywała się, jakby złożyła jakieś pieprzone śluby milczenia. Nie mam nawet pewności, czy się myła, bo codziennie miała na sobie to samo ubranie. Proponowałam różne aktywności, sądząc, że będzie chciała jak dawniej porozmawiać o głupotach, wspólnie wyjść z domu, zrobić cokolwiek. Może i chciała, ale na pewno nie ze mną.

Kończę jeść śniadanie, gdy kątem oka zauważam idącego korytarzem ojca. Towarzyszy mu policjant, który przed momentem dostarczył Almę do domu. Znam go, widziałam go u nas już nieraz i jestem pewna, że to jeden z tych, którzy siedzą w kieszeni organizacji. Zatrzymują się przy wejściu do kuchni. Podchodzę do kredensu postawionego blisko drzwi, udając, że czegoś szukam. W rzeczywistości chcę podsłuchać, o czym rozmawiają.

– Musisz mnie zrozumieć – odzywa się policjant. – Funkcjonariusze z kwestury w Palermo regularnie sprawdzają, czy w klubach nie przebywają nieletni i zwalczają narkotykowy proceder. Skontrolowanie tego było czystą formalnością, muszę mieć porządek w papierach. No, ale litości, jak z kibla wybiega

potargana małolata, a jestem na służbie z nadgorliwym młodzikiem, któremu przyświeca wyższa idea, to muszę udać, że patrzymy w tym samym kierunku – mówi rzeczowo. – Zwłaszcza że informowałem Gottich, że będzie trzepanie i ma być czysto. A tu taki chuj.

– Mam nadzieję, że nie powiedziałaś im, że to moja córka? – Wytężam słuch.

– Myślisz, że ich to obchodzi? Nikt nawet do nas nie podszedł. Na schodach przy parkiecie siedział znudzony Mephisto i trącał palcem cięciwę swojego łuku, a jego bracia stali po obu jego stronach jak posągi.

– Czyli jest szansa, że nie wiedzą, że to Alma – stwierdza ojciec z ulgą, a policjant się śmieje.

– Jest też szansa, że gość w kiblu zadźgał się sam. Macie szczęście, że młody tam nie wlaźł. Tyle, że szczęściu trzeba dopomagać, a nie zostawiać trupa i chuja na to kłaść – warczy. – Sama kartka: „Nieczynne” to za mało, kurwa. Ostatnio powiedziałem Mephistowi, że gdyby nie to, że dzięki współpracy mogę bez problemu spłacać dwie hipoteki i posłać dzieci na studia, to bym się z tego wypisał.

– I co on na to?

– Powiedział: „Ciekawa wizja” – rzuca krótko. – Zrób młodej badania, bo ten typ był znanym w Palermo ćpunem. Jak będzie się takim podkładać, to marnie skończy. Spadam, bo jeszcze tę drugą musimy odwieźć.

– Jaką drugą?

– Córkę sędziego Belamonte. Dwie dziewczyny, dwie kabiny, dwóch facetów. Jeden z nich zamoczył po raz ostatni.

Wypuszczam trzymany w rękach talerz, który rozbija się przy zderzeniu z podłogą. Szybko wyciągam z kieszeni telefon i przykładam go do ucha. Przez próg przechodzi ojciec i łapie mnie za włosy. Za nim wchodzi gliniarz.

– Podśłuchiwałaś? – syczy.

– Halo, Efesto? To tylko mój tata. On mnie... – ojciec zwalnia uścisk – on mnie pyta, czy zrobić mi śniadanie. Czy jest dla mnie miły? – Udaję, że nie słyszę, co mówi mój wyimaginowany rozmówca. – Jakby nie był, to na pewno bym ci powiedziała. – Uśmiecham się przebiegle. Już wiem, jaką kartę wyciągać, jakiego asa z rękawa, żeby mieć spokój. Chociaż to raczej Joker. Nawet As przy nim wymięka.

Wychodzę z kuchni, wciąż udając, że jestem pochłonięta rozmową. Ojciec uderza pięścią w ścianę, chcąc wyładować frustrację. Z dwojga złego wolę mieszkać w zdemolowanym domu, niż sama wyglądać jak roztrzaskany mebel.

Od razu udaję się do pokoju Almy. Nawet nie pukam, bo wydaje mi się to zbędne. Jestem na nią wściekła. Przekraczam próg, ale nie ma jej w łóżku. Co dziwne, bo ostatnio tylko w nim spędzała czas. Drzwi łazienki są zamknięte, więc łapię za klamkę, ale nie ustępują. Pukam.

– Proszę nie wchodzić.

– Otwórz, to ja!

– Moment, robię coś! – odkrzykuje, a ja szarpię za klamkę. Mam wrażenie, że zaraz ją wyrwę. Na nic się to jednak zdaje. Siadam na łóżku i czekam.

Alma wychodzi po pięciu minutach, ale nie mam pojęcia, co tam robiła, bo wygląda, jakby dopiero co wróciła z imprezy. Jest

rozczochna, ma wymięte ubranie i rozmazany makijaż.

– Masz podarte rajstopy. – Wskazuję palcem na jej nogi.

– No i? – pyta i podchodzi do lustra. Odkleja sztuczne rzęsy z jednej powieki, a potem z drugiej. – Rety, wyglądam jak ostatnia wywłoka. – Przybliżyła twarz do lustra. – Ale w końcu czuję, że żyję. – Szczerzy się i ściera z zębów szminkę. – Uważasz, że mam zęby jak królik?

– Raczej jak bóbr – stwierdzam.

– Ale z ciebie palantka.

– Podobno przespałaś się z jakimś ćpunem. – Ledwo przechodzi mi to przez usta.

– Serio? Tak mi się wydawało, że coś brał, bo był taki narwany – mówi ot tak, bez żadnych emocji. – Fajnie było.

– Czyli to zrobiłaś, tak?

– Fajnie było, bo był taki intensywny. Jak mnie dotykał, to czułam tylko to. Nic więcej. Cudowne uczucie. – Ściąga rajstopy i wrzuca je do kosza. Rozpina spódnicę, która opada przy jej kostkach, ukazując siniaki na udach. Łapie między palce materiał bluzki i wacha ją. – Zaśmierdła papierosami. – Mimo to jej nie zdejmuję. – I o co to wielkie halo? Tylko się dotykaliśmy i całowaliśmy. Myślałam, że mnie udusi językiem. – Wystawia swój i udaje, że jest trupem. – A potem wpadł ochroniarz. Najpierw wywalił Zitę i jej faceta. Aż zadrżała cała kabina. No, a potem mnie i najpewniej tego gościa, ale nie oglądałam się za siebie, bo chciałam dogonić koleżankę. I w ogóle, jaki numer! – Uderza dłonią o udo. – Jak otworzyły się drzwi kabiny, to myślałam, że to ten Yeti z lasu! Normalnie mam jakieś omamy lub obsesję. Był taki do niego podobny, że aż się przestraszyłam. Wiesz, tego, że

sobie o mnie przypomniał, czy tam znalazł. Dopóki się nie zorientowałam, że to jednak nie on, myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi. A tobie jak minęła noc?

Serio?

– I powiedział coś ten ochroniarz? – Jestem niemal pewna, że nim nie był. Myślę, że był to jeden z braci Mephista, ale nie mam odwagi powiedzieć jej, że była bliżej *człowieka z lasu*, niż myśli.

– Tak, ale nie chcę o tym mówić.

– Dlaczego?

– Bo to jakieś głupoty. – Nasącza wacik i przykłada go do czoła. Widzę w lustrze jej odbicie. To, jak mi się przypatruje. – Najpierw w pośpiechu poprawił moją spódnicę. Naciągał ją tak, jakby sądził, że nagle stanie się dłuższa, a gdy to robił, zapytał, jakby sam siebie: „Co wyjątkowego jest w zwykłej ścierce?”

Nabieram powietrza. Nie rozumiem, dlaczego Alma to robi. To nie jest ona.

– Jakbyś miała wątpliwości, to nie o twojej spódnicy, tylko o tobie. – Słowa opuszczają moje usta, zanim zdążę się nad nimi zastanowić. – Naprawdę chciałaś stracić dziewictwo z nie wiadomo kim i to w toalecie? Kiedyś mówiłaś, że wyobrażasz sobie tę chwilę inaczej – przypominam jej.

– Kiedyś nie sądziłam, że mogę je stracić nawet wtedy, gdy nie chcę, a w chatce ten gość się do mnie dobierał i mało brakowało. Wolę sama sobie wybrać. A poza tym, rety, za bardzo to przeżywasz. – Śmieje się gorzko. – Zajmij się swoim życiem seksualnym. Planuj sobie dalej swój pierwszy raz i wymyślaj scenariusze, a koniec końców i tak się rozczarujesz. No, bo jeszcze tego nie robiłaś?

– Planuję – odpowiadam, a ona wybucha śmiechem. Robi mi się przykro.

– Ty naprawdę myślisz, że to będzie jakaś magiczna chwila, a zobaczysz, że gdy fiut Efešta znajdzie się w tobie, to ostatnie, o czym będzie myśleć, to jak się czujesz z tym faktem.

– Nie wiesz tego. Ufam mu – warczę. – Po prostu mi zazdrościsz, bo sama byś chciała mieć takiego kogoś. Nie wierzę w to, że ten gość doprowadził cię do takiego stanu – taksuję ją wzrokiem – i że nie było momentu, w którym pomyślałaś, że jednak tego nie chcesz. Na pewno się przestraszyłaś! A wiesz, dlaczego? Bo mu nie ufałaś! Nie da się zaufać komuś, kogo widzi się pierwszy raz. I dobrze, że było fajnie, wiesz?! Ale mogło być lepiej! – Trzęsą mi się ręce. – Możesz sobie uprawiać ostry seks i chcieć, żeby ktoś sprawiał ci ból, ale nie z kimś takim, nie z osobą, o której nie wiesz, czy na pewno nie robi ci krzywdy!

– Wyjdź stąd, bo muszę przygotować się do zaręczyn. – Zaciska usta.

– Nie miałaś tej pewności. Nie mogłaś mieć. Nie wiedziałaś, czy nie przekroczy granicy, bo jej, do cholery, nie ustaliliście! Nie znałaś go ani on ciebie i na pewno nie wiedział, na ile może sobie pozwolić. Nie, bo nawet nie chciał tego wiedzieć, naiwna idiotko! – Wstaję i zaczynam krążyć po pokoju. Już żałuję, że się nie zamknęłam albo i nie, wcale nie żałuję!

– Doceniam twoją troskę – mówi bez emocji. – Nie martw się. Udzieliłaś mi wielu cennych rad, więc nie musisz mieć w przyszłości, gdy zrobię po swojemu, wyrzutów sumienia. Cieszysz się? Na pewno, bo już nie masz czym ich zdusić. – Otwiera szufladę i wyciąga akt własności wyspy. Drze go na kilka części i

rzuca w moją stronę. – To za to, co przeżyłam przez ciebie w lesie? Za to, że nie zrobiłaś nic, żeby mnie odnaleźć? Co byś mi dała, gdybym została zgwałcona? A gdyby mnie zabito, postawiłabyś mi złoty pomnik, żeby poczuć się lepiej? – prychna. – Jeb się, siostrzyczko.

Czuję, że zaczyna drzeć mi broda. Niewiele trzeba, żeby wyprowadzić mnie z równowagi. Mało, żeby rozerwać moje serce na kawałki.

– Nie mów tak. – Nabieram powietrza. – Zrobiłam wszystko, co mogłam. Ja, ja nawet nie wiedziałam, gdzie cię szukać. Nie miałam pojęcia, co robić! I nie znalazłaś się tam przeze mnie! – Pocieram czoło. – Nie dosłownie. Przecież sama poszłaś z nieznajomym. Tak. Tak jak dzisiejszej nocy – wyduszam, a ona się śmieje. – To nic nie zmienia, że podarłaś ten papierek. Masz swoją część. A dając ci ją, chciałam, żebyś miała coś swojego i nie była zależna od żadnego mężczyzny.

– Dobra, znikaj stąd już. – Macha niecierpliwie ręką.

– Ja wiem, dlaczego tak na mnie napadasz. I możesz to robić, jeśli ci przez to lżej. Nie ma w tym domu nikogo, komu bardziej by na was zależało. – Mam na myśli moje siostry. – Mów, co chcesz, ale ja wiem, jaka jesteś naprawdę! Bez względu na to, jaką maskę nałożysz na twarz tym razem! – Widzę, jak trzęsą jej się ręce, gdy rozsmarowuje na buzi kolejną warstwę fluidu.

Wychodzę z pokoju, bo jestem już na skraju. Dosłownie czuję, że chwieję się na krawędzi, lecz, mimo to - gdybym tylko mogła - zabrałabym cały jej ból. Może i go pragnie, bo daje chwilowe ukojenie, ale wiem też, że po prostu potrzebuje kogoś, kto złapie ją mocno za rękę. Almę. Nie tę wykreowaną na jej potrzeby

alternatywną wersję. I mam ochotę uderzać głową w ścianę, gdy wyobrażę sobie ją z Diabłem. Gdy przypomnę sobie, z jaką dziewczyną spotkaliśmy go na wyspie. Kalką Almy z dzisiejszej nocy. I boję się, że ta wersja spodoba mu się bardziej, bo nie zna jej prawdziwego oblicza i nie ma porównania. A najbardziej obawiam się tego, że zatrze się ta cienka granica między kreacją a rzeczywistością, że stracę siostrę.

Idę szybkim krokiem do pokoju. Jestem zdeterminowana, żeby zakończyć tę chorą sytuację raz na zawsze. Nie chcę, żeby Alma odczuwała wdzięczność w stosunku do Mephista, o ile jest w ogóle do tego zdolna, skoro twierdzi, że nic nie czuje. Nie chcę, żeby po raz kolejny wybawiał ją z opresji, bo nie wiadomo, czego tym razem zażąda w zamian. A moja siostra ma do zaoferowania dużo więcej niż głupie małżeństwo. Więcej niż dziewictwo, które dziś jest, a jutro go nie ma. Ma delikatne, dobre serce, ale nie dostrzeże go nikt, kto sam go nie ma. Alma nie jest żadną ścierką! I mówię to ja, Etna La Mantide!

Słyszę dzwonek informujący o tym, że ktoś czeka przed bramą wjazdową. Wpadam do pokoju jak po ogień, ale w gruncie rzeczy chodzi mi jedynie o pistolet. I to, że jestem zdziwiona, gdy nie znajduję go w torebce, to wielkie niedopowiedzenie. Jestem pewna, że w niej był, zanim zesłam na śniadanie. Wysypuję zawartość na podłogę i potrząsam materiałem, ale bez względu na to, jak długo będę to robić, fakt i tak jest jeden. Nie ma mojej spluwy. Wybiegam z pokoju. U szczytu schodów stoi Alma i uśmiecha się przebiegle. Zerka przed siebie. Na dole stoi stary Bommarito i rozmawia z ojcem.

– Zabrałaś moją spluwę – syczę przez zaciśnięte zęby.

– Zamknij się, palantko. – Uśmiecha się pod nosem. – W tej chwili jestem osobą, która bez skrupułów zepchnęłaby cię ze schodów. Uważaj. – Mruga do mnie i schodzi powoli, trzymając się poręczy.

– Etna... – Patrzę w bok, w miejsce, z którego dobiega ciche nawoływanie. Alessio przywołuje mnie ręką i kładzie palec na ustach. Podchodzę do niego. Wciska mi w dłoń papierosa i zapalniczkę. – Idź na dwór – mówi cicho. – Podejdź do auta Bommarita i przywitaj się z jego człowiekiem. A potem tu wróc.

– Pieprzę powitania z nimi. – Patrzę na niego jak na idiotę.

– Przestań. – Zaciska dłoń na moim ramieniu, a drugą pociera czoło. – Tylko wystaw rękę. Nawet nic nie musisz mówić. – Przewraca oczami. – Idź. – Popycha mnie.

Nie mam pojęcia, dlaczego mam witać się z człowiekiem, który pracuje dla Bommarita i z jakiego powodu nie wszedł z nim do środka. Wychodzę na zewnątrz. Ojciec nawet nie pyta, dokąd się wybieram. Gdy jestem na werandzie, odpalam papierosa. Widzę stojące na podjeździe auto. Chwilę krążę po tarasie, a potem, niby od niechcienia, przechodzę obok samochodu, czekając na to, co się wydarzy. Szyba od strony kierowcy się opuszcza. Krztuszę się dymem, bo po pierwsze wiem, kim jest człowiek siedzący za kierownicą, a po drugie, wiem nawet, dlaczego nie wszedł do naszego domu. Nie może tego zrobić, bo jest chłopakiem, który napadł na mojego ojca, gdy ten wracał z przysięgi Efesty. To za nim rzucili się w pościg Serafino i Efesty podczas pogrzebu Antonia. Wyciąga do mnie dłoń, więc robię to samo. Gdy nią potrząsa, czuję, że coś mi do niej wkłada. Przygląda mi się i mówi:

– Z pozdrowieniami od wielkiego chuja.

Otwieram usta, ale zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, szyba się unosi. Wkładam przedmiot do kieszeni spodni i jak gdyby nigdy nic, dopalam papierosa. Próbuję wyczuć palcami, co otrzymałam, ale rzecz owinięta jest w folię. Chce mi się śmiać, bo tylko jedną osobę nazwałam tym niewyszukanym epitetem i jeśli to właśnie on mnie pozdrawia, to oznacza, że nieprzypadkowo wywalił się na cmentarzu i dał wygrać Serafinowi. Chciał, żeby siedzący w aucie chłopak, trafił do rodziny Bommarito. Powiedziałam wtedy Efestowi, że jest niedorajdą, a on odpowiedział, że dla mnie może być każdym. Co za człowiek. Co za manipulant.

Wyrzucam niedopałek w krzaki. Gdy przekraczam próg domu, zauważam, że nikogo nie ma w korytarzu. Najpewniej przeszli już do jadalni. Zamierzam do nich dołączyć, ale wcześniej zamykam się w łazience i wyciągam z kieszeni podarunek. Odpakowuję go z czarnej folii, a rytm mojego serca przyspiesza. Pierścień Oscara. Mam ochotę wyściskać Efesta. Objąć go z całej siły i nigdy nie puszczać. Serio, nigdy. To, co do niego czuję, wykracza poza każdą skalę. Wrzucam folię do kosza i chowam pierścień. Poprawiam włosy i staram się zetrzeć z twarzy to podekscytowanie, które w obliczu tego, co być może już rozgrywa się w pokoju stołowym, jest niewskazane.

Gdybym nie wiedziała, że stary Bommarito przyszedł do nas po to, by *prosić* o rękę mojej siostry, wchodząc do jadalni, nie odniosłabym takiego wrażenia. Oprócz niego i ojca przy stole siedzą także moje siostry i mama. Serafino się nie pojawił. Widocznie uznał, że to czysta formalność. Wszyscy zajadają się obiadem, jakbyśmy byli wielką, szczęśliwą rodziną. Co jakiś czas

ojciec rzuca mało śmiesznym żartem, a Bommarito przeciera palcem obrzydliwego wąsa. Zanim usiądę, zerkam jeszcze przez okno, bo wypatruję tego jednego, niezaproszonego gościa i sama już nie wiem, czy chcę, żeby spełnił swoją obietnicę – groźbę czy nie. Może po tym, co moja siostra zaprezentowała w klubie, na którym trzymają łapę Gotti, wykasował ustawioną w telefonie przypominajkę i po prostu odpuścił. Takich wersji Alm nie trzeba ze świecą szukać. Na pewno o tym wie. A skoro może mieć ich na pęczki, to po co podburzać stabilność organizacji, w której i tak brakuje już jednego palca.

Rozglądam się za Ninem, ale nigdzie go nie widzę. Żałuję, że nie wymusiłam broni od Alessia. Przez głowę przemyka mi myśl, żeby pójść do gabinetu ojca, bo bez spluwy nic nie zdziałam, a nie wierzę w to, że Alma zrobi pożytek z tej, którą mi zabrała. To nie w jej stylu. Nawet ja nie jestem przekonana, czy potrafiłabym kogoś zabić, mimo tych łagodzących okoliczności. Wmawiam sobie, że tak, że mój poziom desperacji osiągnął poziom krytyczny, ale to, co myślę i mówię to jedno, a naciśnięcie na spust, to zupełnie coś innego. Robię krok, bo zdecydowałam się na odszukanie Nina, ale w tym momencie Bommarito chrząka i wstaje od stołu. Uśmiecha się rubasznie, unosząc kieliszek wypełniony winem. Stuka w niego widelczykiem do ciasta. Pewnie planuje jakąś przemowę, ale zanim coś powie, ubiega go Alma.

– Zanim cokolwiek pan powie. – Mówiłam, że ona jest ugrzeczniona. Nawet w takiej chwili tytułuje go per pan, a powinna mówić per kutas. – Proszę zerknąć na to. – Podaje mu karteczkę. Ojciec posyła jej mordercze spojrzenie.

Bommarito przejmuje od niej kartkę i przygląda się jej. Siada i patrzy na mojego ojca.

– Umowa była inna – stwierdza. – Ona nie jest dziewicą. – Upija łyk wina i znów przeciera wąsa.

– To nie ma znaczenia – sapie ojciec. – Raz się puściła. Zapewniam, że będziesz zadowolony. A nie chcieliśmy kłamać, dlatego poprosiłem ją, żeby nie zatajała tego faktu. Szczerść ponad wszystko. – Świdruje Almę wzrokiem.

– Puściłam się więcej razy niż mam palców u stóp i rąk. – Siostra chce oprzeć plecy, ale krzywi się i szybko prostuje na krześle. – I nie zabezpieczam się, a dzisiejszej nocy przespałam się z jakimś ćpunem – informuje. – Chociaż słowo „przespałam” nie wydaje się odpowiednie, proszę pana, bo ostatnie, o czym myśleliśmy, to sen. – Mama wachluje się dłonią, a ojciec zaciska pięści. – Nie wiem, jak to określić, to moje zaburzenie, ale wydaje mi się, że jestem po prostu nimfomanką. Cały czas myślę o seksie. Non stop. I wyobrażam sobie różne scenariusze, a potem je odgrywam. – Kopię ją nogą pod stołem, bo ta wypowiedź powinna się już dawno zakończyć. Przegapiła moment, w którym na twarzy Bommarita zamiast obrzydzenia, zaczęła pojawiać się ekscytacja, wywołana najpewniej wizją związku z napaloną małolată. – I podnieca mnie wszystko. Nie mam żadnych zahamowań. Mówiąc wprost – nabiera powietrza – materiał na żonę ze mnie marny.

Bommarito wybucha śmiechem i z wewnętrznej strony marynarki wyciąga pudełeczko. Otwiera je i podsuwa w stronę Almy. Ojciec się rozluźnia.

– Zaryzykuję – Bommarito zwraca się do ojca. – Jeśli okaże się za bardzo, że tak się grzecznie wyrażę, wyeksploatowana,

wymienimy na którąś z tych. – Wskazuje na Lunę i Isabellę. Ta druga aż się wzdryga.

Nie mogę tego słuchać. Nie mogę patrzeć na wyraz twarzy mojej młodszej siostry i mam dość życia w tym nienormalnym domu.

– Nie zgadzam się – mówi mama.

Przy stole zapada cisza. Mnie samej odebrało mowę. Jestem pewna, że nikt nie spodziewał się, że moja matka cokolwiek powie. Nigdy tego nie robiła. Przenigdy w obecności ojca się nie odzywała. A już na pewno nie wypowiadała słów, za które będzie musiała zapłacić. I nikt jej przed tym nie uchroni. Nawet mój Joker, bo takie są zasady.

Ojciec śmieje się litościwie i macha dłonią przed jej twarzą.

– Nie słuchaj jej. Za dużo wina, za mało lania – kwituje.

Mama odsuwa krzesło, szurając nim, i wstaje od stołu. Unosi dłonie, w których trzyma broń i celuje w Bommarita. Wzrokiem próbuję dać znać siostrze, żeby się stąd zawijały, ale one ani drgną.

– Zabierzcie stąd Lisę! – Dopiero gdy wrzeszczę, bliźniaczki odsuwają krzesła i wyprowadzają małą.

– Nie rób głupot. – Ojciec mówi spokojnie, jakby był pewien, że matka i tak nie zrobi pożytku ze śmiercionośnej broni. – To replika – zwraca się do Bommarita i obaj wybuchają śmiechem. – Siadaj, idiotko. – Gromi matkę wzrokiem. – One mają to po niej. – Wskazuje na nas trzymaną w dłoni łyżką.

– Na szczęście ja nie mam repliki – mówi Alma, zrywając się z miejsca. Trzęsą jej się ręce, gdy celuje w Bommarita. – I nawet nie

zapytam, jakie jest twoje ostatnie życzenie, kutasie – syczy. – Za mało czasu na jego spełnienie. – Naciska spust. I nic.

– Odbezpiecz – burczę, a ona patrzy na mnie zdezorientowana. – Daj to, kurwa. – Wyrrywam jej broń w momencie, w którym rozlega się dźwięk tłuczonego szkła. Odruchowo zasłaniam głowę rękami. Alma piszczy i tupie nogami w miejscu, jakby chodziła po rozżarzonych węglach.

– Co tu się dzieje, do jasnej cholery?! – drze się ojciec. Unoszę głowę, żeby zobaczyć, co takiego ma na myśli. – Ktoś od nas go zabił? – Wybiega z jadalni i zwołuje swoich ludzi.

Bommarito leży na podłodze z otwartymi ustami. I oczami, które ewidentnie już niczego nie ujrzą. Zerkam za siebie, na rozbitą okienną szybę, i nie mam wątpliwości, że Mephisto nie zbłądził, podążając drogą do raję.

– Co się stało? – wydusza Alma. – Ja, ja nie strzeliłam. – Ogląda się za siebie.

– Widocznie miał innych wrogów. – Macham lekceważąco ręką, bo prawda nie chce przejść przez moje usta. Marzę jedynie o tym, żeby siostra odetchnęła. Nie chcę, żeby zamartwiała się tym razem Mephistem, bo może nie ma czym, a martwienie się na zapas jest bez sensu. Być może źle go oceniłam. Jest jakaś szansa na to, że po prostu się nudził i postanowił pomóc naiwnej dziewczynie z leśnej chatki. Rety, takie myślenie też jest głupiutkie.

Alma siada z impetem na krzesło i patrzy pustym wzrokiem na leżącego w kałuży krwi Bommarita. Rozlega się dźwięk dzwonka. Biegnę do holu, żeby zerknąć na ekran monitoringu.

– To Serafino. Chryste i wszyscy święci. – Ojciec rwie włosy z głowy. – Przykryj zwłoki Mauricia, idiotko. – Zerka na mnie, a potem na wejście do pokoju. – Zamknij drzwi. I morda w kubek. Bommarito tu nawet nie dotarł. Nie było go tu. Rozumiesz? – Potakuję. Stary rozpląnął się w powietrzu. To ma sens.

Wracam do jadalni. Z komody wyciągam obrus, którym przykryję ciało. Mama popija wino, a Alma siedzi nieruchomo. Zrzucam płachtę na Bommarita i wybiegam. Ojciec wpuszcza do domu Serafina. Ten szczyrzy się i rozkłada ramiona, zamykając mojego ojca w niedźwiedzim uścisku.

– Udało się. – Odsuwa się, a w jego oczach widoczna jest ulga.

Oczywiście się nie udało, bo Bommarito nie dotarł.

– Zaręczyny nie doszły do skutku, bo... – zaczynam.

– Chuj z zaręczynami. Stwierdzam, że udało się go odjechać. Gotti do mnie dzwonił, że już mogę wejść. – Unosi kciuk. – Gdybym nie widział, że jest z otchłani piekła, to powiedziałbym, że spadł mi z nieba – rechocze. – A, wy nic nie rozumiecie. – Uderza się dłonią w czoło. – Ty nie musisz – rzuca drwiąco. – Pójdziemy do twojego gabinetu, Alfredzie? – Ojciec wykonuje zapraszający gest ręką. Patrzą na ich oddalające się sylwetki, a gdy znikają za filarem, ruszam za nimi.

Podsłuchanie rozmowy, odbywającej się w gabinecie, nie jest dla mnie żadnym wyzwaniem. Już nieraz to robiłam. Prawdopodobieństwo przyłapania jest niewielkie, bo biurko nie jest ustawione naprzeciwko drzwi. Delikatnie przekręcam gałkę, a gdy powstaje szczelina, przykładam do niej ucho. Rozmowa już trwa i mam nadzieję, że nie umknęło mi nic istotnego.

– Stary uważał, że to moja wina, że Antonio nie żyje, bo niby to ja panoszyłem się w domu Selvaggio i naruszyłem zasady, za które mój brat poniósł konsekwencje. Bzdura – syczy Serafino. – Nie ukrywał, że za to nie obejmę po nim władzy. Wiesz, kogo chciał uczynić swoją prawą ręką? Szefa ochrony, kurwa! Nie krew z krwi, tylko obcego. Nie mogłem do tego dopuścić – warczy. – Wspominałem o tym Diabłu podczas jednej z imprez. Następnego dnia żalowałem wylewności i nawet do niego zadzwoniłem, żeby wybadać, ile z tego pamięta, bo sprawiał wrażenie najebanego w trzy dupy, ale powiedział tylko: „Widać, że w ogóle mnie nie znasz” i się rozłączył.

– Nie opowiadaj mi o tym. Jak to się ma do naszych spraw? Do umowy między mną a twoim ojcem? Ja chciałem jej dotrzymać.

– No właśnie to ma związek. Gdy Mephisto przyszedł do mnie kilka dni później i zaproponował, że uwolni moją duszę od zmartwień, nie zastanawiałem się długo – kontynuuje. – Prawdę mówiąc wcale. – Śmieje się głupkowato.

– Tak po prostu uwolnił twoją duszę od zmartwień – ironizuje ojciec. – Ty chyba rzeczywiście go nie znasz.

– Nie po prostu. Do tej pory ja i on przepuszczaliśmy swój towar przez port w Palermo. Wycofałem się – stwierdza. – Dogadam się z Selvaggio. Oni trzymają łapę na porcie w Trapani. Ja potrzebuję załadować tylko dwie dostawy w miesiącu. Co im szkodzi – mówi coraz ciszej, a ojciec się śmieje. – Dobra, powinienem się zabezpieczyć, zanim dobiłem targu, ale wizja, że Diabeł pomoże mi pozbyć się starego i władza naturalnie przejdzie na mnie, bez żadnych zaprzysiężeń, zaćmiła mi zdolność racjonalnej oceny sytuacji.

– Czyli zostałeś z niczym.

– Może to tak wyglądać. – Cisza. – Zapewniam, że dogadam się z Selvaggio. – Coraz mniej pewności w jego głosie.

– Ze wszystkich osób, z którymi mogłeś się dogadać, postawiłeś na niego. – Słyszę szuranie krzesła. – Chcesz się czegoś napić?

– Tak, szkockiej – odpowiada. – Nie wiem, to jakieś dziwne, ale gdy się spotkaliśmy, żeby omówić szczegóły, dostrzegłem w jego spojrzeniu szczerą. Poczułem, jakby oplotła nas przyjacielska więź, zrozumienie, którego nie da się zamknąć w żadnych ramach. Jego twarz była jak lustro, w którym dostrzegłem wszystko, czego pragnę.

Mój ojciec wybucha gromkim śmiechem.

– Nie masz teraz co robić z towarem, więc postanowiłeś zacząć ćpać?

– Kurwa, mówię tylko, jakie odniosłem wrażenie. Wizja, że obejmę władzę po starym, pomieszała mi w głowie. To na pewno to, bo gdy wszystko było dograne, gdy miałem już pewność, że mi pomoże i odcisnąłem na zobowiązaniu krwawy odcisk, już tego nie czułem.

Serafino nie grzeszy mądrością. Na pewno don Mauricio wiedział, że jego syn jest po prostu za głupi, żeby przekazać mu władzę, a śmierć Antonia była jedynie pretekstem. Gdyby Serafino miał trochę oleju w głowie, przyszedłby do nas i zażądał realizacji umowy. W końcu jej niedotrzymanie groziło naszej rodzinie wojną. Mógłby spróbować wybić nas w pień, tak jak kiedyś obiecywał, i zgarnąć nasze udziały w salinach. A on po prostu przyszedł i wszystko wyśpiewał, jak ostatni kretyn.

Do Diabła natomiast nie mam żadnych pytań. Co za człowiek! Miał zabić Bommarita w imię miłości, wyrwać Almę z jego obleśnych łap, a nie przekabacać Serafina i piec dwie pieczenie na jednym ogniu. A co, jeśli pojawił się tu tylko ze względu na Bommarita? Może zależało mu tylko na wyłączności w porcie i przypominajka, ustawiona w telefonie, miała mu przywozić na myśl obietnicę złożoną Serafinowi? Jego rajem jest najpewniej to, że pozbył się konkurencji w Palermo. Jest szansa, że Alma nie musi się już niczego obawiać. Sądzę tak, bo w przeciwnym razie Mephisto na pewno pojawiłby się w naszym domu, żeby porozmawiać z ojcem. A on jedynie zrobił to, na co umówił się z Serafinem i zniknął. Może jednak jest metoda w tym nedorzecznym zachowaniu Almy. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że to, z jakiej strony pokazała się w klubie, ją uratowało. Ulga, jaką odczuwam, jest tak wielka, że z sykiem wypuszczam powietrze i z powrotem je nabieram, zaciskając powieki, bo drzwi otwierają się na oścież i dopada mnie ojciec.

– Znów podsłuchiwałaś! – wydziera się i łapie mnie za kark. – Ty jesteś jakaś niereformowalna! Mówiłem ci, mała suko – uderza moją głową o swoje kolano – że jeszcze z tobą nie skończyłem – warczy.

– Powiem Efestowi, po... powi... – Zatyka moje usta dłonią.

– Nic nie powiesz. Już nic, nigdy i do nikogo – sapie. Kątem oka widzę przechodzącego przez próg gabinetu Serafina. – Spieprzaj. I morda w kubel.

– Dobra, dobra – rzuca przez ramię i ulatnia się w pośpiechu.

Ojciec próbuje wciągnąć mnie do pokoju, ale łapię za framugę. Kopię go i staram się wyrwać. Gryzę zaciśnięte na moich ustach

palce, ale nie zabiera ręki. Wypycha mnie z powrotem na korytarz, ale jak się okazuje tylko po to, by mocno szarpnąć mną do tyłu i jednak wciągnąć do gabinetu. Zrobił to tak niespodziewanie, że nie zdążyłam się niczego złapać. Zatrząskuje nogą drzwi i zgarnia moje włosy w garść.

– Proszę. Nic nie powiem. Tylko mnie puść – piszczę, bo czuję, że przyciska do mojej szyi zimne ostrze. – Nie możesz mnie zabić! – Wrywam się, nie zważając na to, czy zostanę pocięta. Mam już tego dość. Tej sytuacji, wiecznego strachu. Macham rękami na oślepienie, ale na nic się to zdaje. – Ty złamasie, cieniasie najgorszy, puszczaj! – Mój głos przepełniony jest desperacją.

– Nie zabiję cię. Tylko utnę ci język – szepcze mi do ucha i obejmuje mocno ramionami – bo mam już dość twojego pierdolenia. Ty mnie do tego zmusiłaś, pamiętaj. Tylko ty. Zobacz, co zrobiłaś, do czego muszę się posunąć. – Obraca mnie twarzą do siebie i wkłada mi palce do ust. Drugą ręką, tą, w której trzyma nóż, przytrzymuje moje włosy. Krztuszę się, gdy próbuje złapać mój język, zaciskam dłonie na jego szyi, wbijając w nią palce, i kopię go w krocze. Zgina się w pół. – Jednak cię zabiję – charczy.

Podbiegam do drzwi, które z impetem otwieram. Wybiegając, potykam się o próg i upadam na kolana.

– Na pomoc – wypowiadam z wysiłkiem, mimo że mam ochotę krzyczeć. Dusi mnie strach podchodzący do gardła. Duszą cisnącą się do oczu łzy.

Ojciec śmieje się, gdy widzi mnie na klęczkach. Chcę wstać, ale uniemożliwia mi to, przygważdżając podeszwą buta palce mojej ręki do podłogi. Porusza stopą, jakby gasił peta.

– Na pomoc! – wrzeszczę w końcu.

Schyla się, podciąga mnie za rękę i przewraca. Siada okrakiem na moim brzuchu. Macham rękami, kolanami uderzam go w plecy. Obejmuje moją twarz.

– Powiedz „A”. Pomogę ci. – Uśmiecha się przebiegle. – Któraś z was straci dziś jęzor, wybieraj, kurwa, ty czy one. – Zaciska palce na moim nosie. Duszę się i odruchowo otwieram usta, żeby złapać oddech. Znow wpycha mi palce między wargi, ale gryzę je z całej siły. – Ty czy one! – Nie mogę odpowiedzieć. Wydaję z siebie bliżej nieokreślone dźwięki. – Jeśli ty, wystaw język i przestań walczyć. – Ojciec zabiera palce z moich ust, nie przestając ścisnąć mi nosa. – Wystawiam koniuszek języka. Niech się dzieje, co chce. Mam już tego dość. – Więcej, cwaniaro.

Ostatkiem sił uderzam go kolanami w plecy, bo słyszę czyjeś kroki. Unosi głowę i patrzy przed siebie.

– Wypad stąd! – wydziera się.

Kroki są donośniejsze. Podbiega do nas mama i staje za jego plecami. Szarpie go za ramiona, więc staram się wyswobodzić, zanim ojciec mnie zadźga. RzUCA się na jego plecy.

– Zostaw nas w końcu w spokoju! – piszczy. Ojciec próbuje ją strącić, ale mama zaciska przedramiona na jego szyi.

Wyczołguję się i podnoszę, biegnę przed siebie, serce wali w piersi jak oszalałe, puls rozsadza bębenki. Wpadam na coś. Obraz się zamazuje. Słyszę jakieś głosy. Mam wrażenie, że cały świat wiruje.

– Mów, kurwa. – Mrugam szybko i staram się złapać oddech. Efesto potrząsa moimi ramionami, a Alessio wachluje mnie dłońmi. – Kto ci to zrobił? – Jego postawa, głos, wyraz twarzy to czysta furia.

– Ja, ja podsłuchałam i, i... – Łapię zachłannie powietrze.

– Pytanie. Odpowiedź. Kto? – warczy.

– Oj..., ojciec – jąkam się i wskazuję ręką na korytarz. – Mo..., moj... – Płaczę z bezsilności. Nie jestem w stanie nawet sklecić durnego słowa!

– Zostań z nią – zwraca się do Alessia, który pokrzepiająco klepie mnie po plecach.

Efesto rusza korytarzem. Widzę, jak jego ramiona unoszą się, gdy oddycha. Zatrzymuje się przed zakrętem, zza którego wybiegłam, i zerka w głąb korytarza. Kręci głową z niedowierzaniem.

– Tato. Nie bij mamusi – mówi tonem bez wyrazu. Rusza przed siebie i znika nam z oczu.

– Zabierzcie go stąd! – wrzeszczy ojciec. – Zawołaj naszych ludzi! – Jego głos przesiąknięty jest paniką. – Na pomoc!

Zza rogu wyłania się mama. Ma pocięte dłonie, więc najpewniej broniąc się, zaciskała je na ostrzu noża. Podbiega do mnie Lisa i wtula się w moje nogi, a chwilę później dołącza do nas zdezorientowana Alma.

– Ja zawołałam mamę – wyjaśnia Lisa – bo słyszałam, jak krzyczysz. – Unosi głowę. – I ty chciałaś oddać swój język, żeby tata nie ukradł naszych. – Wtula się jeszcze mocniej, a ja wciąż się trzęsę. Nie potrafię nad tym zapanować. Dodatkowo boję się, że ojciec zrobi krzywdę Efestowi.

– O czym ona mówi? – pyta Alma. – Ojciec znów cię zlał? Chciał ci uciąć język?

– O niczym. Zajmij się sobą – warczę, mimo że nie chcę. Czuję, że stres zamiast odpuszczać, tylko się wzmaga. – Co się to

obchodzi?! – Szturcham ją. – Jak to leciało? Jeb się, siostrzyczko!
– wrzeszczę i opadam na podłogę. Chowam twarz w dłoniach i płacę, bo mam już dość bycia silną.

Nie wiem, ile czasu tkwię bez ruchu pogrążona w żalości, ale wzdrygam się, gdy Efesto łapie mnie za ramię i podciąga do pionu.

– Ubierz się. Wychodzimy – rzuca kategorycznie. Taksuję go wzrokiem, żeby przekonać się, czy nic mu nie jest. Wygląda tak jak wcześniej. Na jego ubraniu, twarzy, rękach nie ma ani jednej kropli krwi. – Słyszysz, co do ciebie mówię? – Obdarza mnie tym zimnym spojrzeniem, którego tak nie lubię.

– Wezwać karetkę? – dopytuje Alessio.

– Naszego lekarza – odpowiada Efesto, a ja się wzdrygam.

– A co stało się ojcu? – szepczę i zaciskam rękę na jego przedramieniu.

– Pójdź, kurwa, i sobie sprawdź, jeśli cię to interesuje, bo ja wychodzę. – Strąca moją dłoń. – A wy radźcie sobie same, bo ona – wskazuje na mnie – na pewno nie będzie waszą niańką. Macie na to moje słowo.

– Dlaczego to mówisz? – wyduszam.

– Co? Prawdę? – Zakłada mi włosy za ucho. – Czekam w aucie pięć minut. Ani sekundy dłużej.

Wychodzi z domu, a ja przez chwilę nie ruszam się z miejsca. Moja dezorientacja szybko mija. Biegnę do swojego pokoju i zgarniam do torby kilka najpotrzebniejszych rzeczy. Gdy schodzę do holu, na schodach siedzi tylko Alma. Obgryza paznokcie.

– Jutro pewnie wrócę. Nie rób nic głupiego i w ogóle – mówię.
– Jakoś to będzie – dodaję.

– To na pewno. Dzięki. – Wstaje i mnie obejmuje. Odwzajemniam uścisk, mocno ją przytulając. Syczy z bólu.

– To plecy jeszcze się nie zagoiły? – pytam. – Widziałam, że nie mogłaś się oprzeć na krzesło w jadalni.

– Zagoiły. Ścisnęłaś za mocno zebra, dlatego syknęłam. – Czochra moje włosy. – Leć już.

Wychodzę na zewnątrz i wskakuję do samochodu. Efesto od razu rusza z miejsca. Nie odzywa się ani słowem, więc być może potrzebuje jakiegoś spokoju czy tam wyciszenia. Tyle że ja akurat lubię rozmawiać, gdy w głowie kotłuje mi się za dużo myśli, żądających uwolnienia.

– Jeśli spóźniłabym się sekundę, to byś odjechał?

– Nie. – Zerka na mnie. Wydaje się zdziwiony. – Poszedłbym po ciebie. Złapał za rękę i pociągnął we właściwym kierunku.

– Jakoś w domu ją odtrąciłeś – burczę.

– Mimo to siedzisz ze mną w aucie. Wnioski?

– Tylko jeden przychodzi mi na myśl – stwierdzam. – Taki, że sama potrafię dokonać wyboru.

– Dobrego, zapomniałaś dodać. – Uśmiecha się pod nosem i opiera zgiętą rękę na podłokietniku. Unosi ją, otwierając dłoń. Kładę na niej swoją. – Drugi wniosek jest taki, że twoja ręka idealnie pasuje do mojej, więc, jakbyś jednak miała z tym problem, to cóż... – wsuwa palce między moje. – Jestem.

Czuję gorąco na policzkach. Uwielbiam go. To jak działa na mnie każde jego słowo. Każdy gest. Nawet to, w jaki sposób splata nasze dłonie, jest totalnie wyjątkowe. Słyszę dźwięk przychodzącej wiadomości. Wygrzebuję z torebki telefon.

– Luna napisała, że przyjechał już lekarz. Zabierają ojca na prześwietlenie, bo nie może ruszyć nogami. – Robię głęboki wdech. – Ciekawe, co mu jest, skoro nie ma żadnych widocznych obrażeń – zastanawiam się głośno.

– Na moje oko uszkodzenie rdzenia kręgowego na poziomie kręgu Th6. Szósta przestrzeń międzybrowa. Poziom wyrostka mieczykowatego mostka.

– A co to niby oznacza?

Efesto śmieje się gorzko.

– To oznacza, że słowa mają wielką moc, kotku. I że możesz być spokojna – zerka na mnie – gwarantuję, że spełnię wszystko, co ci obiecuję.

Na moich przedramionach pojawia się gęsia skórka. Może i powinnam się cieszyć, że mój chłopak jest słowny, ale w jego ustach zapewnienie to zabrzmiało jakoś niepokojąco. Gdy wjeżdżamy na teren posesji Selvaggiów dopada mnie dziwne uczucie. Nie potrafię określić, w czym rzecz, ale o ile w moim domu czuję się zawsze tak, jakbym siedziała na tykającej bombie, tu przepelnia mnie spokój.

– Później muszę porozmawiać z ojcem – mówi, parkując.

– W porządku, a co będziemy teraz robić?

Wzrusza ramionami.

– Co chcesz. Możemy się przebrać i pojechać coś zjeść – proponuje.

Wolałabym, żeby zjadł mnie.

– Zgoda.

Wysiada z auta, więc też to robię i podchodzę do niego. Zarzuca rękę na moje ramię, gdy idziemy w stronę domu.

– Znów masz siniaka na czole. – Patrzy na mnie z góry. – Boli?
– Przykłada do niego palec.

– Niezbyt – stwierdzam zgodnie z prawdą. – Ale i tak możesz dać całusa. – Uśmiecham się szeroko. – I w inne miejsca też, nawet w te, które nie bolą – wyrzucam z siebie i znów czuję gorąco na policzkach.

Efesto śmieje się cicho.

– Na przykład w jakie? – Zatrzymuje się i obejmuje mnie w talii, przyciskając do siebie. Rety, teraz to na pewno nie powiem. Mogłam rzucić cicho słowo na wiatr, gdy szliśmy obok siebie, ale gdy wiem, że na mnie patrzy, jest mi trudniej.

– No wiesz, w szyję, policzki, usta – wymieniam. – Nawet w brzuch.

– Nawet. – Kręci z niedowierzaniem głową i obejmuje mój podbródek. Mruży oczy, gdy mi się przygląda. – Wymieniasz dalej?

– W ucho. – Zaciskam usta, żeby się nie roześmiać. Efesto za to śmieje się w głos.

– Dalej.

– Tyle przychodzi mi na myśl – kłamię.

– Szyja, policzki, usta, ucho i nawet brzuch. Zakodowane. – Ciągnie mnie w stronę wejścia do domu. Jestem trochę rozczarowana, bo chciałam, żeby wydobył ze mnie więcej informacji. Efesto unosi moją dłoń i wsuwa na palec pierścienek zaręczynowy. – W porządku? Nie uciska? – Otwiera przede mną drzwi i przepuszcza przodem.

– Teraz jest idealny. – Wyciągam rękę przed siebie i przyglądam się jej. – A te całusy, o których rozmawialiśmy, to

przed kolacją czy po? – Zerkam na niego, gdy wchodzimy po schodach prowadzących na piętro. Mam nadzieję, że moja twarz nie zdradza niemej prośby: „Przed, przed”.

– Przed. –Zwycięstwo. – To minuta roboty.

– W mojej wyobraźni więcej niż minuta – mamroczę. – Wymieniłam wiele części ciała...

– Tak, pięć, w które chcesz... – przeciera twarz dłonią – całusa. To jednak ze dwadzieścia sekund. – Śmieje się. – Kurwa, może nawet i dziesięć.

– Biorę już pigułki – rzucam w przestrzeń, żeby coś mu zasugerować, ale jedynie uśmiecha się pod nosem.

Wpisuje kod na panelu wejściowym i rety, gdy tylko przekraczam próg pokoju, znów uaktywnia się mój syndrom psychofanki. W całym pomieszczeniu pachnie nim i ponownie mam ochotę się we wszystkim wytarzać.

– Oczekujesz, że zrobię użytek z tej informacji? – Wytrąca mnie z rozmyślań i dopiero po chwili uświadamiam sobie, o jakim pożytku może mówić. Na samą myśl mam ochotę się czegoś przytrzymać, żeby nie upaść, bo robi mi się bardzo gorąco. Mam ochotę się na niego rzucić i całować, aż zabraknie mi tchu, ale nie chcę wyjść na jakąś desperatkę, chociaż rozpaczliwie jestem spragniona jego dotyku.

– Co? Nie. Jaki niby? Tak tylko mówię. Jako ciekawostkę. – Idiotka!

– Dobra. Szybki prysznic i wychodzimy – dysponuje rzeczowo i idzie do garderoby. Stoję jak słup soli. Po chwili wychodzi w samych bokserkach. On jest idealny. Moje ciało niemal samo się do niego rwie. Muszę użyć całej siły woli, żeby nie podejść i nie

zacząć przesuwając dłoń po każdym odznaczającym się mięśniu. –
Co tak stoisz? – Przygląda mi się wnikliwie.

– Nie wiem, co mam ze sobą zrobić.

Podchodzi do mnie i wyrywa mi torbę z rąk. Wyciąga z niej kilka ubrań, notesik i inne szpargały. Obraca się dookoła własnej osi i rozrzuca je po pokoju. Moje majtki lądują na abażurze lampki nocnej, a szminka wpada pod komodę.

– To twoja przestrzeń i tak ją traktuj – stwierdza i idzie w stronę łazienki. Odwraca się. – Na co czekasz? – Zanim zdązę odpowiedzieć, znika za drzwiami.

Oddycham głęboko. Świadomość, że mogę już uprawiać seks, chyba jednak mnie paraliżuje. Tak czekałam na tę chwilę, a teraz nie mogę pozbyć się z głowy słów Almy twierdzącej, że gdy Efesto znajdzie się już we mnie, będzie myślał tylko o sobie. Poklepuję się po policzkach. Powiedziałam jej, że mu ufam i tak jest!

Ruszam pewnym krokiem przed siebie. Efesto stoi pod prysznicem. Widzę niewyraźny zarys jego poruszającej się sylwetki, bo szyba kabiny jest zaparowana. Ściągam bluzkę i rozpinam spodnie.

– Mam wykąpać się w wannie, czy dołączyć do ciebie?

Efesto śmieje się, otwiera drzwi kabiny i wychyla głowę, przecierając ręką mokrą twarz.

– Do mnie, bo stęskniłem się za twoimi cyckami.

– Nie powiedziałeś tego. – Trzęsą mi się ręce, gdy ściągam spodnie.

– Powiedziałem, ale załóżmy, że nie, jeśli to sprawi, że się pospieszysz – wzdycha. – Dajesz, kotku. – Zamyka kabinę, ale

zupełnie niepotrzebnie, bo już jestem gotowa, żeby do niego dołączyć.

Uchylam drzwi i wchodzę. Uderza we mnie gorąca para i zapach, który tak uwielbiam. Efesto odwraca się w moją stronę i patrzy na mnie od dołu do góry.

– Zawsze kąpiesz się w bieliźnie? – Przejeżdża dłońmi po moich piersiach, naciągając materiał stanika. – Rozbierz się. – Polewa mnie wodą i wyciska na włosy szampon.

– Nie chciałam myć włosów! Będą schnąć pięć godzin – sapię i ściągam majtki.

– Już za późno. Nie mówisz, czego chcesz, więc zgaduję. – Wzrusza ramionami i namydla mi szyję. Jego dłoń ślizga się po niej i wędruje między moje piersi, nogi. Jeśli nie zemdleję od nadmiaru gorących myśli i pary, to dopiero będzie fart!

– Mówię, czego chcę.

– Tak, wiem. Całusów. – Spoglądam na niego spod na wpół przymkniętych powiek, na ten jego cwany uśmiezek. Przybliża się i sięga za moje plecy, żeby rozpiąć mi stanik. Staję na palcach, żeby nasze usta mogły się zetknąć. Gdy to robię, moje piersi ocierają się o jego tors. Przytrzymuje mnie, kładąc mi ręce na biodrach. Dzieli nas kilka milimetrów, opieram się o niego i udaje mi się. Nasze wargi rzeczywiście się stykają i jest to zwykły, koleżeński całus! Efesto prostuje się, więc łapię go za kark, chcąc, żeby bardziej obniżył głowę. Śmieje się cicho.

– Ale ty mnie denerwujesz – warczę i wkładam większą siłę w to, żeby w końcu schylił się na moją wysokość, ale napina mięśnie karku. Chcę wsunąć język w jego usta. Wystawiam go, ale nawet

nie dosięgam. – Co robisz, udajesz jakiegoś trudnego do zdobycia?
– Wybuchła śmiechem.

– Jasne, że nie. Po co miałbym się tak torturować? – pyta, jakby sam siebie. – I czym cię denerwuję? – Unosi brwi. – Tym, że robię to, czego chcesz?

– To nie łap mnie za słówka, tylko bądź spontaniczny – burczę. – Mówiąc „całus” miałam na myśli całą resztę. Wszystko inne też – tłumaczę, a on śmieje się pobłaźliwie.

– Będę cię łapał za słówka, bo skoro wychodzą z twoich ust, to chyba coś znaczą, czy nie? – Przygląda mi się wnikliwie. – Chyba nie powiesz mi, że słowo „całus” oznacza „ostre rżnięcie”. – Nabieram powietrza. – Nie chciałybyś, żebym wykazał się aż taką spontanicznością, więc mów wprost, czego chcesz i nie krąż wokół tematu. To się nie sprawdza, kotku. Zamknij oczy. – Spłukuje pianę z moich włosów, a gdy kończy, kieruje strumień wody na siebie i na mnie. Słyszę dźwięk dzwonka telefonu i Efesto najpewniej też, bo wychodzi z kabiny. Pod wpływem chłodnego powietrza, jakie dostaje się do wnętrza, na mojej skórze pojawia się gęsia skórka. Efesto podaje mi ręcznik, a swój przewiązuje w pasie. Wychodzi z łazienki, a ja chwilę po nim.

– Zastanowię się – zwraca się do swojego rozmówcy i siada na łóżku. Śledzi wzrokiem każdy mój ruch, a gdy sięgam po majtki, które zarzucił na lampę, kręci głową i zasłania głośnik ręką. – Nie będą ci potrzebne. – Wyciąga do mnie rękę. Wskakuję na łóżko i przytulam twarz do jego ramienia, a on kontynuuje rozmowę. – Od kiedy? – Gładzi mnie po nodze. – Nie, odpada. Serafino, dzwoniemy się, bo dziś nie mam czasu. – Rozłącza się i rzuca telefon na szafkę.

– To Bommarito?
– Yhm.
– A czego chciał?
– Nie twoja sprawa – rzuca lekceważąco.
– Ja wszystko wiem.
– Skoro wiesz, to nie pytaj.
– Wiem o porcie – informuję go. – Doradzić ci coś? – Śmieje się.

– Tak, kotku. – Wciąga mnie na swoje kolana. Uśmiecham się, bo to miłe, że przyznaje wprost, że potrzebuje mojego doradztwa. Obejmuję go ramionami. – Musisz mi doradzić, bo nie wiem, co robić. – To nawet słodkie, to jego zagubienie. Nie znałam go z tej strony. – Mam się ubrać i wychodzimy, czy zerwać z ciebie ręcznik i znaleźć się w tobie? – Otwieram usta. Co za człowiek. – Szybka odpowiedź, doradco. – Poklepuje mnie po policzku i unosi, sadzając na sobie okrakiem. Spada ze mnie ręcznik. – Rezygnujesz ze swojej funkcji, czy odpowiadasz?

Przysuwam usta do jego ucha.

– Chcę się kochać.

Przejeżdża językiem po mojej piersi. Jęczę cicho, bo moje ciało przeszywa dreszcz. Zaciskam palce na jego karku, ocierając się o jego nabrzmiałą męskość. Jedyłą barierą oddzielającą od siebie nasze ciała jest ręcznik, który ma owinięty dookoła bioder. Łapię w palce skrawek materiału, przyciśnięty do jego brzucha. Odchyła się do tyłu i opiera plecy na materacu.

– A ja chcę twoje włosy na mojej twarzy, kotku.

Przyciąga mnie za rękę do siebie, a gdy opadam na niego, przyciskając piersi do jego torsu, chwyta mnie za kark i odnajduje

moje usta. Zatracam się w pocałunku. Nie wiem, ile jeszcze jego wersji jest przede mną nieodkrytych, ale ten także różni się od poprzednich. Tym razem jesteśmy idealnie zsynchronizowani. Nasze języki nie siłują się ze sobą, lecz ocierają o siebie w namiętnym tańcu. Efesto zatapia rękę w moich włosach i niespiesznie masuje skórę głowy. To wspaniałe, relaksujące uczucie, ale i tak czuję mocne uderzenia serca w piersi. Przyznaję, nieco się stresuję. Sunie językiem po moim policzku, uchu, wraca do całowania ust. Co jakiś czas zaciska dłoń na moim pośladku, a gdy to robi, czuję natarczywe mrowienie między nogami. Piszczę, gdy przewraca mnie na plecy i umiejscawia się między moimi udami. Zrywa z siebie ręcznik i odrzuca go na bok. Boję się, że wejdzie we mnie ot tak, bez żadnego ostrzeżenia. Trzęsą mi się nogi i nie potrafię nad tym zapanować. Efesto unosi lekko moje plecy i wyciąga spod nich włosy. Z powrotem przyciska mnie do materaca i obejmuje moją twarz dłońmi.

– Spójrz na mnie. Wiesz, kim dla ciebie jestem?

– Oczywiście – stwierdzam zbita z tropu.

– Więc dlaczego tak się trzęsiesz? – Mruży oczy.

– Może właśnie dlatego, że wiem, kim jesteś.

Kręci głową z niedowierzaniem.

– Widzisz tu kogoś poza nami? – Przekręca moją twarz w lewo i w prawo, żebym mogła się rozejrzeć. – Słuchaj, co do ciebie mówię. Pytanie brzmiało, kim jestem dla ciebie. Nie dla innych. – Poklepuje mnie po policzku i wskazuje na swoje oczy, bo odleciałam myślami. – Masz powód, żeby się mnie bać? Zrobiłaś coś niewybaczalnego? Myślisz, że nie było okazji do tego, żebym po prostu cię zerznął? – Mrugam szybko. – Możesz mi wierzyć, że

gdybym chciał cię skrzywdzić, już bym to zrobił. – Stuka palcami w moje czoło. – Zakoduj. I rozłóż szerzej nogi. Proszę. – Całuje mnie mocno i zachłannie, a gdy robię to, o co poprosiłam, odchyła się lekko i przejeżdża palcami po mojej cipce. Czuję, jak prześlizgują się w górę, w dół, jak lekko wsuwa je we mnie, a potem wyjmuję i znów sunie ścieżką wiodącą od mojego mokrego wnętrza, aż do łechtaczki.

– Lubisz, gdy tak robię? – szepcze w moje usta.

– Tak.

– I co jeszcze lubisz?

– Lubię, jak mnie liżesz. Wszędzie – mruczę.

– Powiedz, co chcesz, żebym zrobił. – Nie przerywa pocałunku.

– Chcę, żebyś wylizał moją cipkę.

– I co jeszcze?

– I przejechał szorstkim policzkiem po wewnętrznej stronie moich ud – wyduszam w jego usta. – I żebyś nie przytrzymał moich bioder, gdy będziesz mnie lizał i wkładał we mnie palec. Jak będę chciała więcej, to masz mi to dać. – Efesto śmieje się cicho i odchyła moją głowę.

Długo pieści moją szyję, całując ją i liżąc. Zsuwa się niżej i to samo robi z piersiami, a gdy zasysa mój sutek, wyginam plecy i kładę dłoń na jego głowie. Pragnę, żeby dotarł już do strategicznego, spragnionego pieszczot miejsca, ale on się nie spieszy. Mój oddech rwie się, gdy przejeżdża policzkiem po moim brzuchu, a przyjemne ciepło i dreszcz rozchodzą się po całym ciele. Już teraz jestem gotowa na to, by znalazł się we mnie. Unoszę lekko biodra, sugerując, żeby w końcu zrobił to, co powiedziałam,

ale on skupia się na całowaniu każdego skrawka mojego brzucha. Nabieram powietrza.

– Możesz już zejść niżej – jęczę sfrustrowana, a on unosi głowę.

– Wiem, że mogę. – Obdarza mnie tym swoim litościwym spojrzeniem. – Ale nie chcę.

Wraca do przerwanej czynności. Rozkładam szerzej nogi. Efesto przyciska czoło do mojego brzucha i ściskając za udo, unosi mi nogę. Przejeżdża policzkiem po wzgórkach, aż dociera do cipki. Być może powinnam czuć się skrepowana, bo w takiej pozycji jestem przed nim wyjątkowo odsłonięta, ale nie czuję nic poza narastającym podnieceniem i oczekiwaniem na to, co nastąpi. Wypuszczam z sykiem wstrzymywane powietrze, gdy wsuwa język do szparki i zaciskam rękę na jego dłoni, którą trzyma na moim brzuchu. Drugą przytrzymuje nogę i podnosi ją coraz wyżej i wyżej, a jego gorący język wślizguje się coraz głębiej. Połączenie mocnego uścisku na udzie, pomruków, jakie wydaje z siebie Efesto i doznań, które jak prąd przechodzą przez ciało, gdy ruchy jego języka stają się zachłanne i coraz bardziej roszczeniowe, sprawia, że jestem już na skraju. Unoszę biodra i zaciskam mięśnie, wiem, że dosłownie moment dzieli mnie od osiągnięcia nieziemskiego orgazmu, już niemal czuję ten napływający z każdej strony dreszcz i podkurczam palce, lecz Efesto zaprzestaje pieszczot i fala przyjemności, która prawie mnie zakryła, zaczyna się cofać. Uchylam powieki, ale z powrotem je przymykam, gdy czuję szorstkość jego policzka po wewnętrznej stronie uda. Efesto łąsi się do mnie jak wielki kot i wydaje z siebie takie seksowne dźwięki, że mam ochotę wciągnąć go na siebie siłą. Pod wpływem tej pieszczoty rozszerzam nogi, a mój puls znów niebezpiecznie

przyspiesza, gdy czuję wsuwający się we wnętrze palec. Napieram na niego, gdy fala przyjemności ponownie się wzmacnia, a Efesto, tak jak obiecał, nie przytrzymuje moich bioder, coś jednak jest nie tak, bo im bardziej się obniżam, tym mniej go czuję.

– Możesz się nie wycofywać? – warczę sfrustrowana i unoszę biodra. – Mam wrażenie, że robisz to specjalnie. Gdy robi mi się naprawdę miło i widzę to światełko, ty je wyłączasz.

– Masz dobre wrażenie – stwierdza i kładzie się na mnie, opierając przedramiona po bokach mojej głowy. Kolanami rozsuwa mi nogi. – Dziś nie dojdiesz, zaciskając się na moich palcach, kotku. Będziesz jęczeć, dochodząc na moim fiucie.

Dobrze, że atakuje moje usta swoimi, bo nawet nie wiem, co miałabym odpowiedzieć. Nic oprócz „och” nie przychodzi mi na myśl. Nie, kiedy czuję jego męskość drażniącą moją szparkę. Wyczekuję momentu, kiedy w końcu we mnie wejdzie. Mam wrażenie, że dudniące serce rozkruszy mi zębra. Efesto wsłuchuje się w jego rytm, kładąc głowę na mojej piersi. Spędza w tej pozycji dłuższą chwilę. Wzdycha i unosi się, żeby podciągnąć moje biodra bliżej swoich. Ponownie opada. Ta bliskość, gdy czuję jego ciężar na sobie, działa kojąco. To, jak osłania swoim ciałem i przejmuje inicjatywę, niesamowicie mnie podnieca.

Wsuwa między nas dłoń, a drugą przejeżdża po moich włosach. Pieści łechtaczkę. Przymykam oczy, żeby poddać się tej przyjemności, i nieco się rozluźniam. Trwa to chwilę, bo wyczuwam, że na moje wejście napiera coś zdecydowanie większego od palca. Spinam się i znów zaczynają drżeć mi uda. Wstrzymuję oddech, czując to specyficzne rozpieranie. Efesto nachyla się nade mną i muska moje usta.

– Wiedziałaś, że w którejś z zatok przy twojej wyspie znajdują się ruiny rzymskiego wraku?

Tak! Gdyby nie to, że odczuwam to napieranie i mrowienie w podbrzuszu, klasnęłabym z radości. Uwielbiam rozmawiać o wyspie. Na samą myśl o niej widzę przed oczami niebieską, morską wodę, kołyszące się w rytm fal kolorowe łódki, niemal słyszę wiatr hulający między klimatycznymi budynkami. Efesto znów przykłada ucho do mojej klatki piersiowej, a gdy unosi głowę, całuje mnie w szyję. Przytula się do niej całą twarzą.

– Ten wrak znajduje się między Cala Minnola a Punta Altarella. – Skubie zębami skórę na szyi. Na to doznanie unoszę się lekko na stopach, a Efesto znów zaczyna pieścić moją lechtaczkę. Gdy to robi, nie odczuwam już tego nieznośnego napięcia. Chyba po prostu się rozluźniłam. No i nie skończyłam opowiadać. – Dokładnie nie wiadomo, na jakiej głębokości, ale jest to mniej więcej trzydzieści metrów.

– Głęboko – szepcze mi do ucha. Jego ramiona się napinają.

– W okolicy jest sporo statków z czasów punickich. Opowiem ci o nich wszystkich i o malowidłach w grocie.

Chcę opowiedzieć o nich teraz, ale Efesto szarpie mocno moje włosy. Przez chwilę mam wrażenie, że przed oczami mam malowidła, o których wspominałam.

– Wybacz. – Całuje mnie namiętnie i wkłada dłoń pod mój tyłek, lekko go unosząc. – Ręka wplątała mi się w twoje włosy. Bolało? – Przejeżdża językiem po linii mojej żuchwy i masuje skórę głowy. Sama już nie wiem, na jakim doznaniu się skupić, bo jest ich tak wiele. Do tego czuję się całkowicie wypełniona i jest to zupełnie nowe odczucie, do tego niejednostajne.

– Dlaczego mam wrażenie, że totalnie we mnie jesteś?

– Może dlatego, że jestem w tobie totalnie – odpowiada i przesuwa dłonią po mojej piersi, lekko ją ściskając.

– A dlaczego mnie nie bolało, tylko teraz czuję takie lekkie pieczenie?

– Może i bolało, ale skupiłaś się na innym doznaniu – stwierdza. – Może szczęśliwie zgrało się to w czasie z tym niefortunnym szarpnięciem. – Uśmiecha się pod nosem i zatapia język w moich ustach.

Palcami zatacza kółka na łechtaczce i lekko się porusza. Zaciskam mięśnie na jego męskości, ale im bardziej się na tym skupiam i spinam, tym większy odczuwam dyskomfort. Wszystko się zmienia, gdy rytm pocałunku synchronizuje się z ruchem jego bioder i palców pieszczących cipkę. Sapię w jego usta, gdy unosi moją nogę. Wydawało mi się to niemożliwe, ale czuję, że jest jeszcze głębiej i że między naszymi ciałami nie ma milimetra wolnej przestrzeni. Spinam się, a Efesto przestaje się poruszać, ale wciąż mnie pieści.

– Już dobrze – mówię, gdy przyzwyczajam się do zmiany pozycji. – Nie zatrzymuj się. Kochaj się ze mną tak, jak chcesz. – Zaciskam rękę na jego karku i poruszam biodrami. Słyszę, jak zasysa powietrze.

Porusza się we mnie najpierw niepewnie, aż w końcu przyspiesza, przyciskając swoje ciało do mojego. Ociera się o moje piersi, a jego oddech jest coraz cięższy. Sięga po zaciśniętą na jego szyi dłoń, a potem po drugą i zakleszcza je w uścisku nad moją głową.

– Dziś udam, że tego nie słyszałem – szepcze mi do ucha, a ja nabieram powietrza – a następnym uważaj, czego sobie życzysz, kotku. – Trąca mój nos swoim i schyla się, żeby zassać mój sutek. Niemal całkowicie się ze mnie wyślizguje, a gdy sunie językiem w górę i dociera do szyi, lekko ją przygryzając, i wchodzi we mnie ponownie, jednocześnie napierając palcami na łechtaczkę, mam wrażenie, że dopiero teraz dociera do mnie ta stłumiona wcześniejszym stresem i obawami, przyjemność. Łapiemy wspólny rytm, wychodzę mu naprzeciw, gdy jego ruchy stają się szybsze i bardziej zdecydowane. Uczucie rozpierania i dyskomfort schodzą na drugi plan, gdy rozluźniam się pod wpływem intensywnej pieczy. Skupiam się tylko na nich, na naszych przyspieszonych oddechach i łączącej nas bliskości. Wyswobadza z uścisku moją dłoń, więc wsuwam ją między nasze ciała i przyciskam do jego pieczących moją cipkę, niecierpliwych palców. Efesto mruczy mi do ucha, co niesamowicie mnie podnieca, podsyca pewność, że jest mu ze mną dobrze, i że mu się podoba.

– Lubię, gdy się dotykasz, kotku. Nie przestawaj. – Liże mnie po szyi, a gdy owiewa ją przyspieszony oddech, gdy jego ręka mocniej zaciska się na mojej, czuję, że jestem już blisko. Efesto napiera na mnie całym sobą. Jest tak intensywny, że nie jestem w stanie myśleć o niczym, poza jego obecnością we mnie. Władczo wbija palce w moje biodro. Jest w tym geście coś zaborczego i zwierzęcego zarazem. Coś, co sprawia, że wyginam plecy, chcąc bardziej naprzeć na niego piersiami, i jestem pewna, że zaraz zobaczę deszcz pieprzonych meteorytów i tak też się dzieje. Porażona dreszczem rozkoszy, wbijam palce w plecy Efesta. Czuję, jak moje mięśnie zaciskają się na jego penisie, a gdy obejmuje

moją twarz i otwieram oczy, całuje mnie tak mocno, tak zachłannie, jakby chciał mi zabrać oddech lub wtłoczyć w moje płuca swój. Tracę poczucie kto i co komu daje lub zabiera. Czuję, jakbyśmy byli uzupełniającą się jednością i to uczucie promieniuje od palców stóp do czubka głowy. Efesto kończy we mnie, przytulając twarz do mojej i przygniatając swoim ciężarem. Czuję bicie jego serca, słyszę ciężki oddech, aż w końcu unosi się na jednej ręce, a drugą przykładając do mojego policzka. Przygląda mi się tak, jakby chciał sprawdzić, czy na pewno wszystko jest w porządku, a jednocześnie ma jakieś wygłodniałe spojrzenie. Czekam, aż powie coś romantycznego. Coś, co będę mogła wpisać do swojego pamiętnika. Myśl, którą po zapisaniu posypię brokatem i wulkanicznym pyłem. On jednak nic nie mówi, więc postanawiam pociągnąć go za język.

– O czym myślisz?

– Wciąż o twojej cipce. – Opiera czoło na moim. – Wybacz. – Uderzam go lekko w ramię, a on się szczyrzy. – A ty?

– A ja zastanawiam się, czy powiesz mi coś romantycznego.

– A to nie było romantyczne? – Krzywi się, wypowiadając ostatnie słowo, a gdy odchyła się i energicznie pociera czoło ręką, zaczynam sądzić, że ma wręcz na nie uczulenie. – Dobra, mam – stwierdza i uśmiecha się pod nosem. – Warunek jest taki, że mi nie przerywasz. – Potakuję zniecierpliwiona. Efesto obejmuje moją twarz i patrzy mi prosto w oczy. – Ty należysz do mnie. – To ta sama *złota myśl*, której nigdy nie pozwoliłam mu dokończyć. – Nie dlatego, że tak trzeba, lub że ja tak powiedziałem. – Przejeżdża kciukiem po moim policzku, a ja wstrzymuję oddech. – Tylko dlatego, że...

– Chce.

Efesto

Copyright © Agnieszka Kalicka

Copyright © Wydawnictwo Inanna

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover photo by Lightfield Studios/Adobe Stock

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2021 r.

książka ISBN 978-83-7995-448-3

ebook ISBN 978-83-7995-451-3

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Katarzyna Chojnacka-Musiał

Korekta: Barbara Mikulska

Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

sekretariat@inanna.pl

www.inanna.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl